

TRYGVE GULBRANSEN

**DZIEDZICTWO NA
BJÖRNDAL**

**A LASY WIECZNIE ŚPIELAJĄ
TOM 2**

Przełożył Henryk Leśniewski

CZEŚĆ PIERWSZA

1

Major Barre od lat nie służył w wojsku, ale gdy szedł wyprostowany, energicznym krokiem, wymachując laską o metalowej gałce – od razu można w nim było poznać dawnego żołnierza.

Dzień był szary, jesienny, ulice pełne błota, ale cóż to go obchodziło? Miał po kolana buty z owczej skóry. Szedł mocnym elastycznym krokiem. Może nawet nie wiedział, że jest błoto, gdyż nie zwykł był patrzeć na trotuar. Gładko wygolona broda opierała się na odgiętych rogach kołnierza nad śnieżnobiłą kryzą. Jasnym wzrokiem spoglądał przed siebie. Oczy miał błyszczące, pełne życia. Od czasu do czasu rzucał spojrzenia w kierunku pewnych, dobrze sobie znanych okien – w nadziei, że ujrzy tam może któryś z figlarnych buziek, zauważonych i zapamiętanych podczas dawniejszych wędrówek przez błotniste ulice miasta.

Pomimo niepowodzeń życiowych i nader skromnych warunków w jakich się znajdował, major Barre wciąż oczekiwał jeszcze czegoś od życia. Sześćdziesiątka to żaden wiek dla takiego człowieka ja. Toteż na widok ładnej twarzyczki i smukłej kibici zjawiały się mu w oczach niepokojące ogniki. Był bardzo lubiany w towarzystwie, bo tam wnosił pogodę i humor.

Na jednym z rogów rynku zauważył radcę sądowego, Gabbe. Radca przeskakiwał z kamienia na kamień, omijając z całą godnością kałuże. Miał jak zwykle na nogach pantofle zapinane na klamry i obcisłe pończochy na grubych łydkach, spod rękawów surduta wyglądały koronkowe mankiety.

Barre mruknął pod nosem coś jakby „stary idiota”, ale gdy w pewnej chwili radca sądowy podniósł głowę, ukłonił mu się z szacunkiem.

Gabbe miał właściwie zamiar minąć róg i przejść na drugą stronę, ale zatrzymał się na chwilę i zastanowił, zobaczywszy majora. Zaczął mu się badawczo przyglądać przez lorgnon. Po krótkim namyśle zawrócił i poszedł w kierunku Barrego. Obaj zatrzymali się jednocześnie i radca raz jeszcze przez szkła przyjrzał się majorowi.

– Różne plotki krążą o pańskiej córce, pięknej Adelajdzie – wyseplenił radca.

Na pogodnej twarzy majora zjawił się wyraz zdumienia. Oczy spoglądały w tej chwili surowo. „Plotki” były w jego mniemaniu tym samym, co „złe wiadomości”.

Radca zauważył zmianę na twarzy majora i dodał szybko:

– No tak, pańska Adelajda zawsze miała słabość do Rousseau! Lecz Barre nie dał mu dokończyć i huknął:

– Co za słabość, jaka słabość do Rosso? Kto jest ten jakiś Rosso?

Wokół sinawych warg radcy sądowego pojawił się subtelny, pobłażliwy uśmiech. Szeroko otworzył oczy i odrzekł cichym głosem:

– Majorze kochany, no, wiecie przecież, ten buntowniczy Szwajcar...

– Niech mnie diabli wezmą, jeśli znam jakiegokolwiek Szwajcara – grzmiał major.

Radca rozglądał się nerwowo wokoło. Porywczy ten major! Z lada powodu staje się zapalczywy i wpada w gniew, ale ta historia z córką to dość gorzka pigułka dla niego, jeżeli jest prawdziwa. Radca był bardzo ciekaw całej prawdy. Wyjaśnił Barremu, kim był Rousseau i że Nowa Heloiza jest najulubieńszą lekturą panny majorówny. Barre musiał w końcu przyznać, że ten Rousseau nie jest mu zupełnie obcy.

Radca sądowy, nie chcąc stać w błocie w tak wytwornym obuwiu, zaproponował szklankę wina w klubie. Po drodze dowiedział się od majora, że córka jego zaręczyła się z kimś ze wsi. Radca z delikatności nie dodał: „więc z chłopem”. Radczyni spokrewniona z nieboszczką żoną majora omal nie zemdląła z wrażeń dnia poprzedniego, gdy usłyszała o tych zaręczynach Adelajdy. Potem powtarzała z coraz większym przerażeniem słowo „chłop” i twierdziła, że matka, a zwłaszcza babka Adelajdy, żona biskupa anglikańskiego, która pochodziła z arystokratycznego domu Ramerów, przewrócą się chyba w grobie. Tymczasem było publiczną tajemnicą, że mocno już dojrzała, bo prawie dwudziestosiedmioletnia Adelajda jest po słowie z aptekarzem Bohrem, człowiekiem zamożnym, na stanowisku, chociaż nieco również zaawansowanym w latach. A teraz dała mu kosza z powodu „chłopa”! W domu radcostwa było tylko jedno wytłumaczenie tego faktu: Rousseau przewrócił Adelajdzie w głowie!

Siedząc już przy stole w klubie, radca bardzo żałował, że gnany ciekawością zaprosił majora na szklankę wina. Pogłoski sprawdziły się, szkoda zatem było czasu na siedzenie z Barrem. Nigdy nie był ciekaw rozmowy z nim. Po tej historii z córką już nie będzie się mógł zaliczać do towarzystwa. Przeszkadzał mu poza tym hałas od strony bilardu i głośne rozmowy, dochodzące stamtąd. Wyciągnął z kieszeni złotą tabakierkę z wieczkiem, na którym widniały wyrzeźbione w kości słoniowej sceny miłosne. Z lekka stuknął w nią i zażył tabaki. Major skorzystał ze sposobności, wyjął glinianą fajkę i otoczył ich obu obłokiem nieprzyjemnego, ostrego dymu, bo używał lichego tytoniu.

Radca czuł się tak, jak gdyby zabłądził do jakiejś portowej knajpy. Postanowił skończyć rozmowę. Wyciągnął z kieszeni złoty zegarek na ciężkim, również złotym łańcuchu, dzwoniącym brelokami i pieczętkami do laku. Długo bawił się nim, pragnąc zaimponować i olśnić otoczenie.

– Czas do domu – powiedział i spojrzął spod oka na majora. Twarz Barrego, zwykle niefrasobliwa, jaśniała teraz zadowoleniem. Już w chwili spotkania zauważył radca w oczach majora ową niecodzienną radość. Irytowało go to. Chwycił *lorgnon* i znów badawczo przyjrzał się swemu towarzyszowi.

– Nie przejmuj się pan zbyt losem swojej córki! – rzekł tonem wyrzutu i nagany. Major wyjął fajkę z ust i przeciągnął się lekko. Spoglądał nadal niezmaconym, wesołym i pogodnym wzrokiem.

– Nie – odpowiedział spokojnie – nie potrzebuję się o nią martwić!

Jedno oko ze szklami drgnęło nerwowo, a drugie zaczęło rzucać jakieś niepokojące błyski. Po dłuższej chwili milczenia radca spuścił wzrok i wypił nieco wina. Nagle znów podniósł głowę i zapytał:

– Jak się nazywa – chciał powiedzieć: „ten chłop”, ale ugryzł się w język – jak się nazywa ta miejscowość, gdzie Adelajda będzie mieszkała po ślubie?

– Björndal! – odpowiedział wesoło major.

Nalana, blada twarz radcy zaczęła drgać nerwowo pod wpływem jakiegoś niepokoju, a sine wargi wydały dźwięk jakby cmoknięcia...

– Björndal – powtórzył cicho, zamyśliwszy się – miałem niegdyś do czynienia z kimś, kto się nazywał Dag Björndal. Czy przyszedł mąż Adelajdy jest z nim spokrewniony?

– Tak – odparł major – jest synem Daga Björndala.

Z ust radcy wyrwał się odgłos przypominający wydobywanie korka z butelki. Taki dźwięk usłyszał major. Szklka upadły na stół. Oczy, którym radca umiał zawsze nadać pożądany wyraz, mrugały teraz nerwowo. Był najwidoczniej zaskoczony.

Major rozparł się wygodnie na krześle; przyglądał się radcy spod oka i ciągnął mocno fajkę, ażeby ukryć uśmiech.

W końcu radca zapanował nad sobą, schował binokle do kieszeni i spytał z wahaniem:

– Czy tam jest dużo rodzeństwa?

– Nie, narzeczony Adelajdy jest jedynakiem – odparł major spokojnie. Jeszcze wciąż musiał się otaczać wielkimi kłębamii dymu, ażeby maskować bezustanną chęć śmiechu, bo zaskoczony radca miał w swej bezradności wygląd beznadziejnie głupi.

– Jedyńy syn Daga Björndala – wyrzekł w końcu radca – no, no... – Zbity zupełnie z tropu, zamyślił się tępo, dolna warga zwiślała komicznie... Spojrzał na stół i zauważył, że szklanki od wina są puste. Zamówił kolejne. Zapomniał zupełnie, że przed chwilą miał przecież dość towarzystwa Barrego. Podniósł szklankę w górę, przepił do majora, następnie wyjął tabakierkę i z wolna zażył. Potem rozsiadł się wygodnie i dumał przez chwilę.

– Spędziliście tam lato? – spytał.

– Tak. I Boże Narodzenie w przeszłym roku również – odparł major.

– Podobno stary jest niezmiernie bogaty; ma wsie, lasy, huk pieniędzy... – mówił radca cicho, jakby do siebie – i podobno jest bardzo mądry, umie prowadzić interesy...

– Możliwe – odparł major.

– Ale – dorzucił nagle radca, spoglądając na majora – podobno zwyczaję są tam jakieś takie staromodne i sztywne, a on sam jest ponoć, hm, twardy, bardzo nieprzystępny człowiek.

– No, cóż! – odparł Barre. – W Björndal jest i to, i to: i dawne obyczaje, i postęę. Ja osobiście na nic się tam nie mogłem uskarżać. Ludzie uprzedzali mnie nawet, że niebezpiecznie jest mieć z Dagiem Björndalem do czynienia, ale gdy go poznałem, doszedłem do wniosku, że trudno znaleźć lepszego przyjaciela niż on. Może kiedyś był twardy i nieprzystępny, ale nie sądzę, że był kiedykolwiek niesprawiedliwy albo komuś krzywdę wyrządził. – Barre porwany swym temperamentem wpał w zapał i mówił na cały głoś.

Wobec czego radca pośpieszył zapewnić go, że i on wielokrotnie słyszał takie samo zdanie o starym, że wszystko w Björndal opiera się na porządku i uczciwości, a jeśli powiedział „staromodne” i „sztywne”, to tylko tak sobie, bynajmniej nie dla wytknięcia czegoś. W końcu jeszcze dodał:

– W takim razie przysły mąż Adelajdy jest wielkim właścicielem ziemskim. – W głosie jego wyczuwało się zadowolenie.

Po tych słowach major Barre nie mógł dłużej zapanować nad sobą. Wybuchnął głośnym śmiechem, który rozległ się po całym klubie; wszyscy obecni spojrzeli w ich stronę zaskoczeni i zdziwieni. Radca był tym nagłym wybuchem wesołości również zaskoczony. Miał i tak już wiele nieprzyjemności, a teraz musiał jeszcze znieść ten niedelikatny wybuch wesołości, który przyciągał spojrzenia zaciekawionych ludzi z bliższych i dalszych stołów. Nie bardzo było mu to w smak. Zimny pot spływał spod peruki, którą głównie nosił z powodu łysiny, a opowiadał stale, że z szacunku dla dawnych zwyczajów.

Po pewnym czasie major uspokoił się.

– Wybaczcie mi, panie radco, że się tak donośnie śmiałem, ale rozweselił mnie pan, łącząc osobę mego przyszłego zięcia z idiotycznym tytułem „wielkiego właściciela ziemskiego”. Trudno! Musiałem się śmiać. On – i „wielki ziemianin”! Jest, czym tylko chcecie: chłopem, myśliwym, strzelcem – tylko nie „ziemianinem”.

Kieliszki już znów stały puste. Radca chciał być jak najprędzej w domu, aby żonie swej opowiedzieć, że może być spokojna o los Adelajdy. Niech się tam major naśmiewa z tytułu ziemianina w stosunku do przyszłego zięcia, on tym tytułem będzie w domu szafował, a żona z niego nie zadrwi. Stanowisko społeczne i majątek Daga Björndala niejednemu będą mogły zaradzić, poza tym przyszły mąż Adelajdy jest spokrewniony z zamożnym kupcem Holderem. Stary Björndal ożenił się z Teresą Holder, kuzynką Holdera. Jak to się jednak wszystko wie, gdy się wiedzieć chce. Tak, tak! Trzeba się będzie jakoś pokręcić, aby utrzymać dobre stosunki z taką poważną rodziną.

Radca Gabbe tak się śpieszył do domu, by się z żoną podzielić nadzwyczajnymi nowinami, że nawet zapomniał o swej godności w zachowaniu: a obnosił ją od czasu, gdy został radcą sądowym. Toteż spotkani znajomi oglądali się za nim i dziwili się.

Radczyni, która nauczyła męża, jak się powinien zachowywać stosownie do swego stanowiska, która lubiła zawsze to, co eleganckie, i chętnie przebywała wśród ludzi dobrze sytuowanych, bynajmniej nie wpadła w zachwyty, słuchając opowiadania męża. W trakcie rozmowy, mieszając francuskie słowa z norweskimi, dała wyraz swemu wielkiemu przywiązaniu do Adelajdy i zachwytowi nad nią. Ba, rozrzewniała się, płakała nawet nad zaletami Adelajdy, nad tym, że zna tyle języków, że tak ślicznie mówi po francusku, że jest taka muzykalna, niebywale gospodarna, wykształcona, taka elegancka i tak szlachetnie piękna, i nadzwyczajnie ułożona przez swą arystokratyczną babkę, która potrafiła w czasach niebywale lekkomyślności wychować ją w czystości obyczajów. I teraz ma ją otrzymać w darze jakiś chłop na zapadłej wsi! Radczyni popłakiwała na głos, ocierając oczy pachnącą chusteczką.

Radca słuchał coraz bardziej zdumiony wywodów żony i jej żalów. Mój Boże! Ile razy z ust jej słyszał, że Adelajda jest niedokształcona, głupia i nadęta. Wykombinował, że opowiadanie jego musiało jednak zrobić na żonie wrażenie, bo tak nagle zaczęła ją wysławiać i robić z niej jakąś księżniczkę z bajki, obdarzoną wszelkimi zaletami.

2

Major Barre mieszkał w dwóch małych pokojach z kuchnią, w drewnianym domku na peryferiach miasta. Ulice, a raczej drogi na tym przedmieściu były bardzo wąskie i kręte, a ogródki przed domami zachodziły na nie tak dalece, że do przejścia pozostawała tylko wąska ścieżynka. Gdzieniedzie znów żywopłoty tak się rozrosły, że zagradzały drogę i trzeba było zawracać, szukając innego przejścia. Stara panna, Eleonora Ramer, musiała w końcu poprosić jakiegoś brudnego ulicznika, ażeby jej wskazał, jak należy iść do domu majora Barrego.

Zatrzymała się dłużej przed drzwiami, poprawiła loczki pod kapeluszem, ułożyła koronkowe falbany pod płaszczem, podciągnęła długie, czarne rękawiczki za łokieć i przełożyła małą parasolkę z ręki do ręki. Nawet teraz, późną jesienią, nie rozstawała się z parasolką. Długo trwało, zanim zdecydowała się zadzwonić. Szła w odwiedziny do córki swej siostry, Adelajdy, której nie widziała siedem lat. Krążące plotki były powodem, że łamała postanowienie, iż nigdy w życiu już nie przestąpi progu domu majora Barrego. Siostra jej przed siedemnastu laty rozwiodła się z majorem, nie mogąc sobie dać rady z jego skąpstwem i kobieciarstwem. Od tego czasu panna Eleonora nie widziała go. W dziesięć lat po rozwodzie majorowa, niestety, umarła i córka musiała powrócić do ojca. Ciotka, odkąd mieszkała w mieście, nieraz miała ochotę zobaczyć siostrzenicę, ale nie chciała za żadne skarby zetknąć się z majorem. Adelajda znów przypuszczała, że może ciotce niemiła będzie jej wizyta i dlatego nie odwiedzała jej, choć czasem odczuwała żywe pragnienie porozmawiania z nią. Dawniej rozumiały się i kochały.

Parasolka kilkakrotnie wędrowała z ręki do ręki, zanim właścicielka zdecydowała się na zastukanie. Sama Adelajda jej otworzyła. Gdy się dowiedziała, że majora w domu nie ma, weszła już zupełnie opanowana. Choć niespodziewane odwiedziny zaniepokoiły trochę dziewczynę, jednak uśmiechnęła się przyjaźnie do ciotki, poprosiła, ażeby siadła, a sama poszła do kuchni, by postawić wodę na herbatę. Uczyniła tak, gdyż chciała nieco zebrać myśli przed rozmową, która ją czekała. Panna Ramer rozejrzała się tymczasem po czyściutkich, ale ubogo urządzonych pokojach i słysząc kroki zbliżającej się Adelajdy, szybko otarła oczy, by nie okazać wzruszenia. Sama nie była zbyt zamożna, miała jednak stare, piękne meble, przedmioty sztuki i mnóstwo wartościowych drobiazgów, gdy tymczasem tutaj ledwo jeden stary zegar-antyk oraz parę bibelotów wskazywało, że jest to mieszkanie ludzi z lepszej sfery.

Czekając na zagotowanie się herbaty, Adelajda raz po raz wychodziła i znów się zjawiała. Potem usiadły obie do podwieczorku i piły herbatę wolnymi łykami, chrupiąc przy tym sucharki z konfiturami. Panna Eleonora spróbowała ciastka, zaczęła mówić o tym, co ją sprowadza. Opowiadano w mieście, że przypomina swą matkę, żonę biskupa, która znana była z tego, że lubiła wszystko powiedzieć, co jej leżało na sercu, tak prosto, bez ogródek.

– Na pewno domyślasz się, kochane dziecko, że tylko konieczność mnie zmusiła do przestąpienia progu mieszkania twego ojca. Ta konieczność to ty! Opowiadano mi coś o tobie, o twoim małżeństwie! Na pewno ojciec cię do tego namówił, a ja czuję się w obowiązku z tobą o tym pomówić. Wiesz na pewno, że dochody moje, na które składają się lekcje i mała renta, są bardzo skąpe, ale chętnie się z tobą podzielę tym, co mam, aby tylko cię stąd wyrwać. Przecież i ty będziesz mogła wykorzystać to, co umiesz. Będziesz też dawała lekcje i jakoś damy sobie radę.

W końcu dorzuciła kilka zdań po francusku, twierdząc, że mamona już niejednego nieszczęśliwca skusiła.

Adelajda siedziała przez ten cały czas z opuszczoną głową i walczyła z nieprzepartą chęcią do śmiechu.

– Ależ, ciociu, skąd to przypuszczenie?

– Przypuszczenie? – przerwała jej ostro stara panna. – Czyżbyś już miała zapomnieć o naszych dawnych rozmowach na ten temat? Czy ci nie opowiadałam, jaki los był udziałem kobiet w naszej rodzinie? Mało ci wtedy przykładów dałam? I to takich bardzo przekonywujących? Dlaczego one były nieszczęśliwe? Czy nie pamiętasz już losu matki twej? Przecież ci mówiłam, że żadna z kobiet w naszej rodzinie nie mogła wyjść za tego, którego kochała, i że ściągała na siebie nieszczęście, biorąc innego. I ciebie kusi i nęci bogactwo, rozumiem to teraz, gdy widzę, w jakich skromnych warunkach żyjesz. Rozumiem twój postępek, ale radzę ci jednak: dobrze się zastanów, zanim będzie za późno.

– Ależ, droga ciociu – chciała jej przerwać Adelajda.

– Nie, nie – ciągnęła dalej panna Ramer, stawiając gwałtownie filiżankę na spodek – wcale nie wiesz, jakie sobie życie szykujesz. Gdyby to chociaż był człowiek z twojej sfery i wykształcony, który by miał względy dla ciebie i dla twego wykształcenia, posiadał jakieś stanowisko, jak na przykład aptekarz Bohr, ale... – Urwała i spojrzała zdumiona na siostrzenicę.

Adelajda podniosła się z krzesła. Ciotka zaskoczona tym przyglądała się jej, nic nie rozumiejąc. Adelajda była smukłą, słusznego wzrostu i stała z dumnie podniesioną głową. Wówczas córka biskupa wstała również. Była tego samego wzrostu, co Adelajda. Mimo że zbliżała się do pięćdziesiątki, zachowała na twarzy ślady minionej urody i miała piękną postawę.

– Mam nadzieję, że to bogactwo jeszcze nie uczyniło cię tak zaślepioną, ażebyś nawet nie chciała wysłuchać tego, co ci ciotka chce powiedzieć. – Po chwili dodała szybko po francusku: – Czyś ty się nad tym zastanawiała, że nie tylko poniżasz siebie moralnie przez takie małżeństwo, ale również i ciało zaprzędajesz takiemu człowiekowi!

– Milcz! – krzyknęła Adelajda, zakrywając twarz rękami. – Kocham go, więc proszę ani słowa więcej!

Panna Ramer zeszywniała zdumiona. Poruszyła wargami, nie była w stanie wymówić ani słowa, tylko przerażony wzrok utkwiała w siostrzenicy.

– Kochasz go!? – zapytała w końcu i powtórzyła raz jeszcze tak cicho, że ledwie można ją było usłyszeć: – Kochasz go!

Usiadły obie, ale żadna z nich nie piła już herbaty. Stara panna była zupełnie wytrącona z równowagi. Idąc tu była pewna, że zastanie dumną Adelajdę pogrążoną w rozpacz, tonącą we łzach z powodu ponizenia, do którego jest zmuszona... Spodziewała się, że ona – z tym zamiarem szła – będzie miała sposobność zrzucić całą winę na podłego majora. Toż ten człowiek sprzedaje własne dziecko! Poza tym miała nadzieję, że uda jej się zrobić wspaniały, pełen szlachetności gest i udzielić gościny maltretowanej dziewczynie. Obliczyła też sobie, że będzie to dla niej połączone z oszczędnością, która obojętna jej nie była, a polegała na tym, że z chwilą gdy Adelajda z nią zamieszka, będzie mogła się obejść bez służącej. Teraz wszystkie plany na nic.

Stara ciotka długi czas wpatrywała się milcząco w swoją filiżankę. Nie bardzo to miłe odpowiednio się nastawić, przyjść do kogoś w roli zbawcy i spotkać się z tym, że ten ktoś słyszeć o niczym nie chce i w ogóle żadnej pomocy nie potrzebuje. Mózg jej jednak w dalszym ciągu bezustannie pracował. A nuż wpadnie jej do głowy coś, czym jednak będzie mogła uratować Adelajdę?

– Nigdy ci nie mówiłam, droga Adelajdo, jak bardzo jesteś podobna do swej babki. Wzruszona jestem, gdy w tej chwili, po tylu latach niewidzenia, patrzę na ciebie... Tak bardzo przypominasz moją matkę. Wiesz, co o niej mówiono? Miała dwa braki: jak na kobietę była za wysoka i nos miała nieco za długi, poza tym ogólnie uchodziła za piękną. Te same braki masz i ty, chociaż jesteś, tak, jesteś piękna! Zresztą sama o tym wiesz najlepiej.

Adelajda mocno się zarumieniła i chciała coś powiedzieć, ale ciotka w ferworze nie pozwoliła sobie przerwać.

– Matka moja czuła się bardzo szczęśliwa, że cię przez ostatnie dziesięć lat swego życia miała przy sobie, choć nigdy o tym tobie nie mówiła. Wspomniała mi, że zawsze pragnęłaś się uczyć i że byłaś wyjątkowo zdolna. Obie z matką twoją nauczyły cię płynnie władać francuskim, równie dobrze znasz niemiecki i łacinę i umiesz nawet pewne cytaty greckie. Mówiła też, że jesteś bardzo muzykalna, a przy tym wcale nie zaniedbujesz gospodarstwa i znasz się na kuchni. Wiesz dobrze, że matka nigdy nikogo nie chwaliła, ani z nikogo i z niczego nie bywała łatwo zadowolona, jeśli więc ciebie tak wysławiała, zasłużyłaś na pewno na to w zupełności. Matka moja cieszyła się z tego, że udało jej się uchronić ciebie od niepotrzebnych awantur sercowych, a przecież miałas już dwadzieścia lat, gdy w śmiertelnej chorobie wszystko mi to powiedziała. Z wielką przykrością mówiła o tych dziewczętkach, które już w czternastym, piętnastym roku przeżywają pierwsze przygody miłosne i zaraz potem, po confirmacji, poślubiają pierwszego lepszego mężczyznę. Pragnęła, ażebyś dopiero jako dojrzała kobieta wybrała sobie towarzysza życia. – Tu panna Ramer wybuchnęła płaczem. – Mówiła mi przed śmiercią: pamiętaj, ostrzeż Adelajdę, ażeby czekała, dopóki nie zjawi się ten jej przeznaczony, bo jest tego rodzaju kobietą, że powinna dostać się w dobre ręce i żyć na wysokim stanowisku społecznym. To mi powiedziała matka moja na łożu śmierci!

Panna Ramer załkała głośno, a i Adelajda otarła oczy chusteczką i patrzyła wzruszona przed siebie. Nie przypuszczała nigdy, że ta surowa babka tak bardzo dużo o niej myślała i tak się o nią kłopotowała, tak ją kochała.

Ciotka przez dłuższy czas siedziała, płacząc, pogrążona w myślach, potem nagle wyprostowała się:

– Dziecko moje, masz już wprawdzie dwadzieścia siedem lat, ale i starsze od ciebie dziewczęta wychodzą przyzwoicie za mąż. Znam takich, którym się bardzo podobasz. Czy nie uważasz sama, że popełniłabyś głupstwo nie do darowania, robiąc tego rodzaju mezalians, idąc za głosem twoich upodobań *à la* Rousseau? Ty przy twoich zaletach, piękności, wiedzy, zdolnościach, subtelności?

– Rousseau? – Adelajda cała aż drgnęła ze zdziwienia.

– No tak – ciągnęła dalej ciotka – bo jeśli, jak mówisz, nie bogactwo cię nęci, a twierdzisz, że kochasz człowieka, którego własny twój ojciec określił jako prostaka, zwykłego chłopca, nawet myśliwego, w takim razie jedynym wyjaśnieniem pozostaje...

Adelajda podniosła się z krzesła, stanęła wyprostowana przed ciotką i drżącym z oburzenia głosem zapytała:

– Czy ojciec powiedział, że Dag jest prostakiem?

Ciotka spojrzała wylękciona na piękną, majestatyczną w gniewie Adelajdę.

– Może nie wyraził się tymi słowami. Ale w każdym razie mówił, że nie jest wcale ziemianinem, pracuje w polu wraz z innymi, no – tu zadrzał głos panny Ramer – że jest zapalonym myśliwym, ponad wszystko myśliwym, że stale wałęsa się po lasach... To powiedział ojciec twój do radcy Gabbego.

Ponury wyraz znikł z twarzy pięknej dziewczyny, uśmiechnęła się łagodnie. Wiedziała, że ojciec uważał radcę Gabbego za największego matoła w mieście, zakpił więc sobie z niego. Zrozumiała, dlaczego właśnie jemu to tak powiedział. Uspokojona siadła z powrotem.

Ciotka zauważyła jej uśmiech i może nieco podrażniona tym postanowiła wymierzyć ostateczny cios.

– Mówiono mi również, że właściciele Björndal są bezwzględni i nieprzystępni, twarde typy. Czy ty, Adelajdo – tu zaczęła znów mówić po francusku – czyś ty się zastanowiła nad tym, dziecko, co to jest wyjść za mąż, dzielić z kimś łóżko? – Więcej powiedzieć nie mogła.

Adelajda przerwała jej oburzona:

– Ależ, ciociu... – Potem dodała nieco ciszej: – Dziękuję ci, żeś mi chciała pomóc, ale to jest zupełnie inaczej, niż ty sobie wyobrażasz, zupełnie inaczej...

Gdy po chwili ciotka Eleonora wstała, ażeby się pożegnać, była tak oszołomiona, jakby znalazła się w innym świecie, bo naprawdę wszystko tu było obce i całkiem nieznanne. W przedśionku dodała jeszcze:

– Więc zobaczę tych ludzi i poznam na weselu.

Po wyjściu ciotki Adelajda wbrew swoim przyzwyczajeniom nie sprzątnęła ze stołu. Siadła. Zaczęła rozmyślać, oparłszy twarz na rękę. Rozmowa z ciotką obudziła w niej różne wspomnienia. Pomyślała o matce i babce, o ich twierdzeniu, że wszyscy mężczyźni grają komedię. Ale nie chciała tego sądu stosować w tej chwili do człowieka, którego wybrała i pokochała. Pewna była, że obie kobiety nie powiedziałyby tych gorzkich słów, gdyby go znały. Adelajda wierzyła w swego ukochanego, tak jak wierzą wszystkie kobiety temu, którego pokochały. Wierzyła pomimo swego doświadczenia i dojrzałości.

Ale i inne myśli przychodziły jej do głowy po tej rozmowie z ciotką, która jej dość nagadała. Dziwiła się, że nawet tak wytworna i subtelna osoba, jak ciotka, wdziera się w intymny świat jej ciała. Dlaczego człowiek nie chce, nie potrafi pozostawić drugiego w spokoju?... A wesele? Dotychczas odsuwała tę myśl od siebie. To była trochę niemiła sytuacja, bo właściwie ojciec powinien wyprawić jej wesele, ale nie miał pieniędzy. Adelajda powiedziała sobie (i tym się uspokoiła) że w takim razie nie będzie hucznego wesela, tylko skromny ślub. A tu naraz ciotka, taka rozumna i znająca sytuację pieniężną ojca, mówi, że wybiera się na jej wesele... Ale nie tylko ciotka. Inni też jej już o tym wspominali. Co to ma znaczyć?

Nagle zrozumiała. Ci, którzy o tym weselu wspominali tak jak ciotka, mieli na myśli wesele w Björndal, takie prawdziwe trzydniowe chłopskie wesele. Każdy z pogardą mówi o „prostych chłopach”, ale nęci ich przecież niezmierzone bogactwo właścicieli, tajemnica ich życia, pełnego przygód na swobodzie. Mimo woli przed oczami Adelajdy przesunęły się kolejno obrazy: ludzie w mieście wiecznie czegoś węszący, żyjący w wielkich skupiskach i oddychający powietrzem przesyconym przestępstwem, i wielkie kwadratowe podwórze w Björndal, otoczone szeregiem przestronnych domostw, dające wolny oddech i przestrzeń mieszkańcom.

Wśród tych rozmyślań uprzytomniła sobie, że zupełnie jest możliwe, iż ojciec Dag wyprawi huczne wesele w Björndal, a nawet zrobi to prawdopodobnie. Naprzód pomyślała o sukni. Skąd ją weźmie? Odsunęła teraz od siebie wszystkie smutne myśli i wyobraziła sobie, jak będzie wyglądała jako panna młoda. Upajała się – jak zresztą wszystkie kobiety – myślą o tej wielkiej chwili. Nagle przypomniała sobie słowa ciotki o cielesnym oddaniu i zniechęciła w jednej chwili to całe publiczne widowisko, w którym miała odegrać główną rolę. Po co obcy ludzie skupiają się wokół dwojga ludzi, których się powinno zostawić samych, w zupełnym spokoju? Odrażający był dla niej ten stary obyczaj: ci tłoczący się obok młodej pary krewni i znajomi na drodze do pokoju małżonków. Po co? Chyba tylko po to, ażeby u niektórych wywoływać wspomnienia erotyczne własnych dawnych przeżyć, a niezonatym sprawić przedsmak tego, co ich czeka, i wzniecić dreszcze pożądania.

Adelajda długo tak siedziała zatopiona w myślach. Oczy jej często zmieniały barwę zależnie od wewnętrznego nastroju i od oświetlenia przechodziły z błękitu najczystsze w kamiennoszary odcień. W tej chwili lśniły właśnie kamienną szarością; również i w sercu jej piękne marzenia, pełne jak gdyby barw i kolorów, przeistoczyły się i zniknęły w jakiejś szarej, lodowatej mgłę, w której ludzie niedowidząc, chodzili po omacku. Tak, to z braku zrozumienia ludzie wzajemnie utrudniają sobie życie.

W pewnej chwili podniosła głowę i otrząsnęła się z melancholii i smutku. Oczy na powrót stały się niebieskie i żywe. Miała przecież przyjaciela na świecie – mądrego przyjaciela, który życiem potrafi pokierować. Nie o narzeczonym myślała w tej chwili, ale o jego ojcu. Przecież jemu mogła powiedzieć, nie wyjaśniając przyczyn, o których w ogóle trudno jest mówić z kimkolwiek, że nie życzy sobie weselnego obchodu. Wiedziała, że wystarczy, gdy poprosi Daga Björndala, by ją od tego niemądrego ceremoniału uchronił. Spojrzy na nią badawczo, ale pojmie, że ma ku temu powody, skoro go o to prosi. Uśmiechnęła się do siebie. Tak, ojciec jej ma rację: Dag Björndal nie jest ziemianinem, jest zwykłym chłopem. Ma swój własny sposób postępowania. Z każdym innym musiałaby zużyć tysiące słów na wyjaśnienie, dlaczego nie pragnie hucznego wesela, i to zupełnie bezskutecznie, ale on zrozumie. Czy można by od kogo innego oczekiwać tak łatwej rezygnacji z ukrytych chęci urządzenia wspaniałego widowiska i tradycyjnej uroczystości? A rozwianie jego marzeń pozbawiłoby tym samym wielu innych okazji radowania się z nim. Stary Dag jednak nie ulegał żadnym zachciankom. Pochodził z rodu, który umiał się wzniesć ponad zwykłą przeciętność. Znając ją dobrze, wie, że wszystko, co pomyśli i zamierzy, nie jest podyktowane żadnym chwilowym kaprysem. Toteż zrozumie na pewno, że to osobliwe życzenie ma jakiś głębszy sens. Jeśli Adelajda nie poda powodów swej prośby, to się domyśli, że powiedzieć nie może. Uszanuje ją jako osobę najbardziej zainteresowaną ceremonią i na pewno nie będzie chciał się sprzeciwić jej woli.

Czuła tak bardzo wspólnotę duchową z tym pozornie bezwzględny, twardym człowiekiem, który miał stać się obecnie drugim jej ojcem. Tak, drugim ojcem... Zamyśliła się... Coś jakby jej się wyjaśniło. Zmieniła zamiar. Pomimo wszystko nie powie mu nic o weselu. Jeśli mu bowiem zależy na tym, ażeby wesele było huczne, zgodzi się na to, jak zgodziło się wiele innych, nawet w wypadku gdyby jakieś chmurki miały zasępić dzień najbardziej decydujący w jej życiu. Będzie musiała się z tym pogodzić, pomimo że tego nie chce.

3

Nie przypuszczał radca sądowy Gabbe, że będzie musiał na stare lata odbywać męczącą, długą podróż fatalnymi drogami, rozmiękłymi od jesiennych deszczów, ani że będzie kiedykolwiek na chłopskim weselu. Ale trudno, kto ma tak energiczną małżonkę, musi godzić się, chętnie czy niechętnie, na wiele niewiarygodnych rzeczy. Więc i ta wysoce wytworna para znalazła się w wielkim sznurze gości weselnych, udających się w listopadzie 1809 roku na północ kraju.

W Korsvoll, na ostatnim postoju, czekały pojazdy z Bjørndal, ażeby gości przewieźć na północ przez osiedla rozrzucone w dolinach i lasem porośnięte wzgórza aż do dworu w Bjørndal. Radca z żoną przybył pierwszy do Korsvoll i był zdumiony wielką liczbą czekających pojazdów. Wiedział wprawdzie o zamożności Bjørndala, ale nawet największe bogactwo ma swoje granice. Przypuszczalnie jednak część pojazdów była wypożyczona, ażeby gościom zaimponować. Pomimo swego wielkiego stanowiska – które zresztą od nie tak dawna piastował – powodowany ciekawością pozostała jeszcze z okresu, kiedy był zwykłym, szarym człowiekiem, spytał jednego ze stangretów, skąd są te wszystkie pojazdy. Ucieszył się potwierdzeniem swoich przypuszczeń, że większość pojazdów pochodzi z innych miejscowości. Ale radość jego trwała krótko, bo woźnica, sam rodem z Bjørndal, dodał sucho, że wszystkie te dwory należą również do jego pana, a tym samym i zaprzęgi są jego własnością.

Radcy zrobiło się nieco nieprzyjemnie. Stangret był za sprytny na to, ażeby się nie domyślić celu pytania. Gabbe pomyślał sobie, że prawdziwe jest przysłowie: być chłopem – niekoniecznie znaczy być głupim.

Po raz pierwszy w życiu udawał się w tak daleką podróż, jechał teraz pełen jakichś ponurych przeczuć w tę niebezpieczną, według niego, drogę. Wysiadał z powozu na każdym zakręcie i pod każdą górą pod pozorem, że pragnie koniowi ulżyć. Gdy przebywali lasy, rozglądał się niespokojnie wokoło, a kiedy teraz o zmierzchu, minąwszy odkrytą okolicę, zagłębili się bardziej na północ i poczuli surowe tchnienie wysokich puszczy björndalskich, radca stawał się coraz, bardziej przygnębiony i niespokojny. Jechali wąską drogą, która poprzez zalesioną górę prowadzi w dół do osiedla. Świerki-olbrzymy o rosochatych gałęziach muskały go po grzbiecie, a wówczas zdawało mu się, że skazany na bicze przebiega między rzędami tajemniczych, rozszepowanych widm. Tak jak niejeden obcy tutaj odetchnął z ulgą, gdy droga leśna skończyła się i ujrzeli z daleka domy osiedla.

Jak wielu innych, poruszony był widokiem dworzyszcz w Björndal. Wyrastało przed nimi na górze ponure i potężne w całym zespole imponujących budynków. Ten wspaniały i niezwykle obraz mimo woli budził w nim przeświadczenie, że nie byle jacy ludzie wykarczowali tu las i pobudowali tak solidną siedzibę. Górując nad okolicą, pozwalała objąć okiem w krąg cały pyszny krajobraz.

Stangret coś mówił, mamrotał. Radcostwo domyśliło się, że pragnie ich poinformować. Zaczęli się przysłuchiwać. Wszystko, co teraz widzą, cała ta olbrzymia połać ziemi wraz z chatami, domami, zagrodami i bezkresnymi lasami jest własnością jego pana. Radca słuchając go, przypomniał sobie, co słyszał o potędze i bogactwie Björndala. Oprócz tych, miał jeszcze włości na południu. Poza tym przecież do niego należy wielkopańska rezydencja Borgland, przez którą dopiero co przejeżdżali, a która sama wyglądała jak małe królestwo.

Gdy wjechali w dolinę, radca pomimo zmierzchu rozglądał się z ciekawością po okolicy. Przejechali obok dworu Hamarrbö, podziwiając ogromne stare budynki o małych okienkach i głębokich podcieniach, nakrytych dachem zielonym od mchu. Ta pierwsza napotkana po drodze posiadłość bogacza, ukazująca się ich oczom w oświetleniu prawie wieczornym, oparta o strome ściany skał, które wyrastały i jakby sięgały niebieskoczarne aż do nieba – robiła na wszystkich, którzy po raz pierwszy ją widzieli, niezapomniane wrażenie. Wprawiała w zachwyt.

Jechali teraz w dół. Zrobiło się ciemno. Na drzewach nie było ani jednego listka, a kwiaty dawno wróciły do ziemi, z której wyrosły. Wszystko, co latem przyozdabiało piękne pagórki Hamarrbö, było obecnie zupełnie zwiędłe i zszarzałe. Widać było wreszcie tylko nagie, strome zbocza, niebezpieczne dróżki, pełne zakrętów i obluzowanych kamieni. Powietrze przeszywały dreszcze jesiennej nocy. Woda szemrząc, ściekała strumyczkami ze skał. Zjeżdżali z górki w ciemne obejścia wielkiego osiedla, mijali małe chatki, na pół ukryte wśród drzew. Gdzieś miauczał kocur. Gdzieniedzie przez szyby widać było ogień pod kominem. Poza tym wszystko tonęło w ciemnościach, jesienny nastrój bił zewsząd. Radca i jego żona mimo woli myśleli o Adelajdzie, takiej pięknej i subtelnej, która miała w tym ponurym otoczeniu spędzić całe życie. Aż ich dreszcz przeszedł. Radczyni wyjęła chusteczkę i otarła łzy.

Drgnęli z przestrachu, gdy jak odgłos grzmotu, rozległo się dudnienie ciężkich kopyt końskich po drewnianym moście. Stąd zaczynała się długa aleja, prowadząca w górę do dworu. Szeroko otwierali oczy na widok wzniesionych po jej obu stronach wałów z kamieni mchem obrosłych i rzędów potężnych pni drzew. Droga szła wzwyż, otwierał się więc teraz widok na południową stronę. Im bardziej gęstniał mrok, tym więcej cały krajobraz przypominał jakąś tajemniczą krainę cieniów. W miarę jak wjeżdżali pod górę, odnosili wrażenie, że wydostają się z nieprzeniknionych ciemności w błogosławioną jasność i że się tu lżej oddycha. Nagle w głębi alei zabłysło jakieś dziwne światło: dalekie, jakby bajkowe. Gdy podjechali bliżej, zobaczyli, że to było zakończenie alei. Ujrzeni olbrzymie drzewa bramy wjazdowej, pokrytej omszałym, zielonym dachem. Słysząc było ujadanie psów i zgrzyt łańcuchów. Po chwili wjeżdżali na podwórze. To światło, które widzieli z daleka, było odbłaskiem zawieszonych u wjazdu latarni. A teraz znaleźli się w samym środku zakłętego, starego podwórza. Rozglądali się po olbrzymim placu, starannie uprzątniętym. W niepewnym świetle zarysowały się wyraźnie kontury całych masywów – wszystkie kwadratowe, blokowe, wyglądające na mury nie do zburzenia. Pośrodku podwórza wyciągały ku niebu ramiona ogołocone konary, trzy zrosnięte pnie olbrzymiego dębu, pochodzące jakby z prawieków. Suche liście na wierchołkach, na które nie padało światło z latarni, wydawały metaliczny dźwięk, gdy wiatr nimi poruszał.

Stangret zatrzymał konie przed szerokimi schodami, wiodącymi do „nowego domu”. Ten dom został wybudowany przez kapitana Klingego, w czasie rządów poprzedniego pokolenia, ale po dziś dzień przetrwała nazwa „nowy dom”. Właściwie ten budynek nigdy nie był prawdziwie zamieszkały, gdyż właściciele, a przede wszystkim ich goście, czuli się lepiej w starych częściach dworu, wzniesionych z potężnych pni wyciętych w lesie.

Przez długi ganek na słupach wchodziło się tu do staroświeckiej sieni, w której stał olbrzymi komin. Od najdawniejszych czasów przyjmowano w tym miejscu gości. Nowy zaś dom został zbudowany dla Teresy Holder, żony starego Daga, a matki młodego Daga. Pochodziła z miasta i była córką bogatego kupca. Przybywszy do Björndal z siostrą, panną Dorotą, przywozła ze sobą moc wytwornych mebli i różnych pięknych rzeczy. Z powodu tych mebli został wzniesiony nowy budynek; powstał wielki dom o wielu pokojach i ogromnych oknach na parterze i piętrze. Kuchni używano również, a olbrzymią salę otwierano na każde Boże Narodzenie. Za życia Teresy odbywały się tam zabawy i tańce. Goście wówczas zajmowali pokoje: żółty, niebieski, czerwony i zielony. Ale poza tymi okazjami dom był martwy, bo nie zamieszkanym. W ostatnich latach, od czasu śmierci obu siostr, nakrywano stół w tej pompatycznej sali w wieczór wigilijny. Poza tym odbyły się tam stypy po śmierci Teresy i Doroty, a potem po pogrzebie kapitana Klingego, który był pisarzem we dworze.

Zajechali więc radcostwo w końcu przed ten ogromny dom. Jak wszyscy goście w Björndal – zostali przyjęci i powitani przez pannę Kruse. Była to córka dobosza Krusego, która przybyła do Björndal jeszcze jako młode dziewczę, dziecko niezamożnych rodziców. Tu otrzymała wychowanie i nauczyła się pierwszorzędnie wykonywać czynności gospodarskie. Obecnie zarządzała kobiecym działem we dworze.

Panna Kruse przyjęła gości uprzejmie i z godnością, zaprowadziła ich do niebieskiego, przeznaczonego dla nich, pokoju na piętrze, i oznajmiła, o której będzie kolacja.

Radcostwo rozejrzeli się po pokoju i potem spojrzeli po sobie. Radczyni odsunęła zasłony i oboje spojrzeli na widok rozpościerający się przed nimi. Stąd, z góry, mogli jeszcze rozpoznać w oddali osiedle Hamarrbö i owe skały na zachód od niego oraz szczyt góry, którą minęli, a w dole wszystkie zabudowania folwarczne. Niebo było ołowiane z ostatnimi przeblaskami światła na zachodzie, które jesienią są długo widoczne, dlatego też można było jeszcze rozróżnić kontury zarysowujące się na tle ciemniejącego nieba.

Radcostwo długo wpatrywali się w piękny wieczór, a żona znów otarła cieniutką chusteczką łzy; ale tym razem na pewno nie ze współczucia dla Adelajdy.

Nadjeżdżali goście, czasem powóz za powozem lub w pewnych dłuższych odstępach czasu, zależnie od tego, gdzie ich woźnica odbierał. Ostatni mieli w drodze wypadek i przez to przybyli z wielkim opóźnieniem. Jedynym gościem, który nie zjawił się tego wieczoru, była Adelajda.

Nowy pastor tych gmin, daleki krewny Adelajdy po kądzieli i kuzyn biskupa Ramera, nie miał takich pojęć i zapatrywał jak większość jego kolegów. Trzymał się ściśle przepisów zawartych w Biblii i szanował wszelkie dobre, stare tradycje. Powiedział, że jeśli on ma dawać ślub Adelajdzie w „swoim” kościele, to ona musi tę ostatnią noc przed ślubem spędzić na probostwie. Więc major wysadził swą córkę na plebanii, a sam ruszył dalej do dworu. Miał po nią następnego dnia przyjechać w odpowiedniej chwili i zabrać ją do kościoła. Ojciec Dag prosił majora, ażeby przyjechał wcześniej i dopomógł mu powitać gości z miasta, których on po większej części nie znał. Major był bardzo rad, gdyż bardziej mu odpowiadało to, niż przebywanie ze swym surowym kuzynem, pastorem. Wolał wieczór spędzić w Björndal. Udzielał gościom odpowiednich objaśnień i cieszył się ich zdumieniem na widok tyłu wspaniałych, luksusowo urządzonych pokojów. Przy kolacji wybuchał wesołym śmiechem, który rozlegał się w całym domu.

4

Podczas gdy nasz major radował się wesołością i gwarem w Björndal, córka jego siedziała przy stole na plebanii i w towarzystwie potulnej i cichej żony pastora, słuchała jego napomnień mających na celu przygotować ją do jutrzejszej uroczystości i do przyszłego życia w Björndal. Z początku Adelajda miała wrażenie, jakby pastor wulgarnie i niezręcznie dotykał uczuć, które są jej wyłączną własnością i do których nikt nie ma dostępu, ale domyślała się, że pastor celowo pragnął ją mieć tego wieczoru przy sobie na plebanii. Adelajda, która już przecież matki nie miała – z ojcem zaś poważnie nigdy nie można było mówić – po pewnym czasie dała się porwać urokowi słów pastora, słów spokojnych, mądrych. Jeszcze może nigdy w życiu nie czuła się tak bezpieczna jak w tej chwili.

Pastor Nils Ditlev Ramer był surowym duchownym dawnego autoramentu, wierny tradycjom, z których drwić nie pozwalał. Nie raz przybywali do niego ludzie z odległych osiedli i według dawnych zwyczajów wchodzili na plebanie w pończochach. Prosił ich wówczas, ażeby włożyli z powrotem obuwie. – Przecież do kościoła nie wejdziecie w pończochach, a plebania to mniej więcej dom Boży, przynajmniej dopóki ja tu jestem.

Tego rodzaju historie dotarły do wiadomości ogółu i ludzie wpadali w podziw, że ten ich duszpasterz jest taki ludzki i mądry. Podczas kazań przytaczał ustępy z Biblii, które znane im były z czytania, i zawsze potrafił im je przystępnie wytłumaczyć. Trzymał się zagadnień prostych, przytaczał łatwe przykłady jako temat rozmyślań. A jeśli któryś z parafian przychodził do niego z jakąś sprawą, nie zanudzał go mądrą przemową, lecz ostrożnie, pełen taktu i zrozumienia, starał się pojąć jego trudności. I w ten sposób ów parafianin, gdy odchodził, miał wrażenie, że lepiej rozumie własne myśli i że potrafił je sam doskonale wyrazić bez pomocy pastora, który przecież nic nie mówił.

Osobliwe ciepło i spokój były od tego człowieka.

Pastor, wspierający się mocno o skałę wiary, nie potrzebował używać uczonych słów ani wielkiej filozofii, które i tak nie trafiłyby do słuchaczy. Starał się, by rozumieli go prości ludzie, dostosowywał się do ich poziomu. Po kilku miesiącach wysiłku wiedział już, że idzie dobrą drogą. Tylko ta na północ wysunięta, dodatkowa gmina w Björndal!... Ludzie stamtąd z rzadka tylko zjawiali się w kościele. Starał się zebrać o nich wiadomości. Były różnorodne i bardzo sprzeczne. Jedni twierdzili, że są niebywale uparci i nie uznają Kościoła ani w ogóle niczego, że uznają jedynie złoto i majątek, że reszta ich zupełnie nie interesuje. Inni znów twierdzili, że są to ludzie o niezwykle dobrych sercach, mówiono o ich szlachetności i poświęceniu, w wypadkach gdy bliźni potrzebują pomocy. Mówiono o nich także, że nie poniewierają starych zwyczajów i tradycji, a z wielu rzeczy można było wnioskować, że żyją po chrześcijańsku. Ale prawdę powiedziawszy, nie mógł sobie wyrobić zdania o tych ludziach z północy. Trzymali się z dala nawet od niego. Ale właśnie stamtąd, z tej wielkiej północnej gminy szła jakaś tajemnicza siła władająca ludźmi, ich myślami, zamierzeniami, poczynaniami. Była to siła, która i na niego działała. Potęgą pieniądza i mistyczna siła bijąca od mocnych, niezgłębionych charakterów, działająca na ludzi słabszych, przeciętnych, nie znajdujących w sobie oparcia. Pastor był bardzo ciekaw zetknięcia z nimi.

Na czym bowiem polegała istota ich potęgi? Co dawało tym ludziom ową wewnętrzną pewność siebie, dzięki której siali postrach i wywierali magnetyczny wpływ? Nie mogło to być samo bogactwo.

Może była to zimna pycha, zarozumiałstwo albo swoista wiara w Boga, a może obie te rzeczy razem. Bo zarozumiałstwo i wiara mogą się nieraz ze sobą łączyć. Dlatego powołaniem kapłańskim jest ciągła walka. Czasem serce ludzkie przyjmuje słowo Boże, ale je tłumaczy na swój sposób i nie wykorzeniwszy pychy, nie pozwala mu wejść głęboko do swego wnętrza. Raczej godzi ze sobą najodleglejsze przeciwności.

Pastor wszystko to sobie dokładnie uświadomił po przemyśleniu ziemskich spraw ludzi z Björndal. I gdy stary Dag zjawiał się niekiedy w kościele, pastor tak się bacznie przyglądał wyrazistej twarzy potężnego człowieka, że wbrew zwyczajowi zaczął się mylić w cytowaniu tekstu z Biblii.

W takim nastroju, pełnym sprzeczności i domysłów, był pastor Ramer w okresie, gdy dostał zlecenie udzielenia ślubu Adelajdzie i młodemu Dagowi Björndalowi. Było to dla niego niespodzianką, zaskoczyło go to i potrzeba mu było czasu, aby zebrać myśli. Potem zorientował się, że to przecież należy do jego obowiązków, że trzeba je wypełnić mimo wszystko. Dotychczas lękał się zetknięcia z tym bogatym odludkiem, gdyż go nie rozumiał, nie miał dostępu do duszy twardego chłopca z północy, a tu nagle jego krewna pragnie zespolić się z tymi nieprzystępnymi ludźmi. Stał wobec tego zdarzenia nieporadny, wstrząśnięty. Wiedział, że Bóg mu dopomoże w zamierzeniach, był tego pewien; napisał więc do majora i oddał dom swój na tę ostatnią noc przed ślubem do dyspozycji narzeczonej, a gdy witał ją i jej ojca miał na ustach modlitewne niemal słowa, tak był wzruszony faktem zjawienia się ich w jego progach.

Pastor nie znał ich, nigdy dotąd nie widział swych krewnych; słyszał tylko o rozwiązanym życiu majora i piękności Adelajdy, o jej zaletach. Zyskiwała w jego oczach dzięki temu, że wychowywała ją babka Ramerowa. Bardzo był rad, że major zostawił córkę i pojechał do dworu w Björndal. Szło mu przecież tylko o córkę, ją chciał mieć pod swoim dachem przez wzgląd na czcigodną tradycję i jeszcze inne sprawy. Poczował się do obowiązku spróbowania, czy mu się uda pozyskać Adelajdę dla idei i w ten sposób dotrzeć do tego zamkniętego dla niego kraiku, z czasem może i do serc tych ludzi.

Gdy Adelajda po odjeździe ojca przebrała się i zeszła na dół, pastor długo stał przed nią. Przyglądał się jej. Przemiały, subtelny uśmiech ma ten nie znany jej dotychczas kuzyn, dobre, przyjaźnie patrzące oczy, ale gdy zauważyła w nim podziw dla swej piękności przy tak długotrwałym milczeniu, zarumieniła się gwałtownie. Po chwili na twarz pastora padł jakby jakiś cień – smutek, melancholia. Widział teraz jasno, że niezwykła uroda i wybitne wykształcenie Adelajdy sprawiły, że wybrano ją na panią leśnego dworzyszczka, a przypuszczał, jak wielu innych, że dziewczynę przyciągnęła osłepiająca potęga bogactwa.

Ale gdy później przy wieczerzy mówił z Adelajdą, nie wspominał ani słowem o swych przypuszczeniach. Mówił tylko bardzo subtelnie, a zarazem prosto o miłości i o tym, jakie to szczęście pojąć za męża człowieka, którego się kocha.

Później kiedyś miał dziękować Bogu za to, że nie zraził sobie na zawsze dumnej krewniaczki przez wyrażenie jej współczucia. Przedstawił Adelajdzie, jakim to ważnym wydarzeniem w życiu człowieka jest wstąpienie w stan małżeński. Z całą ostrożnością i delikatnością wspominał o obopólnych obowiązkach małżeńskich – nie tylko w stosunku do rzeczy doczesnych. Wskazywał, że trzeba być i stać wzajem przy sobie w sprawach zbawienia duszy i żywota wiecznego.

Bardzo prosto i rozumnie tłumaczył jej, iż jej obowiązkiem jest być dobrym duchem swego męża i wnieść w darze do jego domu te wszystkie zalety i zasady, które w nią wpoila babka, przechowywać je, rozwijać w swym otoczeniu, jak też i w tym duchu wychowywać dzieci, jeśli je kiedyś będzie miała.

Adelajda była tym wszystkim, co ją teraz oczekiwało, bardzo nerwowo wyczerpana i dlatego te cicho wypowiedziane, serdeczne słowa pastora zrobiły na niej tak gwałtowne wrażenie, że nie mogła dłużej nad sobą panować. Łzy trysnęły jej z oczu strumieniem.

Pastor w pierwszej chwili spojrział zdziwiony, ale potem podszedł do niej i pogładził delikatnie jej piękne, gęste włosy.

– Życie przynosi niejedno zmartwienie – rzekł – wiem również, że i ciebie dotychczas życie nie oszczędzało. Pan Bóg cię doświadczał, ale patrz pogodnie w przyszłość, moje dziecko! Bóg cię nie opuści. Wszystko się dzieje z Jego wiedzą, na pewno ma swoje względem ciebie plany. Pamiętaj: nie zapominaj o Panu, gdy będziesz miała ciężkie chwile w życiu. Pamiętaj też, że jestem Jego sługą i tu na plebanii jestem, i o tobie myśleć będę, czekać cię będę zawsze, ażebyś do mnie przyszła nie tylko w chwili troski, ale i podzieliła się też radością. Pamiętaj, Adelajdo, przyjdź, kiedy tylko dusza twoja tego zapagnie!

5

Adelajda tej nocy długo nie mogła zasnąć. Wstała wreszcie, podeszła do okna i spojrzała w kierunku północnym. Ciemno było wokół. Pragnęła przebić wzrokiem ciemności, przebiec wzgórze, skały, lasy i doliny i dotrzeć aż do samego Björndal... Czy też tam również jest jeszcze światło w oknach? A czy Dag jest w domu? Może w lesie? O czym myśli w tej chwili? Aż zadrżała z zimna i lęku. Czy jest szczęśliwy, że ona zostaje jego żoną? Tak zupełnie, bezgranicznie szczęśliwy? A może gnębią go wciąż wątpliwości, które w nim stale wyczuwała, od czasu gdy ubiegłej jesieni po raz pierwszy się zobaczyli w Björndal? Przyjechała wówczas powozem z ojcem z Borgland w odwiedziny do starego przyjaciela, kapitana Klingego, który przez ostatnie lata życia był pisarzem w Björndal.

Patrzała w ciemność i przypominała sobie, jak to ujrzała po raz pierwszy Daga w podartym ubraniu, z zakrwawionym opatrunkiem na ramieniu po walce z orłem, jaki był piękny, jak dumnie wyglądał! Przypominała go sobie w ten przepiękny dzień Bożego Narodzenia, po którym spała wieczorem w pokoju panny Doroty. Jakim nieśmiałym, pełnym podziwu wzrokiem wpatrywał się w nią, nie mówiąc prawie ani słowa. Myślała o niebywałym wrażeniu podczas wieczoru wigilijnego w Björndal i w czasie przyjęcia w Borgland, z którego wracała w towarzystwie Daga pełna melancholii i smutku, i o tym ostatnim wieczorze, gdy Dag powiedział jej tylko dobranoc i uciekł do lasu, i nie powrócił do domu, gdy następnego rana wyjeżdżała z ojcem.

Przeżywała jeszcze raz wszystkie swe lęki i zwątpienia, które ją potem po powrocie do miasta ogarnęły, i jak w końcu strapiona i bezradna dała słowo aptekarzowi, że zostanie jego żoną.

Przypomniała sobie również ostatnią podróż do Björndal, do śmiertelnie chorego kapitana, a potem jego pogrzeb – całe lato spędzili wówczas z ojcem w Björndal – i jak później wędrowała udręczona po ogrodzie pełnym róż i po wszystkich przepięknych zakątkach Björndal... Stał jej w pamięci również ów spacer z ojcem Dagiem, który ją wprowadził na górę, na północ od dworu. Pamiętała widok roztaczający się stamtąd, taki bezkresny, sięgający hen daleko poza lasy i okoliczne wzgórza... Tak szerokiego horyzontu, jak długo żyła, nie widziała.

Również przypominała sobie swe ostatnie porachunki z życiem tu właśnie, w Björndal, gdy miała zamiar poddać się losowi i po powrocie do miasta przyjąć oświadczyzny starego aptekarza, stać się jego aniołem opiekuńczym, żoną-pielęgniarką.

Następnie ostatni wieczór w Björndal: gorzkie łzy przy pakowaniu rzeczy w gościnnym pokoju i lęk przed pożegnaniem uroczystym w czasie obiadu w starodawnej sali. Nagle, gdy rozpacz jej już dochodziła do zenitu, ojciec Dag powiedział wręcz nieprawdopodobne słowa, że syn jego jest w niej zakochany. Pamięta dobrze, jak ją naprzód ogarnęło zażenowanie, a potem radość i lęk, że to niemożliwe. Dag przecież nie może być w niej zakochany.

W modlitewnym nastroju przypominała sobie, jak to Dag tego samego wieczoru w na pół ciemnej sieni podszedł do niej i pocałował ją. Był to jedyny pocałunek do dzisiaj – i zrozumiała wówczas, że było prawdą to, że on ją kocha...

Adelajda siadła i drząc z zimna, oparła łokcie na parapecie okiennym. Zapatrzyła się w ciemność panującą na dworze. Lęk jakby ulatywał w tę ciemność i wracał potem jeszcze silniejszy, i przytłaczał ją swym ciężarem.

Od tego czasu wszystkie sprawy załatwiał ojciec Dag z jej ojcem. Młody Dag nie napisał ani jednego listu, ani jednego słówka. Za każdą bytnością u nich ojciec Dag przywoził niby ukłony od syna, ale Adelajda była przekonana, że syn wcale ich nie przesyłał... Stary Dag przywiózł jej kiedyś klejnoty: ciężki, złoty łańcuch i parę pierścionków. Powiedział, że to od syna, ale syn pewno zielonego pojęcia o tym nie miał. Syn i ojciec prawie nigdy ze sobą nie mówili. Przynajmniej podczas jej długiego pobytu w Björndal tak było. Nie wynikało to, broń Boże, z jakichś wrogich nastrojów, przeciwnie: bardzo się kochali, ale młody Dag był z natury bardzo milczący, a ojciec odnosił się do syna jakby z pewną nieśmiałością. To, co szło naprzeciw Adelajdy, było dla niej zagadką, jakby bez początku i końca, czymś bez kształtu i dźwięku, ale jednak istotnym, istniejącym, falą lęków i zwątpień.

A jeżeli Dag się rozmyślił? Jeśli jej nie pragnie, nie chce? Jeśli tej nocy uciekł do lasu, tak jak to uczynił ostatniego wieczoru ich pobytu w Björndal na Boże Narodzenie i wiele, wiele razy w lecie, i nie wróci – Boże, Boże! – do domu na jutrzejszą uroczystość, bo nie pragnie związku z nią?... Albo jeśli mu się coś stanie? Bo niebezpieczne są lasy björndalskie, pełno w nich niedźwiedzi, wilków i różnego innego dzikiego zwierza, pełno w okolicy skał niedostępnych i przepaści, i rwących wodospadów. A Dag taki jest nieuważny, tak nieostrożnie obchodzi się z naładowaną strzelbą... Tak łatwo o strzał nieprzewidziany...

Adelajda przemarznięta do szpiku kości wtuliła się z powrotem w wyziębioną pościel. Zimno było w mieszkaniu pastorstwa, zimno i nieprzytulnie, a na nizinach brak było lasów. Dla plebanii wyznaczono tylko mały kawałek lasu; muszą więc oszczędzać opał, niemal tak jak niezamożni ludzie w miastach. Palił się tu wprawdzie ogień w kominku, ale dawno już wygasł. Adelajda mimo woli znów pomyślała o dniach spędzonych podczas świąt Bożego Narodzenia w Björndal: na dworze trzaskający mróz, ale w pokojach cały dzień pali się w piecach, trzeszczą polana aż w uszach huczy; parobcy i dziewczki znoszą drzewo od wczesnego ranka w wielkich koszach. W panieńskim pokoiku, gdzie sypiała, leżało porąbane sosnowe drzewo, ułożone aż pod sufit. Można było palić i dokładać, ile tylko dusza pragnęła.

Ach, ten panieński pokój! Adelajda skurczyła się z zimna i głębiej wcisnęła się w poduszkę. A tam daleko stało takie wielkie, ciepłe łóżko! Przywędrowało ono z daleka, z końca świata do wytwornego domu kupca Holdera, a stamtąd poszło do Björndal wraz z córką jego, panną Dorotą, która aż do śmierci w nim sypiała. Dlatego pokoik ten miał nazwę panieńskiego, i dlatego wszystko w nim było takie wytworne i eleganckie. W szufladach i komodach pełno było kosztownych strojów i przedmiotów ze srebra. Nad łóżkiem wisiał krucyfiks z kości słoniowej, złota i srebra.

Ach, to ogromne łóżko panny Doroty było takie rozkoszne i przyjemne, i przestronne. Mogło zastąpić cały dom. Gdy na dworze szaleje burza, dobrze się w nim leży, tak w nim ciepło i bezpiecznie pod osłoną krucyfiks.

Jutro już tam znów będzie spać. Czy naprawdę? Nagle zrobiło jej się gorąco, pomimo zimnej pościeli. Już nigdy sama spać nie będzie. Jutro przecież będzie mężatką. Gdzie też będą jej i Daga pokoje?

Dag już od lat dziecięcych zamieszkiwał w oficynie, w dawnej izbie czeladnej; sam jeden ze swoimi sieciami, wędkami, psami i zbroją. Nie było tam okna, tylko wielki komin pośrodku. Był to najstarszy budynek Björndal. Nie było to chyba pomieszczenie dla pary małżeńskiej. W pokojach sypialnych w dawnym domu mieszkał ojciec Dag, który nie lubił zmieniać swoich zwyczajów. Tu był i tu chciał pozostać. Ale chyba ułoży się wszystko i dostaną jakieś pokoje w nowym budynku.

Ilekoć dotychczas myślała o pobycie w Björndal, zawsze radowała się, że spać będzie w tym przytulnym, zacisznym panieńskim pokoju; wszystko ją tam radowało i bawiło, najmniejszy drobiazg. Albo balkon z tego pokoju, na którym spędziła niejedną ranek i wieczór i z którego roztaczał się widok na całe osiedle, aż po Hamarrbö. Teraz dopiero uprzytomniła sobie, że ten zaciszny kątek już do niej należeć nie będzie. Ale czy nie mogliby tam we dwoje zamieszkać, ona i Dag? Nie, trudno sobie było wyobrazić potężną postać Daga pomiędzy falbankami i walansjenkami, które pozostały po pannie Dorocie. A psy? Pełno by było śladów ich łap na dywanie i na skórze z rysia przed łóżkiem, porzucone puszkami z nabojami po wszystkich kątach i topór pomiędzy flakonikami i pachnidłkami panny Doroty i różnymi srebrnymi przedmiotami na komodzie przykrytej subtelnie haftowaną serwetką. Nie, na to Dag by się nie zgodził i ona też nie.

Po raz pierwszy odczuła różnicę pomiędzy tym, co ona lubi, rzeczami subtelnymi, delikatnymi, wytwornymi, a upodobaniami Daga do wszystkiego, co jest proste, zwykłe i naturalne. Starła się jednak pocieszyć, przypominając sobie zaraz, jak interesująco wyglądał na balu w dzień Bożego Narodzenia w Borgland, jak mu dobrze było w śnieżnobiałej kryzje pod szyją i przy mankietach, z porządnie uczesnymi włosami i jaka godność biła od całej jego wysokiej, szlachetnej postaci. Ale na co dzień to był Dag taki jak wówczas, gdy go poznała: zaniedbany, w podartym ubraniu, przynoszący ze sobą z lasu zapach igliwia i dziczyzny. I takiego właśnie kochała, ale tamtego pięknie ubranego też, tylko w inny sposób. Nie będzie jednak czuł się dobrze tam, gdzie ona by chciała zamieszkać. Ale dlaczego to ona właściwie ma się do niego przystosować i tam zamieszkać, gdzie on pragnie?

Dla niej mieszkaniem z bajki był ten pokój paniński, tak jak go niegdyś panna Dorota, o duszy tkliwej i subtelnej, z takim wdziękiem urządziła. Dla niego ulubionym miejscem był półmrok oficyny wraz z kochanymi przedmiotami, niezbędnymi dla mieszkańca lasu, który się nie potrafi obejść bez swych legawców.

Teraz dopiero, tej ostatniej nocy uprzytomniła sobie istotną prawdę o różnicach w ich upodobaniach oraz intymność pożycia małżeńskiego. Odsuwała dotychczas od siebie te sprawy, nie chciała o nich myśleć, a jednak z takich spraw składa się życie. Była teraz sama ze swymi myślami, osaczały ją i cisnęły się wkoło niej wszystkie naraz w wilię dnia, w którym marzenia miały stać się rzeczywistością. Już nie będzie sama spać w tym wielkim, wygodnym łóżku. Przedtem serce jej było przepełnione radością, teraz gościły w nim inne uczucia. Adelajda Barre dotychczas przeważnie myślała tylko o sobie. Doszła tak do lat dwudziestu siedmiu i znalazła się nagle w wirze, który ją wciągał w coś nowego, w coś, czego sama pragnęła, ale wolałaby, aby to coś nie przychodziło tak szybko. Bieg spraw nie dawał czasu na przemyślenie ani przystosowanie się do nowej sytuacji.

Podczas tych wszystkich godzin, w ciągu których myślała o Dagu, każda inna myśl tłumiona była przez wzrastającą radość. Ma go poślubić, już, niedługo! Tyle już o nim myślała, ale wątek tych myśli wciąż się rwał – niewiele, za mało o Dagu wiedziała...

W tę ostatnią, bezsenną noc myśli jej wybiegały jakby na poszukiwanie punktu oparcia, prawdy w obronie jej własnego ja, z pewnego jakby lęku o przyszłość. Uprzytomniła sobie po raz setny chyba, że przez ten cały czas nawet dziesięciu zdań z nim nie zamieniła. A jutro ślub... Ma się z nim związać na dobre i złe, ma być jej towarzyszem, przewodnikiem w życiu i władcą... Nie zna go, nie wie nawet, gdzie będą mieszkać; dziwiło ją to i niepokoiło. Nic w ogóle nie wie. Długo jeszcze leżała przejęta lękiem, ale potem uprzytomniła sobie, że tyle kobiet przed nią było w tym samym położeniu. W ich mieście większość dziewcząt wychodziła za mąż, mając szesnaście lat, często nawet piętnaście. Wkraczały w życie, nie mając pojęcia o nim, nie znając prawie swego przyszłego męża. W jej wieku niektóre mają już po ósmioro, dziewięcioro dzieci. Są już prawie matronami, nie poznawszy życia. Ona natomiast dużo czytała i rozumiała; poza tym obracała się wśród ludzi i podświadomie przynajmniej wiedziała, co ją czeka. O, tak, bo ludzi nie poznaje się tylko na podstawie tego, co mówią; w jej wieku dużo można zrozumieć, otwierając szeroko oczy i uszy. Podczas pobytu w Björndal przyglądała się bacznie wszystkiemu i obserwowała Daga, a także zdołała poznać jego ojca, i choć nikt jej tego nie mówił, czuła w głębi duszy, że może spokojnie patrzeć w przyszłość.

Raz jedyny, po owym pierwszym spotkaniu w Björndal, prosiła Boga, ażeby pozwolił jej zostać żoną Daga, być mu towarzyszką w dobrych i złych dniach i żeby zesłał na nią karę, gdyby go zawiodła w czymkolwiek. A tymczasem dziś, gdy się marzenie spełnia, poddaje się jakimś zwątpieniom...

Łóżko wreszcie się rozgrzało i Adelajda z przyjemnością wyciągnęła się, poprawiła się na poduszkach, zamknęła oczy i dała się ukołysać radosnym marzeniom.

6

Wszystko odbyło się jak należy. Major Barre przyjechał po córkę na plebanię w powozie zaprzężonym w wielkiego ogiera, karosza. Powoził dozorca parobków, Syver Bakpaa. W kościele było tłoczno. Przybyło mnóstwo ludzi jak na wielkie święto. Pastor przemawiał bardzo poważnie, jasno. Słowa jego trafiały do serc obecnych. Głęboko wzruszony, pełen namaszczenia, udzielił błogosławieństwa ślubnego młodej parze. Wszystko odbyło się uroczyście, jak tego sobie ojciec Dag życzył, na ślub bowiem miało przybyć sporo gości z miasta i z okolicznych majątków, usposobionych krytycznie do chłopskiego ślubu.

Do Bjørndal sunął potem długi sznur pojazdów. Wszyscy dotarli na miejsce szczęśliwie. Po przybyciu dano gościom wódkę według starego wiejskiego zwyczaju i zimne mięsiwa. Ot tak, gdzie kto stał lub siedział, tam sobie podjadł. W świetnych humorach siedli wszyscy do uczyty weselnej w wielkiej sali; podczas jedzenia śpiewano, wznoszono toasty, trącano się kieliszkami, zupełnie tak jak to jest w zwyczaju w mieście. Wznoszono toasty na cześć młodej pary, na cześć króla, no i oczywiście za zdrowie gospodarza i wolnych chłopów norweskich. Stoły ugiwały się pod masą potraw, jak to zwykle w Bjørndal bywa przy każdej uroczystości. Wszystko szło wprost nad podziw składnie. Lało się wino, wódka, piwo, a dla każdego gościa było nakrycie z najpiękniejszego srebra. Dorodne, barwnie ubrane dziewczęta z dworu i osiedla usługiwały bardzo zręcznie, bezustannie wносиły jakieś potrawy. Ludzie z miasta byli zaskoczeni, olśnieni tym wytwornym przyjęciem w chłopskim domu: wymieniali między sobą znaczące spojrzenia. Oczywiście i radca Gabbe spojrzął przez szkła mętnym wzrokiem na żonę. Wiedziano, że tu w Bjørndal przez osiemdziesiąt lat kierowała wszystkim, co było poza codziennym życiem, pewna kobieta. Aż do sędziwego wieku pilnowała i przestrzegała dobrych obyczajów we dworze, kierowała kuchnią, szykowała święta, przyjęcia, dbała o to, ażeby potrawy były smacznie przyrządzane. Nazywała się Ane Hamarrbø i była spokrewniona z rodziną Bjørndalów. Jeszcze za życia Ane Hamarrbø, stary Dag Bjørndal pojął za żonę jedną z pierwszych panien w mieście, Teresę Holder, która postanowiła, że utrzyma obyczaje strzeżone przez Ane, wprowadzając niewiele tylko z nowoczesnych, przyjętych w mieście. Potem, jeszcze za życia Teresy, panna Kruse nauczyła się tego wszystkiego i przejęła zarząd gospodarstwem.

Goście wcale nie mieli czasu zastanawiać się nad tym, czy to wszystko tak się odbywa jak w mieście, gdyż byli zajęci kosztowaniem smakowitych potraw. Zjawiały się coraz to nowe produkty kniei, lasów, gór i wód, obór i pól björndalskich.

Wychylają poncz z wielkich pucharów. W bocznych pokojach starzy grają w karty. Z wielkiej sali dochodzą dźwięki muzyki. Tańczy młodzież i wszyscy nie nazbyt starzy i nie nazbyt w nogach słabi.

Ale są i tacy, którzy ani nie tańczą, ani też nie grają w karty – ci gromadzą się w dużej sali albo w przyległych salonikach, skąd można obserwować ruch gości. Tam pochylają się jedni ku drugim, krytykują wszystko, co widzą, i wszystko, co się w ciągu dnia działo.

Na uboczu, w kąciку siedziała ciotka Adelajdy, panna Eleonora. Miała na sobie suknię z ciężkiego jedwabnego adamaszku, suto ufałdowaną. Nie była to modna szata... Nie!... I suknia, i jej właścicielka pochodziły z dawno minionego okresu. Niegdyś suknia miała wielkie wycięcie, obecnie była zapięta pod samą szyję; baczne, złośliwie penetrujące oko dojrzałoby przeróbki powstałe z biegiem lat i w miarę starzenia się panny Eleonory.

Ciotka Eleonora była dzieckiem bardzo lekkomyślnej epoki. Ale była jednak córką anglikańskiego biskupa i cnotliwej jego żony, znanej z surowych zasad. Te zasady uczyniły z niej postrach otoczenia. Dlatego życie panny Eleonory inaczej się ułożyło niż życie dziewcząt z owego czasu. Podobno w młodości kochała, ale usłyszawszy coś o kawalerskich eskapadach swego narzeczonego, zerwała z nim i odsunęła się od życia. Czy w późniejszych latach tego żałowała? Nie dawała tego po sobie poznać, ale z wielkim zainteresowaniem w tej chwili śledziła Adelajdę i Daga. Adelajda podchwyciła spojrzenie, jakim ciotka obrzuciła jej wybranego, i nie zapomni go nigdy. Adelajdzie wydawało się, jak gdyby ciotka wczuła się, wmarzyła w jej rolę i wyobraziła sobie, że to ona jest narzeczoną Daga. Dziś dopiero spostrzegła podobieństwo, jakie zachodziło między nimi. Pochodziły bądź co bądź z tej samej rodziny. Dotąd była pewna, że ciotka już nie ma powiązań z życiem. Pod pozorną obojętnością może jednak szarpały ją nie zaspokojone uczucia, zawiedzione plany i nadzieje... Żal jej było ciotki, ale jednocześnie odczuła głęboką wdzięczność dla losu, że jej życie inaczej się układa. Ale że wszystko, co się z nami tu dzieje, ma głębsze znaczenie, więc i to, co podchwyciła, co skonstatowała, wydało jej się cenne i ważne. Dotychczas bowiem uważała, że powinna wszelkie ciepło i serdeczność hamować, opanowywać się. A przecież, nie, nie. Wolno jej się radować. Tak! Pałające spojrzenie ciotki! Ono to dodało jej odwagi i bodźca do porzucenia rezerwy w stosunku do Daga i stania się serdeczną, naturalną dla poślubionego wobec Boga i ludzi ukochanego męża.

Ciotka Eleonora siedziała sztywno wyprostowana w wysokim fotelu, suknia w ciężkich fałdach spływała wkoło niej na ziemię. Światło padające na jedwab wydobywało zeń krwawoczerwony połysk, reszta sukni spadała w czerń. W oczach jej igrały takie same światła. W cieniu rzęs wydawały się czarne, a w blasku świec – niebieskie. Gdy tylko wzrok jej napotkał Adelajdę i Daga, ożywiały się i mieniły blaskiem młodości.

Przybyła tu, ażeby poznać „tych ludzi” i stosunki, w których odtąd Adelajda ma żyć. Przybyła bardzo krytycznie usposobiona. Poprzedniego dnia była zła, że Adelajda została na tę noc na plebanii, nie porozumiewszy się z nią. Bacznie się wszystkiemu przyglądała, ale nie odniosła najmniejszego choćby ujemnego wrażenia. Musiała przyznać, że gospodarz bardzo godnie się zachowywał i zupełnie dobrze był ubrany; zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażała. Nie tylko ona jedna była tego zdania... To samo mówili goście weselni, którzy starego Daga dotąd nie znali. Wytrąciło ją to nieco z równowagi. Była też bardzo ciekawa pana młodego, ale nie pokazał się wcale poprzedniego wieczoru. Ludzie z Björndal – pomyślała – żyją według własnych kanonów życiowych.

Przybyła tu jako jedyna krewna Adelajdy ze strony matki, pragnąc jej służyć opieką, ale szybko się spostrzegła, że to jest zbędne. Przyjrzała się bowiem ojcu i synowi, gdy w odświętnych ubraniach szli do stołu. Doszła do wniosku (o ile to nie jest chwilowe wrażenie), iż może być dumna, że siostrzenica jej zawierzyła przyszłość swą tym ludziom. W końcu zupełnie była oczarowana rozmachem przyjęcia, zachwycona zabawami w tyłu pokojach, najwięcej jednak spokojnym, poprawnym sposobem bycia obu mężczyzn. Czuła się tak, jakby i ona miała coś wspólnego z tym wszystkim, jakby brała czynny udział w wielkim wydarzeniu życiowym.

Od dawna zżyła się z myślą, że rodzina dla niej jest czymś minionym, że już wszyscy najbliżsi odeszli. Tu najniespodziewaniej uprzytomniła sobie, że ci ludzie od teraz będą jej bliskimi, że rodzina jest, istnieje! Od tej chwili zaczęła spoglądać na wszystko innymi oczyma.

Teraz już pojęła Adelajdę, patrzyła na nią ze zrozumieniem, na Daga zaś nieomal z uwielbieniem, a na ojca Daga, od chwili gdy znalazła się pod wrażeniem jego spokojnej osobowości, z szacunkiem. Zauważyła kpiący uśmiech na jego ustach, gdy wznoszono patetyczny toast na cześć chłopów norweskich, i wyczuła w jego zachowaniu lekką pogardę, gdy goście z miasta, piastujący tamże urzędy, dawali do zrozumienia, że zrobili łaskę, przybywszy na chłopskie wesele. Była dumna z tych ludzi i ich bogactwa, tak jakby to jej było, dumna była niepomrotnie, że stary się tak okazale prezentuje i że młody ma taką wspaniałą postawę, że jest tak dobrze ubrany. Dopiero na nich uwydatniała się z całą wyrazistością napoleońska obcisła moda, a nie na chuderlawych miejskich postaciach. Ci wspaniali ludzie są od tej chwili jej krewnymi. Dotąd niewiele z nimi mogła obcować, ale na pewno będzie miała sposobność poznać ich bliżej. Jeśli ktoś podobał się pannie Ramer – starała mu się dobrze przyjrzeć i poznać go do głębi.

Siedziała teraz skromnie, tak jak przystoi samotnej niewieście, w dalszym ciągu wyprostowana, i bacznie obserwowała wszystko, co się dzieje na sali oraz w sąsiednich pokojach. Nastawiała uszu, ażeby usłyszeć, co ludzie mówią. Wara teraz komukolwiek z miasta kpić albo pogardzać. Drogo by kiedyś za to zapłacili. Panna Ramer była osobą ustosunkowaną i miała wpływy wśród ludzi. Znana była z uszczypliwości, potrafiła każdemu prosto w oczy powiedzieć, co o nim myśli.

Major Barre powiedział staremu Dagowi, że panna Ramer jest według niego najmniej pożądanym gościem na tym weselu. Niebezpieczna kobieta, plotkarka, ale trudno ją jednak było pominąć. Bjørndal niewiele wagi przywiązywał do słów majora, liczył się z tym, że panna Ramer jest jedyną żyjącą ciotką Adelajdy i w najbliższej przyszłości będzie należała do rodziny.

Już późniejszym wieczorem zamienił w przelocie parę słów z Adelajdą, z których wynikało, że jest ona bardzo przywiązana do tej ciotki. Z tego powodu ojciec Dag, przechadzając się wśród gości, wypatrywał panny Eleonory. Zobaczył ją z daleka. Siedziała jak nadęty paw, dumna niczym królowa; musiał się przemóc, ażeby zbliżyć się do kogoś, o kim słyszał, że niebezpiecznie jest się z nim zetknąć. Ale ojciec Dag niejednemu niebezpieczeństwu już w swym życiu spojrzął w oczy i, jak dotąd, nikogo i niczego się nie lękał. Od dziś będzie wesoło i gwarno wokół niego. Gdy syn się uda do lasu, pozostanie Adelajda i będzie w niej miał towarzyszkę, a jej ojcu, który tu z pewnością często przyjedzie, będzie również milej na stare lata. Pojawią się dzieci... Aż gorąco mu się robiło z radości, gdy sobie to uświadamiał. Jeszcze nigdy nie spoglądał w przyszłość z taką pogodą i radością jak dzisiaj. Podpił sobie nieco, jak zresztą całe towarzystwo, i był w świetnym humorze. Panna Ramer drgnęła, i to bardzo widocznie, gdy ujrzała idącego w jej stronę starego Daga. Bezwiednie zupełnie zaczęła się wachlować, gdy wziął sobie krzesło i usiadł obok niej. Potem opuściła wachlarz na kolana i zaczęła się bawić swymi ciężkimi, złotymi bransoletami, przesuwając je to w jedną, to w drugą stronę. Od chwili, gdy sobie uprzytomniła, że Dag staje się jej bliskim krewnym, po raz pierwszy nabrała odwagi, by przyjrzeć mu się z bliska. Odzyskała panowanie nad sobą i zaczęła go lustrować swymi przenikliwymi oczami; czyniła to ostrożnie, aby niczego nie spostrzegł. Nigdy w życiu nie widziała lepiej uplisowanego i bielszego żabotu. Nie brakowało również złotej pieczętki do laku przy łańcuszku od zegarka. Przeważnie mężczyźni nosili kilka brzękających breloków, ten bogacz nosił tylko jeden.

– Obserwujesz tańczących? – spytał ojciec Dag.

Panna Ramer przez chwilę była nieco zaskoczona tym niespodziewanym „tykaniem”, ale powiedział to jakoś naturalnie, a od dzisiaj jest to właściwie już na miejscu.

– Tak – odparła – przyglądam się i wesełą radością młodzieży. Cieszę się, że los pozwala Adelajdzie żyć wśród tak sympatycznych ludzi i w tak miłych warunkach.

Może trochę za wiele i za szczerze powiedziała, ale to jej się jednak dość często zdarzało.

Ojciec Dag podniósł jedną brew w górę i spojrzął na nią przelotnie. Czyżby to, co powiedziała, było szczerze, czy też myślała co innego? Jednakże w jasnych, przezroczystych oczach panny Eleonory nie widać było ani źdźbła fałszu czy obłudy. Zauważył w tej chwili, że jest wielkie podobieństwo pomiędzy Adelajdą a ciotką i szybko pomyślał, że synowa kiedyś po latach będzie tak samo wyglądała, będzie rządzić tu we dworze, kiedy on już od dawna będzie spoczywał w grobie. Przez chwilę spoglądał w melancholijnym zamyśleniu przed siebie, potem podniósł energicznym ruchem głowę. Nawet mu przez myśl nie przeszło – tak jak by to uczynili inni na jego miejscu – udawać zażenowanie lub skromnie zaprzeczyć uprzejmym słowom, aby usłyszeć jeszcze raz to samo. Udał po prostu, że ich nie zauważył, i powiedział:

– Przypuszczam, że sprawiłoby to przyjemność Adelajdzie, gdy byś tu na pewien czas pozostała, może tak przez Boże Narodzenie.

Nieraz już ją zapraszano, ale nigdy w ten sposób, ażeby od razu zaofiarować gościnę na dwa miesiące. Wiedziała dobrze, że ludzie obawiali się jej ostrego języka i nie pragnęli jej towarzystwa na dłuższy czas. Co powie na to nowa pani na Bjørndal? Z pewnym wahaniem odrzekła, że bardzo mu jest wdzięczna za zaproszenie, ale w mieście ma mieszkanie i służącą, że ze względu na Adelajdę może tu po weselu pozostać przez jakiś czas, ale żeby aż do Bożego Narodzenia... Tu przypomniała sobie, co major opowiadał w mieście o świętach, które spędził w Bjørndal, i spojrzała teraz ojcu Dagowi prosto w twarz.

– Boże Narodzenie u was? Słyszałam, jak pięknie tu spędzili święta major z Adelajdą. Jeśli jednak pan na serio... jeśli to jest twoim życzeniem... to przyjadę na Boże Narodzenie.

Ojciec Dag jak zwykle naprzód pomilczał przez chwilę, potem odrzekł, że chyba sama wie, czego chce i jak ma postąpić, a co do niego, to mówi zawsze to, co myśli, i na serio.

A więc ten człowiek nie lubi, aby jego słowa rozumiane były jako zdawkowe formuły grzecznościowe. O mały włos nie wyszła ze swej zwykłej rezerwy, chcąc mu położyć dłoń na ramieniu, ale zamiast dokończyć gestu, wypuściła tylko wachlarz z ręki.

– Wiem, że pan, że... ty to szczerze myślisz... W mieście jesteśmy przyzwyczajeni do fałszu i obłudy na każdym kroku. Jeśli Adelajda będzie sobie tego życzyła, pozostaną teraz przez parę dni, a bardzo będę rada, jeśli mi będzie wolno przyjechać na święta.

Ojciec znów jej się przyjrzał, ale po raz drugi skonstatował, że wygląda na osobę szczerą, a to, co major o niej opowiadał, było mi pewno następstwem jego własnych grzeszków. Bo stary Dag dobrze orientował w słabych stronach majora.

Panna Ramer i gospodarz na Björndal siedzieli sobie we dwójkę na uboczu, przypatrując się sobie ukradkiem. Wokół nich kipiało życie, słychać było gwar i strojenie instrumentów w wielkiej sali. Ojciec Dag przyglądał się jej staromodnej sukni i wdychał dyskretny zapach jej perfum. Przyszły mu na myśl dawne czasy. Przypomniała mu się zmarła żona, kobieta o wspaniałej postaci i jej subtelna, delikatna siostra, panna Dorota. Obie stanęły mu jak żywe w pamięci. Gdy zabrzmiała jakaś stara melodia, taniec, który znał, podniósł się nagle i skłonił przed panną Eleonorą. Wylękniona i przerażona zapewniała go, że już tak dawno nie tańczyła; jakby wcale nie słyszał – uśmiechnął się tylko. Wszyscy goście szeroko pootwierali oczy, gdy zobaczyli pannę Ramer w staroświeckiej sukni wchodzącą do wielkiej sali pod rękę z gospodarzem. Podnosili się od stolików, od wódek, od kart, stawali w drzwiach i patrzyli, gapili się na ten widok niezwykle.

Ojciec Dag doszedłszy do wniosku, że z tańcem nie najgorzej idzie, zaprosił potem do tańca synową. Było to zupełnie naturalne i przyjęte na tego rodzaju weselach. Długo potem opowiadano sobie w mieście, jaki to był śliczny obraz: Adelajda tańcząca na swym weselu w wielkiej sali w Björndal z ojcem Dagiem.

Bo stary, tak jak i inni, był oczarowany tym wszystkim, co się wokół niego działo, i dał się porwać weselnemu nastrojowi. Piękna uroczystość, świetne wino, muzyka działały na niego upajająco. Tańczył wyprostowany, oczy mu błyszczały, w ciepłe włosy mu się na głowie sfalowały. Słowem, tak wspaniale wyglądał, że trudno było go poznać.

7

Już zapadała noc, a szczodra gościnność gospodarzy nie wyczerpała się jeszcze. Obok kuchni, za bocznymi pokojami, znajdowała się komnata, która przez cały wieczór była zamknięta. Gdy już było zupełnie ciemno, panna Kruse otworzyła drzwi prowadzące do tego pokoju i poprosiła gości, ażeby weszli. Stał tam pośrodku nakryty stół, jak to zazwyczaj bywa tylko na Boże Narodzenie w Björndal Ugiął się wprost pod masą najwymyślniejszych potraw.

I to w czasie, kiedy wojna, brak żywności w kraju i bieda daje się we znaki nawet w zamożniejszych domach. Zrobił się wielki ruch wkoło dużego stołu, bo każdy miał sobie sam usłużyć.

Zapanował gwar, wszyscy razem wesoło i głośno mówili, rozruszali się nawet ci, którzy dotychczas zachowali chłód i pewną ceremonialność. Był to prawdopodobnie również i wpływ wódek i piwa, które bezustannie roznoszono. Potworzyły się grupy i grupki, porozsiadały przy stolikach w różnych pokojach; wiwatowano, przemawiano na wszystkie strony. Opowiadano potem, że agent Rader siedział samotnie w niebieskim gabinecie i sam do siebie głośno przemawiał.

Żółty gabinet w Bjørndal był tak urządzony jak pokój Teresy Holder w mieszkaniu ojca w mieście za jej panińskich czasów. Stamtąd pochodziły białe rokokowe meble ze złoceniami. Ściany były obciągnięte żółtym adamaszkiem. W tym to pokoju siedziały najwytworniejsze damy z wyjątkiem tych, które poszły na... inspekcję innych pokoi, pragnąc przy sposobności rzucić okiem na swych mężów lub obejrzeć coś, co by im potem służyło za temat do rozmowy i kpin. Te, które siedziały, grały w karty dla pozorów. Była to ulubiona gra – *l'hombre*; ale nade wszystko, głowa przy głowie, nie przestawały ani na chwilę szeptać, chichotać... Obmawiano tu manieri ojca Daga i narzeczonego. Oczywiście nie darowały i Adelajdzie. Głównym tematem była jej ślubna suknia. Uważały, że jest za kosztowna dla panny pochodzącej z tak biednego domu, poza tym, że jest niemodna, bo właściwie zrobiona ani to według dawniejszej mody, ani obecnej. No tak, naturalnie, to gust Adelajdy, która zawsze lubiła nosić coś innego niż wszystkie kobiety. I suknia była niebieska, nie biała. Najgorsze zaś było to, że Adelajda nie skorzystała z przywilejów obcej mody, która każe nosić suknie zapięte pod szyję.

Wobec tego, że muzyka bardzo głośno grała i gwar był wielki naokoło, pozwalały sobie krytykować dość głośno suknię Adelajdy i jej zachowanie tego wieczoru, a mianowicie, że nie znać po niej miłości do męża, bo bezustannie, przez cały wieczór, tańczy z innymi, a po kolacji nawet się nie starała być w pobliżu niego. W zapale obmawiania i niekonsekwencji doszły do tego, że żałowały młodego Daga, iż dostał Adelajdę Barre za żonę. Pewnie dlatego taki jest zamyślony i poważny, Ani razu się nie uśmiechnął – i pewnie miał ku temu powody.

Wziąwszy rozpuć w oczernianiu Adelajdy, stwierdziły, że Dag stanowi za dobrą partię dla niej. Wychwalały jego dystyngowany wygląd, jego zachowanie pełne umiaru i powagi. A zapomniały zupełnie o swych poprzednich zarzutach. W tej chwili uważały, że jest nawet przystojniejszy i bardziej postawny niż ona. A to bogactwo jego... Że też ta Adelajda pomimo wszystko zachowuje tę pewność siebie.

Nagle jedna z uczestniczek rozmowy chrząknęła. Wszystkie drgnęły, obejrzały się i zamilkły. Z bocznego bowiem pokoju weszła nagle panna Ramer. Z podniesioną wysoko głową przeszła przez pokój, szumiąc jedwabnymi halkami, z zagadkowym uśmiechem na ustach. Szła wolno, majestatycznym krokiem.

Zaskoczone tym, spoglądały przez dłuższą chwilę w ślad za nią. Jedna patrzyła bezradnie na drugą, po chwili któraś powiedziała coś po francusku i gawęda rozpoczęła się na nowo. Zaczęły mówić o wścibstwie i zarozumiałstwie panny Ramer, ojej śmiesznej, niemodnej sukni, o tym, że chodzi po tych salonach tak, jakby była współwłaścicielką tutejszych bogactw.

Mówiły o tym oczywiście uszczypliwie, szpikując powiedzonka francuskimi wyrazami. Wybiegały z ich ust gładkie jak jedwabny adamaszek, którym obite były ściany pokoju. Jadowitość ich pasowała również do żółtego koloru tych obić.

Suknia Adelajdy powstała rzeczywiście w osobliwy sposób. Stary Dag, przeczytawszy listę gości podaną przez majora, pełną nazwisk ludzi ze sfer wyższych, zatroskał się (jak zresztą o wszystko inne) o jej ślubną suknię. Dawno się już zorientował w nieświeżych warunkach życiowych swego przyszłego powinowatego i oświadczył krótko i węzłowato, że jako drugi jej ojciec ma prawo zatroszczyć się o przyzwoitą ślubną suknię. Zlecił więc majorowi, ażeby dostarczył krawcowi jedną z sukien Adelajdy i obstalował bez jej wiedzy ślubną toaletę, godną tak znamienitych gości. Pragnął, ażeby była uszyta z najdroższego jedwabiu, z przybraniami według gustu krawca.

Modne wówczas lekkie, skromne sukienki szyte były w domu, jeśli jednak miało to być coś eleganckiego, brano do pomocy szwaczkę. Damscy krawcy nie istnieli. Ale o tym nie wiedzieli ani major, ani ojciec Dag. Major powędrował więc do starego znajomego krawca. I tak powstała według pomysłu trzech starych mężczyzn, którzy czynili to bez wiedzy Adelajdy, owa głęboko wycięta suknia z jasnoniebieskiego, zbyt jednak ciężkiego jedwabiu, z obcisłym stanikiem i szerokimi ciemnoniebieskimi haftowanymi szlakami. Haft ten był wykonany z kremowego jedwabiu i przetykany złotą nitką. Do tego był szal z tego samego jedwabiu, co suknia, miał podobne szlaki. Dół sukni opadał luźno, według mody greckiej, ale do tego fasonu znów stan był za wysoki i dekolt za wielki, jedwab za ciężki. Adelajda przy pierwszej przymiarce aż płakała, ale zażenowany major twierdził na swe usprawiedliwienie, że to ojciec Dag obrał taki fason. Nie bardzo w to wierzyła, ale swoją drogą musiała podziwiać mistrzowski krój sukni. Po paru przymiarkach leżała jak ułat, toteż Adelajda pogodziła się z myślą, że będzie musiała w niej paradować. Powiedziała sobie, że krawiec na pewno lepiej wie od szwaczek i kumoszek, co się nosi w wielkim świecie. Skonstatowała również, że przy ciemnoblond włosach i niebieskich oczach jest jej w tej sukni do twarzy.

Panna Ramer widocznie podchwyciła coś z gadaniny tych pań w żółtym pokoju, bo zatrzymała się zamyślona w drzwiach prowadzących do wielkiej sali. Następnie ujrzawszy Adelajdę podnieconą i zgrzaną po jakimś tańcu, podeszła do niej z osobliwym uśmiechem na ustach i pociągnęła ją na sofę w kąciuku.

– Ten twój teść jest człowiekiem niezwykłym – zaczęła ciotka Eleonora. Adelajda spojrzała na nią pytająco.

– Wyobraź sobie, że mnie odszukał i długo ze mną rozmawiał; pewnie widziałas, jak ze mną tańczył?

– Tak – odparła siostrzenica – powinnaś była sama zauważyć, jakie zrobiliście wrażenie.

– Hm – chrząknęła panna Ramer, maskując zażenowanie, i uniosła wachlarz. – Patrz, porzucił obowiązki gospodarza, ażeby tańczyć ze mną i z tobą. Tylko z nami dwiema. Bardzo dystyngowany człowiek.

Opowiedziała też Adelajdzie o zaproszeniu, które otrzymała, i o tym, że przyrzekła zostać teraz parę dni, a wrócić potem na święta Bożego Narodzenia.

Adelajda w pierwszej chwili zastanowiła się, ale zaraz potem uprzytomniła sobie, że będzie jej przyjemnie, gdy będzie mogła pokazać jej całe to bogactwo i staroświeckie pokoje w dawnym domu. Uśmiechnęła się więc serdecznie do ciotki i zapewniła, że będzie jej bardzo miło, jeśli pozostanie tu teraz, i to jak najdłużej.

Ciotka wyczuła szczerość w jej słowach, sprawiło ją to w prawdziwy zachwyty... Adelajda nic nie ma przeciwko temu, ażeby ona tu pozostała, a więc wybaczyła jej to, że się nią przez ostatnie siedem lat wcale nie interesowała. Panna Ramer czuła się w tej chwili tak szczęśliwa, jak szczęśliwym czuje się człowiek, który odzyskał przyjaciela.

Przyglądała się przez chwilę fascynującej, pięknej pannie młodej, jej niebieskie oczy zajaśniały znowu blaskiem, na ustach pojawił się ten sam zagadkowy uśmiech.

– Czy ci zimno? – spytała.

– Ależ nie, ciociu – odparła zdziwiona pytaniem Adelajda.

– Bo tak się tym szalem otulasz. Tu jest tak gorąco. Mogłabyś go śmiało złożyć i zawiesić na rękę.

Adelajda opuściła głowę. Wachlowała się.

– Poza tym powinnaś od czasu do czasu pokazać się przy boku męża. Oblubienica powinna się nieco interesować swym świeżo poślubionym małżonkiem... A do tego takim człowiekiem! Rozumiem teraz, żeś go mogła pokochać.

Adelajda jeszcze niżej opuściła głowę i poczęła jeszcze intensywniej się wachlować. Nic nie odrzekła. Panna Ramer przez chwilę przyglądała się jej badawczo, potem uderzyła ją lekko wachlarzem w ramię i podnosząc się z kanapy, powiedziała parę słów po francusku. Można to było mniej więcej zrozumieć: „Duże, szczęśliwe dziecko!” Adelajda, spojrzawszy na ciotkę, spostrzegła łzy w oczach starej, surowej panny.

Adelajda przez kilka chwil pozostała w zamyśleniu. Potem wstała i z wolna, już nie otulając się tak szalem, przeszła przez pokoje, odmawiając po drodze zaproszeniom do tańca i tłumacząc się, że jest zbyt zmęczona. W końcu znalazła Daga. Rozmawiał z pułkownikiem Baltem, przyjacielem jej ojca, zapalonym myśliwym.

Usiadła obok Daga, po raz pierwszy słyszała go rozmawiającego z kimś innym. Nie zwracała uwagi na to, co mówią. Czuła się bardzo szczęśliwa, że jest przy nim. Ludzie wchodzili, wychodzili, muzyka grała, zewsząd dochodził gwar i śmiech... Gdzieś ktoś nucił melodię graną w tej chwili na sali.

– Ale – powiedział w końcu pułkownik – na pewno chcecie potańczyć.

Wstali wszyscy troje. Adelajda zsunęła szal z ramion i zawiesiła go sobie na rękę, tak jak jej to poradziła ciotka Eleonora. Balt zmierzył ją wzrokiem. Po jego surowej twarzy przebiegł uśmiech i powiedział:

Adelajdo, pierwszorzędnego myśliwego dostałaś za męża, ale i z ciebie wspaniała łowczyni.

Adelajda i Dag, zmierzając do sali tanecznej, zboczyli nieco i przeszli przez żółty gabinet. Lewe ramię Adelajdy spoczywało na ramieniu Daga, a ręka lekko poruszała wachlarzem, chłodząc nim rozpaloną twarz. Prawa ręka spuszczonej w dół bawiła się końcem szala, który włókł się po ziemi. Uprzejmie skinęła głową paniom, które siedziały w żółtym pokoju. Blask świec i żółte obicia rzucały złotawy refleks na niebieski jedwab sukni i nadawały ramionom Adelajdy i złocistym haftom na falbanach wytworny odcień kości słoniowej pokrytej patyną.

Radca sądowy Gabbe, który tu na chwilę wszedł, przypatrywał się zachwycony przez *lorgnon* jej przepięknej postaci. Gdy znikła, zwrócił się do żony, zachłystując się z podziwu i zachwytu:

– Czyś widziała kiedyś coś podobnego?

– Nie – odparła kwaśno – czegoś podobnego nie widziałam.

– Uważam, że ta toaleta jest prawie tak piękna jak twoja suknia, którą nosiłaś w początkach tego stulecia. – Zaskoczony śmiertelną ciszą, jaka nastąpiła po tych słowach, rozejrzał się wokół pytając: „No?” Te panie siedzą przez cały wieczór i prowadzą „budujące” gadaniny na temat sukni Adelajdy, a teraz radczyni otrzymuje zasłużoną lekcję za próżność, którą zachowała do czasów nie tak dawnych jeszcze.

8

Po przetańczeniu Dag i Adelajda natknęli się na ojca Daga. Przepił do wszystkich gości na wszystkie strony, każdemu coś miłego powiedział, jak to przystało gospodarzowi. Spotkał się z nimi niby przypadkiem. W twarzy jego jeszcze widać było rozradowanie.

– A może byśmy się tak w trójkę przeszli? Całkiem niedaleko, ot, parę kroków... – Zawrócił i szedł przodem przez pokoje w kierunku drzwi wejściowych, aż na schody. Adelajda poczuła chłód, zarzuciła więc z powrotem szal na ramiona. Szła zaciekawiona. Dokąd ich prowadzi? Na podwórzec?

Paliło się tu parę latarń. Poza tym z okien padało trochę światła, ale już dalej podwórzec tonął w ciemnościach. Niby widma majaczyły w słabym, czerwonym blasku trzy pnie starego dębu. Jeszcze dochodziły do nich grzmiące tony muzyki z nowego budynku, ale już zza dębu słyhać było dźwięk innej kapeli. Zeszli ze schodów i znaleźli się na deskach rzuconych na kałużę jesiennego błota.

W końcu umilkły dźwięki wesela, za to coraz bardziej przybliżali się do tajemniczego światła, skąd dolatywała zagadkowa muzyka... Adelajda nasłuchiwała zaciekawiona. Nigdy chyba nie zgłębi czarodziejskich tajemnic tego wielkiego podwórza! Wciąż coś nowego, nieoczekiwanego. Słyhać było równomierny, głuchy tupot oraz zupełnie wyraźne okrzyki: – Juchhe, juchhe! – Muzyka ta była inna niż wszystko to, co znała. Grała przecież na paru instrumentach, sama śpiewała na różnych uroczystościach i weselach, wmawiała sobie, że zna wszelkie rodzaje muzyki, ale ta jest zupełnie inna, nowa, obca.

Przecież to dzień jej wesela i – jej noc poślubna. Zanim doszła do tej chwili, przeżyła dużo bezgranicznych smutków i wielkich radości. Może dlatego ta nowa melodia wywiera takie silne wrażenie na niej. Szła jakby naprzeciw wabiącej bajki, mając przed sobą starego Daga, a za sobą młodego. Ciągłe te same takty wybijały melodie taneczne, skandowane wesołymi okrzykami. W ogólną harmonię wplatał się jakiś ciepły i złocisty ton wyrażający nieugaszoną tęsknotę serc. Monotonne i naiwne dźwięki wzruszały jak natrętne gruchanie gołębia – były jakby potrzebą życia, które dąży wzwyż i pnie się ku nieosiągalnej pełni. W tych starych melodiach drgało tysiące nie wypowiedzianych słów i myśli, które drzemią na dnie ludzkiego serca. I tylko ciągle od nowa powtarzane takty i rytmy przechowują tajemnicę owych nieśmiertelnych pragnień ludzkich za czymś, czego nikt jeszcze uchwycić nie zdołał.

Światło zza małych, zamglonych szybek stało się wyraźniejsze, ale było wciąż jakies mdłe. W duszy Adelajdy łączyło się ono z gorącym, złotym tonem melodii w jedno, jakby jej słuch i wzrok tworzyły tylko jeden zmysł o podwójnej sile reagowania na otoczenie.

Ojciec Dag zastukał. Drzwi zaskrzypiały, światło buchnęło z izby na dwór. Adelajda z Dagiem weszli jakby w jakiś inny świat. Drzwi z hukiem zamknęły się za nimi. Widocznie ojciec Dag uprzedził przez pannę Kruse, że przyjdą późnym wieczorem do izby czeladnej, bo nikt z tych ludzi nie był pojawieniem się ich zaskoczony. Tańczono dalej, tylko z jeszcze większym rozmachem wybijano hołubce, spódnice dziewcząt fruwały w powietrzu, chłopcy, krzycząc na całe gardło: – Jahu! i haj! – podnosili dziewczęta w górę, a w głębi izby, z kąta zawodził, nęcił i drażnił ów słyszany z daleka dominujący dźwięk o przeplatających się tonach: to złotych i gorących, to przenikliwych i ostrych, który nieustannie pobudzał tancerzy.

Jeden z chłopaków wyłonił się z półmroku i podszedł do ojca Daga. Poszeptali chwilę i chłopiec znów znikł w cieniu. Tańce szły dalej, a skrzypce wabiły coraz natarczywiej. Adelajda poddawała się w dalszym ciągu urokowi tej muzyki, wczuwając się wszystkimi zmysłami w melodię, która stawiała się jakby uzmysłowieniem tego dnia – jedyne, wielkiego dnia w jej życiu. Coraz to większy szal ogarniał tańczących i muzykantów, taniec stał się dziki, szalony, doszedł aż do ostatniej granicy napięcia zmysłów. W końcu zamienił się w jakieś opętanie, ażeby potem nagle, niespodziewanie stanąć w bezruchu.

Tańczący przepadli gdzieś w półmroku kątów. Smyczek zakończył swą grę rozdzierającą skargą po strunach. Cisza zaległa, jakby ktoś nagle urzekł rozszalałe dźwięki, ale w uszach Adelajdy melodia i gwar brzmiały nadal. Melodia skrzypiec zawisała jakby w powietrzu i żyła nieprzerwanym, samoistnym życiem – bez instrumentu, bez grajka – żyła, drgała w ciężkim powietrzu czeladnej izby, wieczna, wszechobecna, nieśmiertelna...

Z półcienia wyłoniła się dziewczyna z trzema szklankami na tacy. Każdy z dostojnych gości wziął jedną. Z ciemności, gdzie poznikały roztańczone pary, słychać było stuk kieliszków i szklanek. Lecz oto smolaki pod kominem zatrzeszczały i ogień zaczął się na nowo palić. Buchnęły jasne płomienie i w ich świetle można było rozpoznać twarze służby. Było ich dużo: starzy o tępych spojrzeniach i młodzi o odważnych, śmiałych oczach. Obaj Dagowie, stary i młody, stanęli za Adelajdą. Akurat buchnął silniejszy płomień i młoda kobieta stanęła nagle cała w jasnym świetle.

– Pijemy za zdrowie oblubienicy! – rzekł ojciec Dag. Słychać było wychylenie kieliszków. Bez słowa. Znów zjawiała się ta sama dziewczyna z tacą i zabrała szklanki. Adelajda teraz zauważyła, że wciąż stoi w świetle. Cofnęła się. Młody Dag otworzył drzwi, ojciec poszedł za nim i rzucił przestrożę przez ramię w stronę czeladnej:

– Nie baraszkuje zbyt! – Ale głos brzmiał nie bardzo surowo. Ojciec Dag skręcił w bok i wszedł na deski krytego ganku, który prowadził do starego domu. Zaciekawieni Adelajda i Dag poszli za nim. Po ceremonii kościelnej skierowano Adelajdę w celu poprawienia fryzury i sukni do jednego z pokoi w nowym budynku, była więc pewna, że to będzie ich przyszłe mieszkanie.

Teraz po raz pierwszy od dłuższego czasu wstępuje na stare, kochane schody, na które tylekroć wchodziła podczas swego długiego pobytu w lecie oraz w święta Bożego Narodzenia, radosna czy stroskana. Stary otworzył ciężkie drzwi. Zgrzytnęły zardzewiałe zawiasy; po chwili byli już w starej komnacie na dole. W kominku był ogień, jeszcze tlił się i dawał tyle światła, że po ciemnościach na podwórzu można się było po komnacie rozejrzeć. Ojciec Dag wszedł na schody, które trzeszczały pod jego stopami. Młodzi w milczeniu szli za nim. Gdy weszli na piętro, stary skierował się prosto do „panieńskiego pokoju”. Otworzył drzwi, wewnątrz było ciemno. Wyjął krzesiwo z kieszeni... A więc przygotował sobie tę chwilę! Jakoś nie wiodło mu się z krzesaniem, ale w świetle pojedynczych iskier zauważyła, że wszystko stoi na dawnym miejscu. Tak jak było w czasie jej pobytu w lecie i na Boże Narodzenie. W końcu udało mu się ogień wykrzesać i zapalić świecę na komodzie. Następnie z całą ostrożnością zbliżył się do pieca, otworzył drzwiczki, gdzie się jeszcze tlił ogień, poruszył wewnątrz drzewo brzoźowe i łatwopalną korę. Wskazał młodym miejsce pomiędzy piecem a łóżkiem.

– Kazałem zrobić nowe drzwiczki – pochwalił się. Wyjął z pieca rozpaloną głownię i poprowadził ich na prawo. Szli za nim po omacku. Po chwili i z tamtej strony zapłonął ogień w piecu.

Zobaczyli, że strych był przebudowany na duży pokój. Sufit opadał skośnie na południową stronę, tak jak w panieńskim pokoju, tylko że tu wybito jeszcze z jednej strony niskie okno. W kącie był murowany kominek, przypominający tamten na dole. Palił się tu wesoły ogień. Przed kominkiem stały dwa stare krzesła o wysokich oparciach i poręczach, roboty Jørna Mangfoldiga, prócz tego stół składany. W kącie pod okapem stało staromodne łóżko, podobne do łóżka Daga w starej izbie czeladnej, tylko dłuższe i szersze, proste, z paroma prymitywnymi rzeźbami. Pościel na nim była śnieżnobiała. W zagłębieniu stała wielka szafa, a za łóżkiem ciężka skrzynia i komoda z lustrem. W ściany były powbijane wieszadła z drzewa bukowego. Podłoga była czysto wyszorowana, przed łóżkiem leżał dywanik zszyty z kawałków materii.

Ojciec Dag rozglądał się badawczo po pokoju. Odwrócony do nich plecami rzekł cichym, nieco drżącym głosem:

– Na dobrą sprawę powinienem był się wyprowadzić z sypialni lam na dole, ale nie byłem w stanie się na to zdobyć. I tak kiedyś wyprowadzę się na cmentarz, do tego czasu jednak pragnąłbym tam spędzać noce. Teraz ty, Adelajdo, jako pani we dworze, musisz zdecydować, czy będziecie mieszkali w nowym budynku, czy też wolicie to pomieszczenie? Twój pokój jest w takim stanie, w jakim go pozostawiłaś, a ten przerobiliśmy dla Daga. Wiem, że on się czuje najlepiej w swojej starej kuchni, ale i tu będzie miał swobodę, gdyż ma dość pomieszczenia na fuzje i strzelby, i ma komin, może sobie palić, kiedy chce, gdy wróci z lasu.

Ojciec Dag odwrócił się do komina i patrzył w ogień. Gdzieś zatrzeszczała belka, jak zwykle w starych budynkach w czasie wiatru, gdy zanoszą się na zmianę pogody. Płomienie żwawo, wesoło wiły się w kierunku wylotu. Poza tym panowała w pokoju cisza.

– Tak, musicie mnie, staremu, wybaczyć, jeśli nie wszystko jest tak, jak by być powinno... – Po tych słowach ojciec odwrócił się do nich. Adelajda stała w drzwiach, a jej mąż za nią.

– Poza tym – ciągnął dalej poważnym, mocnym głosem – pamiętajcie zwracać się do Pana Boga, jakkolwiek by się wam działo, jak długo żyć będziecie, a i potem także. To jest najpewniejsza ochrona i obrona.

Wyczuwało się, że z trudem mu przyszło wypowiedzenie tych słów.

Gdy ojciec zabierał się do odejścia, syn milczkiem wysunął się do sieni. Adelajda ze zmęczenia nie była w stanie się ruszyć. Gdy ją mijał, zsunął się jej jedwabny szal z ramion i jak wąż spłynął na ziemię; zarzuciła więc obnażone ramiona staremu na szyję, a z oczu trysnęły niepohamowane łzy wzruszenia. Smutno jej było, gdy ją wprowadzono do nowego domu, bo myślała, że tu im mieszkać przyjdzie. Mury i belki trzeszczały w nim bezdźwięcznie i sucho, w powietrzu unosił się zapach politurowanych mebli, wyblakłych obić, tapet i werniksu. A ona przecież tak się cieszyła na mieszkanie w starym domostwie, na trzeszczenie przemiłe starych desek, na zapach palącego się drzewa pod kominem, na dym idący od niego, na ciepło bijące od szorowanych, drewnianych mebli. Radością jej też miało być to, że mieszkało tu przed nią już tyle ludzi. Zapłakiwała się na samą myśl, że nie będzie jej nigdy sądzonym spać w panińskiej komorze, gdzie są te przemiłe, dobrze znane rzeczy. A tymczasem ojciec Dag urządził wszystko tak, jak to było jej najgorętszym, najgłębszym życzeniem, i usprawiedliwia się jeszcze, że jest tak, a nie inaczej, nie lepiej.

9

Gors koszuli ojca Daga był nieco wilgotny i przez to już nie tak nienagannie ułożony w fałdki, gdy wracał po tej eskapadzie przez gabinety do wielkiej sali. Szedł tak samo wyprostowany. Pierś była szeroka jak przedtem, może trochę więcej wypięta. Wprawdzie syn ani słowem się nie odezwał, również i Adelajda nie mogła z siebie wiele wydobyć, ale dała mu do zrozumienia, że wszystko, co zarządził, było tak bardzo po jej myśli. Więc będzie tak, jak on tego gorąco pragnął: młoda para zamieszka z nim pod jednym dachem, wszyscy będą blisko siebie.

A w sali muzyka grzmiała, tańczono z zapalem. Słysząc było z co ciemniejszych kątów gruchanie parok i chichoty, z przyległych gabinetów dochodził gwar głosów i śpiewy. Nawet w wielkim jadalnym pokoju było rojno, byli tacy, którzy od nowa zaczynali jeść. Zabawa trwała, jakby nigdy się nie miała skończyć.

Dla Adelajdy czas ten od rana do nocy nie był jakby jednym dniem, ale szeregiem wielu różnych; tyle przeżyć i napięcia, nastrojów uroczystych, nawet niepokoju. Toteż pragnęła już teraz ciszy i wypoczynku. Ojciec Dag nie zgasił świecy w panińskim pokoju, na pewno jeszcze się nie wypaliła. Pod kominem żarzy się jeszcze ogień, drzwi do pokoju Daga są otwarte... Tam się już na pewno rozpałił ten wielki kawał drzewa. Tańcząc, myślała o tym cały czas. W końcu tylko to ją absorbowało. Odszukała ojca Daga. Szepnęła mu na ucho, że już teraz pójdzie do siebie, powiedziała „dobranoc” i podziękowała za wszystko. Ojciec Dag naprzód się zastanawiał, czy to wypada, potem skinął głową na znak, że się zgadza, i sięgnął do kieszonki w kamizelce. Wyjął mały kluczyk i wręczył go Adelajdzie.

– Podczas twego ostatniego pobytu u nas w Björndal skrzynie i sekretarzyk w pokoju panińskim były zamknięte na klucz. Obecnie wszystko, co tam jest, należy do ciebie. Kluczyki od skrzyń leżą w jednej z szuflad sekretarzyka. Nie mnie należy się podzięką za to, dziedziczysz to po Dorocie Holder. Do niej to wybiegnij myślą. Zobaczysz, co to była za wspaniała kobieta, gdy zaznajomisz się z jej rzeczami. Znajdziesz tam również futro, na które Dag skórę po skórcie upolował. Nie wiedział, że ostatnią noc spędzisz na plebanii, dlatego nie miałś go dzisiaj w drodze do kościoła, tak jak on tego pragnął. Adelajda podała rękę staremu Dagowi, a ten uściśnął ją mocniej niż zazwyczaj. Potem przeszła przez salę, ażeby odnaleźć ciotkę i powiedzieć jej „dobranoc”, a jeśli się uda, to i własnemu ojcu, o ile nie jest w zbyt „wesołym” nastroju.

Ojciec Dag śledził wzrokiem oddalającą się wspaniałą postać synowej, dopóki mu z oczu nie zniknęła. Następnie przesunął wzrokiem po wszystkich obecnych. W oczach jego malował się wyraz tryumfu. Od najmłodszych lat aż po ten dzień silnie odczuwał lekceważenie, a może nawet pogardę, jaką mieli ludzie z szerokiego świata dla niego i jego rodziny jako dla „ludzi z lasu”. Pomimo bogactwa nie mógł się tego wrażenia pozbyć, stale go to prześladowało. Nawet dziś wieczór podczas toastów i mów zauważył zwroty, które go gniewały. Dotknęły go też niektóre nieopatrzone powiedzonka rozmówców. Ten i ów traktował go z pewną pobłażliwością. Tego, co niegdyś opowiadała Ane Hamarrbø, że protoplasta jego wywodził się z królewskiego rodu, nie brano pod uwagę i on sam nigdy się nad tym nie zastanawiał. Uważał, że wystarczy, iż przodkowie jego potrafili wykarczować dziki las i stworzyć bogaty dwór i osiedle, że wystarczy to, czym są dzisiaj, i że w ten sposób może się z każdym zmierzyć. A Adelajda? Po kądzieli pochodzi z rodu na pewno bardziej znamienitego niż ci wszyscy goście. Ojciec jej też podobno jest z bardzo dobrej rodziny, a latorośl ich, piękna Adelajda, od dziś należy do rodziny Björndal.

Ojciec Dag przeciągnął się z zadowoleniem i szedł dalej wielki i potężny. Owe łzy, które padły z oczu Adelajdy na gors jego koszuli, wydały mu się błyszczącymi diamentami.

Adelajda pożegnała się z ciotką i ojcem. Major miał ochotę głośno zaprotestować; i byłby zwrócił tym uwagę gości weselnych, że córka jego udaje się na spoczynek, ale w porę się spostrzegł i ugryzł w język. Odprowadził ją nawet do przedpokoju starego domu, który niegdyś Jørn Mangfoldig przebudował z kuchni; komnata ta leżała najbliżej owego budynku, gdzie odbywała się uczta. Major Barre po raz pierwszy – od czasu gdy była dziesięcioletnią dziewczynką – pogłaskał ją po twarzy, bardzo był przy tym wzruszony i wymruczał coś w tym rodzaju, że niejedno będzie musiała mu wybaczyć, ale całe życie był tylko żołnierzem i pozostał nim.

Ta delikatna prośba lak bardzo zazwyczaj hałaśliwego, zawsze z siebie zadowolonego ojca poruszyła dziwne uczucia w Adelajdzie. Pomimo wszystkich swych błędów i słabości był jednak jej ojcem, tym, który ją w swoim czasie do Björndal przywiózł. Po chwili, idąc po omacku po schodach, zapomniała o tym incydencie, tak jak zresztą o wszystkim innym, cała przejęta chwilą, w której swój pokój oglądać będzie sama.

Zamknęła drzwi za sobą i stanęła na środku wzruszona. Drzwi do pokoju Daga były tylko przymknięte, przez szparę widać było blask ognia pod kominem. Tu w piecu coś jeszcze trzeszczało, otworzyła drzwiczki i dorzuciła parę świeżych polan brzoźowych. Z radością wdychała zapach drzewa ułożonego symetrycznie pod ścianą. Dla niej te bierwiona były wyrazem całego ciepła, a tym samym i wygody tego nowego świata. Miła była biała brzoza w lecie na polach i łąkach; można by ją nazwać księżniczką lata, a w zimie tyle dawała ciepła, taka wydajna i pachnąca! Adelajda czule pogłaskała jedno z polan o korze jedwabistej.

Następnie przeszła się ostrożnie, uroczyście po komnacie. Tak, wszystko było tak jak dawniej. Zapach lawendy wydostawał się z szuflad komody i unosił się słodkawy, ciężki zapach suszonych listków róż z wazy na komodzie. Wstawiła je tu pewnie panna Kruse w lecie, w czasie gdy Adelajda była taka zrozpaczona, zanim przyszedł ojciec Dag prosić o jej rękę w imieniu swego syna i z tortur ją uwolnił.

Adelajdę ogarnęła teraz wesołość, tanecznym krokiem podeszła do komody i pochyliwszy się, zdjęła pokrywkę z wazy i długo upajała się zapachem różanych listków. Przecież one kwitły tam na dole w tym jej ukochanym ogrodzie, nawet jeszcze teraz zachowały zapach lata i słońca. Nakryła je z powrotem i w lustrze wiszącym nad komodą spojrzała sobie głęboko w oczy.

Zaczęła wyjmować z włosów złote koła, które na wzór grecki trzymały jej fryzurę. Piękne loki opadły swobodnie na ramiona.

Nagle przypomniała sobie swoje rzeczy pozostawione w tamtym budynku. Jak ona je teraz dostanie? Zupełnie bezwiednie wyciągnęła pierwszą szufladę z brzegu, następnie drugą; rzeczy jej już tu leżały. Panna Kruse pomimo tak wielkich obowiązków, które na niej dzisiejszego dnia ciążyły, i o tym pomyślała. Spojrzała teraz w kąt pokoju, gdzie obok drzwi okiennych stało łóżko, tam wisiała jej podróżna suknia, a na wielkim fotelu był rozłożony ów płaszcz futrzany, ze skórek dobranych przez jej męża. Z wolna, z namaszczeniem niby w kościele, zrobiła parę kroków w kierunku płaszcza i pochyliła się nad nim. Był to pierwszy dar jej męża! Tamte prezenty pochodziły od ojca, ale te skórki na pewno on sam zebrał. Ostrożnie wzięła futro i podeszła w krąg światła. Tak, to były sobole, cały płaszcz był z soboli. Czyżby tyle soboli było na świecie? Chociaż o polowaniu pojęcia nie miała, domyślała się jednak, ile trzeba było trudu, uwagi, ażeby zdobyć te skórki, upolować tyle zwinnych, ostrożnych zwierzątek. Przytuliła policzek do futra. Ciepłe było i miękkie. Obejrzała je ze wszystkich stron. Podszywka była z grubego jedwabiu.

W pewnej chwili włożyła kluczyk do zamka, ażeby otworzyć sekretarzyk, ale wyjęła go z powrotem i schowała do jednej z przegródek w górnej szufladzie komody. Kiedy indziej zgłębi tajemnice tam drzemiące. Stwierdziła, że krucyfiks wisi na wewnętrznej ścianie łóża, i tak rozsunęła kotarę, aby światło wpadało przez nią jak owego pierwszego wieczoru. Zajrzała do pokoju Daga, skontrolowała, czy ogień nie wygasł, usiadła tam na chwilę, przyglądając się, jak wielka szczapa drzewa bukowego coraz bardziej zamieniała się w wielki płomień. Tej nocy wydała z siebie całe ciepło, które przez sto lat się w niej nagromadziło. Rozejrzała się wokoło. Było tam ubogo i pusto jak na kwaterze żołnierskiej.

Następnie powróciła do siebie i zaczęła się przygotowywać do spania; gdy już była kompletnie gotowa do ułożenia się do snu, poczuła nieodpartą chęć przymierzenia futra. Narzuciła je. Jakie to futro jest dziwnie ciepłe!... Takiego ciepła, póki żyje, nie odczuwała. Wsunęła na bosc nogi pantofle i otworzyła oszklone drzwi. Wyszła na mały balkon, przyczepiony niby gniazdo ptasie do muru. Uczyniła to, jakby chcąc wypróbować, czy futro Daga uchroni ją od dotkliwego nocnego zimna. Na dworze było ponuro, na niebie ani jednej gwiazdy. Poprzez ciemności szedł od strony lasu zimny powiew jesiennej nocy. Noc ta była ożywiona różnymi dźwiękami. Nie od razu zdała sobie sprawę, co to za dźwięki, tak była daleka myślami od weselnej uczty. Były to głosy i muzyka, które dochodziły tu w nocnej ciszy z nowego domu, a także i z izby czeladnej, w chwilach gdy muzykanci w wielkiej sali odpoczywali.

Zapięła futro, postawiła kołnierz i usiadła na ławce. Jakie to dziwne: siedzieć tu wysoko w ciemnościach i słyszeć muzykę i odgłosy z własnego wesela. Szum dochodzący stamtąd był jakby żegnaniem się ze wszystkim, co tam jest na dole, wraz z miastem, z całą przeszłością. Jest jakby ostatnim akordem tego, co było dotąd... A rytm tańca wraz z oszłamiającym dźwiękiem smyczka z czeladnej izby tworzą jakby przegrodę i jednocześnie zew nowego życia, które ją teraz czeka...

10

Był już kiedyś w życiu Adelajdy szczęśliwy okres. Mianowicie pierwsze dziesięć lat jej dzieciństwa. W owym czasie ojciec jej był rotmistrzem dragonów. Mieszkali w wielkim majątku, gdzie było dużo bydła i rasowych koni. Gdy ojciec przebywał w domu, zjeżdżali się liczni goście. Bawiono się hucznie, wesoło, urządzano przejażdżki i wyścigi konne. Ojciec mawiał, że Adelajda (miała wtedy niespełna dziesięć lat) dosiada konia jak urodzony dragon.

Potem coś bardzo smutnego się stało i matka zabrała Adelajdę do babki, gdzie obie pozostały. Ojciec już się nie pojawiał i to, co sobie wykombinowała Adelajda z różnych szeptów naokoło niej, było powodem, że znienawidziła człowieka, któremu zawdzięczała najlepsze lata swego życia. Było to pierwsze rozczarowanie i początek niewiary w życie. Następne dziesięć lat spędzonych w domu babki minęły spokojnie, ale pozbawione były zupełnie radości, babka była surowa, a dom ponury.

Gdy potem matka umarła, a później babka, Adelajda musiała wrócić do znienawidzonego ojca. Te ostatnie siedem lat spędzone w biedzie i rozgoryczeniu wywarły na nią wielki wpływ. Dziwnym trafem właśnie podczas tych lat zrozumiała, jak bardzo jest piękna, i ojciec nauczył ją przyjemności bywania w świecie. Nieraz Adelajda Barre bywała królową balu... jednak...

Pozostała w niej powaga wyniesiona z domu babki. Życie nauczyło ją doszukiwać się bólu poprzez zdawkowy uśmiech, a nieszczerości i obłudy – w komplementach i pochlebstwach. Ciągłe stykanie się z blichtrzem na każdym kroku wobec nędzy w domu dało jej poczucie, że całe istnienie ludzkie opiera się właściwie na kłamstwie i blade.

Potem Björndal wkroczyło w jej życie. Od pierwszej chwili wszystko, co tu znalazła, zlało się w jedno w jej umyśle: wspaniałość tego potężnego dworu z nieśmiałą powagą młodego Daga ukazały jej się jako uosobienie prawdy i uczciwości w przeciwieństwie do obłudy i lekkomyślności ludzi z miasta, gdzie tańczono i bawiono się w najlepsze, podczas gdy wojna do każdego domu wniosła nieszczęście i cierpienie.

I ona, która wyniosła przykład niedobranego pożycia z domu rodziców i nigdy nie dawała wiary składanym u jej nóg przysięgom miłosnym, ona, nie wierząca żadnym obietnicom, nie dowierzająca nikomu, oddała serce swe człowiekowi, który ani jednego kurtuazyjnego słowa jej nie powiedział. Przez cały rok przeżywała niepokój i ból nie odwzajemnionej miłości.

Aż oto nadszedł ten dzień. Dzień ślubu, wesela! Jest szczęśliwa! Była nią i będzie potem przez wiele, wiele dni, aż jej się w głowie kręci od tego szczęścia, które szło ku niej... Wszystko ją radowało, cieszyło. Wszystko i wszyscy. Płakała i cierpiała w swym pokoju z radości; ona, która zawsze tak dumnie nosiła głowę, obecnie tajała w otoczeniu serdecznych, ludzkich, ciepłych serc. Czuła nieprzeparłą chęć zarzucenia komuś rąk na szyję, chociażby tylko staremu Dagowi. Każdy człowiek, którego dzieciństwo zatruto niewiarą, a wychowano w nienawiści do własnego ojca, byłby takim właśnie, jaką jest Adelajda.

W parę tygodni po ślubie siedziała któregoś wieczoru w swoim pokoju. Ojciec Dag dostał pantoflową pocztą wieści z miasta, że wojna ze Szwecją ma się ku końcowi i że prawdopodobnie wkrótce będzie już można wywozić drzewo do Anglii, a tym samym ustanie cisza panująca od dłuższego czasu w lasach. Stary Björndal, nie czekając na dalszy rozwój wypadków, od razu kazał rozpocząć pracę w lesie. Całe masy drzewa z jego lasów, których w swoim czasie z powodu wojny nie można było wywieźć w dalszą drogę, leżały w miejskich składach. Odbiorcy chcieli na gwałt regulować rachunki po dawnej, przedwojennej, niskiej cenie, w dodatku papierowymi pieniędzmi, nie mającymi żadnej wartości. Stary Dag odmówił. Jeśli do tego czasu nie zdołali z nim się rozrachować, to niech teraz uczciwie zapłacą. Następnie wyciągnął pewne wnioski z tego ich nagłego pośpiechu i kazał wziąć się do roboty, miał dość ludzi i koni, i to koni roboczych, które przez długi czas nie przynosiły żadnego pożytku, a karmić je trzeba było. Podzielił się z synem swymi planami i młody Dag poszedł do lasu, aby ponownie rozpocząć roboty. Objawiał przy tym wielki pośpiech i Adelajdą aż dreszcz wstrząsnął, gdy się dowiedziała, że ma zamiar udać się w lasy tego samego dnia po rozmowie z ojcem.

Minęło kilka dni, a Dag nie wracał. Adelajda zaczęła się niepokoić, lecz spokój starego ojca działał kojąco na nią, a i sama sobie też perswadowała, że nie ma się przecież czego lękać.

Tego wieczoru przypomniała sobie, że nie wypróbowała jeszcze kluczyka, który jej dał ojciec w wieczór weselny. Tak się jakoś złożyło, że dość długo przebywała w Björndal ciotka Eleonora; wieczorami gawędziły, potem już była zanadto zmęczona, ażeby cośkolwiek przedsięwziąć. Następnie nadeszła z miasta fura z jej rzeczami oraz książkami, które otrzymała w spadku po babce. Ojciec Dag kazał według jej wskazówek sporządzić półki, poprzybijać do ścian, jedną dla ulubionych jej książek w jej pokoju, a dwie w jednym z gabinetów w nowym budynku. Po wyjeździe ciotki spędziła niejedną miłą chwilę w swoim pokoju, przeglądając książki, wspominając przy tym babkę z czasów, kiedy jeszcze mieszkała z nią. Pomimo jej surowości, wspominała ten okres mile; książki zmarłego biskupa zastępowały wówczas jej przyjaciół.

Tego wieczoru biegła niespokojnie to tu, to tam, wychodziła na balkon, wracała do komnaty, wpadała do pokoju Daga. W końcu zapaliła ogień pod kominem, ażeby ożywić nieco ponurą komnatę refleksami ognia, grą światła i cieni. Przypomniały jej się wieczory spędzone z Dagiem. Nieraz siadywali tu przed kominem długo w noc. W takich chwilach niejedno z niego wydostała: o życiu w lesie, o ludziach, i w ten sposób zbliżała się trochę do jego świata i do niego, ale zdawała sobie dobrze sprawę, że wiele ich jeszcze dzieli. Myśląc o tym, wróciła do swego pokoju i przypomniała sobie tamten kluczyk.

Trzymała go teraz w ręce. Był mały, w kółku były subtelne esy-floresy, a na zakończeniu parę ząbków. Z drzeniem otwierała sekretarzyk panny Doroty Holder. Co też tam może być w tym schowanku eleganckiej, idealnej, bogatej panny o „anielskiej powierzchowności”, jak ją nieraz ojciec Dag określał. Zresztą pokój ten mówił o niej, o jej zamiłowaniach. Klucz tak łatwo otworzył zamek, jakby wczoraj dopiero został zamknięty, drzwiczki jakoś przyjaźnie przed nią się rozwarły. Zrobił je tak kunsztownie, tak przemyślnie nie lada mistrz, bo otwierały się jakby same z siebie.

Do sekretarzyka matki nie wolno było Adelajdzie nigdy dojść. Babka zaraz po śmierci matki wyprzątnęła wszystkie jego szuflady, a swoje biurczko po śmierci zostawiła puste. Żadnych tajemnic. Taka była. To samo będzie pewnie i tutaj. Matka Daga, Teresa, przeżyła siostrę, a od jej śmierci kluczyk był w rękach starego Daga. Na pewno wszystko było spalone lub przedtem zniszczone jak u innych ludzi. Ale nie, przecież ojciec Dag, dając jej ten kluczyk, powiedział tak miło, że wszystko, co znajdzie w sekretarzyku i w skrzyniach, będzie jej własnością. Nie leży w jego naturze darować coś, czego nie ma. Adelajda drżącą ręką nacisnęła guzik górnej szuflady i wyciągnęła ją. Leżały tam papiery, listy pożółkłe od starości. Wyciągnęła następną. Leżała tam wielka księga – prawdopodobnie Biblia. W następnej też książka. Ociągając się, wzięła ją w rękę i otworzyła, widniały w niej daty dni i roku, był to więc pamiętnik. Delikatne, ledwo zaznaczone litery tańczyły jej przed oczami. Zamknęła pamiętnik i odłożyła z powrotem. Znów miną miesiące, a co najmniej tygodnie, zanim się zdobędzie na powtórne zajrzenie do cudzych tajemnic, do tajemnic Bjørndalu, jego mieszkańców i samej panny Doroty.

Szuflady pełne koronek i narzutek brokatowych... Zapach – nie, nie tylko lawendy, jeszcze i inne perfumy, mocne, oszałamiające, narzucające się zapachy unosiły się znad szuflad. Były to zapachy z czasów, kiedy się nosiło suknie pompadurkowe na obręczach i wysokie, ciężkie fryzury. Wtedy były używane silne perfumy, sprowadzane z dalekiego południa.

Jedna z szuflad była nieco krótsza niż inne. Adelajda wiedziała, co to oznacza. Wysunęła więc ją zupełnie, a potem palcami wydostała z głębi, z tajemnej skrytki szkatułkę. Nie zaskoczyło jej to specjalnie, a było tak, jak się w bajce dzieje: leżały tam ciężkie złote łańcuchy i bransolety, jedna z nich szeroka na palec, pierścionki z drogocennymi kamieniami, naszyjnik wysadzany perłami, złota przepaska do włosów, na samym dnie szkatułki leżały dwie duże, złote monety.

W tej chwili dopiero ogarnęło ją dziwne uczucie lęku, które nawiedza słabe charaktery, gdy ich nadzieje i życzenia się spełniają.

Pragnęła szczęścia, tak jak zresztą wszyscy ludzie. Szczęście przyszło, ziściło się w pełni, z chwilą, gdy stała się żoną Daga i zamieszkała w tej izbie. Ale w bajce żąda się szczęścia coraz więcej, a wszystkie życzenia się spełniają, i tu nawet chyba szczęściu końca nie będzie.

Jeszcze nie zajrzała do pożółkłych papierów, do powlepianych stron ręcznie pisanych w Biblii, nie zajrzała ani do pamiętnika, ani też do skrzyń i szkatuł. Jeszcze nic nie wiedziała o wielkim cudzie z bajki, która się nazywa Björndal, o lasach, które przemierza Dag. Może nigdy nie dowie się niczego o jego życiu pełnym przygód.

Tu w Björndal było wszystko takie jak obaj Dagowie, stary i młody. Taka daleka była droga do ich dusz! Przeczytała wiele książek w swoim życiu, więcej niż ktokolwiek z jej znajomych, studiowała nieraz mądre księgi biskupa, starała się zrozumieć i przetrwać najtrudniejsze ustępy, które pozakreślał. Znała tyle kazań i dzieł napisanych przez ludzi dla ludzi i tak wierzyła własnym umiejętnościom, zdawało się jej nawet, że rozumie się na charakterach ludzkich. Wszyscy jej znajomi w mieście, cała tamtejsza młodzież była w jej pojęciu śmiesznie płytka i bezbarwna, szablonowa. Ale cóż wiedziała o tych ludziach, do których rodziny teraz należała, powiązana z nimi boskim przykazaniem, wypowiedzianym i komentowanym przez pastora. Czy coś o nich wiedziała?

A teraz trzyma w ręku kluczyk do wszystkich tajemnic panny Doroty; zawierzył jej jej sam ojciec Dag. Dowiedział, że ma bezgraniczne zaufanie do zmarłej, no i do niej. Dał jej tym jednocześnie dowód niezgłębionej dobroci, choć i słowa przy tym nie powiedział. Nikt jej bodaj tyle dobrego nie wyświadczył, ile on tym postępkim. Na to by się zwykły śmiertelnik, wiecznie bliźniego niepewny, pełen niedowierzania w stosunku do innych i nawet do samego siebie, nigdy nie zdobył. Niezrozumiałe! Jak pewny siebie musi być człowiek, który zdobywa się na taki gest!

Nieufność, która przerodziła się już u niej w drugą naturę, nie dawała jej wprost spokoju, aż lęk ją ogarnął. Jak zdoła wywdzięczyć się ojcu i okazać się godną takiego zaufania z jego strony? Zdawała sobie sprawę, że epoka, w której żyje, jest pełna ludzi lekkomyślnych, dla których nie ma nic świętego, nie mogła się więc domyślić, że słowa wypowiedziane przez pastora podczas ślubu były dla ojca Daga słowami pochodzącymi od Boga. Wejście Adelajdy do rodziny uzyskało najświętszą sankcję. W Bjørndal nie wiadomo nic o jakichś nieporozumieniach małżeńskich, rozwodach. To, co Bóg połączy, jest po wieczne czasy nierozłączne.

W dawniejszych, młodszych latach stary Dag niejedno ukrywał głęboko w sercu przed żoną i jej siostrą. Potem ciężar życia i śmierci dał mu się tak we znaki, że wszystko poza tym wydało mu się jakieś mało znaczące i nieważne. Za życia Doroty niejednego się od tej anielskiej istoty nauczył. Może więc Adelajda z jej pośmiertnych zapisków skorzysta. Jeśli w tych zapiskach będzie coś o nim, to trudno. Teraz już honor jego jest i honorem Adelajdy.

Ale Adelajda była dzieckiem swego świata. Wszystko to, co przeżywała, było dla jej umysłu nie do ogarnięcia. W tej chwili kosztowna zawartość szkatułki rzucała specyficzne światło na cały ten podarunek ojca Daga, wręczenie jej tego kluczyka stało się niezrozumiałe i niepokojące. Włożyła wszystko z powrotem do szkatułki, postawiła ją na dawne miejsce, powsuwała szuflady i pozamykała drzwiczki.

Pełna niepokoju przeszła do komnaty Daga. Tu nie było ani tajemnic, ani kosztownych rzeczy. Przyniósł tu ze sobą tylko fuzję. Wisiała samotnie na zimnej i pustej ścianie na gwoździu. Ogień pod kominem prawie zupełnie wygasł. Po gorącym popiele pełzał tylko jeszcze ślad ognia, liżąc porozrzucane żarzące się resztki drzewa.

Obecnie miała uczucie, jak gdyby to wszystko, co było w jej pokoju, straciło blask, zapadło się w ciemność, a jedynie ten ślad po wypalonym ogniu był jaśniejszym światełkiem. I Dag również przebywa tam gdzieś w ciemnościach, daleko od niej. Tych parę słów, co mu tu i ówdzie wydrzeć zdołała, tak skąpe tylko światło rzucały na jego wnętrze. Wobec tego więc, że nie miała przystępu do jego serca i uczuć, wszystkie podarki, wszystkie tajemnice, które jej wolno zgłębiać, są bez wartości. Dag to dla niej największa zagadka, a tak beznadziejnie daleka jest droga do jego duszy! Niepokój i to, co przeżyła przed chwilą przy otwieraniu sekretarzyka, wszystko razem powodowało w niej jakiś śmiertelny lęk.

Potem – sama sobie nie zdawała sprawy, jak to się wszystko stało – wstała, wyszła na korytarz i zeszła ze schodów. Możliwie najciszej otworzyła drzwi wejściowe, przeszła po ciemku przez ganek starej, niskiej, obciążonej nadmierną ilością belek oficyny, gdzie przeczuwała, kryją się tajemnice życia jej męża.

Sama sobie nie zdawała sprawy, że tam idzie i czego się spodziewa. Czy w ogóle zdawała sobie sprawę, czego pragnie?

Zeszła ze stopni podcienia na wyłożoną tarcicami ścieżkę, która przez podwórze prowadziła do oficyny. Przed nią stał budynek dawnej izby czeladnej. Nie było tam okna, zarysował się więc przeraźliwie ponuro, ciemniejszy jak sama ciemność i tajemnicą po brzegi wypełniony. Czy i tam, gdzie jest wylot komina, przez dach nie przenika ani trochę światła, nic? A z wewnątrz tak jakby dochodził skowyt psa albo coś podobnego.

Adelajda zatrzymała się z bijącym sercem, gotowa przy jakimkolwiek głośniejszym dźwięku uciec, ale nie! Wszystko tamto to imaginacja – jest zupełnie cicho... To, co słyszała, to są odgłosy nocy, trzeszczenie suchych belek, kapanie jakiejś wody... W powietrzu unosi się zapach lasów, starej ludzkiej siedziby i jakby swąd dymu.

Długo stała nieruchomo, wciągając w siebie ciszę nocy, działało to na nią jak narkotyk; potem namyśliła się, wyprostowała i zbliżyła tych zaklętych drzwi. Zapukała. Rozległo się gdzieś głuche warczenie psa, ale z wewnątrz nikt nie odpowiadał. Dziewki, które sprzątały to mieszkanie i słały łóżko, czyniły to zwykle tylko wczesnym rankiem, w późniejszych godzinach popołudniowych wchodził i dotykał tej klamki tylko sam Dag.

Adelajda pchnęła drzwi. Jasność w nią uderzyła. Wielki ogień buchał spod komina, w izbie było pełno dymu, który otulał grubymi kłębami pułap i szybko ginął w czeluściach otworu komina. Pomimo ognia trudno było wśród dymu rozeznać Daga. Niewyraźnie, z drugiej strony komina, widziała kontury jego postaci, przytłaczająco groźnej, potężnej. Wrócił widocznie niedawno z lasu. Właśnie skończył golenie i chował lusterko i brzytwę do szafki w ścianie. Zaciekawiony obrócił się w kierunku drzwi, chcąc zobaczyć, kto jest tym śmiałkiem, który się dopuszcza tak niesłychanej rzeczy i w nocy wdziera się do jego jaskini.

Minęło parę chwil, zanim zdołał się zorientować, kto jest tym gościem. Adelajda zaś była tak zmieszana, że drgnęła przerażona, gdy drzwi się same za nią z hałasem zamknęły.

W końcu na ustach Daga pojawił się nieśmiały uśmiech, żona odetchnęła z ulgą i również się uśmiechnęła. Porwał bluzę i kamizelkę rozwieszono na oparciu krzesła, rzucił je na jakiś hak i podsunął jej to krzesło pod sam komin. Koszulę miał rozpiętą na piersiach i rękawy podwinęte do łokcia. Zapiął spiesznie koszulę, ściągnął rękawy w dół i siadł na jakimś szerokim, z drzewa wyciosanym trójnogu, również przy samym ogniu.

Adelajda rozglądała się wokoło, mając przy tym uczucie, że właściwie bezprawnie wkradła się w tajemnice życia Daga, które były tylko jego własnością od lat chłopięcych... Ona jest tu przecież niepożądanym intruzem.

Ale nie mogła się przemóc, aby nie obejrzeć wszystkiego po kolei: łóżka o białej pościeli, posłanego już na noc, i ścian zawieszonych puszkami po prochu, rogami, oszczepami i sieciami. Wszystko to wisiało na hakach. Ogromny nóż tkwił w ścianie, inne w pochwach wisiały na kołkach. Wisiały topory – jeden tkwił nawet w desce łóżka. Po kątach izby leżały najrozmaitsze przyrządy: pasy, powały sznurów konopnych, kawał łańcucha zwisał spod rozwieszzonego ubrania. Skulony pies, oparłszy głowę na łapach, leżał koło łóżka i przyglądał się jej spode łba, a drugi obok Daga wygrzewał się w ciepłe ognia. W powietrzu unosiła się woń spalenizny, dymu i starego, nie wietrzonego domostwa oraz psów. Płomień z trzaskiem obejmował zawzięcie coraz to nowe polana... Dym wałęsał się we wszystkie strony, gdzieś w górze między belkami coś jakby stękało.

Wydawało się dziwnym Adelajdzie, że oto siedzi w domu swego własnego męża, bo ani przez chwilę nie wątpiła, że to właśnie jest jego dom.

Na pewno i dla Daga było czymś niezwykłym, że oto Adelajda Barre, jego żona, odwiedza go tutaj nocą. Tego nigdy w życiu by nie przypuszczał. Siedział wyprostowany, barczysty, wielki, zapatrzywszy się w żar. Zresztą te nocne odwiedziny nie były pierwszym dowodem miłości z jej strony.

Pomimo że była tak bardzo dumna i uzbrojona w przestrogi babki – była przecież tylko zakochaną kobietą i na pewno w intymne wieczory więcej z siebie dawała niż Dag, więcej mu się zwierzała, bo pragnęła być dobra dla niego...

Dag dotychczas nie przeżył nigdy porażki, wszystko mu się udawało, zawsze wszystko szło po jego myśli. Miewał i smutki, bardzo bolał nad śmiercią matki, ale przecież już taka kolej rzeczy, że starzy muszą umierać. Jediną męczarnią jego życia był okres, kiedy zakochał się w Adelajdzie i chorobliwie jej pragnął, ale i to ojciec pomyślnie za niego załatwił.

11

W Björndal, tak jak w całym kraju wówczas, oszczędzano w zimie mąkę; ale nie brak było ani mięsów, ani ryb. Przydawała się również ogromnie owa dotychczas uważana za zbędną, wodnista jarzyna, ziemniakiem zwana, którą stary kazał przezornie na wiosnę sadzić obok innych płodów, gdzie się tylko dało, na wszystkich polach, które posiadali, na ziemiach wydartych lasowi, na wykarczowanych polach i w samym Björndal. Początkowo ludzie twierdzili, że z równym powodzeniem można by do mąki domieszać czystej wody zamiast tego paskudztwa, ale z czasem doszli do wniosku, że mąka stawiała się bez porównania wydajniejsza z dodatkiem pogardzanych kartofli. Poza tym smakowały wcale nieźle ze słoniną, mięsem lub rybami.

Święta Bożego Narodzenia minęły w Björndal uroczyście jak co roku. Adelajda przeżywała je już tutaj drugi raz. Wigilijny wieczór spędziła z całą czeladzią przy stole w wielkiej jadalni, ale w tym roku jakoś to wszystko wydało się jej bardziej świąteczne. Może dlatego, że zasiadała przy tym stole już nie jako gość, a może i z tego powodu, że ojciec tyle opowiadał o nędzy panującej w mieście, o braku żywności, podczas gdy tutaj, jak zwykle, najbiedniejszy nawet otrzymywał kaszę, wódkę, mięso i piwo. W latach dobrobytu ulubionym pożywieniem było mięso, a w tym roku kasza.

Ciotka Eleonora dotrzymała słowa i przyjechała. Była zdumiona, bodaj jeszcze bardziej niż Adelajda w zeszłym roku, stołem wigilijnym w wielkiej jadalni, za którym siedziała cała służba, Biblią leżącą na stole pomiędzy świecznikami i tą powagą i namaszczeniem, którymi promieniowała i chwila uroczysta, i zgromadzeni przy stole ludzie.

Powiedziała potem Adelajdzie, że po raz pierwszy w życiu zrozumiała, iż wieczór wigilijny jest najuroczystszym wieczorem, w roku najważniejszym.

Major po świętach wyjechał na parę dni, ale bardzo szybko wrócił i przywiózł okropne wieści o braku zboża i podziale jego w ratuszu pomiędzy mieszkańców, o niebывałym wzburzeniu ludzi i o policjantach, którzy z bronią w ręku utrzymują wygłodzony naród w karbach. Opowiadał również o nadziejach, jakie pokładano w przywróceniu dawnych stosunków z Anglią, i o korzyściach, które wypłyną z rozwoju handlu. Ojciec Dag szczerze dolewał majorowi wina tego wieczoru, wyciągał go na słówka i w ten sposób dowiedział się od niego wszystkiego: o poglądach na tę sprawę ludzi wpływowych i o tym, że pieniądz coraz bardziej traci na wartości.

Stary Dag jest od niepamiętnych czasów bogatym człowiekiem. Przez długie lata nie myślał o niczym innym jak tylko o pieniądzach. To go nauczyło wszystkim i wszystkiemu nie dowierzać. Z biegiem czasu doszedł jednak do wniosku, że przez tę chciwość ominęło go wiele przyjemności życia. Zrozumiał to dopiero dzięki słowom panny Doroty, wypowiedzianym do niego w wieczór przed śmiercią. Gdy później żona jego umarła, skonstatował, że pomimo iż spędzili razem trzydzieści lat, nigdy nie miał czasu dłużej z nią porozmawiać. I od tej pory stał się pod wieloma względami łagodniejszy. W sprawach pieniężnych nie postępował już tak bezwzględnie jak dotychczas. Odczuwał potrzebę zbliżenia się do ludzi, aby im dać dowód, że jego ukochane zmarłe osoby nie na darmo żyły. Przeciwnie, oddziaływały na niego, aby się stał pożytecznym dla wszystkich, z którymi miał do czynienia bądź u siebie we dworze, w lesie, na folwarkach, bądź też w kraju.

W ostatnich czasach dbał o to, ażeby być dobrym dla swej czeladzi i podwładnych i w miarę możliwości okazywać im przyjaźń.

Myśli jego teraz były zajęte synem i Adelajdą oraz tym, czy doczeka się potomstwa... Radość go rozsadzała, gdy sobie raz po raz uprzytamniał, że to może być chłopiec, który będzie przy jego boku dreptał po starych komnatach.

Od niedawna w umyśle starego Daga pojawiły się nowe zwątpienia. Przedtem nie dowierzał ludziom, gdy chodziło o pieniądze, teraz przestał ufać samym pieniądzom. Za dużo ich się zebrało. W księgach prowadzonych przez kuzyna Holdera cyfry narastały do gigantycznych rozmiarów. Na dole w głębokiej piwnicy stała skrzynia pełna pieniędzy, ale i ona nie mogła pomieścić wszystkich papierków. W mieście po składach leżał nie sprzedany budulec jeszcze sprzed wojny. Nie zdążył go zbyć. Obecnie otrzymywał list za listem z coraz ponętniejszymi propozycjami, ofiarowywano coraz to wyższe sumy. Masy tego drzewa już leżały, a nowe zapasy dojdą z wiosną, gdyż praca w lasach wre, syn jego osobiście tym kieruje. Może być spokojny: praca da pomyślne rezultaty.

Były to drzewa z jego lasów, mające cenę na rynku, a więc przezornie nie zamienił ich na bezwartościowe papierki.

Gdy niedawno domagał się od kuzyna Holdera przysłania gotówki, ten mu odpisał, że ze względu na zaciągnięty kredyt sam potrzebuje srebra na regulowanie zobowiązań w Hamburgu i z tego powodu nie może mu przysłać całej żądanej sumy. Mocno to starego Daga zastanowiło, długo nad tym rozmyślał. Wszystko bardzo pięknie z tą Danią, Kopenhagą i królem tam na południu, ale tam pieniądź przeważnie zamienił się w papier bezwartościowy. Kuzyn Holder na pewno ma coś w planie z tym Hamburgiem. Tylko że Hamburg jest daleko na drugim końcu świata, ale tam liczą i płacą srebrem, a to mu przemawiało do rozsądku. A gdyby on tak za swoje drzewo tego hamburskiego srebra zażądał, bez względu na to, dokąd będzie ono sprzedane, do Anglii czy do Holandii?

Dolewał więc wina i wódki majorowi tego wieczoru, wspominał niby to mimochodem o tym hamburskim srebrze i uważnie słuchał, co mu major mówił; a major dużo o tym słyszał i umiał opowiadać rzeczowo i zajmująco.

Gdy tego wieczoru stary Dag kładł się spać, miał plan gotowy i oto co z niego wynikło: w księgach wprawdzie zostały zapisane obecnie o wiele mniejsze sumy za sprzedaż drzewa, ale za to na koncie jego w banku hamburskim pojawiło się srebro.

Poza tym pieniądze papierowe lokował w ziemi i w towarze. Kupował nowoczesny sprzęt rolniczy dla dworu i do wypożyczenia chłopom z osiedla, dzierżawcom z folwarków i różnym drobnym okolicznym właścicielom, którzy byli zależni od niego. Gdy drwale skończyli wyrąbywanie lasów, kazał im stawiać obory dla owiec i baranów przy smolarniach w lesie. Skupował konie i krowy, świnie, owce i kury i oddawał je smolarzom na chów. Nawet gdyby żniwa zawiodły i zabrakło żywności, to tak podzielony inwentarz zapobiegnie głodowi.

Wielkie czarne ogiery björndalskie biegły na południe kraju tak jak dawniej i wracały, ciągnąc wozy mocno obciążone. Woźnice wyładowywali to wszystko o zmierzchu, magazynowali po spichrzach, nie mówiąc ani słowa nikomu, co i skąd przywieźli. Stary Dag musiał dbać o tyłu ludzi! Dzięki zapobiegliwości i ruchliwości, wpływom i bogactwu potrafił sobie wszędzie utorować drogę i w ten sposób zapobiec brakom i biedzie w swoich posiadłościach.

Posprowadzał ziarno dla wszystkich, poza tym sadzonki kartofli i nasiona jarzyn. Zaoopatrywał ludzi w zboże na chleb, aby wszystkiego starczyło aż do nowych żniw.

Major Barre potem już nie miał czasu bawić dłużej w Björndal, ale nieraz wpadał na krótko i opowiadał o życiu w mieście, o inflacji, o ludziach, którzy się nagle wzbogacili, i o ucztach, na których leje się szampan, w ogóle o niebywalej rozrzutności. Opowiadał także o urzędnikach, którzy musieli wyżyć z pensji, i o szarych, małych ludziach, którzy cierpieli z powodu rozmaitych braków.

W Björndal mijały dni jak dawniej spokojnie, zawsze jednakie. Nadeszło lato. Przypiekało słońce, to znów deszcz padał. Na obsianych polach i łąkach wszystko dojrzewało.

Przyszła jesień. Wiatr w ciepłym słońcu gospodarował na polach. Dojrzałe, pełne kłosa szumiały obiecująco.

Musiano wybudować dwie nowe stodoły, bo te, które były, nie wystarczały na cały zbiór siana; to samo było i ze spichrzami – trzeba było nowe stawiać, bo w starych zbiory się nie mieściły.

Gospodarz był wszędzie od wczesnego rana do późnego wieczoru. Jeszcze nigdy praca nie szła tak rażno, jak tej wiosny przy sianiu i sadzeniu za pomocą nowych narzędzi, jeszcze nigdy się tak nie radowano obfitymi zbiorami, jak w tym roku po głodowej zimie.

Którejś nocy zakradli się na pola smolarze z lasu i zrywali kłosa, zanim ziarno zdążyło dojrzeć. Jednego przyłapali, przyprowadzili go przed starego gospodarza. Ostro go zwymyślał i spoliczkował.

Wkrótce potem jakiś chłopiec znów popełnił to samo przestępstwo; gdy go przyprowadzili do Daga, ze strachu zrobił w majtki, i to na oczach pana. Skończyło się na pogróżce. Musiał tylko dać słowo, że więcej kraść nie będzie, raczej przyjdzie do gospodarza i powie, że matce w domu czegoś brakuje.

Na świecie była wojna, a ojciec Dag walczył za wszystkich, którzy należeli do jego włości. Ale ta jego ruchliwość nie była spowodowana jedynie obowiązkami i troską o ludzi. W jego własnym domu było coś, co go do tego skłaniało. Już od dawna powziął pewne podejrzenia, ale na jesieni tak jakoś cicho i tajemniczo zrobiło się wokół niego, że musiał wszelkimi siłami udawać, jakoby niczego się nie domyślał.

12

Podczas jesiennych wichrów nocami jęczały i skrzypiały stare domy. Gdy burza trzęsa nimi, zdawało się, że każda belka unosi się w górę, że cały dom się rozpada. Wszystko trzeszczało i łomotało od gwałtownych uderzeń, a potem następowała nagle i krótka cisza. W takie noce domy żyły i poruszały się.

W panieńskim pokoju leżała Adelajda i nasłuchiwała. Świeca paliła się na komodzie. Drzwi do pokoju Daga były otwarte. Pragnęła tego. Leżał tam na swoim łóżku i cicho spał w ciemności. Z jego komnaty dochodziły jeszcze głośniejsze dźwięki, bo pod dachem belki bardziej wystawały i wibracja była silniejsza.

Burza szalała, atakowała dom, który zdawał się podnosić i opadać niczym okręt na wysokiej fali. A może była to tylko imaginacja Adelajdy, a zawroty głowy, na które cierpiała, miały jakąś inną wewnętrzną przyczynę? Chyba że to będzie to... Już przez cały dzień i pod wieczór zdawała się odczuwać pierwsze sygnały, potem jakoś minęły, ale teraz znów jakby wracały. Chciała o nich zapomnieć, wsłuchując się w harce wiatru, ale to się jej nie udawało.

Może nieznacznie jęknęła? Bo nagle Dag stanął przed jej łóżkiem. Spracowaną dłonią gładził ją po ręce i bacznie jej się przyglądał.

Zwilżyła suche wargi końcem języka i szepnęła:

– Czy nie zechciałbyś mi przysłać panny Kruse?

Potrzymał jej rękę w swojej, podniósł lekko w górę, pochylił się i ucałował delikatnie. Gdy po chwili wyprostował się i opuścił pokój, miał oczy błyszczące ze wzruszenia.

Ileż to razy Adelajda marzyła, ażeby doczekać takiej chwili! Tylu innych całowało ją po rękach, a ona tak bardzo, tak gorąco pragnęła zobaczyć jego głowę pochyloną nad swoją ręką... Uczynił to! Chciała teraz pogłodzić go po włosach, ale już nie miała sił.

Cichutko wsunęła się panna Kruse, coś szepnęła i usiadła przy drzwiach. Dag postanowił, że sam pojedzie po fachową pomoc. Słysząc było odjeżdżający pojazd.

Adelajda starała się wsłuchiwać w wiatr i burzę, aby zająć swą myśl, ale bóle były coraz częstsze. Nagle przed oczami jej pojawiły się kolejno obrazy dziejów, które wyczytała w pamiętniku panny Doroty i słyszała z ust ojca Daga oraz panny Kruse – opowieści o ludziach, którzy niegdyś tu mieszkali, o narodzinach i śmierci we dworze. Pomiędzy jednym bólem a drugim stanęła jej przed oczami matka męża, Teresa. Często przypatrywała się jej portretowi w wielkiej sali. Dlaczego ona już nie żyje? Wyobrażała sobie również Ane Hamarrbö, która podobno była taka dostojna, a jednocześnie surowa i podobna do ojca Daga, bo miała przecież krew Björndalów w sobie. Wszystkie te opowiadania o życiu i działalności Ane Hamarrbö dały Adelajdzie tak żywe pojęcie o niej, aż zdawało jej się, że ją znała. Wiedziała o niej wszystko, jak również i to, że położni, przy których asystowała, kończyły się szczęśliwie. O tej, po którą Dag teraz pojechał, nigdy nie słyszała i nie widziała jej na oczy, ale mówiono, że jest bardzo dzielna. Gwarancją jest przede wszystkim to, że nosi nazwisko tamtej: Unn Hamarrbö.

Jest prawnuczką starej Ane. Nikt inny, tylko sama Teresa Björndal wzięła ją do pomocy i wyuczyła, jak przystępować do położnicy, gdy sama już bezwładna siedziała w fotelu na kółkach. Teresa, gdy była zdrowa, zabierała Unn do pomocy przy położach i niejednokrotnie się przekonała, że nadaje się do pielęgnowania chorych. Toteż wyuczyła ją tego zawodu i Unn wykonuje teraz czynności, w których Ane i Teresa osiągały niegdyś tak pomyślne wyniki.

Unn, owdowiawszy młodo, powróciła do swej wsi, do Hamarrbö, a ludzie znowu nazywali ją panieńskim nazwiskiem. Miała chyba ze czterdzieści osiem lat.

Adelajda leżała na wpół przytomna z bólów i różnych przywidzeń. Panowała jednak nad sobą i z ust jej nie wydobywał się żaden jęk; cała była pogrążona tylko w wizjach. Toteż dobrze nie wiedziała, co się wokoło niej dzieje. Nie słyszała, gdy zaturkotały koła na podwórzu i gdy ktoś potem szedł po schodach.

Ocknęła się dopiero, ujrawszy nagle pochyloną nad sobą jakąś postać. Tak sobie wyobrażała postać zmarłej przed wielu laty Ane Hamarrbö. Usiadła na łóżku i spoglądała na nią przerażonym wzrokiem.

– To Unn – słyszała jakby z bardzo daleka głos panny Kruse.

Adelajda opadła z powrotem na poduszki, zmusiła się do czegoś, co miało być uśmiechem, i wyciągnęła rękę na powitanie. Unn uściśniła ją mocno i zasiadła na krześle tuż przy jej łóżku.

Na barkach panny Kruse spoczywały w tej chwili liczne obowiązki, opuściła więc pokój, zostawiając chorą pod opieką Unn. Dagowi wytłumaczyły, że najlepiej będzie, jeśli na tę noc przeniesie się do swego starego pomieszczenia w oficynie.

Adelajda z Unn pozostały same. Unn jeszcze wciąż trzymała rękę położnicy w swej dłoni. Ścisła ją mocno, pochylona nad Adelajdą i wpatrzona w nią szczególnym wzrokiem.

I nagle poczuła się Adelajda jakby w kontakcie z potężną i żywotną jeszcze przeszłością, o której tyle czytała i słyszała, i która ją tak mocno obchodziła. Zdawało jej się, że w wysokiej postaci Unn i poprzez ostre jej rysy i błyszczące oczy widzi wszystkich przodków Daga, cały tryb ułciałego, rozpierzchłego życia w Björndal, hen, aż po zamierzchłą przeszłość.

I Unn również przeżywała ważną, uroczystą chwilę życia. Dotychczas nie widziała nigdy Adelajdy ani w czasie Bożego Narodzenia, ani w ciągu jej bytności w lecie, ani też po ślubie. Bo owa wizyta w noc weselną w izbie czeladnej krążyła jak legenda po całym osiedlu, docierała aż do smolarzy w lesie. Opowiadano o jej piękności, o złotym diademie na głowie i złotem haftowanych różach na sukni, i ciężkich, złotych bransoletach.

Właściwie Unn nie marzyła nawet o tym, że ją wezwą do Björndal w tak ważnej chwili. Przypuszczała, że wezwą prawdziwą akuszerkę lub doktora, albo nawet i oboje z miasta. Aż tu nagle przyjeżdża sam młody pan po nią. A teraz siedzi tu i trzyma samą Adelajdę za rękę.

Przyglądały się sobie wzajemnie z zachwytem, nie wiedząc, co jedna o drugiej myśli.

Wprawdzie Unn przypominała swą prababkę, ale dzielił je okres trzech czwartych stulecia. Stara Ane miała ciężkie dzieciństwo i twardą młodość, dlatego na starość stała się szorstka, nieprzystępna i twarda. Na co dzień oczy Unn miały wyraz tak samo surowy i twardy. Ale w szczególnych okolicznościach, a taką była chwila obecna, spojrzenie jej nabierało głębi i ciepła, nie zatracając przenikliwości i ogarniając wszystko wokół. Ten mocny wzrok działał kojąco na Adelajdę... Pomógł przetrzymać bóle i dodał otuchy, gdy nadeszła ciężka chwila rodzenia.

Już dniało. W panińskiej komorze leżała Adelajda z dzieciątkiem na ręku. Łóżko było świeżo powleczone, pachniało czystością. Tuż obok stała odwieczna kołyska, wielka, szeroka, zasłana całą masą małych, wytwornych, puchowych poduszek i prześcieradełek o artystycznie mereżkowanych brzegach, przybranych wspaniałymi wstawkami i koronkami, które opadały na ziemię. Oczy Adelajdy błyszczały radośnie, tylko na czole znać było ślady wielkiego wysiłku. Loki wymykające się spod koronkowego czepka były wilgotne i przylegały szczelnie do skroni, usta również nie zatraciły jeszcze bolesnego wyrazu.

Z izby Daga dochodził trzask palącego się drzewa. Trzeba tam było zagrzać wodę dla położnicy, a w jej własnym pokoju przepalono z lekka pod kominem ze względu na małego przybysza.

Mąż przed chwilą wyszedł. Adelajda oczekiwała odwiedzin starego ojca. Była podniecona radością, że już po wszystkim, że dziecko przyszło na świat zdrowe, silne – i że to syn.

Zaskrzypiały schody stopień po stopniu, ugiwały się pod czyimiś krokami deski w sieni. Nie trzeba było domysłów i pukania, bo i tak wiadomo było, że to kroki starego Daga. Cicho zamknął za sobą drzwi, podszedł do łóżka na palcach, uroczystym krokiem, usiadł przy nim, pochylił się i pogłaskał rękę Adelajdy, przypatrując się jednocześnie dziecku.

– No tak, Adelajdo, i do tego chłopak! – powiedział na końcu. Adelajda nie mogła ani słowa wydobyć, oczy jej zalśniły, połykała łzy i walczyła ze sobą, ażeby nie wybuchnąć płaczem. Ojciec był tak przejęty i zachwycony, że mogła płakać z radości. I z nim się coś dziwnego działo. Wstał nagle, głęboko westchnął i odwrócił głowę. Chciał coś powiedzieć, ale dopiero za trzecim razem udało mu się wydobyć głos. Następnie rozległy się słowa odwieczne, którymi tu w Björndal prawdopodobnie witano każdego noworodka:

– Niech Pan Bóg błogosławi twoje zjawienie się na tym świecie, oby był przy tobie przez wszystkie dni twoje i wziął cię do siebie, gdy skończy się twój żywot!

Zabrakło mu głosu ze wzruszenia przy ostatnich słowach. Oczy starego ojca były pełne łez, gdy podniósł rękę, ażeby pożegnać synową z daleka, następnie odwrócił się nagle i opuścił pokój.

Legenda wokół Adelajdy i jej życia wciąż rosła...

Unn Hamarrbö widziała teraz na własne oczy pokój młodej pani – było tak, jak jej służba o nim opowiadała. Wszędzie błyszczało srebro, koronki spływały fałdami i pełno było mebli rzeźbionych piękniej niż w kościele. Wisi tam też i Pan Jezus na krzyżu. Gdzieś tam połyskują dziwne światła i unoszą się zapachy, zupełnie jak w ogrodzie pełnym kwiatów. Unn przyglądała się raz po raz Adelajdzie i wciąż na nowo konstatawała, że jest doprawdy nad podziw piękna i że chyba ma niebywale silny charakter, bo urodziła niezwykle dużego chłopca bez jęku. To zrobiło na Unn niesamowite wrażenie...

Gdy po pracy, po chatkach i domkach wyrobniczych opowiadano sobie legendę o Adelajdzie, tworząc wokół jej postaci osobliwą aurę, padały tu i ówdzie słowa o jej nieprzystępnej dumie, surowości i bezuczuciowości, w ogóle o czymś niezrozumiałym, co bije od niej. Taki obraz nowej pani na Björndal wędrował przez pola i lasy, jak daleko ludzie mieszkali.

Unn Hamarrbö nie przypuszczała, że jej spostrzeżenia, którymi się podzieliła z najbliższymi, wywołają tego rodzaju komentarze.

Adelajda czuła się szczęśliwa, bezgranicznie szczęśliwa. Nigdy nie zapomni uczucia szczęścia, które ją przepęłniało tej jesieni i zimy. Oprócz tego wszystkiego, co jej w tej komnacie było od pierwszej chwili tak bardzo drogie, zjawilo się tu maleństwo w pięknej kołysce, ułożone wygodnie na wyprawce szytej rękami panny Doroty na długi czas przed urodzeniem młodego Daga.

Jak daleko rozciągały się ziemie Daga, wszędzie witano z należną czcią przyjście dziecka na świat. Ojciec Dag bezustannie dopytywał się o malca, aż w końcu nadszedł czas, że wolno mu było brać go na ręce i bawić się z nim.

Ojciec dziecka interesował się nim również, gdy tylko był w domu. Więcej nawet: zaczął zawieszać u siebie w izbie rzeczy, które dotychczas miał w starej oficynie. Minęło trochę czasu, zanim Adelajda to zauważyła. Spostrzegła dopiero wówczas, gdy któregoś wieczoru, kiedy Dag był w lesie, chciała u niego wodę zagrzać, nie odwołując służby od zajęć. Zapaliła pod kominem i usiadła. Rozejrzawszy się po pokoju, zauważyła różne nowe rzeczy porozwieszane po ścianach; z tyłu za łóżkiem w ciemnym kącie leżały wysokie buty i plecak, w ścianę wetknięty był topór.

Dag zaczął więc zbliżać się do niej.

13

W tym szczęśliwym roku obchodzono święta Bożego Narodzenia w Björndal niebywale hucznie. Przyjechali major i ciotka Eleonora, oprócz nich mnóstwo innych Ucztowano, tańczono, wznoszono toasty, wygłaszano mowy, śpiewano i kolędy, i wesołe piosenki. Niejeden z gości nie bardzo był zadowolony z tego, że musiał przy wieczerzy wigilijnej zasiąść przy jednym stole z czeladzią i słuchać z uwagą ojca Daga, gdy odczytywał odpowiednie ustępy z Biblii umieszczonej między dwoma kandelabrami. Gorsze było, że stary bardzo wcześniej wycofał się, oznajmiwszy kategorycznie, że zbudzi wszystkich do dnia, ażeby zdążyli na mszę ranną do kościoła. Czy to tak powinien się zachowywać gospodarz w stosunku do gości z lepszych sfer? Ale nic nie pomogło, obudzono ich i do łóżka dostali przekąskę z wódką. Otrząsali się na myśl, że mają jechać prawie w nocy w taki mróz, i szemrali niezadowoleni. Ale wesoły dźwięk dzwonek, blask pochodni przy saniach i nastrój uroczystej mszy świętej w kościele wywarły na nich to samo wrażenie, co na każdym w takich wypadkach. To, co w nich pozostało jeszcze z prostoty i wrodzonego pragnienia radości, przebiło się przez obłok próżnostek, które uważali w swym płytkim życiu za sprawy najważniejsze.

Pastor Ramer na kazalnicy nie przypominał większości ówczesnych pastorów. Ci bowiem wyglądają, jakby chcieli się tłumaczyć z faktu, że uważają istnienie Boga za dopuszczalne przez filozofię. On przeciwnie: jest tu, aby służyć Bogu i wierzyć w niego. Mówił to z taką siłą przekonania, że stara świątynia nabierała życia od gorących słów.

Gdy wracali tą samą drogą do domu, osobliwie dźwięczały im w uszach dzwonki przy saniach, osobliwe wydało im się światło, które rzucały pochodnie na ośnieżony krajobraz i na olbrzymie drzewa. Słowa, które usłyszeli w kościele, zapadły im w duszy i miały zachować swą moc nie tylko w dniach radości, ale i w chwilach żałoby i smutku. Powracały do nich w melodii dzwonek, w smugach światła rzucanych przez pochodnie... Wszystko, co ich tak do głębi przeniknęło, szło razem z nimi od kościoła aż do Björndal.

Dotychczas z powodu obecności licznych gości, posiłki były podawane w jadalni w nowym budynku, ale teraz, po powrocie z kościoła, stół nakryto zgodnie z tradycją w dużej komnacie w starym domu. Stół, jak było w zwyczaju za dawnych czasów, ugiął się od ilości potraw, wszelkiego rodzaju mięs i ryb.

Na pewno wszyscy odnieśli to samo wrażenie co i Adelajda podczas swego pierwszego pobytu tutaj: napełniał ich szacunek dla przekazywanej od wieków tradycji; szacunek i respekt dla odziedziczonej siły i potęgi, dla prawdziwości i solidności tego wszystkiego, co tu widzieli: od belek na suficie aż do kunsztownie rzeźbionych krzesel i srebrnych nakryć na stole.

Od początku wszystkie spojrzenia skierowane były na starego gospodarza. Nikt nigdy nie wiedział dobrze, na którym stołku z nim siedzi. Adelajda zagryzła usta, ażeby się nie uśmiechnąć. Nawet ci obcy ludzie z wielkiego świata są po wczorajszym wieczorze i dzisiejszym ranku pod urokiem i wpływem starego Daga. Siedzieli cicho, pełni szacunku dla niego. Wyjątkowo długo ociągał się dziś, zanim podniósł kielich w górę. Na pewno usłyszał coś z tego, co pogadywano niechętnie o zbyt wczesnym, rannym budzeniu, bo miał ucho wyrobione. Pragnął teraz, ażeby przyjazny, uroczysty nastrój zapadł im jak najgłębiej w duszę.

W końcu podniósł kielich i powiedział jak zwykle parę słów na początku świątecznej uczty. Podziękował im za to, że nie zlekli się dalekiej drogi do kościoła i uszanowali tradycje dworu. Upomniął ich, ażeby tu przy tym stole podziękowali z głębi serca Panu za Jego hojne dary. Uśmiechnął się wzruszony, wypił za zdrowie gości i postawił próżny kielich.

Potem już nie hamował wybuchów wesołości, która ogarnęła towarzystwo po wypiciu sporej ilości wódki i mocnego piwa. Gwar i śmiech, jak już tylokrotnie, wypełniały wszystkie pokoje.

Adelajda zrozumiała dobrze, co stary miał na myśli, każąc dziękować Panu Bogu za szczodre dary na tym stole.

Tutaj w tym dworze wszystko miało swoje pradawne znaczenie.

14

Stary Dag pomimo okazywanej radości miał i nieco trosk tej zimy. Z uwagi na dobre żniwa, a także i dlatego, że pieniądź papierowy tracił coraz bardziej na wartości, okoliczni mieszkańcy starali się na gwałt odzyskać swe majątki, pozostawiane z powodu ciężkich czasów. Płacili garściami bezwartościowych banknotów. Sto talarów miało wartość paru szylingów.

Stary wspomniał srebrne talary, piękne, nowe pieniądze, którymi płacił w swoim czasie, hipotekując się na tych dworach.

Gdy robił owe transakcje, był jeszcze bardzo nieustępliwy. Dewiza jego brzmiała: „Prawo jem bez względu na okoliczności”. Nie miał dla płatnika litości, nawet jeśli on o nią błagał. A obecnie już dwa razy się zdarzyło, że ktoś od niego odkupił jeden z dworów, dając mu w zamian stos bezużytecznych papierków. I tu prawo było prawem, bo na tych papierkach były numery seryjne, państwowe. Niczyja wina przecież, że straciły na wartości. Możliwe, że czekają go jeszcze inne podobne wypadki: wiedział, że istnieje prawo odkupu majątku dziedzicznego w ciągu piętnastu lat, a wiele z tych posiadłości należy krócej do niego. Przede wszystkim myślał o Borgland, najpiękniejszej posiadłości, położonej w dolinie, którą przed dwoma laty zaledwie nabył. Mieszkał tam jeszcze dawny właściciel, pułkownik von Gall, ze swoją córką znaną ze złego charakteru; przed wielu laty była powodem śmierci starszego syna Daga, Torego, w czeluściach wąwozu Jomfrudal. Dag dał się skusić i umieścił tam na pierwszej hipotece znaczny grosz. Następnie kazał – „dla pewności”, jak twierdził adwokat – przepisać rezydencję na swoje nazwisko.

Przez dwa lata wysyłał tam wiele koni i silnych robotników wraz z narzędziami i sprzętem rolniczym i kazał im pracować nie tylko w czasie sezonów, ale przez cały rok. Na jego rozkaz kopano rowy i kanały i w ogóle wszystko zaniedbane doprowadzono do porządku. Rezultat był taki, że ostatnie zbiory z niezmiernie rozległych pól i łąk wprowadziły go w podziw, a zarazem w lęk.

A teraz, ledwo zdołał jakiś ład zaprowadzić i wykarczować ogromne przestrzenie, miałyby to wszystko stracić wraz z tym, co włożył w ziemię? Teraz rozumiał, że nonsensem było wplątywać się w interesy na tak wielką skalę. I tak miał dosyć, posiadając samo Björndal i bezkresne lasy. Ale przewidywał pewnie, że może więcej chłopców urodzi się w Björndal. Najstarszy odziedziczyłby Björndal w całości – a drugi miałby Borgland. A trzeci i następni, gdyby się zjawili, otrzymaliby części swoje w różnych punktach na południu kraju.

Myśli ojca Daga szybowały na orlich skrzydłach. A teraz, kiedy pierwszy dziedzic był już na świecie, dziedzictwa zaczyna ubywać, wymyka mu się ziemia po kawałku z rąk.

W owym okresie opowiadano sobie na posiedzeniach w gminie kościelnej i w okolicy, że stary Dag papierowymi pieniędzmi zapala sobie fajkę i że w mankietach nosi fidybusy ukręcone z banknotów.

Byli tacy, którzy twierdzili, że robi to dla żartów, mając tego śmiecia za dużo; inni znów, że pragnie zakpić sobie z rządu, paląc bezwartościowe asygnaty. Ale nikt nie przypuszczał, że mógł zapalić fajkę wszystkimi pieniędzmi otrzymanymi za jeden z dworów, który dawni właściciele od niego odkupili.

Tak, była to wielka nieostrożność wpakowanie się w tak wielkie interesy.

Minęła zima, nadeszła wiosna 1811 roku. Na dawnych, zasłanych kwiatami łąkach w Borgland wschodził owies. Kazał go tam posiać stary Dag. Wyobrażano już sobie przestrzenie pokryte zieloną runią, ale w pierwszych tygodniach kwietnia było to jeszcze niemożliwe. W stodołach leżały wielkie brony o grubych, żelaznych zębach i silnych kratkach; były tam też ciężkie pługi ze specjalnego żelaza ze stałą, inne niż wszystkie dotychczasowe; były to nowe nabytki, zakupione przez zapobiegliwego gospodarza björndalskie konie robocze, nawykłe do wyciągania obładowanych mocno wozów na każdym terenie, nie chwiały się w kolanach na wilgotnej borglandzkiej ziemi. Żwawo ciągnęły pługi i brony, pomimo że były cięższe niż normalnie i głęboko zapadały się w ziemię.

Nadchodziła pora, kiedy to ekonom miał się udać do Borgland z końmi i ludźmi i kierować nimi w starej posiadłości rodziny Gallów. Zazwyczaj stary pułkownik, drżąc na całym ciele, obserwował te nowe rządy swego następcy przez dziurę w płocie, a córka jego, panna Elżbieta, spoza firanki swojej komnaty.

Pułkownik Gall, od czasu gdy dwa lata temu musiał się udać do Björndal i prosić o pieniądze starego Daga, ażeby ratować nimi zaprzepaszczoną hipotekę, bardzo się zestarzał, głównie od chwili, gdy się dowiedział, że stary Dag sam przejął hipotekę. Wprawdzie mógł mieszkać sobie spokojnie nadal w Borgland i żywić się produktami rolnymi i tym wszystkim, co mu dawało gospodarstwo domowe, bez kłopotania się o późniejszą zapłatę. Noga starego Daga nigdy nie przestąpiła jego progu. Ale dawnego właściciela już tamto nieszczęście załamało, a wieść o przejęciu całej hipoteki przez Björndal zabrała mu resztki sił. Również i piękna, światowa niegdyś, panna Elżbieta od tej chwili nie wychodziła z domu.

Było to około połowy kwietnia; słońce już przygrzewało, po jasnym niebie przeciągały przejrzyste pasma obłoków. Wyglądały tak, jakby łączyły brzegi ziemi z nieskończonością nieba. Bardzo wysoko, tak że ich widać nie było, śpiewały skowronki. W przyrodzie wszystko się poruszyło, budziło do nowego życia, ziemia jakby fermentowała, a wody, tryskając licznymi szczelinami, sączyły się we wszystkich rozpadlinach i dołach.

Stajenny borglandzki przyprowadził kasztana panny Elżbiety przed portal. Koń był osiodłany. Stajenny z całej siły cesał go, przyglądał i rozcierał, ale wobec tego, że zwierzę całe dwa lata stało w stajni bez ruchu, trudno było sierść jego doprowadzić do połysku. Nogi miało biedne konisko zeszywniałe, jakby ich nigdy dotąd porządnie nie stawiało. Dano chłopcu znać w kuchni, że jaśnie panienska pragnie wyjechać. „Też pomysł! Dwa lata nie jeździła, więc mogłaby i nadal człowieka zostawić w spokoju” – myślał sobie chłopak, trzymając konia za uzdę. Starał się przy tym o równie dziarską postawę jak dawniej.

Spojrzał ukradkiem na pannę Elżbietę, gdy jak zwykle zbliżyła się dumna, zarozumiała i bez słowa powitania wsiadła na konia.

Nagle smagnęła go szpicrutą. Uczuł piekący ból koło ucha. Spytała go wyniośle:

– Co? To według ciebie nazywa się oczyszczeniem konia?

Znów smagnięcie, ale tym razem konia; widocznie jednocześnie i ostrogi musiały mu dobrze wejść w boki, bo wierzchowiec drgnął, podniósł łeb i zarżał żałośnie. Następnie starał się zeszywniałymi nogami ruszyć z miejsca. W końcu mu się to udało. Ruszyli przez podwórze w stronę alei.

Stajenny roztarł sobie ucho i patrząc za nią, rzekł mniej więcej to samo, co ten Lorenc na pół wariat, brat pułkownika, który tu latał dawniej niby pokutująca dusza: ażeby ją tak kiedy żywcem diabli porwali!

Panna Elżbieta tymczasem spotkała na końcu alei bladą, biednie ubraną córeczkę jednego ze Smolarzy. Mała na pewno już niejedno o jaśnie pannie słyszała, gdyż ujrzawszy ją uciekła, nie ukłoniwszy jej się nawet. Ale panna Elżbieta ściągnęła cugle i zawołała: – Stój!

Dziewczynka zatrzymała się i w tej samej chwili dostała szpicrutą po uszach; bolało ją tak silnie, jakby jej uszy odcięto... Grube pręgi widać było na policzkach i szyi pod cienkimi warkoczykami. Krzyczała rozziewając, a panna Elżbieta wyprostowała się na siodło:

Następnym razem już mi się ukłonisz, przypuszczam! Po czym dała koniowi ostrogę i pojechała truchtem dalej na rozslonecznione wiosną, pełne kwieciami błonia, wyprostowana i piękna. Tak, piękna jeszcze, mimo że dwa lata nie wychodziła z domu.

Na podwórzu stajenny, trzymając się za ucho, szedł w kierunku stajni. Co mają oznaczać te wszystkie zmiany, które zaszły tu w ciągu ostatnich tygodni? Przez dwa lata ten wariat Lorenc chodził wszędzie, gdzie mu się tylko podobało, przebywał w stajni, w czeladnej, bawił wszystkich swym zwariowanym gadaniem, a tu nagle od Bożego Narodzenia trzymają go jak dawniej w zamkniętej komorze i wolno mu tylko raz dziennie z samego rana, kiedy jeszcze wszyscy śpią, wyjść na spacer do ogrodu. Pułkownik przez te dwa lata przemykał się jak cień tylko, a obecnie zaczyna się wszędzie pokazywać. Przychodzi do stajni, ogląda stare narzędzia i konie, których nie zdołano jeszcze sprzedać, i każe wszystko doprowadzić do porządku. A tej diablidy zachciało się nagle jak dawniej jeździć konno.

W ostatnich latach dawni właściciele Borgland nie utrzymywali z nikim stosunków. Odsunęli się od ludzi ze wstydu po utracie całego majątku, a także i dlatego, że musieli żyć z łaski starego Daga. Nic dziwnego, że nie mieli najmniejszego pojęcia o tym, co się w świecie dzieje. Ale minionej jesieni odwiedził ich przypadkowo znajomy urzędnik z południa; od niego się dowiedzieli, że obecnie zupełnie prawnie, za zwrotem sumy zahipotekowanej, majątki dziedziczne wracają do dawnych właścicieli... A pieniądź to fraszka! Tak łatwo go obecnie zdobyć.

Pułkownik, złamany i przygnębiony, w głębi duszy mógł się czuć lepiej, od czasu gdy zarząd tym wielkim majątkiem spoczywał w rękach człowieka tak silnego i solidnego. I miał na tyle zdrowego rozsądku, aby sobie zdać sprawę, że nawet jeśli łatwo byłoby zdobyć pieniądze na wykup majątku, wiele ich jeszcze będzie potrzeba na uruchomienie gospodarstwa. Inwentarz żywy wyniszczony zupełnie; co było dobre, w swoim czasie sprzedano. A sprzęt rolniczy? Stary, w fatalnym stanie. Budynki zapadają się jeden po drugim. Jest to zresztą normalna kolej rzeczy tam, gdzie właściciel biednieje i nie ma na inwestycje. Ażeby to wszystko doprowadzić do porządku, trzeba dużo pieniędzy, i to nie tylko nic niewartych papierków, które ledwo wystarczą na odkupienie majątku. Tu trzeba wielkich sum, i to według kursu wartości w danym dniu.

Ten stary Björndal tak bardzo przyzwyciwe z nimi przez cały czas postępował. W owym pierwszym nieszczęsnym roku pozostawił do ich dyspozycji wszystkie zbiory, a poza tym przychodził im chętnie i wydatnie z pomocą. W drugim roku, w którym były pomyślne zbiory, prawie niczego dla siebie nie żądał, tak że mieli wszystkiego w bród. Pułkownik wychowany był w tradycjach wysokiego poczucia rzetelności, przekazanego mu przez pokolenia szlachciców wykonujących ściśle swoje zobowiązania. Wiedział dobrze, czym była dla jego posiadłości pomoc, którą dawał Dag w ludziach, koniach i narzędziach. Jego duma wzdragała się nawet przed przyjęciem tego wszystkiego, co było ponad zapłatę w dobrej monecie długów hipotecznych. To miało lekki posmak nieuczciwości. Ale córka namawiała go do tego, podburzała dzień i noc, aż w końcu uległ i napisał list do Daga z zawiadomieniem, że odkupuje swoje dobra. Bojąc się, ażeby ojciec się nie rozmyślił, panna Elżbieta list zabrała i od tygodnia trzymała go u siebie w przechowaniu.

Widziała z bidań ojca, że brak im wielu najpotrzebniejszych rzeczy w gospodarstwie, i powzięła postanowienie: nie wyśle tego pisma wcześniej, póki Björndal nie skończy tu zasiewów wiosennych. Nawet jeśliby wówczas rościli sobie pretensje do zbiorów – nie wie dokładnie, czy istnieje takie prawo – to przynajmniej będą nadal rolę drenować i ulepszać, jak robili to dotychczas, a ojciec zyska na czasie dla zdobycia pieniędzy na kupno bydła i sprzętu.

Postanowiła aż do wysłania tego pisma nie opuszczać domu, ale dziś właśnie tak piękny dzień wiosenny... Upajała ją nadzieja, że stanie się z powrotem panią na Borgland i że jej dawniejsza przyjaciółka Adelajda, będąca obecnie żoną młodego Daga, dowie się o czekającej ją stracie najpiękniejszej posiadłości. Już nie mogła dłużej w domu usiedzieć, gnało ją coś na powietrze, w słońce. Nie mogła oprzeć się chęci przejechania się konno po dobrze znanych drogach i nawiązania kontaktu na nowo z otaczającym życiem.

Elżbieta von Gall, zwana „złą”, skręciła w aleję prowadzącą na północ. Była to droga do Björndal. Różnie mówiono tu w okolicy o Elżbiecie. Czy to nie ona ongiś w księżycową noc pchnęła Torego Björndala na ową straszną ścieżkę, wiodącą w kierunku Doliny Dziewicy? A potem nikt go już więcej nie zobaczył. Towarzyszył jej wtedy również ówczesny adorator, elegancki porucznik von Margas. Miał szpadę przy boku, a Torę Björndal był zupełnie bez broni. Już nigdy porucznik von Margas nie zjawił się w Borgland. Mówiono, że wyjechał za granicę i zginął w armii napoleońskiej. Potem panna Elżbieta zaprosiła na bai brata Torego, młodego Daga. Kokietowała go przez cały wieczór, ale nie zainteresował się nią i pod koniec wieczoru tańczył tylko z Adelajdą Barre, która potem została jego żoną. Tak, tak, różne rzeczy szeptano sobie do ucha o pannie Elżbiecie, o jej diabolicznej złośliwości względem ludzi... Ba, nawet względem niewinnych zwierząt.

Jechała sobie teraz z dumnie podniesioną głową w pełnym słońcu. Ujechała kawał drogi w kierunku północnym. Była krótkowzroczna, ale słuch miała dobry. Właśnie dobiegł ją od strony lasu turkot kół, a wkrótce ujrzała też i wóz. Zawróciła wtedy konia i spokojnie zaczęła jechać tą samą drogą z powrotem. Wóz jechał w ślad za nią i dogonił ją u początku alei, zatrzymała więc konia i czekała, patrząc przed siebie.

Na wozie siedział ekonom z Björndal, Syver Bakpaa; jechał do Borgland, ażeby zapoznać się przed rozpoczęciem prac wiosennych ze stanem narzędzi rolniczych pozostawionych tamtego roku. Takie porządki były wszędzie, gdzie rządził Dag Björndal; zawczasu interesowano się tym, co miało być później potrzebne.

Panna poznała go. Ale i on także wiele o niej wiedział. Rozsiadł się więc z pewną siebie miną w wozie i miał właśnie przejechać bez ukłonu. Spojrzał na nią tylko spoje łba ukradkiem.

Czy on nie może się uklonić? Szpicruta przecięła z sykiem powietrze, ale silny chłop chwycił ją, wyrwał z ręki i połamawszy na kawałki, rzucił w błoto.

Chciał ruszyć w dalszą drogę, ale nakazała mu ostrym tonem, ażeby się zatrzymał.

– Precz, wynosić się z tej alei! – wrzasnęła. – Co on ma tu do roboty?

– Ano – odparł Syver – chciałem tylko obejrzeć narzędzia w szopie.

– Tu już nikt stamtąd nie ma nic do oglądania. Wasze narzędzia wyrzucimy na drogę, niech on wie o tym! Stamtąd możecie je sobie pozbiierać.

Syver obejrzał ją spokojnym wzrokiem od stóp do głowy i z pewnością siebie odpowiedział:

– Ja mam rozkaz od mojego pana i muszę zrobić to, co mi kazał.

Panna uspokoiła konia, któremu z wściekłości wbiła ostrogi głęboko w ciało.

– Niech się stąd wyniesie, i to jak najprędzej. Tu nikt stamtąd nie ma nic do roboty. Powiedz, że wykupujemy majątek, i to zaraz z miejsca. List jest już napisany.

– Napisany może – odparł parobek z wolna – ale nie wręczony, i to nie wręczony we właściwym czasie, a teraz już za późno! – Po czym głośno i daleko splunął przed siebie.

Panna Elżbieta zbladła.

– Za późno? – wyszeptwała.

– No tak, teraz to już trzeba za to płacić prawdziwymi pieniędzmi. Wszystko musi być urzędowo otaksowane. Wczoraj przyszedł do nas list o tym od adwokata. – Po tych słowach przejechał przed nosem panny Elżbiety i ze specjalnym rozmachem skręcił w podwórze Borgland. Wszedł do stodoły, zaczął przerzucać brony, pługi i szpadle, aż się rozlegało. Jeśli stary Dag miał względy dla tych tu ludzi i nikomu nie dokuczał, Syver Bakpaa chciał sam wymierzać sprawiedliwość. Wiedział przecież, z jaką pogardą odnosi się pułkownik i ta jego córka do ludzi z Björndal, w ogóle do wszystkich ludzi. Ach, ta panna, ta diablica! Mało się to o niej słyszało?! Ręce mu się rwały, żeby tę kobietę z piekła rodem porządnie wygrzmocić, i to tu, na poczekaniu! Ale z ludźmi takiej sfery nie da się tego zrobić.

Stary Dag z początkiem wiosny powiedział mu, że trzeba się wstrzymać z pracami wiosennymi w polu, gdyż możliwe, że różne majątki zostaną przez właścicieli odkupione i przestaną do nich należeć. A tu nagle nadchodzi wiadomość z Kopenhagi, że skończyły się rządy papierowych pieniędzy i że ostateczny termin przymusowego przyjmowania wpłaty mija 5 kwietnia. Od tego dnia wszystko musi być otaksowane wedle prawdziwej wartości. Syver sam według wskazówek starego Daga kierował wszystkim na polach borglandzkich. Wiedział dobrze, że wartość tych ziem jest ogromna, jeśli sprawiedliwie zostaną oszacowane. Wierzył w dobre rezultaty swojej pracy.

Został oficjalnie zmieniony również termin wykupu dóbr dziedzicznych: z piętnastu lat przesunięto go na pięć. Toteż ten pułkownik i ta zarozumiała koza szczezną, zanim w ciągu trzech lat, których brak do terminu, zbiorą tak wielką sumę! Dla tych ludzi i podobnych im, Syver nie miał żadnej litości ani względów. Podczas pracy palił fajkę i hałasował, jakby to on był panem i władcą w Borgland.

Okazało się potem, że to, co Syver powiedział, jest prawdą w każdym punkcie. Panna Elżbieta posłała specjalnego posłańca do wójta w dolinie i otrzymała odpowiedź, że za długo czekała z wymówieniem. Ta wiadomość zwała ją z nóg, długo nie opuszczała łóżka. Wiadomość ta dotknęła również pułkownika, bo zżył się już z myślą, że majątek wraca do niego; jednakże następnego dnia widziano go, jak spacerował sobie po ogrodzie, pogwizdując jak za najlepszych czasów...

Syver bardzo był ciekaw, czy stary – gdy mu zda relację po powrocie do domu z owego zajścia z tą złą panną – wpadnie w gniew i wyrzuci byłych właścicieli.

Ale nie. Dał pułkownikowi przyrzeczenie, że do końca życia będzie mógł siedzieć w Borgland. Ani mu przez myśl nie przejdzie, ażeby złamać dane już raz słowo.

Syver opowiadał potem o tym zajściu bez specjalnej gwałtowności. Gniew wyszumiał z niego w Borgland przy pracy, toteż zdał tylko raport z tego, co się zdarzyło.

Po nowych zarządzeniach w sprawie odkupienia majątków dziedzicznych, stary Dag stał się znowu spokojny i łagodny; powiedział na zakończenie Syverowi:

– Możesz się kłaniać z całym szacunkiem staremu pułkownikowi, przecież to dawny żołnierz!

W Borgland przestało się mówić o wymówieniu i zwrocie posiadłości. Wiosną, jak zazwyczaj, ziemię borglandzką uprawiali ludzie z Björndal. Zjawili się z ciężkimi pługami o stalowych ostrzach i bronami i orali glebę głębiej, niż to bywało za dawnych czasów, przed Dagiem.

Pułkownik z melancholijnym wyrazem twarzy stał w ogrodzie ukryty za krzakami i przyglądał się pracy wykonywanej na ziemi, która była jego rodową własnością, a na górze w komnacie panny Elżbiety poruszyły się ukradkiem firanki u okien.

Ojciec Dag teraz już nie był niezadowolony z zarządzeń prawnych w kraju ani z samego rządu. Już nie zapalał fajki za pomocą papierowych pieniędzy.

Zbiory tego roku były świetne. W Borgland – nawet wyjątkowo udane.

Późną jesienią w Björndal przyszedł na świat drugi syn.

15

Ludzie mówili o Krzysztofie Tuvie, wiejskim poborcy, że to po prostu opryszek. Posiadał dwa gospodarstwa i w każdym żonę. Mówiono, że z jedną się rozwiódł, ale pomimo to żyje z nią nadal.

Przypisywano mu jeszcze poza tym awanturki miłosne z różnymi innymi kobietami. Gdy miał dość rozpusty, zaczynał grać w karty i upijał się. Opowiadano sobie, że zapraszał ludzi z ulicy i naprzód upijał, a potem ogrywał ich w karty. Gdy ludzie przychodzili do niego w celu zapłacenia podatków albo długów, częstował ich wódką i grał z nimi w karty; po powrocie do domu okazywało się, że nie tylko nie mieli pieniędzy, ale byli winni więcej niż przedtem.

Poborca Tuv miał olbrzymiego psa, którego nauczył różnych sztuk. Opowiadano sobie niestworzone historie o tym szatańskim kundlu, ale tego psa nikt nigdy w dzień nie widywał. Dopiero późnym wieczorem, gdy grano w najlepsze i ludzie popici na umór hałasowali niemiłosiernie, gdy wszystko tonęło w oparach dymu gęstego jak mgła, wyłaniał się z jakiegoś kąta niby potworna zjawa i kładł się pod stołem, przy którym siedzieli grający.

Poborca kierował do niego fabryczne formułki, a ten od razu najeżał się i wył ohydnie. Był przy tym tak jeszcze wytresowany, że się nagle robił potwornie wielki i unosił w górę cały stół z kartami. Ci, którzy to po raz pierwszy widzieli, uciekali jak od diabelskich sztuk, zapominając w pośpiechu zabrać wygrane pieniądze, a gdy wracali po chwili – pieniędzy tych już nie było. Niejednego nieszczęścia był przyczyną ten poborca: tego rozpił, tamten stracił przez karciarstwo dwór i ziemię. Byli i inni urzędnicy w tej okolicy, ale czy można było skarżyć się na poborcę i żądać wglądu w jego sprawy, jeśli się własnych w porządku nie miało?

Do starego Daga często przychodzili ludzie z różnych stron, i długo gadając, prosili o małą pożyczkę. Pozwalał im się wypowiedzieć, słuchał uważnie i brał pod uwagę nie tylko słowa, ale i ton, pragnął wyczuć kiedy mówili prawdę. Siadał wtedy naprzeciwko nich i bacznie im się przyglądał. I przeważnie każdemu przychodził z pomocą, szczególnie w ostatnich latach, ale jeśli ktoś wydał mu się nie dość pewny, żądał gwarancji hipotecznej. Niejednego próżniaka pobudził swym przykładem do pracy. Pomimo podeszłego wieku widywano go ze swym koniem stale i wszędzie, bez względu na porę roku i pogodę. Był zawsze ciekaw, na co zostały zużytkowane pieniądze dane przez niego. Jego upomnienia i wskazówki przynosiły nieraz lepsze skutki niż pomoc finansowa. Był dzieckiem dawnych, twardych czasów, człowiekiem urodzonym na leśnym osiedlu. Spędził wiele lat swego życia na wietrze i zimnie. Zahartował się i zebrał dużo doświadczeń – jedno z nich pochodziły z własnych przeżyć, ale większość brała źródło ze skarbcza mądrości przekazanej mu przez ojca, a zdobytej ciężką pracą przez wiele pokoleń.

Pomiędzy proszącymi o pomoc znalazł się najpierw jeden, potem drugi, który mu opowiadał o poborcy, jego pijatykach, potwornym karciarstwie i psie. Gdy o nim powtórnie usłyszał, gwałtownie zareagował, ale był już stary więc później widocznie o tym zapomniał.

Któregoś dnia ojciec Dag siedział przy stole koło okna. Przerzucał stare papiery i może przypomniał sobie Klingego, bo się zamyślił, oparłszy brodę na rękę patrzył przez okno na pola w jesiennej szacie. Przygasła fajka leżała na stole, dym z niej ciągnął się wąskim pasmem do kominka i tam przepadał.

Nagle ktoś zastukał do drzwi sieni. Panna Kruse wprowadziła jakąś kobietę, która tu przywędrowała z dalekiego południa, aby pomówić z Dagiem. Dygnęła raz przy samych drzwiach, a gdy panna Kruse wyszła, w dygach przemaszerowała przez pokój, aż w końcu usiadła na krześle, które jej stary Dag wskazał. Zwrócił się ku niej na obracanych krześle, sporządzonym według rysunku i wskazówek kapitana Klingego. Po długim wstępie wreszcie powiedziała, co ją tu sprowadza.

Nie miała odwagi spojrzeć Dagowi w oczy. Nerwowo poruszała spracowanymi rękami. Bezustannie szarpała i gładziła fartuch. Mówiąc, kiwała się to w jedną, to w drugą stronę.

Wszystko, co miała do powiedzenia, dotyczyło poborcy. Mąż jej wpadł w ręce tej bestii. Siedzi tam teraz u niego, pije i całymi dniami gra w karty. Nie ma odwagi odmówić poborcy dalszej gry, bo jest zadłużony po uszy, musi więc grać dalej. A gdy czasem nawet coś wygra, to twierdzi, że pieniądze wtedy znikają, a to diabelskie nasienie, kundel, wałęsa się po pokoju z tak niesamowitym wyglądem, że mąż jej na pół żywy ze strachu wraca do domu. Teraz zaczęła się nowa tura i trwa już trzy noce i trzy dni...

– Bóg raczy wiedzieć, jak to się skończy! – Tymi słowami zamknęła biedna kobieta tę smutną opowieść.

– Tak, Pan Bóg wie o wszystkim, możesz tego być pewna, moja kobieto! – odparł surowo stary Dag.

Te ostre słowa wypowiedział tak donośnie, że kobiecina na wskroś przejęta własnym nieszczęściem, drżała na całym ciele i zerwała się z krzesła. Zakłopotana, zaledwie mogła utrzymać się na nogach, oczy jej latały z wylęknienia, wówczas Dag już zupełnie spokojnie spytał, czy i dzisiaj tamci dwaj będą grać w karty?

Kobiecina odrzekła, że jeżeli poborcę ogarnie szal, to może to potrwać i cały tydzień.

Stary Dag nie znał tej kobiety, ale domyślił się zaraz, kto jest jej mężem. Już dwa razy próbował go sprowadzić na drogę obowiązku, darując mu dług, udzielając mu pomocy przy zwózce, napominając go i okazując surowość.

Dag pogładził się po włosach. Delikatna skóra na bliźnie przy skroni – pamiątka z bijatyki z lat młodości – drgnęła i pulsowała. Ściągnął usta, stały się one zupełnie wąskie, wysunął naprzód podbródek.

– Zanim zaprzęgnę konie, możesz iść do kuchni; tam ci dadzą coś do zjedzenia – powiedział.

– Oby mi Bóg był miłościvi – zawołała kobieta. – Chyba nie masz zamiaru jechać do poborcy, na Boga! Wtedy by tam poszło wszystko na śmierć i życie.

Usłyszała już tylko, jak drzwi trzasnęły za gospodarzem. Zakłopotana odwróciła się i w końcu idąc za nim, wyszła na korytarz, trafiła do kuchni i tam porozmawiała chwilę z panną Kruse.

Stary odwiózł kobietę do domu. Zapadł wieczór. Podczas jazdy zaklinała go na wszystkie świętości, ażeby nie jechał teraz do poborcy. Lepiej w dzień, i to z kimś, ażeby z jej powodu nie wpakował się w jakieś nieszczęście. Poborca to nie prywatna osoba, tylko władza, a w skórze psa diabeł siedzi.

Dag uwiązał konia przy bramie i szedł po ciemku błotnistą ścieżką, prowadzącą do domu poborcy. Światło przedzierające się zza ciemnych zasłon, ochryple głosy i walenie pięścią w stół zdradzały, gdzie odbywa się gra w karty. Wymacał drzwi wejściowe, które nie były zamknięte, i szedł dalej za dochodzącymi głosami. Ze względu na psa miał zamiar wziąć ze sobą pistolet i siekiere, ale zaniechał tego zamiaru. W młodości swej kiedyś bez broni omal nie stał się mordercą. Musiał więc uważać. Doszedł po omacku do kancelarii i otworzył drzwi.

Ujrzał rozpaloną twarz poborcy i błędne spojrzenie krwią nabiegłych od wódki oczu. Właśnie siedział pochylony w obłokach dymu nad świecą, od której w chwili otwierania drzwi zapalał sobie fajkę.

Nawet w stanie otępienia umysłowego poborca odczuł respekt dla starego Daga, wypuścił fajkę z rąk i siedział sztywno wpatrzony w niego. Trzej inni siedzący wokół stołu również gapili się na drzwi, zupełnie pijani i wystraszeni. Dag wywołał po imieniu męża tamtej kobiety i zażądał kategorycznie, ażeby z nim wyszedł. W tej chwili poborca powrócił jakby do życia. Był niegdyś silny i pomimo łajdaczenia się i upijania, jednak coś z dawnej siły i zawadiactwa pozostało w nim. Zaczął kląć w najbrzydliwszy sposób, bluźnić na całe gardło. Takich przekleństw Dag – póki życia – nie słyszał. W tej samej chwili poborca i jego pies rzucili się na przybyłego. Dag był stary, ale nie miał wódki we łbie. Nieraz w swej młodości bywał w takim położeniu, że musiał staczać błyskawiczne, śmiertelne walki z ludźmi lub z dzikimi zwierzętami. Znalazł się kiedyś w kłębowskiu rozjuszonych wilków, wymachując siekierą i jednocześnie kopiąc nogami. Końce jego butów i obcasy rozdzierały paszcze napastników, a silne uderzenia stóp zmiażdżyły niejedną kość pacierzową rozjuszonego zwierzęcia. Teraz rozległo się tylko jedno uderzenie dłonią, po czym nastąpił głuchy łoskot. Poborca zwałił się na ziemię, porwawszy ze sobą krzesło. Kundel zawył przeraźliwie, tak że echo rozległo się po całym domu. Stary Dag przybliżył się, nadepnął psu na krzyż – skowyt umilkł. Następnie schwycił za kołnierz tego, po którego tu przyszedł, i jednym ruchem wypchnął go za drzwi. Zanim opuścił pokój, strącił świece ze stołu, tak że w pokoju zaległy ciemności. Na podwórzu bił tak długo chłopa, aż ten otrzeźwiał, potem wepchnął go na bryczkę, odwiózł do domu i oddał w ręce żony. Zagroził mu piekłem i Bóg wie jakimi karami, które na niego spadną, jeśli raz jeszcze w życiu przestąpi próg domu poborca, albo gdziekolwiek weźmie karty do ręki.

Poborca nie miał powodu do chwalenia się tym zajściem przed ludźmi, ale tamci, którzy byli świadkami tego wydarzenia po pijanemu, opowiadali na swój sposób o tym, co widzieli. Według nich stary Dag miał połamać wszystkie krzesła, potem rzucił poborcą o podłogę, a psa kopnięciem w krzyż podrzucił aż pod sufit, że biesisko z przeraźliwym wyciem ciało jego opuściło. Uciekając przez ścianę, bies zgasił światło, które paliło się na stole. Tak brzmiała fantastyczna opowieść opojów. Faktem było, że Dag zbił poborcę i w ten sposób raz na zawsze skończył z diabelskim psem i czarodziejskimi praktykami.

16

Zbliżała się wiosna 1812 roku. Nieszczęśliwa była. Padały wciąż deszcze. W niektórych miejscowościach rozpoczęto obsiewanie pól dopiero na Św. Olafa, to jest 29 lipca. Lato również było opóźnione z powodu bezustannych deszczów i burz. I jesień była nieszczęśliwa, tylko zima przyszła na czas, i to sroga. W początkach września pewnej nocy przyszedł mróz i zwarzył całe zbiory, gniły i czerniały. A przecież miały na cały rok starczyć ludności. Na polach bieleł się szron.

Stary Dag pomimo tak obfitych zbiorów przez ostatnie dwa lata – nie sprzedawał zboża. Uważał, że stopy papierowych pieniędzy, które by za nie otrzymał, nie nasyciłyby ani ludzi, ani bydła. Miał jeszcze w pamięci nie tylko głodowy rok 1810, ale również i inne nieudane lata. Wszystko ziarno, które mu pozostało, poumieszczał jako żelazny zapas w spichrzach przy chatach smolarzy znanych z uczciwości.

Wczesnym latem, gdy się zaczęło zanosić na głód, wysłał Syvera Bakpaa, najodpowiedzialniejszy ze swoich ludzi, wraz z kowalem do tych schowków w lesie. Pojechał z nimi również stolarz, wioząc drzwi i zapory ze sobą. Zabito gwoździami wszelkie otwory w tych prowizorycznych spichrzach, powstawiano drzwi, szczelnie pozamykano wszystkie bez wyjątku na wielkie kłódki, a klucze od nich zostały zawieszane na haku w komorze panny Kruse.

W osiedlu björndalskim małe przestrzenie pól położonych na południe od domów i płotów zostały oszczędzone przez mróz, a i kartofle na południowych zboczach też jakoś udało się uratować. W samym Björndal lasy ochraniały dwór i pola od szkodliwego zimna.

Ale na wielkich przestrzeniach Borgland mróz do cna zwarzył zbiory. Wszystko przykrył śnieg.

Ciężki rok! Już od początku zimy widziało się dzieci i dorosłych o żółtych, zapadniętych policzkach i wzdętych brzuchach z głodu, od chleba z kory drzewnej i z wilgoci w pomieszczeniach. Okolicą zawładnęła śmiertelna biegunka, z obór i stajen rozległo się nieznośne wycie bydła, które padało z głodu.

I w Björndal również jedzenia było skąpo. Ojciec Dag zalecił oszczędność, nie wiadomo bowiem było, jak długo to może potrwać.

Ale święta Bożego Narodzenia były obchodzone tak jak zawsze. Naprzód polewki, potem mięso – dużo mięsa ze słoniną. We dworze przedtem sporo szlachtowano; z zalecenia Daga kopano zasadzki na zwierzynę, zastawiano sieci.

– Las da nam ratunek, jeśli się postaramy wydostać z niego to, co posiada – mawiał. Rzeczywiście, las hojnie dawał: zbierano mech i trawę przybagienną, gałęzie i suche liście, łowiono zwierzynę, a także ryby i dzikie ptactwo.

Zjawiali się u Daga wszyscy, którzy mieszkali na jego ziemi, a prawie nikt nie odchodził z pustymi rękami. Przychodzili też ci, którzy podczas inflacji poodbierali od niego swoje dwory. Chcieli za worek ziarna oddać mu z powrotem majątek. Namyślał się stary, pocierając ręką czoło. Ziarna trochę im dawał, ale dworu żadnego nie przyjął. Odpowiadał, że o tym potem się pomówi.

Z woli boskiej działa się klęska, nie wolno więc wykorzystywać nędzy ludzkiej.

Pomimo tak wielkiej przenikliwości w sprawach pieniężnych i gospodarczych, pomimo trafnego wyczuwania tego, co ma przyjść, stary Dag czuł dziecięcą i pobożną ufność wobec tego, który potężniejszy był od niego.

Ale potrzebujących było wielu. Przez całą zimę przychodzili, a tu trzeba było ziarno zostawić na nowe zasiewy.

Gdy nadeszła wiosna 1813 roku, wydobywano ziarno pod zasiew z najtajniejszych schowków: spod obluzowanych desek w stodołach, spod pułapów, z letnich stajen i koryt końskich, z zamkniętych kufrów na ubrania, ze spiżarni. Z nieprawdopodobnych miejsc wydobywano w Björndal to, co miało dać pożywienie na rok następny. Może jeszcze nigdy parobcy pod okiem Syvera Bakpaa nie robili tak głębokich bruzd w ziemi, nie przeorywali ziemi tak dokładnie na wszystkie strony, jak właśnie owej wiosny. Nie wolno było zmarnować ani jednego ziarna przeznaczonego na siew. Taką wskazówkę otrzymał Syver od gospodarza, a Syver zlecenie to wykonał z całą surowością. Może nawet był jeszcze surowszy od samego gospodarza. Wszystko w rolę wejść musiało, brona wgarniała ziarno głęboko w ziemię. Nie mogły się nim pożywić ani wróble, ani wrony tego roku. Niech raczej później wszędzie, tkwiąc głębiej, ale niech się nie zmarnuje.

Jaki to jednak długi czas musi upłynąć pomiędzy zasiewami wiosennymi a dojrzewaniem zboża! Zwłaszcza dla człowieka, który omal nie umarł z głodu, zanim się do wiosennych prac zabrano. A takich wielu było roku tego w okolicy. Więc zjawiali się w Björndal wszyscy, którzy mieli coś wspólnego z dworem, a także i mnóstwo innych z dalszych okolic. Polegali na starym Daggu, mieli do niego bezgraniczne zaufanie, większe niż do zarządzeń władz, większe niż do króla i rządu.

Tyłu ludziom rozdał tej zimy zboże. Wierzono, że posiada czarnoksiężską siłę.

Dag, pomimo swego silnego charakteru i stalowej woli, miał tę właśnie jedną słabość: nie umiał odmówić człowiekowi, który się zwracał pełen zaufania do niego. A gdy człowiek idzie za popędem serca, nie zawsze działa na własną korzyść. Więc w Björndal w końcu zaczęło się dziać niedobrze. Gdy pewnego dnia Dag zaczął obliczać, okazało się, że zapasy w żaden sposób nie starczą aż do nowych zbiorów na jesień.

Ruszyły więc wozy ze skórkami futrzanymi do miasta, ale za otrzymane pieniądze nie można było dostać ziarna. Nadeszły równocześnie listy z miasta. Stary Dag sam się udał w drogę, bo kuzyn Holder znów nadmienił w liście coś o srebrze w Hamburgu, a srebro oznacza okręty na morzu, okręty zaś to tyle, co zboże z dalekich krajów. Nadarzała się więc nie lada okazja.

Późnym latem, gdy już była taka nędza i głód, że ludzie padali jak muchy po gościńcach, zjawił się w Björndal człowiek z wieścią, iż według umowy z kuzynem Holderem, nadszedł statek. Przywiózł ze sobą cały wóz pszenicy (żyta nie można było kupić) i list od kuzyna: „Konie można wysłać...”

Dag dawnym zwyczajem w celu przeczytania listu podszedł do okna wychodzącego na zachód. Tam list otworzył i przeczytał. Zgniółł go i wrzucił do pustego kominka, a potem z wielkim pośpiechem przeszedł się i wypadł na podwórze. Zaryzykował srebro nie tylko swoje, ale Holdera także, ażeby wysłać okręt na morze – przedsięwzięcie się udało. Wydał parę ostrych rozkazów Syverowi. Nikt może jeszcze w tej okolicy nie widział takiego orszaku: małe, czarne koniki björndalskie ciągnęły długim sznurem, jeden za drugim, na dalekie południe.

Okręt może zabrać z zamorskich krajów niezmierzone ilości zboża. Kuzyn Holder zarobił sporo na tym, a Dag otrzymał tyle, że mu wystarczyło do jesieni, i tyle jeszcze ponadto, że mógł część sprzedać, oczywiście tylko za srebrną monetę. Zaryzykował srebro – udało się! Mniemano, że w kraju nie ma srebra. Teraz okazało się, że na zboże nie braknie talarów. Stary po przeliczeniu miał więcej srebra niż przedtem, a prócz tego wystarczającą do nowych zbiorów ilość zboża.

– Jeszcze raz zaryzykujemy – rzekł kuzyn Holder – można sporo na tym zarobić.

– Nie, mam teraz dość pieniędzy – odparł stary Dag.

Prawdą więc było to, co ludzie o nim myśleli: posiadał czarnoksiężką sztukę. Pomimo wszelkich przeszkód i zakazów ze strony rządu, dostarczał ubogim zboża. W samym Björndal nie było jeszcze najgorzej; ani w gospodarstwach, ani też w chatach smolarzy po lasach. Szczególnie u tych, co mieli schowki, pourządzane latem, zawsze jeszcze trochę ziarna się znalazło, bo stary pan nigdy całych zapasów biedakom nie zabierał.

Ale z nizin, z zapadłych kątów przybywali do niego nędzarze.

– Teraz Dag chyba zechce dać odczuć swoją potęgę – mawiali ludzie.

Może i tego pragnął w głębi duszy. Ale dzięki jego staraniom przyszło to zboże, a zboże oznaczało życie. Nikt nie wątpił, że niejednego uratował od śmierci głodowej.

Po tych wszystkich niepokojach, zmaganiach, udał się na wielką inspekcję lasów. Rozglądał się po nich uważnie. Wyszukał sobie wysokie wzgórze, skąd roztacza się szeroki widok na bory. Ziarno dostał za srebro, srebro za las. Wydał je na ziarno, a potem ono znów wróciło do niego. Las wraca, gdyby nawet wszystek wyrąbać! Jest wieczny jak srebro...

17

Żniwa były dobre, w ogóle wszystko w Björndal układało się według życzenia Daga. Zima 1814 roku była bardzo ostra. W mieście panowała nędza wśród ludności; w Björndal jednakże ciepło było w pokojach, ogień wesoło trzaskał pod kominem jak każdej innej zimy. Przyjechał w odwiedziny major Barre i opowiadał o wielkich wydarzeniach na szerokim świecie i że na północy został zawarty pokój. Przyjechał powtórnie w końcu lutego i opowiadał oburzony, że król w Kopenhadze zupełnie dobrowolnie, bez wojny, oddał Norwegię Szwecji.

– Danii czy Szwecji, to mi wszystko jedno! – oświadczył Dag. Major skoczył jak oparzony.

– Przecież Szwed jest naszym odwiecznym wrogiem – zagrmiał.

– Ba! – odparł stary. – Czasem Szwed nas potłukł, czasem my Szweda, to jest uczciwa sprawa; w książkach historycznych, które tu mam, wyczytałem, że myśmy stale Danię przy każdym zbrojnym zetknięciu tłuki, a pomimo to od stuleci rządzi nami. To jest bardzo niesprawiedliwe.

Major przysiadł zgnębiony; więc i o tym stary wyrobił sobie jasny sąd, i to na podstawie historii sprzed wieków. Major nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

– Ale – rzucił jeszcze major ostatni atut – co to, mieć nad sobą króla szwedzkiego?! – Dla majora przez całe jego żołnierskie życie Szwed był wrogiem. Tego nie może zapomnieć ani przejść tak łatwo nad tym do porządku dziennego. Według niego kumanie się ze Szwedami było przejściem do obozu nieprzyjacielskiego.

– Hm – odparł ojciec Dag ostro – ten Krystian Fryderyk w Krystianii, którego wy tak uwielbiacie, co potrafi? Uganiać się za spółdniczkami. A ten nowy szwedzki Karol Jan przynajmniej proch wachał.

Po tych słowach stary wstał z krzesła. Groźnie zarysowała się jego sylwetka w świetle padającym od kominka i wielki cień na ścianie. W głosie brzmiała nuta powagi i pewności siebie.

– Według mnie powinniśmy być państwem samodzielnym, a jeśli tego nie potrafimy przeprowadzić, to mi jest obojętne mną rządzi ktoś z południa, czy ze wschodu. Tu, w Björndal, jesteśmy panami siebie na własnym gruncie i uważam... zawołamy pannę Kruse i każemy sobie podać wódki. Co?

Przy pierwszej połowie zdania można było wyczuć w głosie surowość, może nawet porywczosć. I dlatego pewnie, że zorientował się, iż zdradza swe najgłębsze dziedziczne instynkty i przekonania, zmienił ton.

Gawędzili przy wódce do późnej nocy bardzo serdecznie. Major jednak nie był tak rozmowny jak zwykle. Był zamyślony. Po raz pierwszy wyszło na jaw coś z prawdziwych zapatrywań i charakteru u starego Daga, to, co drzemało w głębi duszy pod pozorami spokoju i umiaru. Dotąd major nigdy się nad tym nie zastanawiał. Ale zrozumiałe było, że w człowieku, który tyle zdziałał w życiu, kryć się musiały jakieś utajone siły.

Major spotykał się już nieraz z tym zdaniem, że Norwegia powinna się oswobodzić się tak z południa, jak i ze wschodu i zrzucić z siebie obce jarzmo. Dotąd traktował to jako patetyczno-patriotyczne frazesy. Ale słowa Daga wypowiedziane z dzikością odwiecznego instynktu miały moc przekonywającą. W jego kołach wielu ludzi wiedziało o Dagu Björndalu. Będą radzi więc dowiedzieć się, że takiego zdania jest ten potentat. Doda im to otuchy pośród ogólnego zwątpienia.

Zresztą poza tym wypowiedzianym wówczas zdaniem, pozornie stary Dag coraz mniej interesował się tym, co się działo gdziekolwiek poza Björndal.

Wnukowie mieli już: jeden trzy, drugi dwa lata. Starszego wszędzie było pełno, a mały na nieco okrągłych nóżkach toczył się krok w krok za nim i swój szczebiot mieszał do rozmowy starszych. Dziadek często o z nimi przebywał, starał się wniknąć w ich sposób myślenia; mógł ich więc zrozumieć i dogadzać im. Stangreci przywozili z miasta rozmaite przysmaki. W sobotę wieczorem zasiadał z nimi w wielkiej sieni przed kominem, każdego mając na jednym kolanie, rozdzielał łakocie, które wyjmował z kieszeni, i opowiadał im bajki. Starał się tak mówić, ażeby choćby tylko starszy mógł za nim podążyć. Oczywiście, Adelajda również słuchała, siedząc z jakąś robotką w wielkim fotelu przy ogniu.

Ale jeśli młody Dag czasem bywał przy tym, staremu jakoś opowiadanie bajek nie kleiło się... Ojciec i syn czuli się nadal onieśmieleni, jeden wobec drugiego. Stary skontatował, że własnym synem nigdy właściwie bardzo się nie interesował. O ile miłsze było życie teraz z tymi bębami w ponurym dworze.

Adelajda czuła się bardzo szczęśliwa, że ma takie udane dzieci i że dziadek ma tyle z nich radości; i z tego też, że mąż jej obecnie coraz częściej przesiaduje w domu. Rzadko kiedy bywa teraz w starej oficynie, coraz więcej broni i narzędzi pozawieszał w swej komodzie obok jej pokoju. Zaczął się również interesować jej książkami i niejedną wieczór spędził przed kominkiem na czytaniu. Obaj malcy zawsze radośnie go witali, gdy wracał z lasu. Łóżko starszego wstawiono do pokoju ojca. Rano, jeśli Dag był w domu, malec wędrował do niego i przytulony do szerokich pleców ojca, przesypiał błogo jeszcze parę godzin.

Pomimo że Dag nie okazywał swych uczuć, Adelajda zauważyła, że chłopcy byli powodem, iż coraz częściej przebywał w domu. Pierwsze i ostatnie spojrzenia zawsze miał dla chłopców, a gdy sądził, że Adelajda tego nie widzi, brał malców na kolana i oglądał z całą ostrożnością ich rączki i nóżki. Nie mógł się nadziwić, że wszystko u małego człowieka takie małe, a tak zgrabnie uformowane.

CZEŚĆ DRUGA

18

Szczęście nawiedza ludzi, kiedy chce... Niestety to gość! Nikt nie wie, kiedy się zjawi, kiedy odejdzie. Adelajda, jak zresztą każdy, po latach młodości pełnej troski marzyła o cichym, spokojnym szczęściu. I spełniło się to, czego pragnęła, nawet w szerszym zakresie, niż śmiała sobie wyobrażać. Ale tego trwania nie była pewna. Podczas najszczęśliwszych chwil przeszywał ją dreszcz niepokoju, obawiała się czegoś, bo życie zawsze nie może pozostać tak piękne.

Gdy się zastanawiała, dlaczego nękają ten niepokój, nie była w stanie wytłumaczyć sobie, jakie niebezpieczeństwo jej grozi. Przecież pod osłoną starego Daga człowiek jest tak jakoś szczęśliwie ukryty przed srogością losu...

W początkach marca zachorował młodszy chłopiec, leżał rozpalony w łóżeczku i wciąż przywoływał matkę, a gdy milkł, pozostawał w zupełnym odurzeniu. Męczył go silny kaszel, wstrząsał jego drobnym ciałkiem. Wił się jakby w jakichś kurczach. W końcu umarł mały synek Adelajdy. Trudno wyrazić słowami rozpacz tych trojga ludzi dotąd tak bardzo szczęśliwych w Björndal.

Adelajda dzień i noc nie odchodziła od łóżeczka chorego dziecka. Stary i młody Dag jak bezradne, spłoszone zwierzęta kręcili się wkoło i przystawali u wezglowia małego łóżeczka.

Wezwano lekarza z południa, ale sztuka lekarska nic tu pomóc nie mogła. Wszelkie stosowane środki zawodziły.

Któregoś wieczoru Dag wrócił z krótkiej wycieczki do lasu i zastał Adelajdę przy łóżku starszego syna. Wstrząsało nią łkanie.

Okazało się, że chłopiec poprzedniego dnia był jakiś nieswój, marudny, następnego rana jakiś niewyraźny, a oto wieczorem drzemie lub na przemian krzyczy wniebogłosy. Ma silną gorączkę.

Z trudem zdołała to wśród łez Dagowi opowiedzieć. Bez słowa wybiegł i wydał zlecenie Syverowi: jechać bezzwłocznie po lekarza!

Od tej chwili Adelajda i Dag nie opuszczali ani na moment chorego dziecka. Czasem wchodzili i wychodzili zupełnie bez zmysłów. Również i dziadek siadywał przy nim, on, który zwykł każdą wolną chwilę spędzać nad książkami modlitewnymi przy zachodnim oknie w starej izbie. Lewą ręką tarł nerwowo czoło. Włosy miał w nieładzie, opadały kosmykami na wszystkie strony. Od czasu do czasu wyjmował chustkę, ocierał nią oczy lub nos, czasem robił to nawet ręką. Dziwnie się zestarzał i zgarbił przez te dni.

Adelajda w ukryciu płakała rozpaczliwie po stracie swego młodszego synka. Czasem nie była w stanie powstrzymać łez nawet wobec ludzi. A teraz rozpaczała i zawodziła niepoohamowanie, bez względu na to, czy ją ktoś słyszał, czy nie. Ból i rozpacz złamały ją zupełnie przy łóżeczku chorego dziecka. Nie dały się opanować ani wrodzonej dumie, ani dobremu wychowaniu. Lęk i rozpacz brały górę.

Również i mąż jej w owych dniach nieraz musiał się odwracać, żeby ukradkiem ręką obetrzeć oczy. Poduszka niejednokrotnie rano bywała mokra od łez.

Któregoś wieczoru Adelajda padła zemdlona przy łóżku dziecka. Nie obudziła się nawet, gdy ją Dag podniósł, zaniósł do łóżka i okrył. Przemęczenie ją zmogło: dzień i noc czuwała przecież bez odpoczynku.

Tego samego wieczoru syn i ojciec siedzieli przy łóżeczku. Z wolna mijała noc. Na stoliku przy łóżku paliła się świeca w niskim, żelaznym lichtarzu. Stał trochę krzywo. Kawałek palącego się knota wpadł w roztopiony, ściekający jednym bokiem łój. Młody Dag siedział tyłem do światła. Stary tępym wzrokiem wpatrywał się w smutnie płonąca świecę, wsłuchując się pilnie w krótki, urywany oddech dziecka. Zapatrzył się jak urzeczony w dwa światełka. W pewnej chwili ów kawałek knota opadł na dół i palił się jak druga świeca. Nie przedostawało się to jednak do jego świadomości. Nawet nie pokwapił się, ażeby zagasić niepotrzebny płomyk... Nie zgasił knota, a płomień wżerała się w świecę coraz głębiej, stapała ją, zaczęła się zginać. Stary podniósł głowę i rozejrzał się wkoło przerażonym wzrokiem. Świeca wypadła z lichtarza. Paliła się jednocześnie z obu końców. Śmiertelny lęk go ogarnął. Nie miał siły, ażeby wstać i włożyć świecę do lichtarza.

Przypomniał sobie nagle jedno z powiedzeń Ane Hamarbö, zaczerpniętych z zabobonów ludowych: – Jeśli się świeca na obu końcach pali, znaczy to: śmierć w pobliżu! – Stary Dag nie był w stanie spojrzeć ani na syna, ani na łóżeczko. Wpatrywał się tylko w świecę, która się z wolna roztapiała. Oba płomienie migotały, to przygasając, to znów rozbłyskując jaśniejszym światłem. Jednocześnie pilnie nadstawał uszu w kierunku łóżeczka. Cicho było, ani najłżejszego szmeru...

Nagle syn zerwał się i pochylił nad dzieckiem. Zgasło i ono – życie synka. Spojrzał na półotwarte usteczka. Wargi rozchyłał męczeński uśmiech. Dziwnie biało połyskiwały zęby w rozwartych szczękach. Oczy białkami patrzyły spod na pół przymkniętych, sinawych powiek. Jasne włoski poprzylepiały się do czoła i skroni. Cała twarzyczka była taka jakaś bezbronna, wyczerpana, zmęczona.

Podniósł się wreszcie i ojciec Dag. Wystarczył mu krótki rzut oka. Szybko się odwrócił i pośpiesznie opuścił pokój, rozpaczliwym ruchem zakrywszy twarz rękami. Młody Dag stał długo przy łóżku swego syna, łzy ciekły mu po twarzy i spadały na prześcieradło. Świeca jeszcze wciąż się paliła, łój rozlał się po stole, w końcu płomień objął drzewo stołu. I zanim się spostrzegł, w pokoju rozszedł się zapach spalenizny.

Kiedy Adelajda obudziła się, uprzytomniła sobie, że spała w chwili, gdy jej synek wydawał ostatnie tchnienie. Pod wpływem tej nagłej świadomości zatraciło się w niej wszelkie człowieczeństwo, wyglądała jak dzikie zwierzę, które skulone nad swym nieżywym małym, wyje z przejmującego bólu.

Zjawiła się Unn tak jak przy narodzinach i śmierci tamtego dziecka. Zarządziła wszystko, mając do pomocy pannę Kruse i Syvera Bakpaa. Ułożyła małego na katafalku.

Tak się zaczęła w Bjørndal jesień 1914 roku. Adelajda czuła się bardziej nieszczęśliwa niż kiedykolwiek w życiu. Każdy przedmiot w pokoju przypominał jej zmarłe dzieci: wszystko zawsze ruszali, o wszystko pytali, a starszy był stale ciekaw, co się z czego robi, dlaczego dana rzecz jest akurat w tym pokoju, a nie w innym. W szufladach komody leżały ich ubranka.

Mijały tygodnie... Myśli jej były jednak myślami ludzkimi i nie mogły przebywać tylko ze zmarłymi.

Zmarli zniknęli na zawsze, a ona żyła. Rozpacz przeszła w tęsknotę za wyrwanymi przez śmierć z jej rąk dziećmi i za życiem, a tęsknota przechodziła z kolei w rozpacz nad sobą samą, tak bardzo osamotnioną. Wstydziła się teraz swych czterech szczęśliwych lat spędzonych w Bjørndal. Dzięki potomkom bowiem miała prawo przynależności do rodziny. Przez nich spowinowaciła się z Bjørndalami, z ich dworem, z jego przeszłością. Obecnie jako bezdzietna, stanęła poza tym kołem – obca, samotna, rozbita, nie mająca tu do niczego prawa.

Nawet ojciec Dag, który dawniej zawsze dla niej miał miłe słowo, sam chodził pochylony i milczący, przeważnie na jej widok odwracał głowę.

Pewnego dnia otrzymał list. Jeden z zarządców zwracał mu uwagę, że już minął ostatni dzień pięcioletniego terminu w stosunku do Borgland i że tym samym jest obecnie bezsprzecznym, prawnym właścicielem tej posiadłości. Zmiał list i rzucił go w ogień. To była jedyna reakcja na początku. W ciągu następnych dni widać było, że jakaś myśl go nurtuje i czymś jest jakby żywiej zainteresowany. Twarz stała się twarda, zjawił się wyraz nieugiętości. Któregoś dnia zasiadł w swym pokoju przy stole i patrzył przez otwarte okna na wiosennie zielone zbocza.

Myśl o świecy przy łóżeczku umierającego dziecka – może nawet nie tyle o samej świecy, co o powiedzeniu Ane Hamarrbö, które sobie przypomniał w owej chwili – wciąż powracała. W swych starych latach rozumiał, że przysłów nie można brać dosłownie. Bardzo często mają jeszcze inne ukryte znaczenie. A to powiedzenie o świecy, tak dziwnie utkwiło mu w pamięci. Żeby to móc odgadnąć, jaki jest istotny sens tego przesądu.

Gdyby na własne oczy nie widział, nigdy by nie uwierzył, że świeca może się jednocześnie palić z dwóch końców. A przecież jest to, jeśli wziąć na rozum, przy łóżku umierającego wytłumaczalne: otoczenie ma wówczas coś innego do roboty niż obcinanie knotów... Owo przysłowie mówi jednak nie tylko o zbliżającej się śmierci, mówi także o upadku człowieka, który beużytecznie wypalił płomień swego życia i pyta: – Czy posiałeś nowe życie? Wkrótce śmierć i ciebie skosi.

Tak mniej więcej tłumaczył sobie to przysłowie. Teść jego, Holder, lubił używać życia, na pewno palił świecę z obu końców, umarł stosunkowo młodo, tak jak i córka, a druga, panna Dorota, zawsze była słabego zdrowia. Z dwóch jego własnych synów z Teresą – jeden zginął nieszczęśliwie, był człowiekiem, który za wiele wymagał od życia, a córka przedwcześnie przysła na świat i umarła przy urodzeniu.

Tak wyglądało to z jednej strony. Z drugiej – był major, ojciec Adelajdy. Całe życie wplątywał się w awantury miłosne i miał kłopoty pieniężne, rozwiódł się z żoną i przedwcześnie musiał się podać do dymisji. Dag sam dobrze wiedział, że dla tego człowieka niewiele rzeczy istniało poza dobrym jedzeniem i mocnymi napojami; tu w Björndal, jak i w mieście, lubił to i tym tylko żył. I on także palił świecę swego życia... z obu końców jednocześnie.

Stary Dag już nie był tak skory, jak dawniej w młodości, przy każdym nieszczęściu obwiniać Pana Boga: teraz uważał, że trzeba również zbadać, czy tu nie ma winy człowieka. Adelajda była córką majora i Dag wiedział, że ciężkie miała życie. Pozornie wygląda zdrowo i pięknie, ale kto wie, czy ma zdrową krew. Syn jego wychowywał się na wietrze i niepogodzie, stale przebywając w lesie, a to daje zdrową krew, jest niebywale silny, odporny, jednak jest wnukiem Holdera.

Myśli Daga pobiegły dalej, do tych dwóch niewinnych chłopaczków, którzy tak młodo musieli umrzeć; czyżby ponieśli pokutę za grzechy ojców? Podniósł prawą rękę i przetarł oczy. Długo jeszcze siedział, spoglądając przez okno na zbocza od strony zachodniej i na drzewa osypane lekką zielenią pierwszych pędów.

Znów ten widok... starszego chłopca na śmiertelnym łożu. Wyglądał jak aniołek, gdy go zabierali, ale tuż około ust pozostał ów bolesny wyraz. Widzi to... Za życia wyglądał kwitnąco, ale widocznie nie miał krwi zdrowej, skoro nie przetrzymał pierwszej choroby.

19

Ojciec Dag znów zaczął chodzić dawnym, mocnym krokiem. W ciągu tego roku już niejedna troska go gnębiła, ale za każdym razem jakoś dźwigał się na nowo... Czyżby i tym razem odnalazł dawną niewyciężoną energię?

Przyjechał major i opowiadał o sesjach parlamentu, który teraz obradował w Eidsvoll, a przede wszystkim o niebывałych wydarzeniach w kraju i w świecie. Wyglądało tak, jakby go smutek i bezdenne rozpacz tego domu nie obchodziły. Z ożywieniem mówił o nieuniknionej wojnie z Szwecją i radził staremu Dagowi kazać czyścić i szykować broń, odlewać kule i ćwiczyć się w strzelaniu.

Czy był to wpływ słów i rad majora, czy też Dag miał jakiś inny pomysł? Dość, że następnego dnia rano stało się to, czego już od lat się nie widziało, mianowicie: stary Dag z fuzją przewieszoną przez ramię i puszką nabojów kroczył przez podwórze i łąki w kierunku pastwiska w lesie. Wieczorem wrócił z uwiązany pękiem dzikiego ptactwa. Majorowi powiedział, że był w lesie. Nie przyznał się, że chciał wypróbować celność swoich strzałów.

Major tym razem szybko umknął z Björndal. Nie bardzo tam się dobrze czuł, atmosfera była wysoce nieprzyjemna, przytłaczająca. Córka jego przy lada słowie wybuchała płaczem, a stary częstował go wprawdzie wódką, ale sam nie pił.

Następnego dnia po wyjeździe majora stary Dag wstał wcześniej. Ogolił się, chociaż to był dopiero początek tygodnia, a nie żaden przedświątek; następnie udał się na ranną przechadzkę, jak to bywało trzy, cztery lata temu. Potem poszedł do swej komory, otworzył wielką skrzynię i szukał czegoś w jednej z przegródek, wyciągnął stamtąd parę błyszczących przedmiotów, ale po namyśle odłożył z powrotem i skrzynię zamknął.

Po chwili poszedł do stajni i dał jakieś zlecenie Syverowi. Zajął pojazd. Stary wsiadł i pojechali obaj. Gdy zjawił się w Hamarrbö, wielkie tam było zdziwienie, że to sam stary gospodarz do nich przyjechał. Przywitał się przyjaźnie ze wszystkimi, którzy wyszli przed dom. Potrząsnął ręką starego Örna, przeszło osiemdziesięcioletniego staruszka, wnuka Ane, a ojca Unn.

W Hamarrbö mieszkało wiele osób starych i młodych; jeden po drugim wsuwali się do izby i siadali na ławkach wzdłuż ścian pełni szacunku dla gospodarza z Björndal. Każdy pragnął go z bliska zobaczyć. Nikt nie wiedział, co te odwiedziny mają oznaczać. Stary Örn siedział przy stole z gośćmi. Unn przyniosła wódkę i dwa kubki dla Daga i Örna, reszty obecnych nie częstowano.

Dag wcale nie zwracał na to uwagi, co stary Örn głądzi o pogodzie, wiośnie i robocie w polu. Twarz o rysach ostrych i głęboko osadzonych oczach miał wciąż opuszczoną, ale spod krzaczastych brwi obserwował tych, co siedzieli lub stali pod ścianą. Powoli wszyscy opuścili pokój; w końcu i Örn wstał. Przy stole zostali tylko Unn i Dag. Jeśli Dag nie miał interesu do Örna w kwestii gospodarskiej, to pewnie chce z nią pomówić o swoim zmartwieniu. A może pragnie ażeby przyjechała do Björndal i pocieszyła Adelajdę? Kto jest przyzwyczajony do obcowania z ludźmi małowównymi, ten potrafi niejedno trafnie odgadnąć.

Pomiędzy Dagiem a Unn również nie padło wiele słów.

Tymczasem weszła do pokoju córka Unn. Miała osiemnaście lat, była bardzo do matki podobna, a tym samym dawała świadectwo o swym pokrewieństwie z Björndalami. Przyniosła przekąskę do wódki, dygnęła przed starym, postawiła tackę i wyszła.

Było to nic nie znaczące *intermezzo*; nikt tu słowa nie powiedział, jednakże wyraz twarzy Unn zmienił się nieco, nabrał surowości. Po chwili opuściła znów oczy i zaczęła mówić cicho, z przerwami o Adelajdzie, o pogodzie i gospodarstwie. Dag odpowiadał półsłówkami, siedział i jakby myślał o czymś innym.

Nagle wstał.

– Muszę wracać – powiedział. Gdy wsiadał do powozu, rozejrzał się po wszystkich, którzy wyszli, ażeby go pożegnać, kiwnął im głową i gdy odjechał, nikt nie miał pojęcia, czego stary Dag szukał w Hamarrbö.

Unn odprowadziła go do wrót i patrzyła długo za nim. Dziwnie podejrzliwie błyszczały jej oczy. Zauważyła, że staremu, gdy córka jej weszła do pokoju, zaświeciły się oczy, choć były ukryte pod krzaczastymi brwiami. Widziała wyraźnie, że obrzucił twarz dziewczyny szybkim spojrzeniem, gdy nakrywała do stołu, a gdy opuszczała izbę, patrzył za nią. Unn Hamarrbö знаła się na ludziach i wiele spojrzeń w swym życiu obserwowała.

– Biedny stary – szepnęła sama do siebie, gdy powóz zaczął znikać za wzgórzami. Przed domem jeszcze raz się zatrzymała zamyślona. – Tak, tak – mamrotała – nie ma nawet jeszcze siedemdziesiątki.

Młody Dag po śmierci swych dzieci omijał swój pokój, zdawał się nawet unikać Adelajdy. Przeważnie przebywał w lesie, a jeśli wracał na krótko do domu, nocował w starej izbie w oficynie. Chłopcom jego nie wolno tam było wchodzić z powodu nagromadzonej broni i nabojów, więc nic mu ich nie przypominało. Po tej katastrofie życiowej postać Daga i spojrzenia stały się tak dzikie i groźne, że ludzie byli przerażeni, gdy spotkali się z jego wzrokiem. Każdy szukał na swój sposób rozwiązania zagadki śmierci. Adelajda myślała o swym nieszczęściu i osamotnieniu i coraz bardziej zamykała się w sobie. Stary Dag myślał o przyszłości ogromnego majątku, o jego rozkwicie i o zdrowym potomstwie. A młody Dag? o czymże to on myślał?

Na granicy, na przedpolu świata borealnego wznosi się Dauingfjell¹.

Dalej ku północy nie ma już nic innego prócz zagłady i cierpienia, ale na południu rozciągają się krainy Życia. Ze szczytu góry widzi się jedno i drugie: zielen i śnieg. Życie i śmierć.

I ten, co schodzi z jej stoków, słusznie powiedzieć może, że widział tamten świat.

Ale śmiałka, który zuchwale się wdziera na Dauingfjell, śmierć przed końcem dnia kosi.

Kiedyś, na kilka lat przedtem, stary Dag, będąc specjalnie usposobiony, wyrecytował tę starą pieśń synowi. – Byłeś już wszędzie, zdobyłeś już niejeden trudny szczyt, czyś widział Górę Śmierci?

– Nie – odpowiedział młody – o takiej górze nigdy nie słyszałem.

– Mówią, że tę górę można zobaczyć – odparł stary, powtarzając pierwsze dwa wiersze – podobno jest granicą naszych posiadłości na północy. – Powiedział to może w tym celu, ażeby uprzytomnić synowi, dokąd się one ciągną. – Niegdyś – mówił dalej – dawno już temu, starałem się dojść daleko na północ, ale do góry nie doszedłem. Od Ane nauczyłem się tej pieśni. Mówiła też, że po górze znać, iż nosi taką nazwę.

¹ Góra Śmierci

Stary Dag powtórzył raz jeszcze dwie pierwsze strofki. Widocznie Ane słyszała tę legendę od swych rodziców jako ostrzeżenie, a stary cytował ją teraz synowi z tą samą myślą.

Dalsze strofy dawno wypadły mu z pamięci – nie trudził się zbieraniem ludowych podań i gadek.

Lasy björndalskie śpiewają. Śpiewa i wiatr, i wody, i ptaki. Szemrzą wszystkie strumyki, a na drzewach gwarno, wszelkiego rodzaju i gatunku ptactwo ćwierka, śpiewa i wyciąga trele.

Młody Dag z wolna idzie po mchu leśnym. Fuzja na pasku przewieszona przez ramię, torba z prowiantem i ładownica pełna na plecach. Przed nim ciągle węszący pies to wybiega naprzód to wraca. Pies i jego pan idą bezszelestnie. Dzień jest wiosenny. Zawiewa ciepły, łagodny wiatr południowy. Z lekka porusza drzewa i ponad nimi aż ku niebu się unosi. Daleko od dworu leżą bagna w głuszy leśnej. Bardziej na północ ziemia staje się falista i przechodzi stopniowo w zalesione, coraz wyższe wzgórze. Im wyżej, tym rzadszy, rosną tu tylko świerki i wrzosy, a dalej ku północy rzadkie brzozy. Za tymi wzgórzami znów bagna i ubogie kamieniste pastwiska. Za pastwiskami zaczyna się świat skalistych gór.

Z wrzosowiska, gdzie Dag przysiadł, by odpocząć z psem, widział daleko w górze wysokie jodły. W blasku słonecznym na tle nieba wyglądały jak szczerozłote kolumny w świątyni. Tu w górze podmuchy wiatru były ostre i nie budziły łagodnego poszumu lasów nizinnych. Przynosiły mroźne tchnienie szczytów. To był prawdziwy wicher północy i wysokich gór, gdzie zima jeszcze trwała.

Pies wyczuł powiew i spojrzał na swego pana, który tak bardzo się w ostatnich czasach zmienił. Nigdy go teraz nie pogłaskał, nie podrapał pieszczotliwie za uchem, jak to dawniej bywało, nie przemawiał do niego... Strzelał tylko od czasu do czasu, żadnego dobrego kęsa nie dawał. Siedział nieruchomo zapatrzony, a nic nie widział. Nie wiedział, że go pies po rękach lizał. Minęły dobre czasy – nie należało do przyjemności być jego psem.

Dag podniósł się, wciągnął w płuca powietrze górskie, zarzucił z powrotem na ramię strzelbę i plecak i ruszył na oślep pod wiatr.

Dotychczas w życiu wszystko mu się zawsze udawało. No tak, brat jego zginął, ale nie bardzo się tym przejął. Umarła mu matka i ciotka Dorota, ale cóż, wszyscy starzy muszą umrzeć. Taka już kolej życia, a raczej śmierci. Miał ciężkie chwile, gdy się zakochał w Adelajdzie, ale czuł podświadomie, że to się jakoś ułoży i tak się też stało. Wszystko więc i tu mu się udawało.

Bóg mu zesłał dwóch synów. Minęło sporo czasu, zanim się z nimi zżył. Z początku bowiem były to takie jakieś drobne robaczki, że wprost trudno było uwierzyć, iż z czasem wyrosną z nich normalni ludzie. Dziwnie mu się ciepło zrobiło koło serca, gdy któregoś dnia po powrocie z lasu zastał starszego malca próbującego przejść samodzielnie od krzesła do krzesła. Ale prawdziwie go dopiero pokochał i aż do – wzruszył, gdy malec wyciągnął do niego rączki i zawołał: Ta-ta. Podniósł wówczas maleństwo w górę i z całej siły przycisnął do serca. Od tego czasu stracił spokój, nie czuł się nigdzie dobrze, gdziekolwiek był, w lesie czy w polu. Gnała go tęsknota, toteż przyśpieszał biegu nieraz, ażeby przycisnąć do siebie tych dwoje maleństw... Ach, ci dwaj malcy! Byli jego życiem i krwią. Starszy w ostatnich latach potrafił już wszystko opowiedzieć. W ogóle był nad wiek rozwinięty. A ta ich głośna radość przy każdym jego powrocie do domu! Albo jak to starszy z zadowoleniem mrucał, gdy nad ranem przytulał się do niego w łóżku i łąsił się niczym przywiązany do swego pana pies. Te dwa maleństwa były jego niezaprzeczoną własnością. W duszy jego tkwiła zawsze – pomimo surowego wyglądu – tęsknota, jak we wszystkich ludziach, za miłością i serdecznością, owa tęsknota żywiołowa, dana człowiekowi. Dag nigdy jej nie zmarnotrawił w ramionach przygodnych kobiet. Chwilami ta tęsknota za serdecznością, za ciepłem, za uściskiem i tkliwością zupełnie go pożerała, zdawało mu się, że serce mu pęknie z pragnienia.

Gdy połączył się z Adelajdą, był niezmiernie szczęśliwy, ale to nie było pełne zaspokojenie, bo Adelajda miała swoje poglądy i osądy i patrzyła na niego oczami ludzi ze swego świata i sfery. Czuł się stale w jej obecności nieco skrępowany.

Ale synowie – to była krew z krwi jego. Wprost pojąć tego nie mógł, objąć rozumem, że ich nie ma, że nigdy ich już nie będzie!

Dotychczas tak wszystko układało się pomyślnie... Aż... śmierć po nich przyszła. Przez cały czas ich choroby żebrał w myślach litości, modlił się do wszystkich mocy władających światem: do Boga Ojca, do Syna i do Świętej Trójcy. Ale śmierć przyszła i wraz z dziećmi wyrwała mu serce z piersi.

Wdrapał się na wzgórze porośnięte brzezina. Chciał odejść jak najdalej od domu. Uciec od ludzi, życia – znaleźć się gdzieś daleko poza granicami zwykłego istnienia.

Pies gniewnie zawył. Węch jego drażniły zapachy bliskich zajęcy, pardew i głuszców. Ale pomimo że starał się zwrócić uwagę swego pana, Dag absolutnie się tym nie interesował i szedł przed siebie z fuzją na ramieniu. Nie zdradzał ochoty do zdjęcia jej.

Stromo wznosiło się zbocze między brzoza. Od dawna już brnęli przez tu i ówdzie nawiany śnieg; po przejściu jeszcze kilkudziesięciu metrów wzwyż zastali śnieg grubości paru centymetrów. Przypomniał sobie, że ostatniej jesieni, przy kontrolowaniu sideł na ptaki, pozostawił tu swoje narty. Odnalazł je i przypasał. Przymarzał na nich śnieg, ale można było jechać.

Uprzytomnił sobie, że nigdy tu jeszcze nie był wiosną, dlatego wszystko wydawało mu się nowe, nieznanne... Dął, hulał ostry, mroźny wiatr po ośnieżonych stokach. Ano, górski klimat!

Gdy już dobrnął do szczytu, od którego w dół idą hale górskie, przysiadł na kamieniu, ażeby odpocząć po dość trudnym i męczącym wspinaniu się. W miejscu, gdzie siadł, szczelina dzieliła szczyt na dwie części. Stąd jeszcze nie było widać całkowitego łańcucha górskiego, tylko wyraźnie zarysowywały się niektóre szczyty. Nieraz już im się przyglądał i nie zwracał na nie specjalnej uwagi. Ale w tej chwili kurzyło się z nich tak groźnie, tak się zmieniał ich obraz, tak fascynująca była gra światła i cieni, gdy tumany śniegu i chmury przepędzane wichrem to przesłaniały słońce, to znów je odkrywały – że mogło się wydawać, że szczyty gór prowadzą własne, odrębne życie! Zastanowił go ten widok i przykuł... Jeszcze nigdy nie przypatrywał się tak górom. Podniósł głowę. Całą panoramę miał przed oczami. Kończyła się szczytem najbardziej na południe wysuniętym. To Głowa Byka. Przypominał kształtem leżącego byka ze zgiętym grzbietem, z łbem pomiędzy przednimi nogami. Latem były to tylko złomy skalne. Na samym szczycie widać było wtedy tylko trochę śniegu. Teraz był cały pokryty zmarzniętym śniegiem, jedynie na południowym zboczu, właśnie wprost tego miejsca, gdzie Dag siedział, trochę śniegu topniało. Nagle zza chmur wyrzął promień słoneczny, rzucając jaskrawe światło i uwypuklając w nim głębokie cienie.

Oto twarz śmierci: czoło, kości policzkowe, zapadnięte oczodoły i otwory nosowe, podbródek spiczasty. Czaszka trupia wykrzywiła się do Daga. Po chwili słońce znikło. Szczyt stał sinawobiały, niemy... Dag zerwał się. Posunął się naprzód na nartach, wpatrzony w dal. Wrzosowisko leżało przed nim jak zamarznięte morze, poprzecinane ostrymi progami. Pędziły po nim tumany śniegu. Jechał przed siebie zupełnie automatycznie. Narty z hukiem uderzały o wystające zręby. Zapatrzony w tamten szczyt, nie zwracał na to uwagi.

Nagle zatrzymał się jak urzeczony. Słońce... Ten szczyt... Śmierć szczyrzyła znów zęby... patrzyła nań... Reszta wierzchołków tonęła w cieniu. Już teraz wiedział, gdzie jest północna granica Björndal. W wiosennym słońcu nietrudno było poznać okropny szczyt Góry Śmierci!

Gnany, przyciągany jakby jakąś magnetyczną siłą, posuwał się szybko naprzód. Słońce raz po raz ukazywało niesamowite zjawisko szczyzące kościotrupie zęby. Im bardziej się przybliżał, tym ta twarz okropna stawała się wyraźniejsza i potężniejsza i jakby szła w górę... Zawisła złowrogo nad światem. Wszystko było tak, jak mówił ojciec i stara Ane. Nietrudno było odnaleźć ten szczyt wśród innych – jego wygląd sam wskazywał.

Podczas gdy narty skrzypiąc sunęły po twardym śniegu, Dag patrzył w ponury obraz, który czasem znikał i znów się zjawiał. Starł się przypomnieć sobie wiersz o tej górze, który mu ojciec cytował. Nie pamiętał słów, ale treść pamiętał: za tą górą leży kraina śmierci, życiodajne zaś przestrzenie na południe od niej; z tego to szczytu można jednocześnie zobaczyć i życie, i śmierć; śmiałek, który stamtąd wrócić zdoła, a mowy nie straci – niejedno o krainie śmierci opowie. Czy naprawdę miałby stracić mowę ten, kto się tam wejść odważy? Nie mógł sobie przypomnieć ostatnich strof pieśni, wiedział tylko, że zawierają ostrzeżenie.

Pies był jedynym świadkiem szaleństwa Daga i jego mozolnego wdrapywania się po prawie prostopadłej skale. Odpiął narty, droga była zbyt stroma na deski. Śnieg był dość mocno ubity i zamaznięty, nie zapadał się w nim. Na jednym ze zrębów zatrzymał się, rzucił okiem na świat gór i śniegu. Za tą śnieżną przestrzenią musiały w dole rozciągać się lasy. Gdy wyżej wejdzie, na pewno będzie mógł je ujrzeć w całości. Z tego miejsca, gdzie stał, ściana opadała prostopadle w dół. Co za dziwne uczucie mieć to wszystko pod sobą, bez żadnego oparcia. Przyprawiałoby go to może kiedy indziej o zawrót głowy i drżenie nóg... Ale dziś... wszystko mu jedno, czy idzie na śmierć, czy życie.

Nie słyszał groźnego pomruku wiatru od gór ani przeraźliwych poświstów burzy wkoło skały. Nie czuł także uderzeń ostrych, mroźnych płatków śnieżnych. Był człowiekiem posuwającym się uparcie i ślepo na swej drodze – wciąż bliżej śmierci.

Pies drżał, dygotał. Wył głośno. Śledził smętnym spojrzeniem swego pana, który jak mucha na czworakach lał w górę po ścianie i zdobywał właśnie dziki podbródek śmierci, potem zatrzymał się na chwilę, ażeby z paszczy potwora spojrzeć w dół na świat.

Stał pomiędzy wielkimi blokami skalnymi. Wiosenne słońce roztapiało tam już śniegi, a kamienie wyłaniające się z ich bieli robiły wrażenie owych trupich szczęk.

Dag musiał trochę zboczyć, ażeby móc dalej się przerzucać.

Brnął po śniegu wzwyż. Przestrzeń ta tworzyła policzki śmierci. Przeszedł w kierunku wyszarpanych zrębów skalnych. Były jakby sklezione, a wnętrza ich bez śniegu tworzyły właśnie owe czarne oczodoły. Stąd musiał wejść na kość nosową. Był to skalny złom, który opadając niegdyś, w tym miejscu zatrzymał się pomiędzy oczodołami. Tu już leżał śnieg. Dag musiał na nosie się zatrzymać. Czoło było tak wypukłe i strome, że wątpił, czy mu się uda na nie wdrapać. W końcu znalazł drogę poprzez brew, po skroni.

Tam znikł. Pies, nie widząc już swego pana, zawył rozpaczliwie, a potem skomlał, jęczał jak dziecko, które znalazło się samo wśród wichru, opuszczone.

Ostatni najwyższy etap tej ściany był najtrudniejszy do zdobycia. Jeszcze go nigdy nic tyle wysiłku nie kosztowało w życiu. Stoczył już przecież niejedną ciężką walkę, wielokrotnie zmagając się z przyrodą i dzikimi zwierzętami. Zawsze wychodził zwycięsko. W poszukiwaniu gniazd orlich lub tropiąc niedźwiedzie – wspinał się nieraz i zdobywał strome zbocza, szczęśliwie mijał przepaście. Ale nigdy dotąd przebywanie w górach nie było dlań połączone z takim utrudzeniem, z takim śmiertelnym niemal wysiłkiem wszystkich mięśni, ścięgien, nerwów.

Na szczycie, który w połączeniu z łańcuchem gór tworzył Głowę Byka, a w tej chwili był szczytem trupiej czaszki, Dag zatrzymał się. Zgrzany dygotał ze zmęczenia, patrzył w dal... Już niejedną wspaniałą widok podziwiał z tyłu innych szczytów, ale wszystko tamto było niczym w porównaniu z tym, na co teraz patrzył... To był jakiś inny bezkresny świat.

Tyle gór pokrytych lasem rozciągało się falisto w nieskończoność... Osiedle ich wyglądało w dali jak mały punkcik na samym krańcu horyzontu, a dalej zielone łąki, znikające we mgle... Tak, to prawda, z tej strony, z południa, widać obraz życia. Ale czyżby stąd można ujrzeć krainę śmierci? Odwrócił się. Grzbiet Byka wyrastał ponad szczyt Góry Śmierci. Niby dym z ogniska całopalnego wznosiły się stamtąd w górę ku niebu tumany śniegu.

Daleko jeszcze było do tamtego wierzchołka. Dag dopiero teraz czuł, jak jest śmiertelnie zmęczony. Tak! Ale dostać się tam musi.

Na grzbiecie Byka dął wiatr coraz mocniejszy. Niemożliwością było swobodne posuwanie się dalej! Dag musiał się zgiąć, skurczyć... Przy samym szczycie mógł się już posuwać tylko na czworakach; tylko w ten sposób mógł obronić się przed siłą wichru. Zakrwawionymi rękami chwycił się gładkich kamieni pokrytych lodem. Burza śnieżna smagała go w twarz. Tak doczołgał się na sam wierzchołek. I wtedy spojrzął w krainę śmierci... Przez pierwszych parę chwil widział tylko morze śniegowe, po którym szalały białe tumany. Ale gdy burza słabła i śnieg rozwiewał się, wyłaniały się niezliczone dymiące szczyty gór. I wydawało się, jakby obecność człowieka na czaszce trupiej wyzywała burzę. Wiatr coraz silniej, coraz gwałtowniej napastował i uderzał zawieją śnieżną w sam szczyt. Wył po kotlinach i przepaściach, wspinał się raz po raz białym kłębowiskiem mroźnego śniegu po stromych ścianach i znów z wyciem opadał, uciekał, aby po chwili zjawić się wyjąć przeraźliwie. Zaczepiał szczyt, robił pieniające się białe morze, które otulało najwyższe wierzchołki. A szczyty to znikwały, to znów się pojawiały. Dymy śniegowe opadały wtedy na zbocza, a góry pięły się ku niebu z ozłoconymi słońcem wierzchołkami.

Dag z samego szczytu szedł z powrotem nieco w dół na czaszkę śmierci, na miejsce, na którym stał przedtem. Znalazł tam trochę osłony przed wichurą. Wprawdzie i tu odbywał się jakiś szaleńczy pęd czy gonitwa żywiołu, ale słońce przygrzewało w chwilach, kiedy nie było przesłonięte chmurami i śniegiem. Dag był na wskroś przemarznięty i strasznie znużony. Ta wichura górską przeniknęła go całego aż do szpiku kości. Był to chyba powiew śmierci!

Teraz dopiero odczuł, co to był za szalony wysiłek; instynkt samozachowawczy zbudził się w nim jasny i wyraźny. Drżąc ze znużenia na całym ciele, padł na kamień w samym środku czaszki śmierci. Spojrzał w kierunku południa na łąki życia. Nie zdawał sobie sprawy, czy to z powodu zmęczenia, czy też spojrzenia w oczy śmierci tam, na tej strasznej północy, ogarnęła go nagle chęć życia. W tej samej chwili jasno sobie uprzytomnił, czego właściwie szukał, kiedy tu wspinał się na oślep w szalonym pośpiechu. Pragnął skończyć z życiem. Ale teraz – patrząc z tego okropnego miejsca śmierci w dal, na to wszystko, co tam pozostawił, co kochał, co było jego – nie chciał już umierać.

Lecz czy wydostanie się stąd żywy? Nagle przypomniał sobie owe dwie strofki z przypowieści Ane Hamarrbö, których sobie przedtem przypomnieć nie mógł – teraz powróciły z całą przeraźliwą dokładnością:

„Ale śmiałka, który się wdziera zuchwale na Dauingfjell, spotyka śmierć przed końcem dnia...”

Nagle pomimo przenikliwego zimna zrobiło mu się gorąco. Oto siedzi i patrzy na cudowną krainę życia, pośród której spędził swe piękne lata, i ten dzień miałby być ostatnim w jego życiu?

Słyszał nieraz, jak twierdzili starzy, że to, co Ane Hamarrbö mówiła, zawsze się sprawdza. No tak, bo to nie są jedynie czcze słowa, lecz przestroga przekazana pokoleniom przez doświadczonych ludzi. Zresztą na to, ażeby stwierdzić, iż przy schodzeniu z tego szczytu człowiek staje oko w oko ze śmiercią, nie potrzeba wcale doświadczenia. Aż go zatrzęsło z przerażenia, gdy sobie uprzytomnił, że czeka go teraz zejście z prostopadłej ściany, którą zdobył posłuszny jakiemuś ślepemu, wewnętrznemu uporowi. Wiedział z doświadczenia, że zejście jest stokroć trudniejsze niż wejście.

Nareszcie zrozumiał, że pewność siebie i liczenie na niespożyte siły zawiodły go. Zrozumiał, że i dla niego istnieją granice, których przekraczać nie można. Nieugięty upór rodu Björndalów przeszedł w nim sam siebie.

Pomimo że ufał swym siłom, drżał jednak na całym ciele przed drogą powrotną. Starał się wmówić sobie, że musi istnieć jakaś inna droga, również prowadząca w dół, może gdzieś dalej. Ale miał jeszcze dość rozsądku, ażeby zrozumieć, że najmniejsze bodaj zboczenie z właściwej drogi spowoduje śmierć w zamieci śnieżnej. Gdzie się obejrzeć – wszędzie niebezpieczne, oślizłe zbocza, w każdej chwili może się obsunąć śnieg pod jego stopami i pociągnąć go w przepaść. Starał się wykryć drogę najpewniejszą, ale gdy tylko sobie wyobrażał niezmierną przepaść, którą miał pod sobą, ciemno robiło mu się w oczach, a w głowie powstawał zamęt. Ale też i nowe myśli zjawiały się pod wpływem tęsknoty za polami i lasami, gdzie znał każdy kamień i dróżkę każdą, a gdzie już nigdy noga jego nie miała postać...

Myślą wybiegł do Adelajdy. I dawniej przecież o niej myślał, ale tylko w chwilach, kiedy jej pragnął. Jednak dopiero w tej strasznej godzinie życia uprzytomnił sobie, że i ona przecież boleśnie odczuła śmierć dzieci! Powinien był właściwie przy niej pozostać, aby ją pocieszyć. Z kolei pomyślał również o ojcu. I jego ta żałoba mocno dotknęła. Zestarzał się w oczach. Teraz, w tej tragicznej chwili Dag skonstatował, że ponieważ mu się wszystko w życiu udawało, zawsze chadzał własnymi drogami, a myślał tylko wyłącznie o sobie.

Gdyby teraz mógł szczęśliwie tam na dół wrócić, wszystko by się odmieniło... Adelajda i ojciec! Najbliżsi, tacy drodzy!

Lzy przesłoniły mu ze wzruszenia oczy. Czyż miałyby do ich żałoby dorzucić teraz własną śmierć? Teraz dopiero odczuł, jak bardzo go tych dwoje ludzi kocha. Ogarnęła go bezmierna tęsknota. Pragnął zobaczyć ich i przeżyć wraz z nimi radość, że go widzą i odzyskują z powrotem.

Zaczął wymachiwać ramionami, żeby się trochę rozgrzać. Nawet nie zauważył, że burza śnieżna przybrała na sile i zaczęła dosięgać miejsca, gdzie stał. Nie było czasu do namysłu, trzeba było wyruszać w drogę w imię Boże. Po cichu odmówił *Ojcze nasz*. Gdy opuszczał się na kolana, ażeby przewieszony przez przełęcz szukać w zamarzniętym śniegu oparcia dla nogi, wiatr dziko zawył. Był to jakby odgłos piekielnego śmiechu z głębin Góry Śmierci...

21

Przez las podążało w kierunku północnym trzech mężczyzn. Szli po kilka pni, które tu i ówdzie z powodu rychłej zimy zasypał śnieg. Mieli ze sobą konia. Właśnie przysiedli na chwilę, ażeby odpocząć, gdy ujrzeli pędzącego psa Daga. Obwąchał ich i zaskowyczał. Drwale przypuszczali, że w ślad za psem ukaze się jego pan, więc wzięli się z zapalem do pracy. Dag jednak się nie zjawiał, a pies nie przestawał skowyczeć i zdradzać niepokój.

Jednym z drwali był Marcin Hogger, najsilniejszy rębacz w okolicy. Był łebski, rozumny, zwinny. Spojrzał przelotnie raz i drugi na psa, potem wyprostował się i rzekł do tamtych dwóch poprzez pnie, nad którymi byli pochyleni:

– Czyżby się naszemu Dagowi coś przytrafiło? Pies zachowuje się tak dziwnie...

Wszyscy spojrzeli na zwierzę, które niespokojnie machało ogonem i według późniejszych opowiadań Marcina „kwiliło niczym chore małe”. Marcin wziął więc sprawę w swoje ręce. Coś tu było nie w porządku na pewno. Jednego drwala pchnął pośpiesznie do dworu, kazał mu biec z całych sił, a z drugim wraz z koniem ruszył natychmiast w kierunku północnym, skąd przybył pies.

Gdy drwal wpadł do dworu, stary Dag siedział przy wygasłym kominie, drzwi sieni były otwarte, wchodziło przez nie wiosenne światło. Zdyszany drwal ledwie mógł w urywanych słowach powiedzieć, że pies młodego pana przybiegł do nich w lesie... widocznie coś się stało... pies tak jakoś dziwnie się zachowuje!... Mógł stary Dag, jak każdy człowiek, zachwiać się pod ciosem nieodwracalnego nieszczęścia, ale nigdy cofnąć się przed niebezpieczeństwem, które dopiero groziło. Toteż podniósł się zupełnie spokojnie, drżał mu tylko trochę głos i ręce latały, gdy wydawał drwalowi zlecenie, ażeby poszedł do kuchni i poprosił o coś do zjedzenia oraz wypoczął przed czekającą ich daleką drogą. Dodał przy tym, żeby to, o czym wie, zachował w tajemnicy i przysłał mu tylko jak najszybciej pannę Kruse.

Przyszła panna Kruse, stary Dag powiedział jej, zniżając głos, o co chodzi, kazał przynieść wysokie buty, które wkładał, gdy szedł do lasu, i worek z prowiantem. Posłaniec przybył z głębi lasu, a pies gdzieś z bardzo daleka, więc trzeba się przygotować na długą wędrówkę.

Było już pod wieczór, chociaż wiosenna jasność leżała jeszcze nad lasami, gdy ojciec Dag po raz pierwszy od niepamiętnych czasów wyruszył w dalszą drogę do lasu. Póki można go było widzieć ze dworu, trzymał się wszelkimi siłami, ale gdy tylko znalazł się na zboczu, gdzie się rozpoczynały lasy, otarł oczy wierzchem dłoni i szeptał z całym przejęciem:

– Boże, bądź miłościw jeszcze tym razem i nie dopuść, ażeby syn mój miał umrzeć przede mną!...

Opanował się jednak i zaczął przemawiać do psa, wiosenne nastroje w lesie tyle wywołały w nim wspomnień, że serce krwawiło. Jakaś nieznana obawa piekła go boleśnie, w najgłębszym wnętrzu jego istoty.

Raz jeszcze wyszeptał te same słowa. Brzmiały one jak *Ojczy nasz* lub jakaś inna modlitwa. Potężna jego postać posuwała się szybko między drzewami. Robił duże i pewne kroki.

Rozmaite są i w rozmaity sposób rozchodzą się szmery i trzaski po starych drewnianych domostwach. Zależy to od pory roku i od pogody. Kto ma wyczulone ucho, natychmiast odróżni odgłosy i szmery niecodzienne od zwykłych, dobrze znanych.

Adelajda siedziała, podparwszy na rękę policzek w swojej komnacie przy drzwiach balkonowych; zatopiona w bolesnych wspomnieniach, patrzyła na wiosenny zachód słońca. Było to w tej samej chwili, gdy drwał wszedł do sieni. Tutaj w jej pokoju nie słyhać było szarpnięcia klamki ani pośpiesznie wyrzucanych słów, ale w każdym razie doszły do niej jakieś niecodzienne poruszenia i dźwięki, podniosła się więc i pełna lęku zwróciła ku drzwiom.

Słyszała, jak panna Kruse weszła do pokoju starego, potem wybiegła i czym prędzej wróciła. Po chwili usłyszała tak dobrze sobie znane kroki starego Daga; były tylko szybsze niż zazwyczaj.

Słyszała też potem, jak się drzwi otworzyły i zamknęły, doszło do niej skowyczenie starego psa, który zazwyczaj wylegiwał się przed kominem. Drapał we drzwi na znak, że pragnie towarzyszyć swemu panu. Wystarczyło jej to, aby domyślić się, że stary Dag wziął przybory myśliwskie i wyszedł spiesznie. Krew uderzyła Adelajdzie do głowy, potem zimny pot wystąpił na czoło i oblał ją całą. Zakręciło się jej w głowie. Jeżeli ojciec Dag o tej porze, w przedwieczorz, wybiera się sam do lasu, to znaczy że... coś się straszego stać musiało. Adelajda szarpnęła drzwi i zbiegła ze schodów. Stary pies podbiegł do niej, skowycząc i machając ogonem. Zatrzymała się nasłuchując, jakby słowa wypowiedziane w sieni jeszcze tam drgały w powietrzu.

Rozległy się czyjeś kroki. To panna Kruse przechodziła przez kancelarię. Nie wiedząc nic o obecności jej w sieni, szła płacząc. Przeraziła się, ujrawszy kredowoblada, wylęknioną twarz Adelajdy.

– Co się stało? – wykrztusiła z trudem Adelajda.

Panna Kruse zaczęła łkać, tłumacząc się, że ojciec Dag zakazał jej cokolwiek mówić. Milczała tak długo, jak tylko mogła, ale w końcu widząc coraz większą bezgraniczną wprost rozpacz młodej pani, pragnęła ją pocieszyć i powiedziała, że wrócił do domu sam pies, bez swego pana.

Adelajda, wychowana w mieście, nie zdawała sobie w pierwszej chwili sprawy, że to niedobrze, gdy pies myśliwego wraca sam i szuka ratunku. Panna Kruse poza tym jej nie powiedziała, że się tak dziwnie niepokojąco zachowywał. Jedno tylko Adelajda wiedziała, że psy z Dagiem tworzyły jedność; nieraz nawet była zazdrosna, gdy jak opętane skakały wkoło niego z radości, że zabiera je ze sobą do lasu. Więc intuicją teraz odgadła, że ten samotny powrót psa nic dobrego nie wróży.

Długo stała nieruchoma z uczuciem, jak gdyby odpłynęła z niej wszystka krew. Potem rzekła cicho, drżącym głosem:

– Ja także chcę iść do lasu.

Jeszcze nigdy dotąd w Björndal, żadna kobieta nie odważyła się wybrać do lasu, a tym bardziej taka wydelikaccona osoba z miasta, jak Adelajda. Postanowienie to wprawilo pannę Kruse w zdumienie, zdawało się jej to szaleństwem. Perswadowała, na kolanach błagała, ażeby zaniechała tego zamiaru, że potem cała odpowiedzialność za to na nią spadnie. Adelajda jednak była niewzruszona; w chwili tej na oczach panny Kruse wyrosła na dumną władczynię tego domu, która wydaje nieodwołalne rozkazy.

Panna Kruse tyle tylko uzyskała, że Adelajda zabrała do torby trochę pożywienia i włożyła mocne obuwie, grubsze ubranie i wzięła psa, okręcając sobie smycz wokół ręki, ażeby nie uciekł. Więcej na swej pani wymóc nie mogła.

Adelajda, opuszczając dom, tak silnie zatrzęsła za sobą drzwi wejściowe, że panna Kruse nie miała odwagi otworzyć ich, aby wzrokiem ją śledzić. Pobiegła tylko prędko do frontowego pokoju i spojrzała przez okno. Stała tam długo płacząc, choć Adelajdy już dawno nie było widać. Cała trójka w lesie! Bóg jeden tylko wie, czy kogokolwiek z nich jeszcze w tym życiu zobaczy...

Tego wieczoru i następnych panna Kruse odmawiała wszystkie modlitwy, jakie ją nauczono, i wciąż od nowa je zaczynała.

Na północy wieczory w końcu kwietnia bywają jasne, ale w lesie jest ciemno. Pies biegł śladami swego pana, Adelajda podążała za nim.

Ojciec Dag znał w swych lasach od najmłodszych lat każdą ścieżkę, nie były to jednak drogi dla kobiecych nóg. Dla pośpiechu wybierał najkrótsze, choćby wiodły przez strome zbocza.

Dawna królowa balów miejskich, kobieta subtelną, elegancką, podziwiana, szła owej nocy wiosennej śladami starego, doświadczonego myśliwego. Szła trudnymi drogami poprzez niezmierny, dziewiczy las...

Wiedziała, że w lasach są niedźwiedzie i olbrzymie łośy, niebezpieczne przepaście o skalistych ścianach i bezdenne bagna. Ale to wszystko w tej chwili było jej obojętne. Śmierć nie miała dla niej znaczenia. Ufała psu, że wskaże jej właściwą drogę. Myśli jej były zaprzątnięte Dagiem, widziała go przed sobą broczącego krwią. Trzy były możliwości wypadku: walka z niedźwiedziem, która oczywiście tragicznie się skończyła (wiedziała, że dziadek Daga i kilku innych przodków w ten sposób zakończyło życie) lub też spadł w przepaść, albo – niech Pan Bóg wybaczy jej tę myśl – może sam dobrowolnie skierował broń w siebie...

Od czasu śmierci dzieci chodził jak nieprzytomny i oto teraz robiła sobie wyrzuty, że myślała tylko o swoim bólu i rozpacz. Cokolwiek się z nim stało – jej to była wina. Sprawdza się to, co mówią o kobietach z jej rodu: stają się przyczyną nieszczęścia człowieka, za którego wychodzą za mąż!

Była tak zaprzątnięta tymi myślami, że nie widziała niczego wokoło. Ale nie wolno iść na oślep przez las, szczególnie po raz pierwszy.

Droga prowadziła ją i starego psa, Bistera, przez grzbiet wzgórze porośnięte świerkami. Nim zaczęli schodzić z góry, Bister nagle się zatrzymał. Zaczął węszyć i nagle skoczył w bok od drogi tak gwałtownie, że z trudem tylko mogła go utrzymać na linie. Warczał gniewnie, gdy Adelajda nagle przystanąła. W tym momencie z gęstwiny dobiegł trzask łamanych gałęzi i coś ogromnego i ciężkiego stoczyło się w dół. Przez długą chwilę jeszcze słychać było szum i łoskot obsuwających się kamieni.

Adelajdę ogarnęła wtedy trwoga przed nieznanym lasem. Zatrzymała się bez tchu, drżąc, nasłuchując. Dopiero teraz zauważyła, że las żyje własnym życiem, że drgają w nim tysiączne dźwięki przy monotonnym wotrze poszumu wiatru. Wokół niej i w ślad za nią snuły się jakieś szepty, szmery. Ciemność otaczała ją ze wszystkich stron.

Pomyślała wtedy z wdzięcznością o pannie Kruse, która wprost zmusiła ją do zabrania psa i uwiązała go do jej ręki. Bez niego nie byłaby w stanie iść w taką drogę ani też wrócić z niej. Lęk zmusił ją jednak do pomyślenia o sobie. Wymagało tego właśnie uciążliwe zejście z góry. Trzeba było choć na parę chwil zapomnieć o strasznym wydarzeniu, które pchnęło ją na tę drogę.

Doszli do strumyka w dole. Bister biegł wzdłuż wody do miejsca, gdzie można było po kamieniach przepawić się na drugą stronę. Potem trzeba się było na nowo wspinać na bardzo stromą górę. Na szczycie znajdował się jakiś szałas. Adelajda czuła, że pada ze zmęczenia, a stary Bister też już pewnie miał chwilowo dość tej wędrówki, bo węszył i skomlał w kierunku chaty, jakby prosząc o odpoczynek. Była to stara, zapadnięta chałupina, ale Adelajda i pies padli oboje śmiertelnie znużeni na posłanie z gałęzi i w tej samej chwili usnęli. A wokół szałasu po lesie hulał i śpiewał wiatr, który tam w górskich wysokościach był silną burzą, połączoną z śnieżną zawieją.

Następnego ranka obudzili się odrętwiali i sztywni i z trudem rozprostowali zmęczone nogi. Godziny upływały za godzinami. Bór wydawał się teraz Adelajdzie bezkresny, a od czasu gdy wieczorem dnia poprzedniego przemknął obok niej ów potężny łoś, odczuwała coraz większy lęk, nawet teraz, w dziennym świetle. Bister chwilami tracił ślad swego pana, droga stawała się coraz uciążliwsza, musieli obchodzić stawy i bagna i wspinać się po stromiznach.

Wiedziała z opowiadań, że Dag poluje na pardwy w wysokich górach, i gdy teraz Bister wprowadził ją na strome szczyty Skarfjell, przypuszczała, że to już owo miejsce. Daleko, niestety, bardzo daleko jeszcze z Skarfjell do tych prawdziwych gór! Te zbocza są zalesione. Nawet na samym szczycie rosną sosny, ale już chude, skarłowaciałe. Bister sam szczyt ominął dróżką wijącą się na zachód od górskiej ściany i zatrzymał się ni stąd, ni zowąd na zakręcie prowadzącym na północ. Wyciągnął się jak długi na ziemi. Adelajda szła już ostatkiem sił. Szumiało jej w uszach, czuła słony smak w ustach. Według jej pojęć powinien to już być kres wędrówki, bo sobie zawsze wyobrażała, że góry leżą tuż za lasami. Spojrzała na psa i przeraziła się. Czyżby zachorował? Jak ona sobie sama da radę? Spojrzała w kierunku północnym, widać było cały łańcuch zalesionych gór, ale hen daleko na skraju horyzontu paliły się w słońcu jakieś szczyty niebosiężne. Dalej jeszcze lodowce igrały w słońcu tęczowymi barwami. Bardziej ku zachodowi rozciągał się niebieskawy cień.

Adelajdzie aż dech zaparło. Czyżby to miało być tam? Aż tak daleko jeszcze do wysokich gór Daga? Więc tam się stało to nieszczęście? Trudno dociec, skąd niektóre myśli przychodzą do głowy, ale Adelajda w tej chwili była przekonana, że stalowy błysk zamarłych szczytów jest wyłącznie dla niej przeznaczony i jest znakiem, że to się tam stało...

Spojrzała w dół na staw przy Skarfjell. U jej podnóża, w głębokim cieniu gór, niebieskozielone wody wydawały się tajemnicze. Wiatr marszczył ich powierzchnię i bryzgał falami na brzegi, jak w prawdziwym jeziorze. Z boku ponad zatoką spostrzegła miejsce porośnięte trawą. Wpatrując się w nie, stwierdziła, że w zatoce stoi łódź, a na brzegu wiszą rozpięte suszące się sieci. Dalej w głębi stoją domki, z jednego komina idzie dym. Więc tam ktoś mieszka... Aż jej się gorąco zrobiło z wrażenia... A może tam wiedzą, co się z Dagiem stało?

Szarpnęła lekko linką i Bister jednym susem stanął na nogach. Widocznie był przyzwyczajony, że pan jego tu się zawsze zatrzymuje i podziwia roztaczający się stąd widok na cały łańcuch gór. Zaczęli schodzić w dół. Chwilami zbocze było strome, ale znajdowała zawsze jakieś oparcie dla nogi.

Gdy doszła do wody, do miejsca, gdzie leżała deska do lądowania, Bister zaczął z całych sił szczekać w kierunku drugiego brzegu. Po chwili dopiero wylazł z chaty jakiś człowiek i ociągając się, podszedł do łodzi. Zasłonił sobie oczy ręką od słońca i zaczął przypatrywać się Adelajdzie i psu. W końcu odwiązał łódź i starał się do nich podpłynąć, ale szło to wolno, bo staw był tu bardzo szeroki.

Podczas wiosłowania człowiek ten parokrotnie odwracał się w ich stronę. Głowę miał porośniętą bujnym włosom, kudłatą. Adelajda nigdy takiej nie widziała. Gdy w końcu do nich podjechał i odwrócił ku niej twarz, wprost się go złękła. Nie spotkała w swym życiu człowieka tak obrośniętego. Spod gęstwy włosów ledwo było widać oczy i nos. Gęste kudły opadały na krzaczaste brwi i uszy i jakby łączyły się z dziką brodą. Człowiek nie wyrzekł ani słowa, tylko czekał. Dotąd nigdy nie widział pięknej młodej pani z Björndal, ale dużo o niej słyszał i zaczął się domyślać, że to ona. A że aż tu, do Skarfjell, doszła – było dziwne, bardzo dziwne!... To się jeszcze żadnej dziedziczce z Björndal nie zdarzyło.

Pies wskoczył pierwszy do łódki. Adelajda weszła za nim i usiadła. Potem łódź ruszyła z miejsca. W końcu Adelajda z trudem wykrztusiła zapytanie, czy on przypadkiem nie wie, co się Dagowi stało. Stary odchrząknął i głosem skrzypiącym jak stary zegar, zanim wybije godzinę, powiedział wreszcie, że o niczym nie wie. Należał do typu ludzi, którzy raz nakręceni, ciągle gadają. W kółko powtarzał Adelajdzie swym monotonnym, niezmiernie skrzypiącym głosem to, o czym sama wiedziała: że wczoraj przebiegł tędy jakiś drwal z północy, a pod wieczór sam stary gospodarz. Bezzwłocznie, nic nie jedząc ani pijąc, udał się w dalszą drogę.

Rybak zapraszał Adelajdę, żeby spoczęła przy stole przed jego chatą. Siadła. Usprawiedliwiał się, że może jej tylko zaofiarować rybę i parę kartofli, jeśli tym nie pogardzi... Naprzód podziękowała mu, ale rybak bardzo nalegał i zwrócił jej uwagę, że taka wędrówka po lesie wymaga dużo sił. Sama dobrze o tym wiedziała. Człowiek głodny nie ma sił posuwać się naprzód. Zamilkł na chwilę, a potem znów powtarzał niezmordowanie to samo w kółko, tak jak zresztą czynią to wszyscy niemal samotnicy nie mający wiele okazji do mówienia.

Ugotował pstrągi i upiekł w popiele kartofle, i nakrył jak mógł, czysto wyszorowany stół. Jadła, trzeba się było przecież posilić. Rybak namawiał ją, ażeby nie szła już dalej, tylko czekała, aż tamci wrócą, bo koło jego chaty muszą przejść. Im wyżej, tym góry są trudniejsze i bardziej niedostępne, dróg tam prawie nie ma, same skalne ściany: ale jeżeli koniecznie chce wyruszyć w dalszą drogę, to on z nią pójdzie. Wcale nie jest powiedziane, że młodemu panu coś się musiało przytrafić; i pies mógł zgubić drogę. A jeśli nawet coś się stało, to dlaczego zaraz przypuszczać najgorsze? Tak mówił i starał się ją pocieszyć, jak umiał. I poszli w kierunku północy. Ale w pewnym miejscu Adelajda kategorycznie oświadczyła, że dalej chce iść sama, rybak więc zatrzymał się. Patrzył długo w ślad za nią... Gdy zniknęła z pola widzenia, przetarł strzechę brudnych włosów, w miejscu gdzie każdy miał oczy.

Byłby jej chętnie towarzyszył rybak Börre. Tak się nazywał. Pochodził zresztą z innej zupełnie okolicy, a przybył tutaj – powiadali ludzie – aby się ukryć po jakiejś nieudanej przygodzie w młodości. Stary Dag zaopiekował się nim, obronił i pozwolił wybudować chatę nad wodą. Börre dostarczał ryb do dworu i otrzymywał w zamian zboże oraz różne produkty spożywcze.

Przynosił też do dworu na święta i na specjalne uroczystości tłuste pstrągi. Był rad takim okazjom, bo gdy dostarczał ryby na specjalny obstalunek, dostawał zawsze dobrej wódki, tytoniu, kawy, białej bułki i masła.

Chyba nikt na świecie nie ucztował tak wspianiale, jak ten rybak po powrocie z wycieczki do dworu. I ten nędzarz miał swój świat marzeń... A bohaterami jego bajki byli tamci trzej ludzie z Björndal... Ci, którzy są teraz daleko za śniegami na północy, w ciężkim nieszczęściu.

Börre znał czarodziejskie zaklęcia; posługiwał się nimi, jeśli na gwałt było potrzeba na obstalunek dobrego połowu. Nie wolno było jednak używać ich bez prawdziwej potrzeby; bo byłoby to grzechem i zaklęcie traciło moc. Jeśli jednak zachodziła nagła potrzeba – Pan Bóg zezwalał na zamówienie.

Napród wrócił do chaty, potem zszedł na wybrzeże. Tam ułożył kość łosia i psią kość na krzyż. Długo je posuwał to w jedną, to w drugą stronę, aż skierował w cztery strony świata. Mamrotał przy tym jakieś słowa o skrzyżowanych kościach, o wszystkich świętych, Przenajświętszej Paniencie. Może były to niegdyś łacińskie wyrazy, ale to, co wymawiał, już nic z łaciny nie miało... W końcu podniósł się z kolan, złożył ręce i modlił się zwrócony twarzą do wody. Odmówił na głos *Ojciec nasz* i dodał głośniejszym głosem, że modli się na intencję młodego Daga, ażeby nikt nie mógł się co do tego pomylić.

Adelajda szła krok w krok za Bistrem, tam gdzie ją ciągnął. Pięli się bezustannie wzwyż, a słońce za nimi coraz bardziej się zniżало. Wyszli z lasów sosnowych, ozłoconych zachodzącym słońcem i ujrzeli ze szczytów grzebień północne stoki porośnięte brzezina. Zrobiło się zimno. Gdy wichur dął z północy, przeszywał mrozem.

Ale tego dnia wiał nie tylko północny wiatr, lecz i nieco cieplejszy z zachodu. Na wysokościach spotkały się.

Bister przez cały czas biegł dzielnie naprzód, węsząc. Lecz nagle odwrócił łeb kilka razy w dziwny sposób i zaczął węszyć coś z boku. Zatrzymał się. Zawrócił całkowicie na zachód i już nie węszył po ziemi, tylko wciągał w siebie zapach, który wiatr ze sobą przynosił. Następnie pociągnął za sobą Adelajdę z góry w stronę zachodnią, wciąż tylko węsząc, to znów zapalczywie warcząc.

Szli znowu lasem na południe. Nagle Adelajda poczuła w powietrzu jakby zapach dymu z komina. Paraliżowana lękiem najchętniej byłaby usiadła, ażeby zebrać myśli. Tyle już drogi uszła, a szła jak nakręcona, aby dalej, bez myśli, jakby iść miała aż na koniec świata. Nigdy chyba do celu nie dojdzie! Pośród uczucia szalonego zmęczenia chwycił ją nagły lęk. W głowie jej zaczęły wirować okropne obrazy: krew, pokaleczone członki.

Bister biegł dalej. Dała się ciągnąć bezwolnie. Chwilami wstrzymywała go; wolała nie dojść i nie dowiedzieć się tego, co ją tam czeka. Jakaś ciepła fala podeszła jej do oczu. Łzy zalały twarz, chciała zsunąć z ręki linkę, puścić psa samego w dalszą drogę, a sama czekać... czekać, ale linka kręciła się wokół przegubu ręki, tak że nie sposób było rozluźnić jej w biegu, a Bister pędził dalej i ciągnął ją za sobą.

Już zmierzchało. Jakaś polanka. Woda. Obok zarysowuje się w mroku jakaś chata. Dym idzie z komina. Przez szczelinę w drzwiach przenika światło.

Bister zawarczał. Z wewnątrz odpowiedziało mu warczenie innego psa. Adelajda nie słyszała, nie widziała nic aż do chwili, gdy stanęła w drzwiach i w migocącym świetle ognia pod kominem ujrzała ciało Daga przykryte jakimś nędznym kaftanem. Leżał wyciągnięty na pryczy. Piękna twarz jego była woskowożółta. Oczy miał zamknięte, na czole zakrwawione bandaż.

Ojciec Dag? i jeszcze jacyś dwaj... Sen, czy rzeczywistość? Zjawy z tamtego świata czy żywi ludzie? Kto?!... Po chwili padła bez zmysłów koło pryczy.

Słyszała rozmowę – była znów przytomna. – Puść! – mówił jakiś znajomy jej głos. Nie był to głos z jej marzeń o lesie i nieskończonych przestrzeniach.

– Puść! – Czują, że ją ktoś mocno bierze za przeguby rąk, podnosi i gdzieś kładzie. Coś świeciło się z daleka jak wizja tych szczytów i wierchołków na północy, które widziała. Ale w tej chwili był to tylko refleks ognia na belkach pułapu. Adelajda chwyciła się za głowę i siadła.

W świetle płomieni zarysowała się postać ojca Daga, a przy kominie siedziało jeszcze dwóch mężczyzn. Potarła sobie czoło i spojrzała w bok. Nie, to nie był sen, tam leży martwy jej mąż!

Spojrzała błagającym wzrokiem na ojca Daga, jakby oczekiwała od niego zapewnienia, że to wszystko jest nieprawdą, że to zły, koszmarny sen, że wszystko, co się teraz dzieje, to kłamstwo, a prawdziwe życie dopiero się zacznie później.

Opuściła głowę i spojrzała na Daga, na te ukochane, piękne rysy i na prawe ramię zwisające tuż przy niej, a owinięte do łokcia w pokrwawione gałgany.

Nagle drgnęła przerażona. To ramię poruszyło się.

Spojrzała na ojca. Stał sztywno w tej samej pozycji, co przed chwilą i wyglądał, jakby nic nie zauważył.

– Nie widziałeś? – szepnęła.

– Ale co? – spytał.

– Dag poruszył ręką.

– Tak – odparł i spojrzał na nią jakimś dziwnym wzrokiem.

– A więc nie umarł! – wykrzyknęła.

– Jeszcze... nie – odparł stary smutnie. – Ale tyś powinna się położyć i wypocząć – dodał zmęczonym, złamanym głosem.

Adelajda spoglądała to na jednego, to na drugiego, westchnęła głęboko i podniosła się.

Od pierwszego dnia, kiedy ją poznał, aż dotychczas, stary Dag oceniał synową wedle tego, co widział. Była piękna i postawna, subtelna i wykształcona, posiadała talent muzyczny i wiele innych. Była ozdobą domu jako córka i dobra matka. Ale jej dzieci okazały się niezdolne do życia. Zmogła je pierwsza choroba. Nie była niczym innym, tylko miłą, młodą kobietką dzisiejszych zniewieściałych czasów.

A teraz na pół przytomna przedarła się oto przez las i w tej godzinie tak ciężkiej dla wszystkich dobrnęła aż tutaj! Sam chyba Pan Bóg wie, jak mogła tak daleko dotrzeć! To sobie myślał Dag.

Adelajda wreszcie pojęła: Dag jeszcze żyje! To jedno ją obchodziło. Nic innego nie słyszała i nie chciała słyszeć. Nie potrzebowała pytać, co się stało: czy spadł z góry, czy leżał długo na mrozie, zanim go znaleźli i tu przynieśli.

Zawsze interesowała się pielęgniarstwem. Dużo czytała z tej dziedziny i przez pewien czas nawet się zajmowała chorymi. Dlatego udając się w drogę, zapakowała w torbę wszystko, co mogłoby się przydać jako pierwsza pomoc w nieszczęśliwych wypadkach.

Zdjęła płaszcz i kaptur. Zmęczenie gdzieś się ulotniło. Nie patrząc na nikogo, spytała, czy jest woda i jakieś naczynie do gotowania.

Jeden z dwóch mężczyzn wyszedł na chwilę i wróciwszy, zawiesił mosiężny kociołek na haku nad ogniem. Adelajda tymczasem otworzyła torbę i wyjęła z niej przybory do opatrunku i sporo bandaży. Ojciec patrzył takim wzrokiem na nią, jakby nie dowierzał jej siłom i przypuszczał, że lada chwila znów zemdleje albo zrobi coś nieobliczalnego. Nie poznawał jej. Miała zacięty, stanowczy wyraz twarzy; oczy patrzyły twardo przed siebie; usta miała mocno zaciśnięte, wyglądały jak wąski paseczek.

Obaj drwale, którzy znaleźli młodego Daga u stóp Głowy Byka, opowiadali, że gdy przekroczyli wrzosowisko w górze, szczyt wydał się im podobny do trupiej czaszki. Tak to określił drwal Marcin.

Od tej chwili ojciec Dag zobojętniał na wszystko. Fakt, że raz jeszcze spełnia się przepowiednia, którą słyszał z ust Ane Hamarrbö, i że doprawdy istnieje Góra Śmierci – rozproszył już ostatnie wątpliwości co do wiarogodności jej wróżb i gadek. Jeżeli taka góra istnieje, to prawdą musi być i to, co jest w zakończeniu owej starej baśni; śmiałka, który wedrze się na Górę, spotka śmierć.

Miał też w pamięci jej słowa o palącej się z dwóch końców świecy. Sprawdziły się przy łóżeczku umierającego dziecka. Nie wątpił więc teraz, że się spełni także na jego synu przepowiednia zawarta w ostatnich strofach pieśni o Górze Śmierci. Przeczuwał również, że Dag się tam udał, ażeby wyzwąć Boga i śmierć, ażeby po stracie dzieci zerwać ze wszystkim. Pan Bóg na pewno nie ścierpi takiego wyłamywania się spod jego woli.

Cały ród Björndalów był bardzo uparty, ale to już było zuchwalstwo przekraczające wszelkie granice. Pan za karę każe rodowi wygasnąć, i to zginąć z własnej ręki. Ostatni potomek rodu poszedł oto sam wyzwąć śmierć. Stanął z nią oko w oko, w tragicznym zmaganiu wystawiając na szwank całą przyszłość rodu.

Są ludzie, których życie smaga nielitościwie, a oni zawsze jakoś zdołają z powrotem podnieść głowę. Ojciec Dag już niejedno w życiu przeszedł i zawsze jakoś potrafił odgryźć się, ale tym razem – skończyło się. W krótkim czasie zgasły trzy młode istnienia z jego krwi i ciała. Dłużej walczyć nie będzie.

I on miał trochę płótna, panna Kruse dała mu je przezornie do torby myśliwskiej. Drwal Marcin obwiązał, jak potrafił, najbardziej krwawiące rany. Ale stary osowiał zupełnie, gdy usłyszał opowiadanie, które potwierdziło istnienie Góry Śmierci. Nie zasnął ani na sekundę od tej chwili i prawdopodobnie zmęczenie daleką wędrówką też przyczyniło się do jego zupełnej apatii.

Drwale usunęli się z chaty, kiedy Adelajda zabrała się do dzieła. Stary siedział na ławie pod ścianą. Tępym wzrokiem, śmiertelnie znużony, przyglądał się, jak zdejmowała bandaże z ran, obmywała je, osuszała, zręcznymi szybkimi ruchami zakładała świeże.

Ostatnią noc przespała Adelajda w leśnej chacie kamiennym snem. Była młoda i silna. Nie poddawała się zmęczeniu. Gdy ujrzała Daga po raz pierwszy, wracał właśnie z walki z orłem, rękę miał obandażowaną. Już wtedy zapragnęła ponad wszystko opatrzyć ranę, starannie obwiązać, potem z całą miłością i poświęceniem pielęgnować. Chęć ta, to marzenie, było właściwie zaczątkiem miłości do niego. Podczas owych czterech lat szczęśliwego pożycia nieraz wracał z lasu pokaleczony i ranny, ale nigdy nie pozwalał jej tym się zajmować. Z jakiegoś męskiego wstydu. Obecnie nie mógł tego zabronić. W ten swój wyczyn, w opatrywanie jego ran, włożyła całą miłość, wspomnienie szczęśliwych lat pożycia.

I to jej pozwoliło czynić wszystko dobrze, zręcznie i z całą umiejętnością.

Staremu zamykały się oczy ze zmęczenia. Po pewnym czasie zasnął oparty o ścianę. Chrapał.

Adelajda spojrzała na niego i ogromnie jej się żał go zrobiło. Przypomniała sobie chwile uroczyste, gdy widziała go w pełni sił. Miał imię i znaczenie wśród ludzi z całej okolicy, nawet w mieście; a teraz ten wielki bogacz siedzi tu w jednej z najlichszych swoich chat i śpi oparłszy głowę o ścianę, znękany, stary człowiek, bardzo stary.

Takie jest życie.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego, ale dla Adelajdy był to cud: mąż jej w nocy odzyskał przytomność; otworzył oczy i spojrzał na nią wielce zdziwiony. Długo tak leżał wpatrzony w belki sufitu, widocznie starał się zebrać myśli. W końcu coś sobie pewnie przypomniał, bo chciał oprzeć się na łokciu. Było to jednak ponad jego siły. Uprosiła szeptem, ażeby się nie poruszał, bo rany mogą się otworzyć. I tak dość krwi stracił. Podała mu wodę do picia. Poglaskała jak matka po twarzy, szepcząc dobre, pieśczośliwe słowa. Dagowi lzy stanęły w oczach.

Zauważyła, że stara się ostrożnie oddychać, spytała więc, czy boli przy oddychaniu.

– O tak – odpowiedział, uśmiechając się lekko i dotykając obwiązanymi rękami piersi.

– Czy kłuje? – spytała.

– Tak, jak pchnięcie nożem. – Chciał się uśmiechnąć, ale to mu się nie udało. Twarz wykrzywił mu ból.

Adelajda z całą troskliwością i przejęciem zbadła nogi i ręce męża i przekonała się, że nie ma złamań, również i krzyż, jak i kark, nie były nadwerżone. Doszła do wniosku, że prawdopodobnie ma połamane niektóre żebra. W ogóle cały był silnie potłuczony. Poza tym głowa mocno rozbita. Chodziło o to, aby stwierdzić, w jakim stopniu jest uszkodzona i czy nie ma jakichś wewnętrznych obrażeń. W takim przypadku byłoby źle...

Dag na nowo zemdlął i długo leżał nieprzytomny. Rozpięła mu kurtkę na piersiach i ścisnęła bandażem klatkę piersiową, ażeby zewrzeć żebra. Mocno ściągnęła końce i zeszyła, po czym przykryła go z powrotem kurtką. Następnie obejrzała kolano; obmyła je i obwiązała – było zranione.

Adelajda krzątała się i zabiegała z całym oddaniem dla męża, ale równocześnie walczyła o własne życie.

Stary Dag zbudził się i nie chcąc przeszkadzać, spod przymkniętych powiek przyglądał się jej. Opodał młody Dag na pryczy szeptem odpowiadał żonie. Stary widział, jak zręcznie i szybko zeszyła bandażę, jak poprawiała ogień. Zachwycony był jej ostro odcinającą się, pełną energii twarzą na tle ognia.

Przymknął oczy. Od tej chwili zaczął inaczej patrzeć na Adelajdę. Toć ona – rozczuliło go to – wyruszyła sama ze starym psem w pełne najróżnorodniejszych niebezpieczeństw nieznanie ostępy leśne aż na daleką północ i po tej uciążliwej wędrówce miała jeszcze dość siły, ażeby wziąć się energicznie do niesienia pomocy Dagowi. Te rozważania pobudził widok jej twarzy w świetle ognia. Była to zupełnie inna twarz. W tej chwili w chacie toczy się cicha walka. Z jednej strony stoją pradawne a surowe przypowieści Ane Hamarrbö o rodzie i śmierci, a z drugiej strony walczy miłość Adelajdy. Bo żadna kobieta nie mogłaby wyglądać tak jak ona w tej chwili, gdyby nie była zaangażowana w najtragiczniejszą walkę o jedyną miłość życia. W tej twarzy nie było widać żadnej chęci ustępstwa ani starym przesądom, ani też niczemu innemu. A Dag wierzył, że tam, gdzie jest prawdziwa, wielka miłość – Bóg pomaga.

Uczuł zmęczenie nie do opanowania, a widząc, że Adelajda pieczołowicie krząta się koło chorego, zdecydował się wyciągnąć na ławie – sen go zmorzył. Miał wreszcie kogoś, kto w nieszczęściu stał się silny i potrafił go zastąpić, może więc sobie wreszcie spokojnie zażyć snu...

Burza szalejąca na Górze Śmierci usypała pod południową ścianą, z której spadł Dag, zwały śniegu. Gdy się wspinał, ziemia była tu pokryta lodowatą skorupą, ale zawieja z wichrem zmiotła z góry wszystkie śnieg w dół i ułożyła grubą warstwę wokół góry.

W ten sposób zagładę niosąca śnieżna burza uratowała Dagowi życie. Ale odwieczna sentencja sprawdziła się jednak. I kiedy drwale znosili ciało Daga w dolinę, ponura groźba szła wciąż za nimi i krążyła wkoło chaty, gdzie Dag miał jeszcze leżeć wiele dni i nocy. Naprawdę: śmierć była blisko.

Obaj drwale poszli do dworu, ażeby przynieść ubranie, żywność i poza tym różne niezbędne rzeczy Adelajdzie. Nie życzyła sobie przysyłania żadnej kobiety do pomocy. W ten sposób wszyscy troje: ojciec, syn i synowa zmuszeni byli pozostać przez pewien czas w leśnej głuszy jak przed wiekami ich przodkowie. Adelajda gospodarowała. Gotowała, prała, ojciec Dag nosił wodę i drzewo na opał.

Dzień za dniem mijał... W lesie tymczasem rozgościła się wiosna w całej pełni. Pokryła wszystkie krzewy i rośliny cudną zielonością, pierwszym kwieciem. Pobudziła ptaki, kazała im wyciągać tęskne trele, nappełniła strumyki rwącą wodą, a powietrze przepoiła zapachem świeżości, oddechem kwiatów i ziół, które budzą w człowieku radość i chęć do życia. Nad tym wszystkim królowało słońce... Tak wyglądał bór w tych dwóch wiosennych dniach, w których rodzina björndalska ruszyła z wolna z chaty nad Czarnym Jeziorem poprzez Nattdalseter – ku domowi.

Adelajda biegnąc owego pamiętnego dnia za ciągnącym ją Bisterem, obojętna była na wszystko, co ją otaczało, nie widziała nic. Teraz z całą radością odczuwała i przeżywała wiosenny czar lasu...

Tam w chacie, przy śmiertelnie chorym mężu, podczas bezsennych nocy wsłuchiwała się w odgłosy puszczy: lasy śpiewały odwieczną pieśń... Świszczało w wierzchołkach drzew, gdy wiał wiatr z północy. Rozbrzmiewały niskie, głębokie, kojące tony, gdy wiał od południowego zachodu. Leśna symfonia towarzyszyła ich powolnej wędrówce. Głęboko wzruszał Adelajdę ten wspaniały świat. Słyszała głuchy pomruk łośi i widziała, jak te olbrzymie zwierzęta przeprowały się przed wschodem słońca przez bagna około Trollfuglseter. Widziała na jeziorze trolla, który bardziej do ryby niż do ptaka jest podobny. To dziwaczne stworzenie zanurzało się w wodę i przez długi czas tam pozostawało, a potem z ostrym, niemiłym, przesywającym krzykiem niespodziewanie zrywało się do lotu, rozpryskując wodę na wszystkie strony.

Ojciec pokazywał jej ślady przeróżnych, nie znanych jej dotąd zwierząt, a gdy już byli bardziej na południu, na wysokości Zielonego Jeziora, wskazał jej nawet świeże odciski niedźwiedzich łap.

Następnego dnia, schodząc ze zboczy, przeszli przez niektóre osiedla. Po raz pierwszy zetknęła się z innymi, nie znanymi jej ludźmi, dziećmi i zobaczyła ich chaty, które zachowały swój styl i pradawny charakter. Były to osiedla: Friland, Skya, Stjernebekk i Kast oraz większe wsie: Tjernsmo i Blatjern, Barvoll i Steinrud.

Zobaczyła też po raz pierwszy letnie obory björndalskie; znajdowały się u stóp zboczy wśród kwiatów i zieleni, pooddzielane opłotkami zaopatrzonymi w małe furtki, przez które można było przejść z jednej przegrody do drugiej.

Wróciła do domu wzbogacona całym światem nowych wrażeń.

23

Jakkolwiek wydaje się to dziwne, przeżycia Adelajdy – tragiczne początkowo, a tak szczęśliwie zakończone – osłabiły w niej początkowo rozpacz po śmierci dzieci.

Chwilami tylko, gdy po rozpamiętywaniu niebezpieczeństw, na jakie naraził się Dag w swej tragicznej wędrówce przez lasy, powracała myślą do dzieci, popadała w niezmierną rozpacz, że tak ją Bóg osierocił. Obliczała, ile by teraz miały lat, i zalewała się łzami. Ale to szybko mijało, bo wracała do rzeczywistości, która ją całkowicie pochłonęła.

Ojciec Dag pod wpływem ostatnich przeżyć bardzo się zestarzał. Często, jak to bywa u starszych ludzi, wracał myślą do młodych lat. Zaczął się zastanawiać nad tym, jakie były zamiary Boże w ostatnich wypadkach. Często także rozważał, jakie mogły być powody, które go pchnęły do wyjazdu do Hamarrbö i patrzenia z zainteresowaniem na młodą dziewczynę. Widocznie Bóg uważał to za zuchwalstwo i dlatego zaraz potem zjawilo się jakby ostrzeżenie Najwyższego, że w jego ręku leży wola i moc zraty całego rodu albo zachowania go przy życiu.

Dane mu było przy tym zobaczyć zupełnie inną synową, inne oblicze pięknej, subtelnej Adelajdy. Ani trud, ani widok krwi nie złamały jej woli. Dzielna kobieta. A może Bóg chciał mu pokazać, jak wielka była siła miłości Adelajdy, może ratując życie jego syna, chciał pozwolić przyjść na świat nowemu życiu?

Tak. Z tego punktu widzenia trzeba patrzeć na tę całą sprawę, mieć zaufanie do Pana Boga, a nie urządzać przyszłość według własnego starczego upodobania. Jeśli pragnie działać – są tu na ziemi jeszcze inne sprawy do wypełnienia. Trzeba będzie częściej odwiedzać dom Boży, pójść do nowego pastora. Nie był jeszcze u niego, a pastor nie stara się tak jak jego poprzednicy o jego względy, nie narzuca się. Jest przecież krewnym Adelajdy. Poza tym kazania nowego duszpasterza – trzeba przyznać – są zupełnie po jego myśli. W ogóle robi wrażenie człowieka skromnego zacnego, nie jest łasy na prezenty i dary na kościół. Ojciec Dag przypomniał sobie w tej chwili jedno zdanie z Biblii, które niegdyś wywarło na nim ogromne wrażenie. Było tam powiedziane, że grzechem jest przeciwstawiać się słudze Bożemu. Mimo to unikał go do tej pory... A gdyby tak postąpić teraz inaczej, okazać pastorowi więcej uległości. Na pewno niełatwo jest być duszpasterzem. Taki duchowny chyba również odczuwa potrzebę przyjaznego słowa.

Dag dobrze wiedział, co się w okolicy mówi: podobno urzędnicy i ziemiaństwo z dolin kpią z nowego pastora, nawet publicznie z niego szydzą. Nazywają go „kościelną myszą” dlatego, że jest bardzo biedny. Miał bowiem dużo dzieci i z tego powodu wpadł w długi, zanim doszedł do tego stanowiska. Nazywali go też „Duchem Świętym”, bo miał taki poważny wygląd. Tak osądziła go okoliczna inteligencja, a bogate chłopstwo jak zwykle powtarzało wszystko za nią.

Dag wiedział, jakie będą skutki jego odwiedzin. Będą gadać, snuć różne domysły – ale to nic, właśnie niech gadają!

Niemniej w owe najszczerze zamiary wkradło się sporo pychy, poczucia władzy i siły. Dag myślał z przyjemnością o tym, jakie to oczy zrobią ci wielcy panowie, przeciwnicy pastora, gdy się dowiedzą, że on go odwiedził z całym szacunkiem. Był świadom wielkiego wpływu, jaki wywierał na okolicę. Znał potęgę swego bogactwa i tę niemal legendarną aureolę, którą go otaczano. Opowiadał mu o tym niejeden z jego dłużników; prawdopodobnie, ażeby mu się przypodobać i zyskać jego łaski. W przeciwieństwie do tego major w swej szczerzej rubasznosci powiedział mu, że jest dla całej okolicy postrachem, tak dla starych, jak i młodych, że każdy, nawet najbogatszy, lękałby się z nim zaczynać.

Tak, pragnie przyjść z pomocą Panu Bogu. Niech sługa Boży nie czuje się tak bardzo osamotniony w swej parafii. Każe zaprząć konie i pojedzie któregoś dnia z wizytą do pastora na plebanię; niech się śmieją panowie i chłopci. W sercu jego, jak zresztą zawsze, gościły w tej chwili na zmianę: to poważna chęć działania, to przekora i upór; ale przyczyna tych uczuć była czysta pokora.

Młody Dag zainstalował się na dobre w komnacie obok pokoju Adelajdy. Do czasu kompletnego zagojenia się swędzących jeszcze ran, wyleczenia piersi i uzyskania zupełnej równowagi psychicznej nie wolno mu było chodzić do lasu. Od wypadku bowiem dręczyły go najrozmaitsze wizje.

Już go lasy z tym swoim odrębnym życiem tak bardzo nie nęciły. Coraz silniej odczuwał potrzebę wypoczynku i przebywania w pobliżu Adelajdy. Była dla niego już nie tylko piękną, godną pożądaną kobietą. Stała się radością jego życia. Nie wspominała zmarłych dzieci, nie płakała w jego obecności, nie bywała smutna. Zawsze była uśmiechnięta, pogodna, zadziwiająco opanowana. Wyprosiła sobie, żeby jej wolno było leczyć rany Daga. Czyniła to tak, jakby były jej własne. Całowała najbardziej zranione miejsca, wcale się tego nie wstydziła, przeciwnie, z promiennym uśmiechem patrzyła na Daga. Z początku musiał ze względu na stan zdrowia sypiać w jej pokoju, w tym wielkim, ciepłym, wygodnym łóżku, a potem, gdy już było lepiej, nie pozwoliła mu się wyprowadzić. Kiedy był jeszcze osłabiony, sadzała go w fotelu na krytym ganku w słońcu i to mu się tak podobało, że spędzał tam całe dni. Gdy był zdrowszy, czytała mu na głos wieczorami, komentując to i owo; grywała na lutni i cicho przy tym śpiewała. Weszło to w zwyczaj i powtarzało się co wieczór.

Ostrożnie, pytając półsłówkami, niejedno zrozumiała i po części dowiedziała się, jaka była przyczyna wypadku. Czasem doprowadzała do tego, że sam mówił.

Połączyła jego zwierzenia z tym, co jej stary ojciec opowiedział, aż w końcu wszystko wiedziała, a więc: treść starej pieśni wróżebnej i to, co Dag tam przeżył. I może to ona sama spisze kiedyś na kartkach pamiętnika tę legendę o Górze Śmierci...

24

Była wiosenna noc, cicha, bezwietrzna. Ani jeden listek nie drgnął na drzewach otaczających dwór Björndal. Do komnaty Adelajdy przez otwarte okna napływały upajające oddechy ziemi. Lekki powiew wydymał chwilami firankę i zasłony nad łóżkiem.

Od strony łóżka słychać było szept, urywane, niezrozumiałe słowa. Łóżko zatrzeszczało. Adelajda uniosła się na łokciu i wyciągnawszy ramię, pochyliła się nad Dagiem. Nasłuchiwała. W ciągu ostatnich nocy spał wyjątkowo niespokojnie, ciągle coś mówił, ale niewyraźnie, tak jakby mu z trudem szło formułowanie zdań... Budziła go zazwyczaj, ażeby mu przerwać męczące sny. Tym razem siadła na łóżku i słuchała. Właściwie nie powinna tego robić, pragnęła jednak w końcu zrozumieć sens tych słów. Może będzie lepiej, gdy się nareszcie dowie, co jest powodem jego niepokoju. Wtedy pomówi z nim i może uspokoi.

– Trawa... w strumyku... w lesie... – mamrotał – gna, pędzi... z prądem... a z miejsca nie rusza... Nenufary na stawie... liście... płyną na grzbietach fal... płyną... płyną... i wciąż w tym miejscu... zakłęte...

Następował szereg słów zupełnie niezrozumiałych. Aż nagle krzyknął pełen gniewu:

– Nie! Nie... tam nie ma śniegu!... Nie ma szczytów... to wszystko pokutujące dusze... i wysoko w słońcu...

Coś potem jeszcze bełkotał niezrozumiale, w końcu jednak uspokoił się.

Adelajda nasłuchiwała jeszcze przez pewien czas. Pierś Daga, którą ona tak mocno obandażowała i obszyła, poruszała się teraz regularnie pod wpływem zdrowego oddechu. Pochyliła się nad mężem – nie słyszała chorobliwych szmerów. Serce biło spokojnie i miarowo.

Ale głowa? Jakież to marzenia roją się w niej? Starła się wysnuć z nich jakiś sens swym zdrowym kobiecym rozsądkiem, tak jak obserwowała jego oddech i puls. Ale z tego, co działo się w głowie Daga, wrywały się przez usta tylko niezrozumiałe strzępy. Trawa, nenufary i dusze pokutujące? Jaki to ma związek? Kto to może zrozumieć?

Nie odzyskał jeszcze równowagi psychicznej, coś go gnębi. Położyła się z powrotem obok męża. Żyje, jest – to najważniejsze, oddycha.

Oparła głowę na jego ramieniu, zamknęła oczy, a myśli jej uleciały w noc wiosenną.

Adelajda z mężem siedzieli pod pnącymi roślinami na balkonie. Po obu stronach drzwi stały małe ławki akurat na dwie osoby.

Adelajda spojrzała na Daga swymi jasnymi, mądrymi oczami, głębokimi jak toń leśnego jeziora. Spojrzała mu spokojnie prosto w oczy i zapytała:

– O czym myślałeś, patrząc ze szczytu góry na krainę śmierci? – Głos miała pewny i spokojny.

Odwrócił ku niej z wolną swą twarzą i spojrzał na nią z natężoną uwagą. Jego oczy, jak gdyby zapatrzone w przeszłość, były błękitne, świecące, zdziwione.

– Co możesz wiedzieć o tym, co wówczas myślałem? – Po ustach jego przebiegł wieloznaczny uśmiech.

Adelajda spuściła wzrok i mimo woli oblała się rumieńcem. Może to tylko nieczyste sumienie podsuwa jej podejrzenia, iż on już wie, że go śledziła. Trudno go było w ogóle zrozumieć. Podejrzliwy jest i niedowierzający jak zwierzę...

Na pewno spostrzegł jej zakłopotanie, bo odwrócił od niej oczy, popatrzył w kierunku osiedla i rzekł przed siebie, jakby nie do niej:

– W takiej chwili niejedno człowiekowi przychodzi do głowy, nawet później też jeszcze budzi refleksje...

Adelajda już odzyskała panowanie nad sobą. Dłoń swoją, która spoczywała na balustradzie, przysunęła do Daga, pochyliła się naprzód i rzekła:

– Byłoby ciekawe dla mnie i dla innych wiedzieć, jakie wrażenie wywiera i pozostawia kraina śmierci. – Uśmiechnęła się trochę smętnie.

– Trudno o tym mówić rano, w słońcu – odparł ponurym głosem.

– W takim razie możemy pomówić o tym dzisiaj w ciemnościach, w łóżku – rzekła.

– Hm – odparł zamyślony – ale musiałyby być absolutnie ciemno...

Tego samego dnia przyjechał major Barre i przywiózł ważne wiadomości. Nie były nowe, bo już całą wiosnę krążyły z ust do ust i nawet major podczas swego ostatniego pobytu też już o nich raz wspominał, ale w Bjørndal wobec tragicznych domowych przejść nie zwrócono uwagi na to, co się na świecie dzieje. Opowiadał więc po raz drugi o wyniku posiedzeń parlamentu w Eidsvoll, o uchwalonej konstytucji, o powziętych postanowieniach, o wyborze króla. Donośnym głosem przepowiadał, jaka będzie przyszłość kraju.

Zwykle, gdy major przyjeżdżał, na stole zjawiało się coś specjalnego. Tego dnia, może przez wzgląd na wielkie i doniosłe nowiny, a może z innych przyczyn, na stół wjechało wino. Major podniecony alkoholem przysięgał, że Norwegia przeciwstawiła się Danii i Szwecji, i w ogóle innym wielkim, potężnym państwom; zapewniał, że w kraju z dnia na dzień silniejsza się staje armia na lądzie i wodzie. Wracają oto dla Norwegii bohaterskie czasy Haraldha Harfarga i Haakona Haakonsona. Ze słów majora bodaj można było wywnioskować, że za parę lat na Morzu Północnym pojawią się i wyruszą na podbój świata...
Wikingowie.

Adelajda poddała się ogólnemu entuzjastycznemu nastrojowi przy stole i słuchała z szeroko otwartymi oczami i wypiekami na twarzy mowy ojca. Również i staremu Dagowi na pewien czas udzielił się panujący nastrój, ale gdy major zaczął wojować ze wszelkimi państwami i projektował nawet zdobycie Anglii, znikł jego entuzjazm. Twarz stała się spokojna i opanowana, a w oczach ukazywały się błyski ironii.

– Zanim wyruszymy na taką wyprawę, musimy mieć dużo pieniędzy, żywność i jakieś czyny za sobą – powiedział.

Majora nie tak łatwo było zbić z tropu; był przyzwyczajony do tego, że ojciec Dag prosto z mostu mówił wszystko, co myśli; jednakże przeskok od radosnych upojeń w mieście do trzeźwej prawdy starego Daga był zbyt wielki. Speszył się i przycichł na chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć; a to mu się rzadko zdarzało.

Młody Dag siedział naprzeciwko majora i patrzył poprzez jego głowę na drzwi prowadzące do ciemnego pokoju. Widać było, że myśli zupełnie o czym innym. Na twarzy błąkał się pobłażliwy uśmiech, tak jakby to, co się wokół niego dzieje, wcale go nie interesowało.

„Tak – pomyślała Adelajda – nie jest jeszcze zupełnie wyleczony. Nie powinien pić wina i wódki”.

Major w końcu oprzytomniał po tej zimnej kąpieli i zaczął mówić o czymś innym. Opowiadał więc, co się dzieje poza Norwegią, o wojnach prowadzonych przez Napoleona i o jego losach. Adelajda obserwowała męża: to samo roztargnione spojrzenie i błąkający się na twarzy uśmiech...

Wieczór był chłodny, wszyscy więc zasiedli koło komina. Gorący poncz parował ze szklanek. Major, zapomniawszy o wszystkich troskach, które nawiedziły w ostatnich czasach ten dom, był wesół i głośno rozprawiał. Taki już był i nikt się temu nie dziwił. Adelajda patrzyła zdumiona na męża, który sączył poncz szklanka za szklanką. Nigdy tak przecież nie pił.

Gdy potem udali się do siebie, wszedł do swojej komnaty, rozpałił ogień, siadł i wpatrywał się w ścianę. Adelajda stanęła w drzwiach i obserwowała go bacznie. Z lękiem podeszła na palcach do komina i cicho siadła na krześle stojącym trochę w tyle.

– Może być lepiej nie pijał alkoholu, dopóki nie będziesz zupełnie zdrow?...

Gdy się do niej odwrócił, znów miał na ustach ten zagadkowy uśmiech i wzrok jakby nie z tego świata:

– Głowa? – spytał. – Jak myślisz? Czy zdaje ci się, że nie jest z nią jeszcze zupełnie dobrze?

– Tak – odparła cicho, ale stanowczo. – Jakoś dziwnie mówisz przez sen, a w dzień jesteś milczący, jakbyś zupełnie nie brał udziału w tym, co się wokoło ciebie dzieje. Nie mogę cię czasem poznać. A poza tym uśmiechasz się wciąż tak jakoś smutno, bezgranicznie smutno...

– No tak, takim się człowiek staje, gdy wejdzie na Górę Śmierci...

– Przestań, nie możesz o tym wciąż myśleć. Staraj się zapomnieć o tym nieszczęsnym dniu! – przestrzegła Adelajda.

– Wykreślić ten dzień z pamięci? Przecież to nie był jeden dzień. Ja tam na szczycie byłam wiele, wiele razy.

Adelajda spojrzała na niego przerażona i zaczęła drżeć z lęku. A więc z jego głową jest gorzej, niż przypuszczała. Musi stawiać mu teraz ostrożne pytania, wysondować go w zręczny sposób, aby się przekonać, do jakiego stopnia jest chory.

– Jak to? Więc byłeś tam kilka razy? – spytała jak tylko mogła najspokojniej.

– Tak – odparł i znów się beznadziejnie smutno uśmiechnął – tam na górze nie tylko są skały, leży śnieg i szaleją wichry, tam, na tej Górze Śmierci, dzieją się osobliwe rzeczy.

Widocznie podniecił go alkohol. Zwykle tak lakoniczny, teraz nagle ożywił się i rozgadał... Twarz miał zwróconą w stronę ognia.

– Tak, byłem tam niejedyn raz... Leżałem... tak!... Leżałem wysoko wśród chmur. Widziałem, co się nad nimi dzieje. Tam śniegu już nie ma ani szczytów. Są tylko dusze zmarłych uwiecznione w głębokich cieniach; niektóre niżej, niektóre wyżej, niektóre jak skaliste iglice sięgają słońca.

Oblał ją zimny pot. O tym właśnie opowiadał przez sen.

– Tkwią tam jak rośliny, jak kłosa, jak trawa w dole przy strumykach leśnych, jak nenufary na stawie... Tam nie śnieg zawiewa i nie burza szaleje; to dusze są tak pędzone, choć nie wiatr je popycha, tylko tęsknota za czymś niedościgłym, niedosiężnym, która się z nich samych wydziera... Pną się do słońca, wznoszą się i płyną, płyną jak na stawie trawa, jak nenufary na fali. Ale wciąż są w tym samym miejscu, bo są wrośnięte tam, gdzie były za życia i gdzie je śmierć zaskoczyła. W najdalszych głębinach wszystkie są ciemne, ale w górze przybierają różne barwy. Niektóre mają krwawy odcień, inne są białe, a te, które sięgają najwyżej, mieniają się odcieniami płynnego złota. Jest to jakby jakieś pełne ruchu, falujące, bezkresne morze. Tak wygląda świat cieni za Górą Śmierci. Na południe, gdzie rozciąga się kraina życia, objąć można okiem ze szczytu góry cały świat. Dziwne to uczucie, gdy się tam jest i całe życie ma przed sobą jak na dłoni. Ludzie w dole wyglądają jak małe płomyczki, niektórzy błyszczą światłem zielonym jak robaczki świętojańskie, jedni promieniają słabiej, drudzy silniej. Wszyscy jednak dążą w kierunku północy – ku szczytowi śmierci. Niektórzy idą spieszniej, inni wolniej, ale wszyscy, z chwilą gdy zaświecą, tylko ten kierunek biorą. Zderzają się, popychają, gonią, a czasem jedni drugich uśmiercają błyskawicznie, jednocześnie zaś sami są coraz bliżej śmierci. Dzień i noc padają dusze jak krople deszczu koło szczytu. Niektóre z tych ogników życia są silne, ale mają odcień złowrogi. Pociągają za sobą szeregi innych płomyków w stronę góry... Dzieje się to głównie podczas wojen, a wtedy z paszczy potwora-śmierci wydobywa się okropny, szyderczy śmiech. Niesamowity jest ten widok i przerażający. A jednak człowiek, który patrzy na to, śmiać się musi. Ludzki rozum nie obejmie tego, co tam jest, na co się tam patrzy w obliczu śmierci... Gdy się widzi stamtąd całą bezsensowność krótkiego popasu na ziemi od chwili zjawienia się, zatlenia się światelka, które nazywa się życiem, aż do chwili gdy dusze tam na Górze Śmierci rozproszą się, staną się duszami-roślinami wśród bezliku innych, gdy się to zobaczy po raz pierwszy –

można oszaleć...

Adelajdę to, co usłyszała, zamroczyło... Tak, uderzył się silnie w głowę i oszalał.

Nagle zwrócił do niej spokojną, uśmiechniętą twarz i spojrzał jasnym wzrokiem.

– Przypuszczasz pewnie, że zwariowałem, ale bądź spokojna, tak nie jest. Na Górze byłem tylko jeden raz, myślą za to często od tego czasu tam wybiegałem i nieraz mi się to wszystko zjawiało we śnie. Chciałem się tylko z tobą podzielić przywidzeniami, snami i myślami, które mnie od tego czasu nawiedzają. Myśli te pochodzą bezsprzecznie z tego, co tam na górze widziałem, a co już samo było dość niewiarygodne; potem także i z upadku, i z wysokiej gorączki w szalasię, i z majaczeń, które mnie później prześladowały. Pewne mądre rzeczy może pochodzą z książek, które mi głośno czytujesz. A są takie sprawy, które się stały rzeczywiście. – I dodał już bez uśmiechu: – Poszedłem wówczas w góry z zamiarem skończenia z życiem. Ale gdy już nie było prawie możliwości wydostania się stamtąd żywym, wówczas uprzytomniłem sobie, że to ma być już mój kres na zawsze, i spotrzegłem, że przeżywszy trzydzieści lat w gwałtownym tempie, nigdy nie pomyślałem naprawdę o nieodwoalnym końcu. Nie zastanawiałem się nad tym. Tak jak zresztą czyni to większość ludzi; żyją, jakby mieli tysiąc lat przed sobą...

Głęboko zaczerpnął powietrza, wyprostował się w fotelu. Twarz odwrócił z powrotem do ognia, oczy gdzieś błędziły w przestrzeni, tylko usta już się nie uśmiechały owym smutnym, zagadkowym uśmiechem.

Patrzyła na niego zatroskanym wzrokiem. Doszła do wniosku, że pomimo wyraźnych jeszcze blizn na czole, nigdy nie był tak urodziwy. Uświadomiła sobie po raz pierwszy, że dotychczas nie uważała go za całkowicie dorosłego. Miał jeszcze w sobie coś chłopięcego w tej nieśmiałości, braku przeżyć, doświadczenia i tego wszystkiego, co po sobie pozostawiają przejścia. To fantastyczne opowiadanie, podobne do bajki, które w tej chwili usłyszała od niego, zmieniło jej zdanie o nim.

Do tego czasu czuła wobec niego szacunek, może nawet pewnego rodzaju lęk z powodu niebywalej siły fizycznej, gorliwości i milkliwego usposobienia. A oto teraz przybyła mu jeszcze dojrzałość.

– Dlaczego uśmiechałeś się cały czas, gdy ojciec mój opowiadał, co się dzieje w świecie? – spytała nagle.

– Bo spostrzegłem, że ludzie tu na ziemi tak się bardzo męczą i mozolą, jakby mieli żyć wieki, a przecież pobyt nasz tutaj jest tak krótki. Jest to tylko przystanek w podróży do wieczności. To, co tam widziałem i odczułem, jest wciąż obecne w moich myślach. Uśmiecham się więc, gdy widzę, jak się ludzie kłopotczą wielu sprawami, zamiast pamiętać o tym, że jesteśmy tu tylko w podróży do krainy śmierci. Bo też jest to jedyna prawda w naszym życiu, jedyna nam dostępna: życie to śmierć. Gdy człowiek stanie na tamtym szczycie i spojrzy w dół na ludzi i ich poczynania, to widzi ślepych głupców, kręcących się w kółko. I ja niegdyś zaliczałem się do nich.

Minął jakiś czas i Dag zupełnie wyzdrowiał. Któregoś dnia wybrał się do lasu. Musiał dać słowo Adelajdzie, że zachowa ostrożność i że już nie będzie się wspinać na Górę Śmierci. Śmiał się, gdy go o to prosiła, i odparł, że kto tam raz był, wcale nie ma ochoty udawać się ponownie.

Gdy Adelajda spostrzegła, że jest przy nadziei, była bardzo szczęśliwa, ale jednocześnie nieco niespokojna i niepewna. Prześladowała ją myśl, że dziecko, które ma przyjść na świat, zaraz po urodzeniu zacznie swą wędrówkę ku śmierci. Dużo nad tym przemyślała i miała zamiar pojechać do pastora, któremu kiedyś przyrzekła, że przyjdzie do niego, gdy będzie ją coś dręczyło. Podczas szczęśliwych lat zapomniała zupełnie o tym przyrzeczeniu, a w rozpaczy po śmierci dzieci w ogóle zapomniała o istnieniu pastora. I tak nikt nie potrafi wskrzesić zmarłych. Teraz pomyślała o pastorze, ale jednocześnie i o ojcu Dagu.

Chciała staremu oznajmić dobrą nowinę. Na pewno bardzo się ucieszy. Tak się zestarzał po śmierci malców. Chciała mu też zdać relację z owej rozmowy z Dagiem i usłyszeć, co na to powie. Przypuszczała, że gdy podzieli się z nim, rozproszy beznadziejność i smutek, które w niej wzbudziło opowiadanie męża.

Tego roku chłód panował jeszcze w połowie lata. Wieczorami trzeba było palić w kominkach. Któregoś wieczoru ojciec Dag siedział przy ogniu i kurzył długą fajkę. Adelajda, tak jak to dawniej bywało, weszła z robotą na drutach i usiadła obok niego w wielkim fotelu. Zamienili najpierw parę słów o pogodzie i kierunku wiatru. Potem Adelajda zaczęła ostrożnie wypytywać teścia o wypadek, który przydarzył się młodemu Dagowi, aby sobie lepiej wszystko wytłumaczyć i dowiedzieć się czegoś o starej przypowieści, tyczącej Góry Śmierci. Poruszyła temat, który ją najżywiej interesował, przytoczyła słowa męża, dodając własne komentarze, a potem dopiero oznajmiła wielką nowinę. Słuchał w milczeniu. Gdy wspomniała, że się spodziewa dziecka, podniósł głowę i zdawało się, że przybiera z powrotem swą dumną postawę.

W końcu Adelajda poruszyła najbardziej palącą kwestię: czy prawdą jest, że po to jedynie przychodzi się na świat, ażeby umrzeć.

Ojciec Dag uśmiechnął się melancholijnie, kiwnięciem głowy potwierdził słowa syna. Porównywał je z własnymi zapatrywaniami na śmierć i życie. Miał przecież o wiele więcej lat niż syn i nie przeżył życia beztrudnie jak on; przeszedł niejedno ciężkie doświadczenie, nad każdą sprawą zwykł był głęboko się zastanawiać, nieraz więc rozmyślał i o śmierci. Podzielał zdanie swego syna, ale uważał, że wobec stanu Adelajdy trzeba je wyrazić w innej formie, delikatniejszymi słowami, by przekonać ją, że w duszy człowieka drzemią siły, które pomagają przejść ponad wszystkim, nawet ponad śmiercią.

Długo szukał odpowiednich słów. Miał, oczywiście, ustalone poglądy na tę sprawę. Wstał z fotela i wędrował po pokoju z rękoma założonymi do tyłu. W jednej trzymał fajkę – kołysała się w takt jego kroków.

Adelajda przyglądała mu się uważnie, łzy stały jej w oczach. Dziś byłaby w stanie wiele mu wybaczyć, wydał jej się bowiem znów taki jak dawniej, przed śmiercią malców. Nadzieja na nowego potomka podnieciła go, zapaliła w nim jakby jakiś ogień. Przejechał palcami po włosach, cofnął ramiona w tył i podniósł wysoko głowę tak jak za najlepszych czasów.

Adelajda przyglądała mu się z boku, tak jak się niedawno przyglądała mężowi. Czy też syn upodobni się kiedyś do ojca i nabierze również takich silnych jakby rzeźbionych rysów? Życie, troski, zmartwienia tak długo się na tej twarzy odbijały, aż się utrwaliły i wywołały ów dziwny, jasnowidzący wyraz. Toteż chwilami wprost trudno było oderwać od niego oczy.

Siedział teraz, nie odwracając głowy, jakby zapatrzony w coś, co widział w ogniu. W końcu zaczął mówić z wolna, cicho, ale bardzo pewnym głosem:

– Życie i śmierć... Hm, właściwie jest tak, jak mówi Dag. Z Góry Śmierci życie doczesne wydaje się jedynie tylko krótkim popasem pomiędzy wiecznością, z której przybywamy, a wiecznością, w którą idziemy. Tak trzeba na to patrzeć, ażeby zrozumieć związek, jaki istnieje pomiędzy jednym a drugim. A związek ów polega na tym, że wędrując z jednej wieczności w drugą, nosimy w sobie cząstkę boskości, jeżeli w ciągu tego krótkiego popasu na ziemi nie żyjemy jak ślepcy. Nosimy w sercach naszych coś z naszego Pana. Można by to określić trzema słowami, które znajdujemy w Biblii: wiara, miłość i nadzieja; dla mnie są one bliższe, gdy zastąpić je słowami: ufność, pewność i dobra wola. W ten sposób łączą się bardziej ze sobą i są tym, co mamy w sobie z Boga. Wynoszą nas one wysoko ponad Górę Śmierci.

25

Ojciec Dag dał nauczkę poborcy i uśmiercił jego diabelskiego psa. Od tego czasu poborca nie tykał ludzi mających coś wspólnego z Dagiem, ale pił jak i przedtem, może nawet więcej. I grał w karty dzień i noc prawie bez przerwy. Rok za rokiem.

Któregoś rana po takiej szalonej nocy znaleziono go martwego. Siedział na krześle i ścisnął ręką szklanekę z wódką stojącą na stole. Dosłownie zapił się na śmierć.

Chowano go najzwyczajniej, ale podczas pogrzebu zaszło coś niezwyklego. Pastor bowiem przemawiał nad grobem w sposób dotychczas nie praktykowany. Powiedział bez ogródek, że poborca wiodł żywot bezbożny, niechrześcijański, był złym przykładem dla całej okolicy i teraz – tak jak to przeważnie bywało w jego życiu – chwiejnymi krokami, po pijanemu, stanie przed obliczem Pana. Pastor mówił to tak gniewnie, że wszystkich słuchaczy przejął mróz. Poruszył nawet kwestie, czy dopuszczalne jest, ażeby taki człowiek został pochowany w święconej ziemi. Chciał tym pewnie dać do zrozumienia, że dla niego tego typu człowiek jest tyle wart, co samobójca.

Poborca nie miał ani jednego przyjaciela, ale za to co najmniej dwie żony i liczne potomstwo. Cała ta rodzina była oburzona, uważała, że to skandal przemawiać w ten sposób nad grobem, wypowiadać szczerze to, co inni po cichu myślą.

Dużo nad tym dyskutowano; całe wydarzenie rozważały władze i ludzie wpływowi. Ogólnie sądzono, że tego rodzaju mowa pogrzebowa jest niedopuszczalna. Obowiązkiem duszpasterza – orzeciono – jest przemawiać nad grobem ostrożnie, licząc się z pozostałą rodziną, chociażby przyszło powiedzieć nieprawdę. I cóż dziwnego? Pomiędzy malkontentami był niejeden, który miał powody bać się mowy pośmiertnej takiego pastora nad swoją własną mogiłą. Co było, to było, ale na zakończenie życia można wymagać świadectwa za dobre życie i przyzwoite obyczaje.

Niektórzy postarali się wykorzystać różne znajomości i stosunki. W rezultacie zjawiał się sam biskup na nie przewidzianą wizytację, ażeby zbadać sprawę na miejscu i poznać niezwykłego pastora. Biskup ten był dzieckiem swej epoki. Źle się czuł na tej plebanii, pełnej dzieci, gdzie wino było rzadkością na stole. Nie podobało mu się również kazanie wygłoszone przez człowieka uczonego, a mocno oparte na Biblii. Swe niezadowolenie okazał wprost pastorowi i odjeżdżając, zganił bez ogródek mowę nad grobem poborcy. Powiedział, że spowodował rozżalenie, niechęć, a nawet oburzenie, uniemożliwiając tym samym dobre stosunki z parafianami; inne złe konsekwencje przyniesie niedaleka przyszłość.

W swej kancelarii pastor Ramer czuł się silny i odporny na wszystko, zwłaszcza wtedy, gdy zagłębiał się w modlitwie lub rozmowie z Panem Bogiem, albo przygotowywał kazania. Stamtąd także czerpał moc, która mu towarzyszyła w stosunkach ze światem podczas wykonywania powinności związanych z urzędem i sprawami Bożymi. Na gruncie prywatnym był nieśmiały; nie miał daru przekonywania. Nie należał do tych pastorów, którzy potrafią przemówić wprost do chłopa i nakłonić go do tego, aby był dobrym rolnikiem. Sam był nieświeży – gospodarka jego pozostawiała wiele do życzenia. Niepomyślnie, chude ostatnie lata zubożyły go; ledwo koniec z końcem wiązał. I to, że nie żył w zgodzie z bogatym chłopstwem, było dodatkowym powodem, iż dochody jego stawały się coraz mniejsze. Nie był człowiekiem praktycznym; powoli też parafianie tracili szacunek dla niego i przestali się liczyć z jego słowami i jego przykazaniami. Ani on, ani jego rodzina z nikim nie utrzymywała bliższych stosunków. Wielkie dwory były przed nim zamknięte, a mniejszym właścicielom ani przez myśl nie przeszło zaprosić pastora do siebie. Uchodził za nieprzystępnego i nieustępliwego, bo stale walczył z lekkomyślnością epoki i coraz bardziej szerzącym się wśród ludzi pijaństwem. W ten sposób tracił kontakt ze swoimi parafianami, coraz bardziej się od nich oddalał i coraz częściej zamykał się w swojej kancelarii. Trudno mu było stale przebywać w źle prowadzonym domu, u boku zmartwionej, niedołączonej żony i gromady dzieci. Dobiła go zupełnie ta nieoczekiwana wizyta biskupa i groźba wyrażona w jego ostatnich słowach.

Zbliżała się wiosna 1815 roku. Pastor siedział w kancelarii i zamyślony spoglądał przez okno na pola, na których gdzieś widniał jeszcze śnieg. Na stole przed nim leżała Biblia z pozatykanymi między stronice papierkami zamiast zakładek. Obok Biblii – duży arkusz papieru, pełen notatek do niedzielnego kazania; w ostatnich tygodniach pastor taki był jakiś niespokojny i nieopanowany, że trudno mu było skupić się na jednym przedmiocie.

Po wizytacji biskupa dręczyły go różne myśli podczas bezsennych nocy. Czuł wiele nienawiści wokół siebie, a przyszłość jego przedstawiała się niewesoło. Czyżby był w wykonywaniu swych czynności zbyt pewny siebie? Czyżby powinien, prawiąc kazania – dotyczy to głównie pogrzebu poborcy – obrać drogę pośrednią i mówić o miłosierdziu boskim? Sądził zawsze, że obowiązkiem jego jako duszpasterza było poruszanie grzesznych dusz, które dały się pociągnąć złu i wiodły życie na wzór poborcy, oraz wskazywanie im, póki czas, boskich przykazań i możliwości powrotu na dobre drogi. Chciał parafię oczyścić ze skandalu, który był zgubnym przykładem i zatrwał dusze, dlatego bez ogródek potępił to życie.

Biskup orzekł jednak, że sądzić nie jest rzeczą ludzką; wspomniał przy tym nawet faryzeusza i celnika.

Czy był naprawdę faryzeuszem? Czyżby zadaniem duszpasterza było podtrzymywanie ludzi w ich lekkomyślnym trybie życia i przyzywanie oczu na wszelkie zło? Może to jest i wygodne, ale czy taka jest wola Boża?

Bez przerwy kotłowały się myśli w głowie pastora, a zatrzymywały się także na tym, co oczy jego widziały przez okno: wiosna! Ziemia wyglądała spod śniegu. Zacznie się obrabianie pól i ogrodu... Zjawią się kłopoty, skąd wziąć na wydatki gospodarcze? Na ziarno pod zasiew, sadzonki i różne narzędzia? Gnębiły go te kłopoty, a nade wszystko dręczyły ostatnie słowa biskupa.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos zajeżdżającego powozu i stuk kopyt końskich. Wstał i nasłuchiwał, ogarnął go niepokój graniczący z lękiem. Czyżby to miał być ktoś przynoszący mu z polecenia biskupa dymisję?

Otworzyły się zewnętrzne drzwi prowadzące do sieni i rozległy się mocne, spokojne kroki. Ktoś zapukał – nie lekliwie, jak ludzie ze wsi, ale jak człowiek pewien siebie, który chce osiągnąć swój cel. Pastor bezwiednie wyprostował się, odwrócił do drzwi, zaczerpnął głęboko powietrza i powiedział, jak tylko mógł, spokojnym głosem:

– Proszę!

Drzwi zostały otwarte nie na wpół, ostrożnie, ale od jednego zamachu. Na widok wchodzącego pastor szeroko otworzył ot zdziwienia.

Szedł ku niemu z wyciągniętą ręką człowiek, którego najmniej się tu spodziewał – Dag Björndal w całej swej okazałej postaci. Pastor w swoim czasie był zaproszony na wesele Adelajdy, ale zaproszenia nie przyjął. Odmówił w ostatniej chwili. Ani on, ani jego żona nie mieli ochoty ukazywać się tam wśród bogaczy i wielkich panów. Pastor w ogóle zawsze źle się czuł na takich wspaniałych przyjęciach. Śmiało postanowienie zbliżenia się do tych ludzi z Björndal odkładał z dnia na dzień, aż w końcu poszło ono zupełnie w zapomnienie. Widocznie i Adelajda nie potrzebowała jego rady i pomocy.

Pastor zakłopotany przysunął krzesło, schował arkusz z notatkami do Biblii, zamknął ją i odłożył, odsunął kałamarz i pióro. W końcu jednak zdołał usiąść, po czym odwrócił się twarzą do niespodziewanego gościa. Przypuszczał, że stary Dag dowiedział się o mowie nad grobem poborcy i przyszedł, ażeby załatwić z nim porachunki z tego powodu.

Każdej jesieni przysyłano z Björndal na plebanię upolowanego łosia. Był to najcenniejszy prezent z tych, które pastorowa tutaj otrzymywała. To była uczta dla zgłodniałych dzieciaków! Przez myśl przebiegła obawa, że może w tym roku nie otrzyma takiej przesyłki. Przyłapał siebie na rozważaniu o tym i zmartwił się, i zawstydził... Czyżby już tak nisko upadł, że roztrząsa materialne, doczesne, bardzo przyziemne sprawy? I to w chwili, gdy po raz pierwszy progi jego przestąpił Dag?

Powinien był powiedzieć, że jest rad z odwiedzin tak dostojnego gościa, powinien sam się mile uśmiechnąć, tak właśnie jak Dag uśmiechał się w tej chwili. Ale podczas nocy bezsennych i samotnie spędzanych dni jedna myśl drążyła nieodparcie jego mózg: czyżby doprawdy był jak faryzeusz jakowyś? I jakie następstwa będzie miał ten fakt dla niego, a przede wszystkim dla jego rodziny? Dlatego też był pewien, że ta niespodziewana wizyta jest w związku z nienawiścią, która go otaczała. Nacierano na niego ze wszystkich stron. Chcieli z niego zrobić uśmiechniętego, potulnego pastora z obrazka.

Tak był tego pewien, że siedział milczący i zgorzkniały i spoglądał wyczekująco na gościa. Stary Dag usiadł plecami do okna i jakby nie widząc pastora, rozglądał się po pokoju.

Wobec tego, że pastor milczał, Dag spojrział na niego badawczym okiem, uśmiechając się przy tym.

– Na pewno nie domyślasz się, po co tu przyjechałem? – spytał.

– Owszem – odparł pastor – wiem, z jakiego powodu przybywa ją do biedaka możni tego świata.

Dag podniósł brwi w górę i spojrział zdziwiony. Odczuł cierpki ton, jakim te słowa były powiedziane, ale sensu nie mógł zrozumieć.

Nagle pastor uderzył rękami z całą siłą w oparcie krzesła i zerwał się.

– Wiem, dlaczego przybywacie. Wszyscy tu już byli: i pisarz, i wójt, i biskup, i jeszcze inni. Chcą mnie przekonać i zmusić, ażebym prawil takie kazania, jakich sobie życzą!

Po tych słowach zaczął biegać pospiesznie po pokoju, zapomniawszy o godności, z jaką pastor powinien się poruszać. Rzucał rękami w jedną i w drugą stronę, a głos tak mu drżał, jakby lada chwila miał wybuchnąć płaczem.

– Grozicie mi dymisją i tym samym nędzą dla mnie i mojej rodziny; ale to, co powiedziałem nad grobem poborcy, jest moim wewnętrznym przekonaniem. Kazania moje też są oparte na słowie Bożym i na mojej wewnętrznej wierze w to, co mówię. Czy mnie rozumiesz, Dagu Björndalu?

Staął przed gościem, wciąż jeszcze wymachując rękami drżącymi ze wzruszenia.

Na twarzy ojca Daga odmalowało się zrazu zdziwienie, następnie zimny spokój. Nagle podniósł się w całej okazałości i rzekł, opuszczając mocno rękę na ramię pastora.

– Siadaj, bo chciałbym ci powiedzieć parę słów.

Pastor spojrział na niego zdumiony. W głosie Daga nie było gniewu jak w głosie tamtych, którzy do niego przychodzili; przeciwnie, mówił cicho, przyjaźnie. Siedli obaj. Dag usadowił się w ten sposób, że mógł obserwować twarz pastora, nie krępując go tym wcale.

– Sprowadza mnie tu zupełnie co innego niż chęć gadania o tamtej sprawie, ale wobec tego, że sam to poruszasz, i jak widzę, dużo cierpiełeś z tego powodu, powiem ci zaraz, co o tym myślę. Niejedno już do moich uszu doszło i gdybym wiedział, że to cię aż tak bardzo dotknęło, zjawiłbym się tu wcześniej. Nie powiem, jakie jest moje zapatrywanie na życie poborcy, nie byliśmy w przyjaźni. Ale to, co ty mówisz, nad grobem czy z ambony, jest dla mnie święte. Mam trochę doświadczenia, ale nie wmawiam sobie, że jestem na tyle uczony, ażeby dawać wskazówki, jak pastor ma prawić kazania. Nie jestem zarozumiały w tej dziedzinie. Jeśli chcesz posłuchać, to ci tyle tylko powiem, że jesteś najlepszym duszpasterzem, jakiego kiedykolwiek w życiu spotkałem.

Ramer wychylił się z fotela i utkwił wzrok w na poły odwróconej twarzy Daga. Nie chciał stracić ani jednego z tych szczerych, tak ważkich słów. Gdy umilkł, wyszeptał tylko:

– Dziękuję!

Dag, chcąc dać do zrozumienia, że jeszcze nie skończył, przesunął krzesło, aby znaleźć się naprzeciw pastora.

– Chciałbym ci przy sposobności, jeśli pozwolisz, jeszcze coś powiedzieć – i nie czekając na skinienie, ciągnął dalej cichym, przyjacielskim tonem: – Źle postępujesz, pastorze. Nie dotyczy to tego, o czym mówiłeś mi w tej chwili, ale innych spraw. Chodzi o to, że zaniedbujesz zupełnie gospodarkę, żonę, dzieci i siebie samego. Z tego powodu tracisz szacunek parafian i swój własny, i być może postępując w ten sposób, jesteś w niezgodzie ze słowem Bożym. Lepiej by ci było na duszy, pewniej byś się czuł wobec ludzi, gdy byś więcej dbał o gospodarkę. Poza tym podobno stale tu przesiadujesz w kancelarii. Tak oto ludzie o tobie opowiadają. Zajmij się zatem polem, ogrodem, a potem idź między chłopów, będziesz ich wtedy lepiej rozumiał. Ludzie cię zaczną cenić, będziesz się czuł pewniejszy i nie będziesz taki bezbronny wśród przeciwności, które cię spotykają.

Pastor zaczął niespokojnie przebierać palcami po oparciu krzesła. Dag milczał. Dag widocznie nie miał już nic więcej do powiedzenia, więc pastor musiał zdobyć się na jakąś odpowiedź.

– Niestety, prawdą jest to, co mówisz – odpowiedział w końcu – ale aby cokolwiek przedsięwziąć, trzeba pieniędzy, a ja ich nie mam...

Stary przerwał mu chrząkaniem.

– Wiem, że ci jest trudno i że poza tym masz dużo długów.

I o tym ludzie wiedzą, a to jest niedobrze. Pomogłem już niejednemu, który nie był mi tak bliski jak ty, pastorze. Jeśli się zgodzisz, pomogę ci pospłacać długi i pozbyć się wysokich procentów, które nie dają ci spokoju! Następnie mógłbyś kupić sprzęt potrzebny do prowadzenia gospodarki na dobrym poziomie i uwolniłbyś się od wszelkich kłopotów.

Pastor drgnął. Szybko otarł dłonią oczy. Gdy chciał podziękować, głos mu się załamał ze wzruszenia. W końcu wyjąkał z trudem, że według jego przypuszczeń, niedługo tu będzie pastorem.

Dag kazał sobie dokładnie opowiedzieć całą sprawę. Dowiedział się wówczas, że wszyscy wpływowi parafianie sprzysięgli się przeciwko pastorowi. Usłyszał także o groźbie zawartej w słowach biskupa. Stary Dag zastanowił się. Nie był przyzwyczajony, ażeby ktoś w jego okolicy był potężniejszy od niego. Ale biskup to zupełnie co innego. Nigdy jeszcze w swoim życiu nie widział go, wiedział jedynie, że Adelajda była wnuczką jakiegoś biskupa. Jednak nie wydawało mu się prawdopodobne, aby on, stary Dag, nie potrafił załatwić tej sprawy. W końcu rzekł mocnym głosem:

– I tak miałem być w tych dniach w mieście. Zobaczysz, ta sprawa z biskupem też się jakoś ułoży!

Pastor wiedział o zmianach, jakie zaszły w kraju od czasu Zgromadzenia w Eidsvoll. Wiedział, że nawet władze, nie wyłączając wysokich urzędników, czują respekt, może nawet lęk przed nową potęgą, a raczej przed dawną, która znów teraz w Ting ożyła, przed chłopstwem. Słyszał, jak mówiono: – Chłopi mają wszystkie przywileje. Wszystko mogą! – Udręczony pastor pocieszał się nadzieją, że stary Dag pojedzie do miasta i przemówi za nim. Z opowiadania sądząc, stary Bjørndal jest potentatem mającym niebywałe wpływy, a teraz ma za sobą te nowe prawa dla chłopów. Mógł być pewny wyboru na każde stanowisko, do którego by pretendował. Chyba tak potężnemu człowiekowi opierać się nie będą.

Długo siedział pastor w milczeniu, ciesząc się obecnością tak mocnego człowieka. Ostatnie noce prawie całe spędził na modlitwie, błagając Boga o pomoc i wskazanie mu właściwej drogi, a tu nagle zjawia się u niego nie kto inny, tylko sam Dag Björndal. Zjawia się jakby wysłannik Pana. Ale może to jest tylko kuszenie? Może jest to jeszcze jedno ogniwo w łańcuchu jego, udręk, doświadczeń zsyłanych nań przez Boga? Pastor myślał i myślał; na twarzy jego pojawił się wyraz spokoju i pewności. Taki sam jak w owych samotnych chwilach spędzonych tu w kancelarii, gdy zbierał odwagę przed przemawianiem w imieniu Pana do zgromadzonych. Oblicze jego miało ten sam surowy wyraz jak wtedy, gdy wchodził na kazalnicę. Różne myśli zaprzętały mu w tej chwili głowę; podniósł oczy i spojrzał na Daga.

– Czyś słyszał o człowieku, który nazywa się Tetzela? – spytał. Dag zmarszczył czoło. Przypomnił sobie. Owszem, tak, nazwisko to obijało mu się o uszy, ale kto to może być? Kiedyś zastanawiał się nad tym, czy nazwa „Tezy Lutera” pochodzi od nazwiska tego „handlarza odpustów”. Przypomnił sobie teraz, kto to jest. Tylko nie mógł pojąć, w jakim celu pastor zadał to pytanie. W końcu określił mu, kim był Tetzela.

– Dobrze – odparł pastor – ale ja nie jestem Tetzela. Jeśli przybyłeś do mnie w przekonaniu, że pieniędzmi, które mi zaofiarujesz, kupisz sobie zbawienie na tamtym świecie, to jesteś w błędzie, muszę cię bowiem uprzedzić, że gdybym je przyjął, byłoby to po prostu oszukaństwo z mojej strony. Dałeś mi dziś i tak bardzo wiele. Więc i ja pragnę ci dać coś z siebie, chociaż tak niewiele mogę. Ponieważ rozmawiamy w cztery oczy, powiem ci, że dla Pana naszego ofiary dane z myślą kupienia sobie Jego łaski – nie mają znaczenia. Bogactwo i potęga są tym dobrem, które zostało ci tylko wypożyczone na życie doczesne. Wartość ma jedynie intencja, z jaką gospodarujesz tym dobrem. Sam zatem decyduj, czy mogę, czy mi wolno przyjąć twoją pomoc!

Dag w pierwszej chwili podniósł głowę dumnym ruchem niczym orzeł i przeszył pastora druzgocącym spojrzeniem. Ale opanował się. Skurczył się, twarz zakrył twardymi, spracowanymi dłońmi i spytał dziwnie złamanym głosem:

– Więc ludzie takie mają pojęcie o mnie... że za pieniądze pragnąłbym sobie kupić zbawienie duszy i odpust Boży?

Teraz przyszła kolej na pastora. Zerwał się, podszedł do Daga i położył rękę na jego ramieniu.

– Nie, Dagu Bjørndal, nikt mi czegoś podobnego o tobie nie mówił. Przeciwnie, mówią o tobie jako o dobrym człowieku. Źle sobie tłumaczysz moje słowa. Pragnąłem ci tylko zwrócić uwagę, ostrzec, w razie gdybyś coś podobnego zamierzał. Bo są tacy, którzy w ten sposób to ujmują.

Dag spojrział uważnie na pastora. We wzroku duchownego był smutek, ale i spokój. Dag przypomniał sobie, że mu tego rodzaju myśli rzeczywiście przychodziły do głowy. Toteż już nie odczuwał w tej chwili urazy do pastora. Tak, bywały takie myśli, i to nieraz. Zrozumiał, że powinien mieć szacunek dla człowieka, który nie lęka się wypowiedzieć otwarcie swego zdania w chwili tak ciężkiej dla siebie. Gdyby to było kilka lat temu, musiałby pastor wyrzec się pomocy, a Dag wyszedłby bez pożegnania. Ale z wiekiem człowiek staje się bardziej wyrozumiały i uczy się poznawać własne wady. Powiedział więc pastorowi z uśmiechem, że śmiało może przyjąć jego pomoc pieniężną i wstawiennictwo w mieście oraz usłuchać rad i wszelkich wskazówek, bo daje je z dobrego serca.

– Ale, swoją drogą, nie to mnie tu sprowadziło. Zeszliśmy tylko na ten temat, boś sam go poruszył – dodał.

Pastor popatrzył na niego badawczo.

– Więc w jakim celu przybyłeś?

Głos jego zdradzał oczekiwanie na coś tak poważnego, co przekonałoby go, że Dag rzeczywiście nie przyjechał po to, aby rozmawiać z nim o owej drażliwej dlań sprawie.

– Przybyłem, ażeby zamówić chrzciny – powiedział Dag, a oczy jego promieniały dumą.

– Chrzciny? – powtórzył pastor. – Więc jednak znów u was przyszło na świat dziecko?

– Tak – odparł Dag, a twarz jego, zwykle poważna, była wesoła. – Pan Bóg nie jest tak surowy jak pastor, daje staremu człowiekowi odpust.

Pastor pogroził palcem, ale śmiał się razem z nim. Wiedział, że mieszkańcy Bjørndal ciężko odczuli śmierć dzieci i że stary podobno bardzo rozpacział. Domyślał się więc, co dla niego znaczą kolejne narodziny. Miał chęć zapytać, czy to chłopiec, ale się powstrzymał. Wyjął księgę z szafy i przygotował się do pisania. Poszukał strony, gdzie byli wpisani tamci chłopcy, zanotował imiona rodziców i daty urodzin, a potem dopiero spytał, jakie imię ma mieć nowo narodzony.

– Torgeir, po moim ojcu – odparł Dag.

– Więc syn. Nie chcesz go nazwać Dagiem? – spytał pastor.

– Nie, tego nie – odrzekł stary.

– Masz nadzieję, że będzie ich więcej?

– Tak – powiedział Dag spokojnie, a pastor pisał. Gdy miał już posypać piaskiem, stary chrząknął i oznajmił:

– Możesz zaraz drugiego też dopisać, który ma mieć na imię Dag.

Pastor spojrział na niego zdziwiony.

– Tym razem urodziły się bliźnięta – objaśnił sucho Dag. Dokładano wszelkich starań, ażeby oba noworodki utrzymać przy życiu. To było powodem, że ojciec Dag postanowił osobiście zameldować je u pastora i skorzystać z okazji, by złożyć wizytę, którą już tak dawno miał w planie. Po cichutku jednak sobie kombinował, że Pan Bóg mu to spamięta i pozwoli szczęśliwie odchowac chłopców.

Właśnie ta myśl sprawiła, że Dag przy ostrzegawczych słowach pastora o odpuście spuścił głowę. Niełatwo człowiekowi, gdy dobrze czyni, ustrzec się myśli, jakże często podświadomej, o odkupieniu swych grzechów! Ale jednak pomoc, którą zaofiarował pastorowi pod wpływem impulsu, płynęła z czystych intencji.

– No, no – powiedział w zamyśleniu sam do siebie w powrotnej drodze – znów to samo, jesteś zachwycony własną dobrocią i oglądasz się za nagrodą, i spodziewasz się specjalnej łaski od Boga...

Stary Dag pojechał do miasta. Nikt się nigdy nie dowiedział, z kim mówił i jakie poczynił kroki. A niebawem nadszedł do pastora list, w którym sam biskup donosił, iż kazał pewnemu wiarygodnemu człowiekowi zreferować całą tę sprawę, w rezultacie czego okazało się, że nic nie można zarzucić postępowaniu pastora.

Ale wszystko przychodzi o swojej porze. Ci, którzy w swoim czasie wpłynęli na stanowisko biskupa, zaczęli zasięgać informacji, i usłyszawszy, że ich starania wzięły w łeb, dowiedzieli się w końcu, że stary Dag był na plebanii, a potem w mieście.

Ludzie kręcili głowami i twierdzili, że stary jest...

Na chrzciny do Bjørndal pojechał pastor z żoną i z trojgiem najstarszych dzieci. Potem nieraz tam bywali.

Zresztą pastor zyskiwał coraz większą popularność, bo usłuchał rady Daga i zaczął się interesować swymi parafianami, stykać się z nimi. W sercach ich zagościły uczucia miłości i szacunku dla duszpasterza. Z jego gospodarką i sprawami pieniężnymi Dag miał dużo kłopotu, bo pastor nie znał się zupełnie na tym wszystkim. Dopiero gdy Dag wpadł na pomysł, ażeby żona pastora za zgodą męża przejęła wszelkie sprawy materialne, zapanował spokój i lepsze czasy na plebanii.

26

Znów to samo! Wielka Marta usiadła bezszelestnie na łóżku i słuchała w ciemności tego, co się dzieje. Uczepiła się rękami brzegu łóżka i tak dygotała ze strachu, że całe łóżko z nią razem drgało. Zęby jej dzwoniły, zdawało jej się, że to wąż ślizga się jej po plecach.

Teraz wyraźnie słyszała czyjeś kroki w kuchni. Znała to trzeszczenie desek. Tak nie skrzypią deski same z siebie; tylko gdy ktoś podchodzi do kredensu w kuchni, wówczas podłoga w tym miejscu trzeszczy. Przez szparę w drzwiach nie wpada stamtąd żadne światło. Jest ciemno, znaczy więc, że to nie człowiek tam chodzi. Słuchała, nasłuchiwała – ale nic, cisza...

Trzeba będzie uciekać z tej służby, bo przyjdzie w końcu po tych nocach zwariować. Tak, trzeba się starać o pracę u dobrych chrześcijan. Tu, w Borgland, jest nie do wytrzymania. Już jej teraz nikt za życia nie zmusi, by weszła do tej komory za kuchnią. To jest pewne.

Gdy opowiadała potem o nocnych hałasach i duchach, ludzie starali się wprawdzie obrócić wszystko w żart, ale widać było, że na nich samych robiło to ogromne wrażenie, bo bledli słuchając. Nie ona jedna słyszała wycie jakby chorych psów na korytarzach i na schodach, a potem ten dochodzący skądś okropny śmiech owego wieczoru, gdy cała służba siedziała w kuchni. Nie, tego nie robili żywi ludzie!

Trudno by było wprost człowiekowi, prawdziwemu chrześcijaninowi opowiedzieć, jakie grzechy zostały tu w Borgland popełnione; nic też dziwnego, że tu straszy!

Ojej! Znów... dwa razy pod rząd i... Duża Marta gotowa była wyskoczyć z łóżka. Ktoś jakby otwierał drzwi od kredensu, a przecież były zamknięte na klucz. Słychać było, jakby ktoś dzwonił talerzami i szklankami, a przy tym jęczał głucho. Potem nastąpiła cisza, ale Marta tak dygotała, że musiała się gryźć w język, ażeby nie szczekać zębami na cały głos. Jezu! Zupełnie tak, jakby ktoś paznokciami drapał w drzwi od jej komory... Najwyraźniej zaskrzypiały drzwi prowadzące z sieni do kuchni i w kuchni rozległ się przeraźliwy, ostry śmiech... Ktoś niesamowicie zajęczał, coś z hukiem zważyło się na ziemię, następnie słychać było dźwięk jakby wleczonych we wszystkie strony po podłodze łańcuchów. Jednocześnie coś chrootało mocno w drzwi jej komory i po kątach kuchni...

Marta wyskoczyła z łóżka i schowała się za nie, przykucnęła tam, jęczała i zwyczajem swym szczekała zębami przez resztę nocy. Zdawało jej się, że zupełnie już straciła zmysły...

To już dość okropne, jeśli jeden jakiś duch chodzi po mieszkaniu i straszy, ale gdy tak wałęsają się całe hordy, to już naprawdę nie do wytrzymania!...

Następnego ranka w kuchni na podłodze i po kątach leżały talerze cynowe, których zwykłym miejscem była półka przy ścianie. Drzwi od kredensu stały otworem, ale nie było śladów odrywania zamka. Od dawna wszyscy wiedzieli, że w Borgland coś straszy, ale tego było już za wiele.

Panna Elżbieta owego dnia, gdy się dowiedziała, że minął termin wykupu i że Dag Björndal jest bezsprzecznym właścicielem Borgland, zrobiła ojcu taką awanturę, aż się w całym domu rozległo. Ktoś z domowników twierdził, że mówiła, iż podpali dom, gdy stary Dag lub Adelajda przestąpią ich próg. Potem słychać było odgłos jakby uderzenia w twarz i nagle zrobiła się cisza. Podobno od tego dnia panna Elżbieta nie opuszczała swego pokoju. W jaki sposób mogła żyć bez jedzenia, było dla wszystkich zagadką. Ani schodzić nie chciała na dół i siadać do stołu z ojcem, ani nie pozwoliła przynosić jedzenia do swego pokoju. Widocznie nie chciała żyć z łaski starego Daga.

Od czasu, gdy panna Elżbieta przestała opuszczać swój pokój, Lorenc miał znów swobodę ruchów. Jak dawniej o każdej godzinie dnia i nocy zjawiał się w stajni lub czeladnej i opowiadał każdemu, kto go tylko chciał słuchać, swoje zwariowane historie; ludzie mieli istną uciechę. Coś fantazjował, że którejś nocy spotkał w sieni Elżbietę, ale naturalnie plótł tylko, co mu ślina na język przyniosła. Przyśniło mu się pewnie, że ją widział, bo się jej zawsze panicznie bał.

– Diabeł jej szuka i kiedyś jeszcze żywcem ją porwie – mawiał.

Ludzie twierdzili, że to były jedyne rozumne słowa, jakie się od niego słyszało.

Pułkownik bywał w różnym usposobieniu. Nieraz, starając się odzyskać dawną postawę, chodził z podniesioną wysoko głową i gwizdał. Przeważnie jednak zapominał się i chodził samotnie zgarbiony i przybity. Sprawiało mu przyjemność, że Syver Bakpaa kłania mu się z szacunkiem, a gdy otrzymał list od starego Daga z prośbą, ażeby był łaskaw rozejrzeć się, jakie inwestycje są potrzebne w domu i w ogrodzie, nowe życie w niego wstąpiło. Wydał odpowiednie rozkazy i dopóki trwały roboty, był jakby innym, odrodzonym człowiekiem. Potem znów prosił go Dag, ażeby zajął się doглядaniem robót w polu, zanim Syver wpadnie tam w sam najgorętszy czas żniw.

Tak, nie najgorzej działało się pułkownikowi. Dag nie chciał go poniżyć płaceniem mu za trudy ponoszone przezeń około gospodarstwa, ale kazał mu za to przywozić tytoń z miasta, wódkę i wino. Nakazał, ażeby mu to oddawano do własnych rąk. Gdy po raz pierwszy otrzymał taką przesyłkę, długo zostawił ją nie naruszoną, potem jednak z niecierpliwością czekał każdej następnej. Najgorzej przedstawiała się kwestia ubrania. Miał wprawdzie jeszcze ubrania z dawnych dobrych czasów, ale nieprzyjemnie było w tych przestarzałych łachach wyglądać jak brat Lorenc.

Syver Bakpaa wielkimi krokami przemierzał przestrzeń pomiędzy stodołą nad jeziorem a ogrodem borglandzkim, tam i na powrót. Żniwa były w pełni, roboty bez liku. Dag mu nakazał, ażeby sobie rękawów u koszuli nie brudził i głównie zajmował się dozorowaniem żniwiarzy. Nie wolno mu zapominać, że jest ekonomem z Björndal. A wobec pułkownika ma się zachowywać przyzwoicie.

Syver zazwyczaj lubił się brać swymi niedźwiedzimi łapami do najcięższej roboty, wtedy czuł się w swoim żywiole, a tu nagle kazał mu tylko pilnować innych! Ale jeśli stary tak każe, to widocznie tu w Borgland tak być powinno. Splunął. Nagle zatrzymał się i zerknął poprzez krzaki w ogród. Tym razem zobaczył nareszcie na własne oczy!

Wyprostował swą szeroką w ramionach, zwałistą postać i patrzył. Nogi potężne jak dwa słupy tkwiły w butach z owczej skóry. Promienie słońca i zawieruchy zimowe, i pot spływający z czoła przy ciężkiej pracy – pozostawiły na twarzy jego głębokie bruzdy. Wkoło oczu gromadziły się zmarszczki, które w tej chwili drgały od śmiechu. Zgiął się wpół i skradał dalej. Oczy, które miawały rozmaity wyraz: czasem chytry, podejrzliwy, nieraz szelmowski, teraz były wesołe. Podbródek golony na każde święto, a dziś, pod koniec tygodnia, cały obrośnięty, podnosił się w górę i opadał w dół szybko, żując tabakę. Oparł swe ciężkie łapy o grubych jak róg paznokciach na biodrach, przykucnął i śmiał się z zadowoleniem. Za krzakami, w cieniu drzew i gęstych zarośli, na placyku wysypanym żwirem, stał pawilon.

Po tym placyku dreptał brat Lorenc w galowym stroju z czasów jego świetnej młodości. Surdut był z ognistoczerwonego sukna; wyblakła jasioniebieska jedwabna podszywka wyłaziła spod pól. Kamizelka zachowała jeszcze coś ze swego atlasowego połysku, ale raczej była szara niż żółta, a aksamitne spodnie były wszystkich odcieni: od ciemnogramatowego do wyblakłego zielonego. Widać było, że koronkowa kryza i także mankiety nigdy nie były czyste w tym stuleciu, a jedwabne, niegdyś białe pończochy miały wygląd bardzo wymęczony. Pomimo tych defektów, brat Lorenc czuł się świetnie w tym starym ubraniu, jak gdyby nabrał nowego blasku i życia: toteż wesoło dreptał w jesiennym słońcu, wymachując laseczką trzymaną to w jednej, to w drugiej ręce; na przypudrowanej peruce, która już przybrała szarozielonkawy kolor, tkwił trójgraniasty kapelusz. Nucił melodię jakiegoś menueta. Robił kilka odmierzonych kroków i kłaniał się z całą galanterią. Laskę chwilami przytykał jak flet do ust i gwizdał; według Syvera – bardzo ładnie i przyjemnie.

Nagle brat Lorenc rzucił laseczkę, potrząsnął głową, a oczy nabrały chytrego wyrazu, tak jak to bywa u wariatów. Podniósł laskę i zrobił ruch taki, jak gdyby stukał do jakichś drzwi.

– Czy jesteś tam, Elżbieto? – spytał wyraźnie kpiącym tonem. – Czy mam ci tej nocy przynieść coś z kuchni do zjedzenia, ażebyś nie potrzebowała sama tam chodzić? – Po tych słowach wybuchnął tak piekielnym, niesamowitym śmiechem, jakiego Syver jeszcze w życiu nigdy nie słyszał.

Ale gdy po chwili wariat zdjął kapelusz, ukłonił się szarmancko i składając pocałunek na własnej ręce, tak się pochylił, że mu peruka zsunęła się na oko, Syver nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem przypominającym rzenie konia.

Brat Lorenc uciekł przerażony i schował się za pawilon, zostawiając na polu bitwy łaskę, kapelusz i perukę. Wtedy Syver zaniósł się tak głośnym śmiechem, że rozlegało się wokoło. Po raz pierwszy widział takie wariactwa.

Pułkownik któregoś dnia musiał pozostać w łóżku, bo kasłał, miał zawroty głowy i dreszcze.

Trzęsło go tak, że aż łóżko z nim latało – mówiła dziewczucha, która u niego sprzątała. Żniwa trwały jeszcze i z Björndal codziennie przyjeżdżali parobcy.

Widocznie tą drogą doszła tam wiadomość, że pułkownik jest poważnie chory, bo następnego dnia po raz pierwszy stary Dag przekroczył progi Borgland. Wkrótce siedział w sypialni pułkownika. Przywiózł mu flaszkę najlepszego francuskiego koniaku i kazał mu go pić na gorąco jako lek.

W chwili przyjazdu i odjazdu Daga za oknem w pokoju panny Elżbiety lekko poruszyła się firanka.

Pułkownik cały wieczór żądał gorącej wody do koniaku. Toteż kobieta usługująca mu mogła pójść się położyć dopiero późnym wieczorem. Pochodziła z Utbraata, nazywała się Netta. Pierwszą młodość miała już za sobą, ale była prawdomówna i bogobojna. Gdy szła po schodach, zauważyła pasmo światła wydobywającego się na korytarz z pokoju panny Elżbiety. W tym miejscu korytarz załamywał się pod dosyć ostrym kątem. Drzwi do pokoju panny Elżbiety znajdowały się za tym załamaniem, tak że nie można było widzieć, co się tam dzieje. Jeśliby jednak drzwi te otworzono na oścież, można by było zobaczyć odbicie tego, co się tam działo, na przeciwległej ścianie.

Netta zatrzymała się na schodach i niezdecydowana przestępowała z nogi na nogę. Czy iść do swego pokoju, czy też uciekać? Światło za rogiem korytarza wzmagало się, przybierało barwę czerwoną i groźną, czuć było spalenizną, dymem. Zanosilo się na jakieś nieszczęście... Netcie zaczęło bić serce coraz silniej, w uszach jej szumiało. Nogi jakby wrosły w ziemię. Oczu nie mogła oderwać od tego purpurowego światła.

Nagle, widocznie drzwi do pokoju panny Elżbiety otworzyły się szeroko, blask na przeciwległej ścianie stał się ogromny i wyglądał jak płomień... Netta złapała się za serce i zachwiała na nogach. Na tle ognia na ścianie zarysował się ludzki cień. Rósł z każdą chwilą i wychylił się z pokoju na korytarz, potem płomień ogarnęły tę postać, aż iskry leciały. Rozległ się przerażający krzyk człowieka w śmiertelnym strachu. Głuchy upadek, potem cisza i ciemność.

Znaleziono Nettę u dołu schodów omdlałą, pokrwawioną, na wpół oszalałą. Zjawił się pułkownik ze świecą w ręce dygocący z zimna i po tyłu koniakach ledwo trzymający się na nogach. Dziewczęta i parobcy tłoczyli się za nim.

Pułkownik spytał, co to był za krzyk i hałas na schodach; ale Netta mogła tylko wykrztusić parę słów bez związku:

– Pokój panienki... we własnej osobie... dymilo się z niego... iskry leciały... to panienka tak strasznie krzyknęła...

– Hm... – Pułkownik nagle otrzeźwiał i zachwiał się. Stał oniemiały, nie mógł chwycić oddechu. Twarz nagle pomarszczyła się cała. Malował się na niej wyraz bólu i przerażenia. Podniósł świecę w górę, odsunął wszystkich na bok, zataczając się wbiegł jak szalony na schody, pędzony strachem.

Wszyscy patrzyli w ślad za nim, dziewczuchy dygotały ze strachu. Parobek stał niezdecydowany. Dopiero gdy pułkownik dobiegł do rogu korytarza, poszedł za nim. Po chwili wrócił na palcach bez tchu, pełen tajemniczości.

– Panna nie żyje – powiedział. Ale nie mówił od razu, jak skrętnie i nadzwyczaj szybko pułkownik zbierał drzazgi i gałgany rozrzucone po podłodze, gdy chłopak zajrzał za nim do pokoju.

Więc stało się, diabeł porwał pannę żywcem.

– Nieostrożnie manewrowała światłem – powiedział pułkownik – suknia była cała z przodu spalona.

Nikt jej nie chciał dotknąć, musiał więc sam ułożyć ją w trumnie. Mówiono później, że „pokarało” go nie gojącymi się ranami na rękach.

Podanie mówi, że chata na Vestli była pierwszym domostwem, które wybudował praszczur rodziny Björndalów, gdy przybył tu z zachodu, uchodząc przed wrogiem. Chata ta stoi po dziś dzień na zachód od łańcucha skał, pośród brzóz, które są jakby ostatnimi leśnymi forpocztami wysokich gór. Roztacza się stąd bezkresny widok na zalesione góry, które spływają stokami na wschód. Wiatr przekrzywił ją na bok, ale osłonięta przed największymi burzami, tak już pozostała: odwieczna jak otaczająca przyroda. Przettrzymała jakoś ulewy, mrozy, palące promienie słońca. Zszarzała i żółkła, ściany jej nierówne, chropowate, belki sękate i pełne szczelin. Gdy wpada wiatr trzeszczą; i zawiasy w drzwiach zaczynają swój przeraźliwy, skamlący śpiew. Po każdej burzy chata pochyla się bardziej na bok i zniża ku ziemi. Gdy opadają ją wściekłe wiatry, zmaga się z nimi i opiera, tak krucha, a przecież wytrwała.

Był zimny, wietrzny dzień przedwiosenny. Z doliny szedł przez las pod górę jakiś człowiek. Przysiadł właśnie na chwilę pod szczytem na pniu i patrzył w kierunku, skąd przybył. Spoglądał na zalesione wzgórza, na rozciągające się za nimi doliny, które dotychczas były zasłonięte przed jego wzrokiem, a od czasu do czasu rozglądał się z niepokojem na wszystkie strony, nasłuchując przy tym pilnie. Był to krzepki, prawie dziki młody chłopak z toporem zatkniętym za pas, o wielkich, silnych rękach, szerniałych od farbowania skór. W owych czasach farbowano skóry za pomocą zaczynu piwa z dodatkiem rdzy żelaznej, co długo pozostawiało ślady na rękach. Obracał i oglądał swe dłonie ze wszystkich stron, jakby się dziwiąc, że są takie czarne. Potem wstał, rozejrzał się i zobaczył ową samotną chatę na Vestli na brzoźowym zboczu.

Leżał tam jeszcze niepokalany śnieg jak podczas głębokiej zimy. Mężczyzna rozejrzał się wkoło jakby w śmiertelnym lęku, potem ruszył puszcza jodłową w kierunku chaty.

Zaczął padać śnieg. W ciągu krótkiego czasu zerwała się zawieja, im wyżej, tym mocniej biły fale śniegu. Nie zwracał na to uwagi i walczył odważnie z zamiecią, wciąż rozglądając się na wszystkie strony, zwłaszcza wstecz, za siebie. Stwierdził, że jest jeszcze bardzo daleko od owej chaty; trzeba zdobywać szczyt za szczytem. Ostatni etap okazał się najuciążliwszy. Śnieg sięgał do kolan, lodowaty wiatr przenikał odzież, zadreptał. Posuwał się niestrudzenie naprzód wielkimi krokami, ale po pewnym czasie zmalowały one znacznie. Oglądał się co chwila, czy nie zostawia śladów za sobą. Może były jakie, ale śnieg po chwili wszystko zasypywał.

Śmiertelnie zmęczony otworzył drzwi prowadzące do chaty i wszedł.

Młody Dag przeżył wyjątkowe chwile. Pamiętał bowiem swoją śmierć. Gdy na Górze Śmierci stracił równowagę i runął w przepaść, przez sekundę zupełnie jasno i przytomnie zdawał sobie sprawę, że to już koniec. Pamiętał i czuł nie tylko rany i skaleczenia, które odniósł przy upadku, ale przede wszystkim owo uderzenie w głowę – to była śmierć, niechybnie. Od tego czasu dręczyły go najrozmaitsze myśli, nie tylko owe majaki, z których się spowiadał Adelajdzie.

– Życie to śmierć – powiedział wówczas i te słowa dręczyły go bez ustanku, prześladowały go, weszły mu w krew; od tej chwili wciąż mu się zdawało, że czuje śmierć tuż koło siebie w wielu rzeczach ziemskich. Rozmyślał nad swym dotychczasowym życiem i doszedł do wniosku, że śmierć była o krok od niego niezliczoną ilość razy: podczas walk staczanych z niedźwiedziami lub rannymi łosiami, podczas karkołomnych wędrówek ponad przepaściami w poszukiwaniu gniazd orlich czy sępic, niebezpiecznych zjazdów na nartach ze stromych, niedostępnych zboczy, lekkomyślnych przepraw przez pękający lód na rzece wiosną, nieostrożnych manipulowań bronią. Nieraz już sobie opalił włosy tuż przy samej skroni. Tak, śmierć tkwi pośród samego życia.

Mógł właściwie siedzieć we dworze i nie narażać się. Ale czy nie umierają młodo ludzie najspokojniejsi i najostrożniejsi? Jeden pada rażony piorunem we własnym domu, inny ginie kopnięty śmiertelnie przez swego konia, ten nadużywa swego zdrowia w rozjazdach, inny choruje, choć z domu się nie rusza. Toć i jego matka upadła na lodzie i z powodu obrażeń wewnętrznych skończyła życie.

Licha warte są te wszystkie ostrożności: trzeba brać rzeczy takimi, jakimi są. Spokojnie i beztrąsko poszedł znów w lasy tak jak dawniej, z większą jeszcze zuchwałością niż przed wypadkiem.

Zna teraz oblicze śmierci. Tak szli ręką w rękę ze sobą wszędzie. Ale niepokojem napawa go życie. Niepewne ono, nietrwałe. Nie mógł zapomnieć swego starszego syna, taki był rozumny i rozwinięty: mały człowieczek o własnych myślach i własnej mowie, interesujący się wszystkim, co go otaczało. Wciąż miał w oczach jego drobną, umęczoną po śmierci twarzyczkę. Dag był człowiekiem z jednego bloku wyciosanym, prostolinijnym jak jego ród, więc jeśli kochał, to całym sercem... Drugi raz już by chyba takiego bólu i straty nie przeżył.

Może dlatego nowo narodzone dzieci nie sprawiały mu już tyle radości. Mało przebywał w domu, w ogóle trzymał się z dala od chłopców, od Adelajdy, od gospodarki; stronił od realnego życia. Bał się przywiązywać znowu do nich tak wyłącznie. Wprawdzie ogarniała go i teraz nagle tęsknota za swoimi, gdy długo był poza domem, tęsknota za dziećmi, za Adelajdą, za miłą izbą o otwartych drzwiach do pokoju Adelajdy, z trzema kochającymi istotami. Czasem, kiedy już zbyt długo przebywał w lesie, nagle zwracał z drogi, biegł z całych sił, ażeby przed nocą zdążyć do swoich. Wówczas poddawał się urokowi rodzinnego wieczoru: Adelajda grała na szpinecie i śpiewała piękne pieśni, które głęboko wzruszały, albo u siebie w pokoju nuciła cichutko, akompaniując sobie na lutni. Ale tylko rzadko pozostawał w domu dwa wieczory z rzędu. Lękał się szczęścia. Szczęście jest kruche, a on oddawał mu się zawsze całą duszą. Choć nie całkiem zdawał sobie z tego sprawę – wolał trzymać się z daleka. Jakiś głos wewnętrzny ostrzegał go.

Adelajda nie mogła tego pojąć i popadła w rozpacz. Ale gdy Dag wracał, zapominała o wszystkim i oddawała się radości, przepędzała precz troski i zmartwienia. Szczęście jej tylko zaciemniała jedna myśl, która ją bezustannie dręczyła, przejmowała dreszczem zgrozy: Dag znów jest lekkomyślny i nieostrożny! Pewnego dnia może już do niej nie wrócić!

Tego samego dnia, kiedy ów człowiek z zachodnich dolin dążył do chaty na Vestli, Dag był także w drodze do lasów północnych. Obecnie miał zamiar udać się na zachód. Za jego pamięci nigdy w tamtych stronach nie wyrąbывano drzew. Może ich nawet nigdy nie dotykała ręka ludzka... Był tam gęsty, dziewiczy bór, wiele drzew powalonych wiatrem leżało na ziemi, a drobne podszycie zeschło się.

Z wysokich gór spływał tu strumień i płynął na zachód poprzez jezioro, następnie skręcał na wschód i wpadał do dużej rzeki płynącej pomiędzy zboczami w kierunku Björndal. Dag chciał zbadać strumień w porze przedwiosennej, gdy śniegi topnieją. Może na przyszłą wiosnę uda się go wykorzystać do spławu, gdyby zaczęto wyrąbывać drzewo w lasach zachodnich.

Gdy się wspinał na wzgórze zachodnie, pokryte jodłami, ogarnął go lekki niepokój. Północny wiatr, wiejący od wysokich gór, zapowiadała zawieję śnieżną i to obudziło w nim przerażające wspomnienia. Podniósł głowę, wciągnął powietrze w płuca i zaczął wolno iść w kierunku północy. Czego chciał tam na górze teraz, tak wczesną wiosną?

Gdy osiągnął ostatnie wzgórze pokryte lasem sosnowym, zaczął padać śnieg. Pośród brzoź na północnym stoku było już białe. Na jednym z pni znalazł swe narty. Wsunął nogi w rzemienie i ruszył na północ przeciwko wiatrowi, który im wyżej, tym więcej wzmaczał się na sile. W końcu zamienił się w prawdziwą burzę.

Wspiął się aż do przełęczy nad brzozowymi zboczami. Stał tam długo, dygocąc ze zmęczenia, wyczerpany ustawicznym wspinaniem się na strome zbocza i obrócił wzrok tak samo jak wiosną dwa lata temu – poprzez puszcę i pastwisko – ku Górze Śmierci. Burza śnieżna smagała go po twarzy i przejmowała lodowatym zimnem. Góry nie było widać. Śnieg wirował w upiornym tańcu.

W końcu odwrócił się i pozwolił wiatrowi nieść się bezwolnie, brzezina chciał zejść na dół. W pewnej chwili jednak zatrzymał się i skręcił na zachód. Przenocuje w chacie Rausa i jutro z rana dojdzie do tamtych lasów, i obejrzy bieg strumienia. Pomimo coraz bardziej szalejącej zawiei nie zmienił postanowienia i koniecznie chciał dotrzeć do chaty.

Droga, choćby najlepiej znana, gdy się nią idzie pośród zaciętej walki z żywiołem – wydłuża się w nieskończoność. Dagowi, już przedtem nieładzko zmęczonemu, zdawało się, że ta przestrzeń nie będzie mieć końca. A może zmylił kierunek? Nie wiedział już, gdzie się znajduje, bo śnieg uniemożliwiał jakąkolwiek orientację. Wysiłkiem woli posuwał się z trudem naprzód. Zdawało mu się jednak, że wciąż pozostaje w tym samym miejscu.

Czyżby śnieg zmienił barwę? Nie, na pewno nie. Szarzeje i z minuty na minutę staje się coraz ciemniejszy. Wszystko, co go wokoło otacza, jest już czarne jak najciemniejsza noc, zatraciło formy, kontury...

Jakieś jaśniejsze pasma przebiły się przez tę ciemnię, jakiś krwawy blask go otaczał, potem znów powróciła szarość, gęsty mrok, absolutna ciemność.

W ustach czuje smak krwi, gorzkoślony, wstrętny i mdły, potem smak soli i ziemi; cóż to? Wszystko się chwije: świat i człowiek; narty uciekają spod nóg. Potem śnieg i ziemia jakby się ku niemu podnosiły. Wrył się rękami głęboko w śnieżny puch, szukając oparcia na pochyłym gruncie.

Zwierzęcym instynktem, który drzemie w każdym człowieku, wyczuł, że leży w śniegu na czworakach. Automatycznie wsuwa nogi w wiązania nart i z powrotem podnosi się. Krew zaczyna krążyć w nim raźniej i pobudza całe ciało do życia, nogi stają się posłuszne.

Na nowo uderza w niego zawierucha, nieomal unosi go nad polem śniegowym, ale mimo to posuwa się naprzód. W chwili, kiedy pierwszy podmuch nocnego huraganu zawył dziko nad wysokimi szczytami, dobrnął do zbawczej chaty Vestli i osunął się wyczerpany pod osłoną jej dachu.

Zmylił drogę z powodu burzy. Początkowo szedł prościuteńko z północy i uważał, ażeby mieć stale wiatr z prawej strony. Gdy stracił przytomność padłszy na śnieg, to jedno jasno sobie uprzytomnił, że jeżeli się będzie trzymał pierwotnego kierunku na zachód, dojdzie do chaty Rausa leżącej na północ od jeziora u stóp zboczy brzozowych, które nazajutrz miał zbadać. Ale wiatr zmienił się na wschodni i razem z nim Dag bezwiednie zmienił kierunek, uważając w dalszym ciągu, ażeby mieć wiatr z prawej strony. To było powodem, że zdobywał zbocze po zboczach; kierując się na północ, obszedł i okrążył ową chatę Rausa z północy i dostał się daleko na zachód aż do stóp wysokich gór.

Widocznie w ostatnich chwilach przytomności zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje, bo jednak odnalazł kierunek, dobrnął do chaty na Vestli, podźwignął się nieco, palcami wymacał drzwi, pchnął je i ostatnim przebłyskiem świadomości wyciągnął nogi z głębokiego śniegu i wczołgał się do środka. Był we wnętrzu chaty. Wichur z hukiem zatrasnęła za nim drzwi.

Działo się tak, jakby burza się na niego specjalnie zawzięła. Szalała wokół chaty, wyła potępięczo, wciskała się w szczeliny ze wszystkich stron. Pędzony wichurą śnieg narastał grubymi warstwami, zasypał chatę, wciągając góry i doliny w biały diabelski wir. Mijały godziny, noc przeszła, a huragan wył, wyracając po górach stuletnie sosny jak suche patyki. Kończąca się zima pokazywała swą niewyżytą moc.

Gdy żywioł burzy dochodził do zenitu i ponad chatą pienilo się tylko śniegiem, z miejsca, gdzie zazwyczaj widniał komin, zaczęła się wsączać w białą oćmę wąta smuga niebieskiego dymu. Chwilami dym zniknął, potem wydobywał się, ażeby z wichrem pomknąć w świat.

Następnego rana Dag siedział przy ogniu i smażył słoninę. Z rękoma założonymi pod głowę, wyczerpany do ostateczności, przeleżał na ziemi parę godzin. Po obudzeniu siedział przez pewien czas zeszywniały i jakby z połamanymi kośćmi. W końcu poczuł się lepiej, zapalił ogień i smażył sobie śniadanie.

Podniósł głowę nasłuchując. Burza nie przestała jeszcze szaleć, chata, jak to już nieraz bywało, stękała i przewalała się na wszystkie strony, belki i słupy trzeszczały. Dagowi zdawało się, że słyszy jeszcze inny odgłos w pobliżu, ale to chyba tylko złudzenie. Pochylił się znów nad ogniem. Co sprawiło, że stał się taki czujny? Czy to wyostrozony słuch, czy też przeczucie grożącego niebezpieczeństwa?

Bezwiednie odwrócił głowę w kierunku pryczy... Tam stała śmierć... Chłop barczysty, rozrośnięty, dziki. W oczach płonęła żądza mordy, albo śmiertelny lęk. W brudnych, podniesionych w górę dłoniach trzymał gotowy do uderzenia topór.

Topór świsnął w powietrzu i człowiek rzucił się na Daga, który zerwał się błyskawicznym ruchem i cisnął mu pod nogi stołek. Topór uderzył w komin, aż z kamieni poszły iskry.

Zwarli się w śmiertelnej walce, trwała parę sekund. Była to walka dwóch rozjuszonych zwierząt. Rozległ się bolesny krzyk, zagłuszający nawet ryk wichru. Jeden z przeciwników podniósł się na kolana, sapiąc głośno. Potem wyprostował się w całej wysokości. Zarzucił sobie drugiego na ramię, podszedł do drzwi, trącił je nogą i wyrzucił ciało na śnieg. Drzwi zamknęły się z hukiem. Dag pozasuwał rygle i stanął w blasku ognia.

Drewniana rękojeść topora zwęglała się w ogniu, w powietrzu rozszedł się zapach spalonej słoniny. Płomień gospodarował zuchwale po patelni, skakały po niej zabawne niebieskawe płomyki.

Dag tego nie widział. Stał jak wrośnięty w ziemię. Pierś tylko podnosiła się i opadała, z rękawa kurtki krew kapała na podłogę.

Dobrze, że nie widziała go w tej chwili Adelajda. Zaiste, niepięknie wyglądał. Włosy zmierzwiłone, ubranie w nieładzie, ale nie to czyniło go odrażającym. Straszna była jego twarz: w poprzek czoła wystąpiły głębokie bruzdy, brwi ściągnięte nad nosem wygięły się jak sępie skrzydła, białka oczu znikły, a źrenice powiększyły się w sposób niepokojący i stały się prawie czarne, groźne. Nos wydawał się niezwykle wąski. Chrząstka jego wystawała mocno spod skóry, a nozdrza drgały gwałtownie. Wpółotwarte usta w szkaradnym skrzywieniu ukazywały zaciśnięte zęby o żółtawym połysku. Wysunięta do przodu szeroka szczeka nadawała mu wyraz dumy, ale i szlachetności, która charakteryzowała rysy Ane Hamarrbö i starego Daga.

Głowę miał podaną ku przodowi, a mięśnie na plecach drgały jeszcze tak mocno, że wstrząsały ramionami. Serce w piersi biło dziko. Zalewała go fala gorąca. Trzeba sporo czasu na to, aby powściągać w sobie zwierzę, kiedy się je raz wypuściło na wolność.

Kto wniesie do chaty zbója, z którym w tej chwili stoczył śmiertelną walkę? Zrobił to Dag. Ten człowiek może zamarznąć.

Dag otworzył drzwi. Wyszedł przed chatę; śnieg już nie padał, ale był przejmujący mróz. Tamten leżał tak, jak go był rzucił. Śnieg go już przysypał. Tylko dlatego, że się o niego potknął, mógł go wymacać.

Wciągnął go do chaty, odwrócił. Słuchał, czy serce bije. Tak... na pewno. Ale jedno ramię zwisało w dziwny sposób. O ile sobie mógł przypomnieć, nie okaleczył go w czasie walki.

Dag niejedno widział w lesie. Tyle zdarza się różnych wypadków przy wyrąbywaniu wielkich drzew. Nietrudno wówczas skrócić czy zwichnąć rękę. Być może, że ten krzyk dziki, który z siebie wydał, był spowodowany zwichnięciem stawu.

Ułożył go teraz w ten sposób, ażeby móc szybkim ruchem nastawić ramię.

Widocznie zbyt nieostrożnie dotknął ręki, która na mrozie zeszywniała zupełnie. W tej chwili bowiem człowiek obudził się z omdlenia i dziko, przerażonym wzrokiem patrzył na Daga. Ale ten zrobił odpowiedni ruch kolanem i dłońmi i staw wskoczył z powrotem w swoje miejsce. Zbój nie był na tyle przytomny, ażeby się zorientować, co się z nim dzieje; przypuszczał zapewne, że ten olbrzym chce mu zrobić jakąś krzywdę. Uczuł piekący ból i przeraźliwie wrzasnął. Dagowi długo w uszach dźwięczał ten krzyk. Dopiero po dłuższym czasie zrozumiał, o co chodzi. Siadł na pryczy, trzymając się za bolące ramię, i wpatrywał się w Daga. Od czasu do czasu wstrząsały nim dreszcze, aż zęby szczękały.

Dygotał. Chyba z bólu i zimna, które przeniknęło go do wnętrza i mroziło krew.

Może to był i strach?

Dag ani nie spojrzął na niego, podszedł do komina i odsunął na bok rozpaloną do czerwoności patelnię.

– Spaliła mi się przez ciebie słonina – powiedział tak, jakby to było ważniejsze niż cios toporem.

A topór żarzył się w ogniu; dopalał się już trzonek. Dag był przyzwyczajony do tego, że trzeba szanować narzędzia, wygrzebał więc go z płomienia. Następnie wystawił patelnię za drzwi, ażeby ostygła na wietrze. Gdy już dostatecznie ochłodła, postawił na ogniu, nakrajawszy świeżej słoniny, którą wyjął ze swej torby.

Człowiek śledził łakomie każde jego poruszenie, wciągał w siebie zapach przysmażanej słoniny i patrzył oglupiałym wzrokiem na Daga, który z patelnią, stołkiem i plecakiem podszedł do pryczy, postawił obok patelnię i wyjął kawałek chleba z plecaka.

– Na pewno jesteś głodny – powiedział Dag, a tamten nie zaprzeczył. Dag nożem wyławiał skwarki z patelni, tamten musiał wyławiać kawałkami chleba trzymanymi w zdrowej ręce, więc parzył się i dmuchał to na słoninę, to na palce.

Gdy już zaspokoili pierwszy głód, spojrzął Dag na niego i roześmiał się swym młodym, beztroskim śmiechem.

– Brzydkie wybrałeś sobie rzemiosło – powiedział.

Tamtego przebiegł dreszcz, spojrzął wylęknięty na Daga. Następnie przyjrzał się swym czarnym rękoma i wymamrotał coś w rodzaju „szewc”.

– Zabójca – odrzekł Dag i mocno spojrzął w jego uciekające oczy.

Tamten chciał zadać pytanie, co Dag właściwie ma na myśli, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Dag spytał:

– Dlaczegoś go zabił?

Człowiek nie starał się nawet wyłgiwać. Siedział z opuszczoną głową i dygocącymi rękoma i opowiadał starą bajeczkę o niewiernej żonie, o wódce i zbyt silnym uderzeniu, które spowodowało śmierć. Następnie chciał się dowiedzieć, czy ma na czole wypisane, że kogoś zabił, bo Dag od razu to wiedział.

– No tak – odrzekł Dag. – Jeśli ktoś ucieka w dalekie góry w taką zawieruchę i napada bezbronno człowieka, jak ty to uczyniłeś, rzucając we mnie toporem, to na pewno jest to dla niego sprawa życia i śmierci.

Wtedy tamten zapytał Daga, czy zawiadomi o tym władzę, i wlepił w niego przerażone oczy.

– Sam jestem tutaj władzą – odrzekł Dag. – Gdy burza przejdzie, zaprowadzę cię do chaty nad Czarnym Jeziorem i tam umieszczę cię w areszcie. Akurat ta nazwa pasuje do twoich czarnych rąk.

Człowiek gapił się zdumiony na Daga. Jeszcze nigdy w życiu nie spotkał tak osobliwego człowieka, nie rozumiał go. Ma piękną i szlachetną postać, jest porządnie ubrany, a jednocześnie silny jak dąb albo dzikie zwierzę z lasu: spojrzenie ma zimne i mówi tak surowo, a jednak... sam go wtaszczył z powrotem do chaty i tym samym uchronił od niechybnej śmierci na śniegu, nastawił mu ramię i nawet go nakarmił. To, co powiedział teraz o areszcie, miałyby być na serio czy tylko żartował?

Trochę później Dag go zapytał:

– Dlaczegoś mnie nie zabił, gdy leżałem na ziemi i spałem?

– Tyś tu spał? – spytał tamten zdziwiony. – I ja tu spałem na pryczy. Gdy się obudziłem, siedziałeś przy kominie i smażyłeś słoninę.

– I chciałeś mnie zabić podstępem, od tyłu? – zauważył Dag pogardliwie.

Tamten przez chwilę milczał, oglądając swe ręce. Potem powiedział, że był na pół przytomny ze strachu, bo mu się zdawało, że Dag tu przybył w pościgu za nim.

– Więc skoro już nabrałeś rozmachu, byłeś gotowy zabić każdego, który ci na drodze stanie? – Dag wstał i wyjrzał, jaka pogoda na świecie. Wichura uspokoiła się nieco.

Zaprowadził go następnie na wschód do chaty nad Czarnym Jeziorem i wskazał mu, gdzie leży siekiera, garnek i inne jeszcze przyrządy gospodarskie stojące wysoko pod pułapem z belek. Pozostawił mu trochę żywności, którą miał jeszcze w plecaku, i radził mu osiąść tymczasem. Gdyby go ścigali, zawsze ma możliwość ucieczki w góry. Poza tym może sobie wykarczować trochę lasu.

– Ale pamiętaj, jeśli mi kiedykolwiek jeszcze kogoś zabijesz, nie będzie dla ciebie na świecie żadnego ratunku.

Tym razem Czarny Człowiek wiedział na pewno, że to nie żarty.

Potem Dag pociągnął znów na zachód, zlustrował bieg strumienia, który chciał zużytkować do spławu drzewa, i powędrował w zamyśleniu górami ku domowi.

Myślał o tym nowym mordercy i o rybaku Börrem. Ojciec zaopiekował się Börrem i o ile słyszał, to i Börre ma podobną historię na sumieniu z powodu niewierności ukochanej. Jakie bezsensowne potrafi być życie: popęd, który mógłby dać nowe życie, doprowadza człowieka często do tego, że zabiera je drugiemu.

Myślał też nad tym, że wspiął się tak wysoko, ażeby jeszcze raz zobaczyć Górę Śmierci, i może to właśnie ona wysłała za nim huragan, który omal go nie uśmiercił; a gdy sobie z nim i jego siłami rady dać nie mogła, przeklęta góra zmieniła kierunek wiatru i zaprowadziła prosto w ręce mordercy. Nie złorzeczył jej. Miała swoje prawa. Nie wolno było wracać na Górę Śmierci, aby nie pokazać, że się jeszcze żyje. Nie wolno się do niej zbliżać w okresie przed wiosennym, kiedy ukazuje ostrzegawczo ludziom swe oblicze...

Zastanawiające było, że i tym razem udało mu się ująć z żydem. Przypomniało mu się to, co Adelajda powiedziała: Modłę się o ciebie co wieczór.

Dag wędrował lasami na południe.

Nie patrzył jak władca na bezkresne ziemie przodków; szedł z opuszczoną głową i czuł się bardzo mały... Musiał sam ze sobą dojść do ładu. Tak, tak... Ze śmiercią był za pan brat, z życiem – nie.

Bliźnięta w pierwszym roku swego życia były tak niespokojne i krzykliwe, że umęczoną matkę opuszczały siły. Dzień i noc pielęgnowała maleństwa. Dwóch chłopaków! Po stracie pierwszych dzieci była tak wylękniona i tyle zadawała sobie trudu, że w lecie nie można jej było poznać, tak się zmieniła.

Ale stary Dag radował się i cieszył, że chłopcy są tacy ruchliwi i żywi. Pierworodnego dziewczęta pomagające Adelajdzie w dziecięcym pokoju nazywały – „ten ładny”. Unn Hamarrbö pomogła im przyjść na świat i uważała pilnie, który pierwszy się zjawiał i tym samym predestynowany był na głównego dziedzica. Ojciec Dag wciąż pyta, czy jest tego pewna, i rozbawiony spoglądał to na „ładnego”, to na „drugiego”. Dziwnie patrzył na tego „drugiego”. Ani na chwilę nie wątpił, który z nich pierwszy przyszedł na świat. „Młodszy”, nazwany Dagiem, był nieładny. Miał w swej budowie coś kanciastego, jakby nie wykończonego, i to nie tylko zaraz po urodzeniu, ale jeszcze miesiąc potem. Adelajda sama to stwierdziła któregoś dnia, przewijając go.

– No – pocieszał ją ojciec Dag – i ja, i Dag byliśmy tak samo z gruba ciosani po wyjściu z łona matki, a jednak z czasem życie nas wygładziło.

Teraz Adelajda zrozumiała, dlaczego stale pytał Unn, czy jest pewna, który jest pierworodny. Byłby rad, gdyby ten młodszy przyszedł pierwszy na świat.

Po śmierci panny Elżbiety, późną już jesienią, przybył do Borgland po raz drugi stary Dag, ale tym razem już nie w odwiedziny do chorego, lecz ze zwykłą wizytą. Tak to jakoś urządził, że na krótko przed jego przybyciem nadeszła przesyłka prowiantowa z miasta, ażeby pułkownik nie miał kłopotu z ugaszczaniem go.

Rozmawiali o różnych rzeczach. Pomiędzy innymi stary Dag zaproponował pułkownikowi, że kupi od niego meble i wszystko, co tylko jest w domu... Stanie się wedle prawa własnością Daga, ale będzie w posiadaniu pułkownika aż do śmierci.

Pułkownik wyznał z całą szczerością, że wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, łącznie ze złotymi i srebrnymi przedmiotami, zostało już dawno, sztuka po sztuce wyprzedane, a to, co pozostało, jest przeważnie zniszczone, więc i bez wartości.

W końcu jednak sporządzili dokument, na podstawie którego pułkownik przekazuje wszystkie przedmioty znajdujące się w Borgland staremu Dagowi lub jego spadkobiercom, z warunkiem, że mają jemu i jego bratu wyprawić przyzwoity pogrzeb.

Następnie Dag przysłał mu trochę pieniędzy i stolarza, który miał wszystko w Borgland doprowadzić do możliwego stanu. Dag dzięki temu zapewnił sobie prawo do tego, ażeby wszystko pozostało na swoim miejscu, tak jak było od najdawniejszych czasów, aż do dnia, gdy „dziedzic” wprowadzi się jako właściciel. Przy słowie „dziedzic” miał na pewno na myśli „młodszy” syna Adelajdy.

Tak, teraz ojciec Dag miał wiele na głowie. Cieszył się, że dwie małe istotki są na świecie, i tak wszystkim kierował, ażeby kiedyś w przyszłości stały się samodzielnymi, wolnymi ludźmi. Pomimo że tyle myślał o chłopcach, nie zapomniał również i o ich matce. W lecie po ich urodzeniu namawiał ją, aby wychodziła na powietrze, ale Adelajda nie chciała słyszeć o rozłące z dziećmi, choćby na krótki czas. Widział dobrze, jaka była wymizerowana i zmęczona, a pamiętał, że niegdyś była to piękna, kwitnąca panna. Pierwszego lata nic się nie dało zrobić, trzeba było jeszcze jedną zimę cierpliwie przeczekać. Z początkiem następnego lata nadszedł do Björndal z miasta piękny koń. Dag kupował od czasu do czasu karę konie, kłacze lub ogiery, dla odświeżenia i poprawienia rasy. Ten nowy koń był gniady, krótkowłosy, o gładkiej, jedwabistej sierści, nie jakiś tam grubokościsty koń roboczy, ale wysokonogie szlachetne zwierzę o nerwowej muskulaturze. Zawołał Adelajdę, ażeby go obejrzała. Nigdy w życiu równie pięknego konia nie widziała. Pochodzi z Anglii – rzekł ojciec Dag – sprowadziłem go dla ciebie, możesz na nim jeździć, ile ci się żywnie podoba.

Adelajda początkowo nie rozumiała, skąd się wziął staremu pomysł tak osobliwego prezentu, ale potem przypomniała sobie, że opowiadała mu kiedyś o swym dzieciństwie, że jako dziesięcioletnia dziewczynka rywalizowała w zapale do konnej jazdy ze swoim ojcem i ta jazda wielką sprawiała jej przyjemność. Broniła się jednak, nie chcąc przyjąć podarunku, twierdziła, że zapomniała, jak się jeździ, i że to zbyt kosztowne i zbyt wspaniałe zwierzę dla niej.

Stary Dag odpowiadał jej na to, że tyle tu do nich swym przybyciem wniosła i że ten koń to właściwie żaden rewanż, a co do umiejętności jeżdżenia, to po paru dniach nabierze z powrotem wprawy. Jest przecież jeszcze młoda, a to jest wierzchowiec pewny i spokojny.

Razem z koniem przysłano i siodło. Adelajda w końcu musiała spełnić życzenie ojca Daga. Dosiadła konia i ostrożnie przejechała wzdłuż alei i przez osiedle. Koń szedł lekko jakby w tańcu i Adelajda przyzwyczaiła się wkrótce do codziennych przejazdów bez względu na pogodę. Nabrała rumieńców, zaczęła wyglądać zdrowiej, słońce i wiatr zrobiły swoje.

Pewnego dnia przyłączył się do niej ojciec Dag; towarzyszył jej, gdy jechała przez aleję. W pewnym miejscu droga rozwidlała się, dróżka prowadziła w lewo i ginęła za zadrzewieniem przesłaniającym widok na pola. Dag prosił, ażeby jechała za nim. Droga przez pewien czas wiodła pomiędzy krzakami leszczyny, lecz nagle Adelajda ujrzała nie znany sobie przedziwny krajobraz. W tym roku ugory zachodnie zamieniono na łąki. Ciepły wiatr owiał ją zapachem falującej trawy i polnych kwiatów. Drzewa i krzaki stanowiły wokoło granicę łąk. Jak wyspa pośród morza widniał na tle bujnych traw gaj brzozy, lśniący z dala białą korą i szumiący delikatnie listowiem ozłoconym promieniami słońca, a zarazem pełnym tajemniczych cieni. Ojciec Dag jechał łąką na przełaj i wzywał Adelajdę, ażeby uczyniła to samo.

Przebywszy wał kamienisty i kwietny pas łąk, dobrnęli wreszcie do gaju. Adelajda musiała się pochylić i ostrożnie przejeżdżać pod nisko zwieszającymi się gałęziami, ale starała się staremu dotrzymać kroku. Im bardziej zagłębiali się w las, tym mniej było drzew. Nagle zatrzymała ostro konia i oniemiała z zachwytu i podziwu. To, co widziała, wyglądało jak wnętrze świątyni. Stały tu na trawniku w regularnym półkolu smukłe, wysokie brzozy, a za tym pierwszym kręgiem, głębiej, wznosił się drugi z brzóz jeszcze potężniejszych. Wszystkie były równie wysokie, widocznie przedtem było ich o wiele więcej. Przyroda zmuszała je do tego, że rosły wciąż wyżej, aby mogły uzyskać w ten sposób trochę słońca i powietrza dla wierzchołków. Niektóre były niedawno sadzone i młodzieńczo delikatne o błyszczącej, srebrnobiałej korze, inne zaś potężne, już przez wiek naznaczone, sękaty, z czarnymi plamami na białej korze. Wszystkie bez wyjątku pięły się ku górze, smukłe, wyniosłe i cudne jak kolumny zaczarowanego pałacu.

Przedwieczne słońce stało jeszcze wysoko i złociło wierzchołki drzew, dosięgało gdzieś brzegu polanki i oświetlając kwiaty, nadawało im najprzecudniejsze barwy.

Ojciec Dag przez całą drogę nie wyrzekł ani jednego słowa, a Adelajda znała go już i wiedziała, że nie trzeba go o nic pytać w takiej chwili. Ale nie mogła odgadnąć, jaki cel miała ta przejażdżka; może chciał jej tylko pokazać, jakie to wszystko piękne... tak piękne, aż się człowiekowi na płacz zbiera, że życie jest takie krótkie i za mało ma pięknych lat...

W końcu spytała cicho jednym tchem:

– Co to ma być?

– Opowiadałaś mi – odparł – że nie możesz zapomnieć owej długiej alei brzozowej, po której jeździłaś jako mała dziewczynka. Nie miałem tu dla ciebie takiej alei, a sadzenie nowej za długo by trwało. Ty byś się przez ten czas zestarzała, a ja bym w ogóle znikł z tego świata, zanim byś zaczęła po niej jeździć. W zeszłym roku zbadałem ten teren, kazałem wyrąbać w jesieni drzewa niepotrzebne, wykarczować korzenie, posialiśmy na wiosnę trawę. Teraz można swobodnie kłusować pomiędzy drzewami, będziesz mogła objeżdżać koło zewnętrzne i wewnętrzne. A jeśli zapragniesz jakiegoś ładniejszego widoku, na przykład na łąki, to są i dobre, dostępne ścieżki poprzez cały las.

Adelajda pogładziła delikatnie jedwabistą, błyszczącą szyję konia i spojrzała na ojca Daga. „Olbrzym! Jaki barczysty!” – stwierdziła po raz setny. Stał zapatrzony w trawnik. Wieczne cienie kładły się już na drzewach, blask słoneczny z wolna zanikał. Kwiaty zszarzały. Nikt nie odgadnie myśli starego człowieka, dumającego przy zachodzie słońca w świątyni, którą sam Bóg zbudował.

Adelajda nie mogła się opanować. Z latami uczucie w niej brało górę nad rozumem i wolą. Objęła rękami szyję konia i wybuchnęła serdecznym płaczem. Ojciec spojrzał na nią, ale potem odwrócił głowę i nadal milczał. Gdy się wreszcie uspokoiła i opanowała, powiedział:

– Przed powrotem do domu przejedziemy się jeszcze naokoło.

Bez słowa posłusznie skierowała konia pomiędzy brzozy.

Przy wieczerzy wyznała:

– Póki żyję, nie widziałam czegoś równie pięknego. Człowiek staje się wprost lepszy, szlachetniejszy, gdy pokłusuje między tymi brzożami. Ale jak, ojczy, wpadłeś na myśl, ażeby stworzyć coś podobnego?

– Odpust – odparł krótko stary Dag.

– Nie rozumiem. Co to ma znaczyć? – spytała.

– Spytaj pastora – odrzekł cicho.

I tak się jakoś stało, że w rok po śmierci panny Elżbiety von Gall inna kobieta jeździła konno tymi samymi drogami. Odwiedzała czasem plebanię, wstępowała nieraz do pułkownika w Borgland i zapraszała go do Björndal na partyjkę z ojcem. Przyjeżdżał i czuł się tam bardzo dobrze. Nic już teraz nikomu nie był winien.

Czasem skierowywała się w stronę osiedla lub Hamarrbö, najczęściej skręcała na wschód do lasu brzoźowego. Tylko Syverowi wolno było konia dotykać. Tak też czyścił i pucował szlachetnego rumaka, że skóra jego miała połysk atłasu, a ludzie nazwali go jedwabistym koniem Adelajdy.

– Dobrze jeździ – mówił stary Dag.

– Dragońska krew – odpowiadał major Barre, uderzając się z dumą w piersi.

29

Zajdź do mnie na chwilę – powiedział któregoś ranka ojciec Dag do Adelajdy, otwierając drzwi kancelarii. Spojrzała na niego z pewnym załęknieniem. Dziwnie się jakoś zestarzał w ostatnich czasach; stał się milczący i ponury. Nawet wyścigi malców, który prędzej przejdzie przez pokój na kolanach i szybciej wdrapie się na jego kolana – przesiały go bawić.

Zamknął drzwi za sobą i ciężkimi krokami podszedł do półki. Wziął parę książek i położył na biurku pod oknem.

– Siadaj – poprosił. Spojrzała na niego zakłopotana. Jak to? Ma sięść w krzesło starego Klingego przy jego biurku? Ale Dag wzrok miał utkwiony w książkach i wskazywał jej krzesło. Zbliżyła się więc z pewnym wahaniem.

Promień słońca padł ukośnie przez stół i oświetlił dokładnie postać starego. Adelajda bacznie mu się przyjrzała z boku. Jeszcze go nie widziała tak zmienionego i postarzałego; poszarzał, nawet oczy, które świeciły zawsze jasnoniebieskim blaskiem, zmętniały.

Oparł łokieć na stole, potarł ręką czoło, następnie przysłonił dłonią oczy.

– Niedługo już chyba pożyję – zaczął – a Dag od czasu tej historii na Górze Śmierci stał się zupełnie nieobliczalny. Ty jedna wśród nas jesteś silna i opanowana. Czas więc, ażebyś się zainteresowała tym, co będzie kiedyś dziedzictwem twoich chłopców. Powinnaś zapoznać się trochę z naszymi księgami. Gdybyś czego nie mogła zrozumieć, zwrócisz się do mnie. Weź je teraz; widziałaś, skąd je wzięłem; odłożysz je po przejrzeniu na to samo miejsce.

Adelajda spojrzała na książki i półkę. Dotychczas ta kancelaria o wielkich oknach wydawała jej się miła i przytulna. W okamgnieniu pokój stał się ponury i zimny, mimo że go zalewało słońce, brzęczały muchy, w powietrzu unosił się zapach dobrego tytoniu, który tu leżał jeszcze od czasów starego Klingego. Podczas słów Daga przebiegł ją śmiertelny dreszcz. Wykrztusiła, że na pewno będzie żył jeszcze wiele, wiele lat. Jest przecież zdrow, nic mu nie dolega, nieprawda? Po cóż ten pośpiech z przeglądaniem ksiąg handlowych.

Rozpłakała się.

Stary Dag podniósł się i poprosił, aby szła za nim. Pragnie jej jeszcze coś pokazać. W głosie jego brzmiało zmęczenie, był jakby bezbarwny.

Adelajda jak lunatyczka udała się za nim. Przekroczyła po raz pierwszy próg wielkiej sypialni. Okno tu było otwarte, falowały delikatne firanki i zasłony nad ogromnym familijnym łóżkiem, które tu przybyło z gospodarstwa Haiderów wraz z panią tego domu. Przy ścianie stała nieprawdopodobnie szeroka skrzynia, prawie czarna od żelaznych obić i zamków.

– Tu leży bielizna stołowa, srebrne nakrycia Holderów i nasze, tutejsze. W jednej z przegródek są kosztowności – objaśniał – dam ci kiedyś klucze.

Następnie wyciągnął zza łóżka żelazny drąg i latarkę. Oczyścił knot świecy, zapalił ją i wstawił do latarni. Potem otworzył zamek otworu piwnicznego za łóżkiem, skinął na Adelajdę i zszedł po drabinie. Uderzył w nią przykry, ciężki zaduch wilgoci, ale posłuszna nakazującej woli starego, zeszła w dół. W piwnicy znajdowało się nierówne, puste zagłębienie. Widocznie było, wprost wykute w kamieniu. Leżał tam stos płaskich kamieni. Dag odsunął je drągiem na bok, następnie spuścił w dół drabinę przez otwór, który odsłoniły kamienie. Szli tak w głąb, stary przodem, Adelajda za nim. Stały tu dwie skrzynie. Dag otworzył jedną z nich i zdjął przykrywkę z małej przegródki. Wsadził tam rękę i w świetle latarni wyjął z niej kilka zwitków złożonych papierów.

– To są kontrakty sprzedaży i dokumenty dotyczące pieniędzy, które mam u ludzi – objaśnił i po chwili włożył z powrotem i zamknął wieko przegródki. – Tu są owe bezwartościowe szmaty – powiedział i ze złością wsunął tam rękę, odrzucając stos pieniędzy na brzeg skrzyni, tak że się rozsypały po ziemi.

– Na dnie jest też trochę srebra, częściowo z dawniejszych zapasów, częściowo ze sprzedaży ziarna, której w swoim czasie dokonał kuzyn Holder. Mam jeszcze nieco srebra z owych transakcji w hamburskim banku, to wszystko jest zapisane dokładnie w księgach, kwity zaś leżą tu, gdzie wszystkie papiery. Jest tu w ogóle wszelka srebrna moneta, którą mi się udało zdobyć. Odliczymy z niej teraz, co potrzeba. – Mówił to zupełnie obojętnym głosem. Wyjął z kieszeni woreczek z wytłaczanej skóry. Oparł się o brzeg skrzyni, wyciągał z niej garść po garści srebrne talary i licząc na głos, wrzucał do woreczka. Niejedna setka tam padła. Wciąż na nowo zagłębiał rękę w czeluściach skrzyni i wciąż jeszcze słychać było dźwięki metalu. Wreszcie skończył i bez słowa obwiązał worek i postawił na ziemi.

Następnie nogami zgarnął w jedno miejsce porzucane papierowe pieniądze, wrzucił je na sam wierzch skrzyni, przykrył skórzanym fartuchem i zamknął. Parę podartych asy gnat pozostało na ziemi.

Gdy wrócili do kancelarii, wypróżnił worek kładąc srebrniaki na biurku i poprosił Adelajdę, żeby przeliczyła raz jeszcze. Nic nie odpowiedziawszy, jak we śnie hipnotycznym zaczęła liczyć tę nieprawdopodobną ilość pieniędzy. Było co do grosza tak, jak stary obrachował. Umiał dobrze liczyć, o tak!

Gdy skończyła, zgarnął je na róg stołu, a potem do worka, zasznurował go i zrobił mocny supeł. Następnie wziął lak i pieczęć, z półki kawał papieru, zapalił świecę i opatrzył sznur pieczęcią.

– Ludzkie skarby – powiedział takim samym obojętnym tonem jak przedtem. – Odpustowe pieniądze.

Adelajda bystro spojrzała na niego. Znów to samo słowo, którego użył owego wieczoru, gdy ją zaprowadził w aleję brzożową. „Odpust”, powiedział i: „spytaj pastora”.

Z tym srebrem pojechał Syver Bakpaa do wójta. Sumę tę bowiem Dag chciał wpłacić do nowego banku państwowego, który miał być założony w kraju. Większość obywateli w ogóle nie posiadała srebra, niektórzy mieli, ale niewiele, byli tacy, którzy dać go nie chcieli. W takich wypadkach musieli za każdego srebrnego talara wpłacać dwadzieścia pięć papierowych; wójt wysyłał te masy papierków furgonami w ogromnych skrzyniach.

– Cicho się zrobiło jak makiem zasiał, gdy rzuciłem z brzękiem worek na stół – opowiadał później Syver. – I co za oczy robili tam w urzędzie, gdy po przeliczeniu wrzucali z powrotem do worka tych wszystkich Krystianów i Fryderyków z wielkimi nosami, w paradnych perukach.

30

Dziwnym humorem ulegał teraz stary Dag. Bawił się, na przykład, całymi godzinami jak najweselej z dziećmi, a potem znów przychodziły jakieś złe dni i stawał się smutny, kurczył się w sobie, postarzał o wiele lat. Godziny przygnębienia były coraz dłuższe i coraz częstsze.

Któregoś jesiennego wieczoru Adelajda pojechała konno do pastora. Chciała się wreszcie dowiedzieć, co oznaczały tajemnicze powiedzenia ojca Daga: „odpust” i „spytaj pastora”.

Opowiedziała o tym duchownemu, ale i on nie mógł wytłumaczyć, co Dag miał na myśli.

– Czyście nigdy nie rozmawiali o odpuscie? – spytała Adelajda.

– Ach tak – przypomniał sobie pastor. Zdał jej dokładną relację z tamtej pierwszej ważnej rozmowy z Dagiem i powtórzył z możliwą ścisłością słowa, które wówczas padły o Tetzelu i o innych jeszcze sprawach.

Przez całą powrotną drogę rozmyślała i nie mogła jednak znaleźć związku pomiędzy tym wszystkim. Ale czy w ogóle istnieje jakiś związek pomiędzy obecnym ponurym usposobieniem ojca Daga a tamtą rozmową z pastorem? Pozornie, rzecz prosta, spytał pastora, czy ludzie przypuszczają, że on sobie kupuje odpust? Oczywiście, myśl, że ludzie tak sobie tłumaczą jego uczynki pochodzące z dobrego serca, mogła go doprowadzić do rozgoryczenia. Ale ojciec Dag stoi zbyt wysoko, ażeby na dłużej miał sobie brać do serca to, co ludzie o nim mówią czy myślą. Nie, musiało go dotknąć coś innego. Chyba jakaś sprawa głębsza, zahaczająca o śmierć, o rzeczy boskie. Od czasu gdy chłopcy pomarli i od wypadku z Dagiem nastąpiła ta zmiana w usposobieniu starego. Wszystkie sprawy życia potocznego najzupełniej mu zubożyły.

Jeśli go dręczą zagadnienia duchowe, nie jest to w zgodzie z wiarą chrześcijańską. Bo ta powinna się wspierać na wolnej woli i na ufności, wiedziała to z przykazań dziadka-biskupa, a znów w innych książkach czytała, że nie wszystkie myśli o religii są chrześcijańskie, nawet jeśli dotyczą samego Pana Boga! Nękały ją też troski o męża. Przebywa przeważnie w lesie, w domu jest rzadkim gościem, a przy tym taki dziwny i wciąż smutny. Nawet bawiąc się z dziećmi, ni stąd, ni zowąd popadał w zamyślenie... Patrzył wówczas obojętnie przed siebie, nie widząc, co się koło niego dzieje.

Muszą obaj jak najszybciej powrócić do realnego życia, w przeciwnym razie i jej energia i odwaga życiowa gdzieś się ulotnią. Ojciec Dag twierdzi, że ona tu w Björndal jest najsilniejsza. Więc i w tym musi być silna. Ale jak się wziąć do rzeczy?

Któregoś dnia ojciec Dag nie przyszedł na śniadanie do jadalni. Adelajda zapytała pannę Kruse, co się stało. Powiedziała, że wyszedł wcześniej w ubraniu myśliwskim i z torbą z prowiantem na parę dni, jak wybierał się zwykle do lasu.

Nie zdarzało się to od czasu wypadku z Dagiem, a i przedtem już dawno nie spędzał nocy poza domem... Zerwała się czym prędzej od stołu, nie mogła przełknąć nawet kęsa. Kazała sobie przynieść grube ubranie, obuwie i trochę żywności.

Wówczas, gdy po raz pierwszy udała się do lasu, była wiosna i długie dni, teraz jest jesień i noce są długie. Tym razem nie miała tyle odwagi, co wtedy, ale musiała być silna, tak jak ojciec Dag tego od niej oczekiwał.

Stary Bister niedawno zdechł. Adelajda więc kazała Syverowi sprowadzić innego psa o możliwie silnym węchu i poprosiła o długą linkę.

Z tym ekwipunkiem po raz drugi w życiu wyruszyła do lasu.

Jej ostatni pobyt w lesie wiązał się z młodym Dagiem, z chatą nad Czarnym Jeziorem. Wiosna panowała wtedy w całej krasie i radosny nastrój rozkwitającego świata i jej się udzielał, a teraz była jesień, wszędzie.

O nie! Nie czuła się wcale silna, gdy szła za psem na smyczy. Wciąż węsząc, biegł kamienistym brzegiem jeziora Røisla.

Dawno już minęło południe, a ona nie użyczyła sobie ani chwili odpoczynku, nie posiliła się. Mijały godziny... Czuła się okrutnie opuszczona i samotna. Z ojcem Dagiem tak wiele znikłoby z jej życia. Był jej jedynym oparciem. Teraz właśnie, podczas tej samotnej wędrówki, odczuła to z całą wyrazistością. I rozumiała, czym jest dla otoczenia człowiek o silnej woli, na którym można się oprzeć z całym zaufaniem.

Ojciec Dag twierdził, że teraz ona jest silna. Mylił się chyba. Może kiedyś upodobni się do babki, ale tymczasem jest tylko słabą kobietą. Wcale nie pragnęła już teraz być najsilniejszą, chce tylko odpoczynku po tych wszystkich ciężkich przejściach; chce być sobą, wątłą i małą, i jeszcze długo przebywać pod troskliwą opieką ojca Daga.

Woda na jeziorze była wzburzona, ale fale szemrząc, dopływały do brzegu jakby zmęczone. I nawet w poszumie wiatru odgadywała znużenie, wielkie znużenie.

Pies węsząc, biegł naprzód, szarpał linkę, aż nagle zatrzymał się. Wziął wiatr, cicho zawył i puścił się pędem przed siebie. Adelajda musiała biec za nim, to ją wyrwało z posępnych rozmyślań. Rozejrzała się uważnie. W szarej tafli jeziora przeglądało się szare, jesienne niebo, a u jej stóp małe fale rozbijały się o brzeg.

Z wody wylaniała się wyspa, gęsto obrosnięta potężnymi jodłami. „Wyglądają tak, jakby okrywały sobą jakąś tajemnicę” – pomyślała Adelajda. Ale pies tak ją silnie szarpnął, że musiała skupić uwagę na drodze, którą szła. Co chwila jednak wzrok jej powracał na wyspę. Za nią daleko rozciągała się zatoka. Im dalej Adelajda posuwała się i im bardziej oddalała się od wyspy, tym więcej widać było późnojesiennych łąk. Zauważyła również hen wysoko przy lasku szalas pamiętający czasy, gdy było tu górskie pastwisko. Wyglądał na pusty i nie zamieszkanym. Szła następnie dłuższy czas przez gęsty las, który zasłonił jej widok na wschód i południe. Wiele godzin upłynęło, zanim klucząc pomiędzy drzewami, znalazła się tuż przed chatą. Wargi jej zaczęły drżeć, gdy ujrzała zgrzybiałego starca, rozwieszającego sieci na zewnętrznej ścianie domu. Czynił to wolno, obojętnymi ruchami. Ach, to ojciec Dag. Nigdy nie był tak stary, jak w tej chwili. Podeszła do niego ze łzami w oczach i drżącymi ustami. Usłyszał jej kroki i odwrócił się szybko.

Stali tak i przyglądali się sobie bez słowa przez długi czas. Adelajda smutno patrzyła na tę wyrazistą, kochaną twarz, tak bardzo postarzałą. Jaka rozpacz malowała się w jego bezdennie smutnym spojrzeniu...

I ojciec przyglądał się Adelajdzie. Zawsze była piękna, ale tak uroczą widzi ją dzisiaj po raz pierwszy. Jak żywe i głębokie są jej oczy, a zmarszczki na czole i koło ust, które pozostały po ostatnich przejściach, dodawały jej tylko powagi. Ach tak, to twarz matki... To macierzyństwo promieniuje od Adelajdy...

Wreszcie ojciec Dag przemówił pierwszy. Powiedział, że nie powinna była dla niego się trudzić, niewart jest tego.

Adelajda walczyła ze łzami. Pragnęła panować nad sobą, ale głos jej drżał i raz po raz wyrывało się łkanie. Błagała, ażeby wrócił wraz z nią do domu i nie pozostawiał jej samej.

– Dag idzie do lasu, ty robisz to samo... Zostawiacie mnie samą, nie mam z kim mówić. Przecież mógłbyś mi się zwierzyć z tego, co cię trapi, może dać mi dobrą radę... I wzajemnie, pókiśmy żywi, możemy nieść sobie ulgę w cierpieniach.

Ojciec Dag był bardzo zawstydzony, że z jego powodu odbyła tak daleką wędrówkę i że ma dla niego tyle serdecznego uznania. Odpowiedział jej, że miał dużo do przemyślenia i przypuszczał, że tu, w tej samotni, gdzie zna od najmłodszych lat każdy kamień, da sobie prędzej radę z myślami.

Adelajda mimo woli pomyślała o tym, co słyszała i czytała o zwierzętach: gdy czują zbliżającą się śmierć, udają się w miejsca, gdzie przyszły na świat, i tam ukrywają się, ażeby spokojnie umrzeć. A teraz stary Dag wrócił do swoich lasów. W końcu jednak zaniósł sieci z powrotem do chaty, zawiesił pod pułapem, zamknął drzwi i wyruszył z Adelajdą w drogę. Wędrowali tak we dwójkę w tej wielkiej samotni lasu, odzywając się półsłówkami i czyniąc długie pauzy pomiędzy zdaniami. W końcu jednak coś jakby rozluźniło się w Dagu, zaczął mówić. Słowo po słowie wolno. Teraz Adelajda pojęła, dlaczego nie mógł sobie dać rady ze słowem „odpuść”. Wzrąło mu się ono w duszę i razem z dawniejszymi refleksjami na temat śmierci przywiodło do rozpacz.

Bardzo delikatnie pomogła mu i doprowadziła do tego, że potrafił się już swobodnie wyrażać. Szli z wolna przez puszcę i góry przytuleni jakby do siebie. Stary mówił, a Adelajda słuchała.

– Wiesz, Adelajdo, podczas mego długiego żywota zmieniłem zapatrywanie na życie i śmierć, na ludzi i Boga. Ludzie, którzy mnie mają za przebiegłego i sprytnego w sprawach pieniężnych, przypuszczają, że poza tym do innych spraw odnoszę się naiwnie. Może w pewnej mierze mają rację, ale nie zawsze. W młodych latach przez pewien czas mieszkiałem w mieście. Wieczory spędzałem w knajpach lub restauracjach i przysłuchiwałem się temu, co ludzie mówią o świecie i Panu Bogu. Poza tym u Holderów miałem sposobność stykać się z różnymi ludźmi, nieraz i z adwokatami, i innymi wykształconymi osobami. Nie tylko tu w Björndal przyszły mi te wszystkie myśli do głowy. W życiu swoim słyszałem tyle różnych poglądów na temat tak zwanej istoty bytu... Że Pan Bóg to tylko wymysł ludzki, że jedynie realną rzeczą jest instynkt samozachowawczy, taki sam, jaki posiadają zwierzęta. Ale jednak różnimy się czymś od zwierzęcia, Adelajdo... Gdy bowiem starzejemy się i nabieramy coraz więcej rozumu, wówczas w każdej chwili życia uprzytamniamy sobie, że musimy umrzeć. A tego żadne zwierzę nie wie. O tym, co ludzie nazywają życiem, istotą życia, wiemy już o wiele mniej. Tak różnie się ludziom dzieje: ze zdobyciem utrzymania, ze zdrowiem i wszystkim innym. Nikt nie wie, jak mu się życie ułoży. A o śmierci niechybnej wszyscy wiedzą; jest to jedyne, czego jesteśmy pewni i do czego możemy bez zawodu się przygotować. Jedyne, co ma wartość, to nasze rozmyślenia o śmierci i o wszystkim, co jej dotyczy. Nikt mi tego przekonania nie odbierze. Chociaż wiedza o śmierci nie jest, że tak powiem, dotykalna, jest jednak prawdą, jak na przykład to, że żyję i w tej chwili z tobą idę. Oczywiście, jeśli chcielibyśmy istnieć tylko po to, aby jeść i używać życia tak jak zwierzę, to można by i takie istnienie nazwać rzeczywistością. Przyznaję, że i ja tak żyłem jakiś czas, ale teraz, w ostatnich latach żywota, pragnę to wszystko dobrze przemyśleć i zastanowić się nad prawdą, która tkwi w śmierci. Jeżeli po to został nam dany rozum, ażeby każdego dnia życia móc myśleć o śmierci, to pewnie jest on i po to nam dany, ażebyśmy się

do niej mogli przygotować.

– Poza tym zostały nam dane siły, myśli, wola i uczucia sięgające ponad śmierć aż do Boga. Trudno mi to wszystko, co czuję, wyrazić słowami, i chociaż może nie zawsze dobieram odpowiednich określeń, faktem jest, że grają we mnie uczucia, które wyrażają się w jednym niezłomnym przekonaniu: nad nami i w nas jest Pan. A to odczucie jest równie prawdziwe i rzeczywiste, jak majątek i pożywienie. I jest tak zakorzenione w mej duszy, stało się częścią mego istnienia, że zapewniam cię, tak jak z tobą tu idę, iż, gdyby miało zgasnąć we mnie, padłbym w tym miejscu i nie ruszył się więcej. Potwierdziłoby się wówczas to, co Dag kiedyś powiedział: życie to śmierć.

Głos ojca Daga, zazwyczaj taki spokojny, przy ostatnich słowach stał się ożywiony, drgało w nim uczucie pochodzące z głębi zbolelej duszy.

Adelajda szła cały czas z opuszczoną głową, nic wokół siebie nie widząc, ani ścieżki, ani trawy, ni krzewów obramowujących jak niski płot brzegi drogi. Teraz dopiero podniosła głowę i spojrzała w dal na gwiazdy pojawiające się z wolna na pogodnym, granatowym niebie... Zapadła noc.

Znów doszedł do niej głos Daga:

– I oto rozpadł się dach, pod którego osłoną żyłem, rozpadło się przekonanie, o którym ci właśnie mówiłem, i to, widzisz, mnie zadręcza. Już nie ma w mej duszy radości i spokoju, który był dotychczas moim udziałem. Powodem tego jest owo słowo pastora: odpust. Gdy wracałem do domu, bardzo się nad tym zastanawiałem, ale ten szkopuł powracał wciąż na nowo. Starałem się już raz wyrobić sobie pogląd na życie i na obowiązki podczas trwania naszej wędrówki ku śmierci. Postępowałem wierny tym moim przykazaniom i tak też odnosiłem się do ludzi, wiedząc, że i oni dążą bezwiednie w tym samym kierunku. Starałem się, o ile możliwości, ulżyć im w codziennych troskach, ażeby mieli więcej czasu rozmyślać o Bogu. Obecnie jasno widzę, że to wszystko, co czyniłem, było dyktowane mimowolną myślą ratowania siebie w godzinie śmierci. Czyniłem to po to, ażeby się pogodzić z Panem Bogiem. A jeśli osądzam teraz sam siebie i przyznaję się do popełnionych win, czynię to także w nadziei oczyszczenia się. Wszystko, co czynię, wypływa z nieświadomego wyrachowania, z oczekiwania nagrody niebieskiej. Odpustowe pieniądze, odpustowe myśli, odpustowe czyny, jednym słowem: odpust za wszystkie grzechy! Powiedz sama, czy można z odpustem kupionym stanąć przed Panem Bogiem? Teraz kontroluję siebie, każdą myśl, każdy uczynek podejrzewam, że jest czyniony tylko dla własnego dobra. Jestem zakorzeniony w ziemi i nic nie może mnie z niej wyrwać.

Adelajda stale uczęszczała do kościoła i słyszała niejedno potężne, wstrząsające kazanie, poza tym dużo czytała o Panu Bogu w książkach dziadka-biskupa, ale słowa ojca Daga wypowiedziane niezwykle poważnym tonem, drgające beznadziejną rozpaczą w ustach tego mocnego człowieka, były dla niej gorsze od śmierci.

Żadne słowa, które przywiodła pamięć, nie mogły jej pocieszyć; traciły teraz blask nawet wersety z Biblii, których ją uczono, stawały się puste, bo sam ojciec Dag przemyślał wszystko, co było możliwe, zanim doszedł do tego istotnego wniosku. Znała jego zapatrywania, nieraz już je rozstrząsała.

Przechodzili koło jednej z letnich obór. Krowy odpoczywały w ciemnościach nocy, korzystały jeszcze z ciepła pomimo zbliżających się chłódów jesiennych. Słychać było tylko lekki poświst wiatru. Sosny poruszały się majestatycznie, z dala dobiegało skrzywienie wrót. Adelajda i ojciec przełazem w płocie wydostali się na drugą stronę i zaczęli schodzić w dół stromą ścieżką. Ciemno już było w lesie. Nagle żaba wyskoczyła z rowu, jeź przemknął po kamieniach i znikł, poza tym panowała cisza przerywana tylko szumem lasu...

Śnieg już przyprószył szczyt, ale miejscami słońce stopiło go w ciągu dnia. Najdalsze wierzchołki dalekich gór jaśniały wspaniałą bielą, a tu bliżej ponad hale poprzecinane urwiskami ponad brzeziny i zalesione zbocza i przełęcz wyrastała Góra Śmierci. Wierzchołek jej pokryty był śniegiem, który utrzymał się w szczelinach poniżej szczytu, uwypuklając dziwne kształty góry i usprawiedliwiając jej nazwę.

Jesienne słońce złociło się na zachodzie, potem szybko szcerwieniło i rzuciło krwawy refleks na oblicze śmierci na górze, która z wolna pogrążała się w mroku...

Gdy słońce znikło, od strony gór zerwała się burza. Wyjąc i świszcząc po wrzosowiskach i halach zdawała się czasem przyczać, aby potem z tym większą siłą rzucić się w doliny. Grzmiała tam za Górą Śmierci i miotając się wściekle, wyrzucała spoza niej na południowe lasy szerokimi falami późnojesienne, mroźne podmuchy.

Adelajda i ojciec Dag stanęli na skrzyżowaniu drogi, na zboczu, skąd można było widzieć osiedle i dwór.

Z niektórych okien padało światło, w półmroku mglisto zarysowywało się dworzyszczce, można go się było raczej domyślić. Również i w osiedlu, i w Hamarrbö świeciło się już gdzieśgdzie. Na firmamencie zaczęły się pojawiać gwiazdy, coraz więcej ich było. W lasach wichura szalała coraz głośniejszą, coraz mocniej.

Gdy tak tu stali w ciemności – dwoje udręczonych przez życie ludzi, wsłuchanych w potężny śpiew pralaszów pod wygwieżdżonym niebem – Adelajda uprzytomniła sobie, że ma odpowiedź na wszystkie wątpliwości ojca Daga. Odpowiedź, która jest jakby rozwinięciem i dalszym ciągiem tego, czym on ją niegdyś pocieszał, a brzmi ona: wiara, zaufanie i dobra wola. Ale było jeszcze jedno słowo, o którym ojciec Dag w tych swoich ponurych rozważaniach nie pomyślał. Coś, co łączy tamte trzy, dając im życie i siłę, i pozwala spojrzeć w oczy. Ale skąd wziąć odwagę do powiedzenia mu tego? Pod pewnymi względami nie licuje ono z ojcem Dagem.

Nagle uświadomiła sobie, że jest na to sposób.

Kiedyś bardzo szczęśliwa wracała z lasu z odzyskanym mężem, i w tej chwili rozradowana wracała do dworu stromą dróżką, potykając się co chwila.

Przekąsili cośkolwiek w stołowym i usiedli w całkowitym mroku przed kominkiem. Ojciec Dag po raz pierwszy od długiego czasu zapalił fajkę; puszczał dym przed siebie i zamyślony wpatrywał się w żar płonącego drzewa. Ulżyło mu na pewno, że mógł się wypowiadać przed Adelajdą, ale widocznie wciąż jeszcze dręczyły go te myśli, bo opuszczał coraz niżej głowę i nawet zupełnie zapomniał o fajce.

Adelajda wstała i poszła do swego pokoju. Wolno wchodziła po schodach. Czuła się teraz silna. Gdy wróciła, ojciec Dag spojrzął na nią ukradkiem, niosła grubą książkę: Biblię z krzyżem na okładce. Ojciec Dag zarumienił się lekko. Czyżby Adelajda przypuszczała, że nie szukał dla swej udręczonej duszy uspokojenia w Biblii i innych mądrych księgach?

Szła wolnym, uroczystym krokiem. Biblia, którą niosła, była widocznie cennym egzemplarzem. Bezwiednie odwrócił się i spojrział.

Podeszła zupełnie blisko i podała książkę.

To Biblia mego dziadka – powiedziała. – Był równie silnym człowiekiem jak ty, ojczcie, a jednak nieraz opanowywały go wątpliwości.

Znajdziesz w tej świętej księdze notatki pisane jego ręką, czasem całe stronicę; powiedzą ci one, jakim sposobem uzyskał spokój duszy. Tu, na pierwszej stronicy, napisał coś jakby z myślą o tobie.

– O mnie? – zdziwił się, wiedział bowiem, że biskup zmarł przed urodzeniem się Adelajdy. Spojrział więc na nią pytająco.

– O tobie i każdym innym człowieku. – Po tych słowach Adelajda odeszła do swego pokoju zmęczona przeżyciami ciężkiego dnia. Mimo zmęczenia czuła się szczęśliwsza na duszy niż kiedykolwiek... Pochyliła się nad maleństwami, które smacznie i zdrowo spały w swych łóżeczkach.

Wyszła na balkon, spojrzała w górę na niebo, na którym migotały teraz roje gwiazd. Złożyła ręce i żarliwie modliła się szeptem za ojca Daga siedzącego na dole w sieni, za męża przebywającego w lesie, za dzieci spokojnie śpiące, za cały dom, w końcu i za siebie samą.

Tymczasem ojciec Dag siedział długo bez ruchu, przyciskając Biblię do siebie. Odczuwał w tej chwili jakby iskierkę nadziei... Kto wie – może w Biblii biskupa istotnie znajdzie jakąś odpowiedź na dręczące go pytania. Trzeba będzie poszukać.

Po chwili wstał i powędrował z świętą księgą pod pachą do sypialni. Zapalił świecę i zaczął czytać to, co było napisane w miejscu wskazanym przez Adelajdę...

Niebawem przerwał rozczarowany. Przeszedł parę razy wzdłuż i wszerz pokoju z rękami skrzyżowanymi na plecach, podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Ujrzał bajecznie wygwieżdżone niebo. Spoglądał przez chwilę w górę, potem przed siebie na tonące w ciemnościach osiedle... Gdzieniedzie paliło się jeszcze światło, w Hamarrbö również. Następnie znów zwrócił wzrok ku gwiazdom i zaczął się rozbiierać.

Gdy był już przygotowany do snu, poszedł raz jeszcze do komody i przeczytał ponownie to, co było napisane na pierwszej stronie Biblii biskupa. Były to następujące słowa:

Nasze myśli i czyny są tak związane z ziemią, że same z siebie drogi do Boga znaleźć nie mogą.

Ale Bóg nam dał dar modlitwy, która odziewa nasze wysiłki w świetlistą szatę Bożej łaski.

Ponad życie, ponad śmierć, ponad gwiazdy wzbija się – powołana Bożym rozkazem – niebiańska droga modlitwy.

I prowadzi nas do celu mimo wszystkich przeciwności.

Modlitwa jest drogą ludzi ku Bogu.

CZEŚĆ TRZECIA

31

W aleję prowadzącą do Borgland skręciła ubogo ubrana dziewczynka, córka jednego z drwali. Obuwie miała obłocone. Wlokła obojętnie nogi. Człapała po kałużach, nie zwracając na nie uwagi.

Na imię jej było Jonetta, szła z osiedla Söstu, położonego na hali tuż u podnóża skał Doliny Dziewicy. Od lat już odbywała tę drogę, rokrocznie tego samego dnia, około połowy kwietnia. Babka jej bowiem mieszkała w gminie i Jonetta wędrowała właśnie do niej z upominkiem i życzeniami urodzinowymi.

Za każdym razem, gdy przechodziła tą aleją, przypominała sobie owo spotkanie z panną Elżbietą sześć lat temu. Nigdy chyba nie zapomni szpicruty... Owa zła pannica dawno już nie żyje, ale Jonettę zawsze przejmują lęk, gdy tędy przechodzi.

Nagle dziewczyna stanęła jak wryta. Mocno przycisnęła ręce do piersi, jakby się bojąc, aby serce z niej nie wyskoczyło. W bezgranicznym strachu spojrzała w głąb alei – uskoczyła z drogi, kryjąc się za jednym z drzew, i pełna lęku patrzyła przed siebie. Od strony Borgland zbliżał się piękny wierzchowiec... Na nim dama smukła, wyprostowana niby panna Elżbieta. Jonetta słyszała, jak sobie opowiadano, że długi czas po śmierci widywano pannę Gall jeżdżącą na koniu po posiadłości, ale działo się to zawsze podobno o zmierzchu, a teraz przecież był jasny dzień.

Koń zbliżał się równym, miarowym truchtem. Jonecie się zdało, że dama siedzi na nim sztywno i groźnie. Drżąc ze strachu skurczyła się za drzewem, oczekując w każdej chwili smagnięcia przez ucho szpicrutą. Zamknęła oczy i przytuliła się do pnia, tętent słychać było coraz bliżej. Teraz koń był przy niej, ale nic się jakoś nie stało. Po kilku chwilach usłyszała skrzypienie siodła, chrzęst strzemion i oddalający się stuk kopyt. Niebezpieczeństwo minęło, Jonetta otworzyła oczy, wyprostowała się i zaczerpnęła powietrza. Tak żywo miała w pamięci tamto okropne zajście, że straciła niemal przytomność. Ale to nie był żaden duch czy zjawa, po prostu młoda pani Björndal we własnej osobie.

Jonetta szybko wyszła na gościniec i wzrokiem śledziła amazonkę. Dużo słyszała o młodej pani z Björndal i jej „jedwabnym” koniu, który podobno został sprowadzony z zagranicy, z Anglii, i że w Björndal nikomu nie wolno tknąć tego zwierzęcia, z wyjątkiem samego ekonoma Syvera Bakpaa. Każdy w osiedlu dużo umiałby opowiedzieć o młodej pani, ale nikt nie odważyłby się tego mówić głośno w jasny dzień. Czyniono to po cichu, w czterech ścianach, koło pieca. Wprawdzie i stary Dag ze swym niezmiernym bogactwem wydawał się tym biedakom w lesie i osiedlu jakąś legendarną postacią, ale to można było jeszcze jakoś zrozumieć.

Natomiast wszystko, co sobie opowiadano o Adelajdzie, przechodziło zupełnie ludzki rozum i pojęcie. W ten sposób zwykli gadać starzy tylko o duchach, strachach i tym podobnych zjawiskach nadprzyrodzonych. Bo też nigdy dotąd nie widziano w tych stronach tak pięknej kobiety. Czeladź dworska mówiła o niej, że otacza ją zawsze zapach świeżych kwiatów. Suknie jej są z tak kosztownego jedwabiu, że szeleszczą przy każdym poruszeniu, a na przyjęcia ubiera się w toalety, które nieomal ukazują ją nagą, taką jak ją Bóg stworzył. A ozdoby i pierścionki z czystego złota błyszczą z daleka. Zawsze wolno chodzi i mówi cicho. Nikt nie wie, czy jest dobra, czy zła, bo mówi zawsze jednakowo – przyciszonym głosem. Włosy ma tak ułożone, że każdy jest co dzień w tym samym miejscu. Nie sypia razem z mężem, lecz osobno we własnym pokoju, nazywanym panieńskim. Poza tym szeptano sobie, że jest córką majora dragonów i dlatego tak wspaniale siedzi na koniu, że jest wnuczką biskupa i uczona prawie tak, jak jaki pastor. Wszystkie te opowiadania były zupełnie zrozumiałe, ale krążyły jeszcze inne gadki o niej, a powtarzając je sobie, ludzie ścisiali głos do ledwie słyszalnego szeptu. Podobno jest tak silna i wytrzymała, że ani razu nie jęknęła, wydając dziecko na świat, a dla męża, powiadają, jest tak niedobra, że sobie z nią rady dać nie może. Raz kiedyś samiuteńka poszła bardzo daleko w las, aż po wysokie góry, sama ze starym psem. Jak świat światem, żadna kobieta stąd nie uczyniła czegoś podobnego. Ze Złym musi być w przymierzu.

Takie to chodziły pośród ludu słuchy o Adelajdzie. A szedł już ósmy rok od czasu, gdy stała się panią na Björndal.

Była wiosna 1817 roku.

Dziś właśnie pojechała konno do Borgland, ażeby powiedzieć „dzień dobry” ciotce Eleonorze Ramer, która zamieszkała tam ubiegłej zimy po śmierci pułkownika. Obecnie ostatnią żywą istotą z rodu von Gallów był już tylko zwariowany brat Lorenc. Po śmierci pułkownika cała służba uciekła stamtąd, bo działy się tam nocami piekielne rzeczy, straszły w taki sposób, że niepodobieństwem było w nocy zmrużyć oko.

Panna Ramer przyjechała na święta do Björndal. Słyszała o tym wszystkim, co się dzieje w Borgland. Wywnioskowała z rozmowy, że jeśli nikt tam nie będzie mieszkać, zmarnuje się cała gospodarka, w ogóle niebezpieczne i niesłychane jest pozostawić wariata bez opieki. Ojciec Dag na pewno domyślił się słusznie, że ciotka Eleonora podczas inflacji straciła wszystko, co posiadała, i ma kłopoty materialne, ale chyba tylko żartem spytał, czyby nie chciała gospodarować w Borgland.

Panna Ramer odpowiedziała bez namysłu, że jeśli ojciec Dag chce ponieść koszty gospodarowania, to ona jest gotowa przepędzić stamtąd wszystkie strachy. Sprowadzono więc jej meble z miasta i stara panna urządziła się w dawnym wielkopańskim dworze tak gruntownie i planowo, jakby całe życie czekała na to zamieszkanie. Wyglądała jeszcze bardzo przystojnie i wytwornie pomimo pięćdziesięciu siedmiu lat; znać było po niej, że jest córką biskupa i pochodzi ze starej szlacheckiej rodziny.

Z natury była bardzo energiczna, ale skromne warunki materialne i surowe przebywanie w zamknięciu, a wreszcie i staropanieństwo, nie dawały pola do rozwinięcia energii. Osiągnęła więc szczyt swoich życiowych możliwości, gdy wprowadziła się jako władczyni do Borgland.

Gospodarstwo rolne miało być nadal prowadzone pod kierownictwem starego Daga i jego zaufanych z Björndal, ale w wielkim, starym dworze codziennie coś trzeba załatwić, a panna Ramer była oswojona i obeznana z robotami gospodarskimi jeszcze z czasów dzieciństwa, gdy ojciec jej mieszkał na wsi. W Borgland na nowo zaczęło się pracowite życie.

Wróciła dawna służba i wszystko szło utartym trybem. Panna Ramer wybrała dla siebie pokój panny Elżbiety. Jedna ze starych służących, której zleciła uporządkowanie tego pokoju, zwróciła jej uwagę, że właśnie w nim najbardziej straszy, a gdy to ostrzeżenie nie poskutkowało, dodała, że to z tej komory diabeł porwał żywcem pannę Elżbietę.

– Czas więc najwyższy, ażeby ten pokój został gruntownie przewietrzony – odparła Eleonora i ku ogólnemu przerażeniu zamieszkała w tym właśnie pokoju.

Następnej niedzieli zdarzyła się rzecz wprost niewiarygodna; ktoś zasiadł w ławce przeznaczonej dla właścicieli Borgland. Nawet stary Dag nie ośmielił się tego uczynić, było więc naprawdę niesłychaną śmiałością ze strony panny Ramer zająć to miejsce.

Adelajda tymczasem jechała pod górę aleją wiodącą z Borgland do Björndal. Wczoraj przyjechał z wizytą jej ojciec i Dag chciał nazajutrz wydać małe przyjęcie, na które pragnął zaprosić pannę Ramer. Adelajda skierowała dziś konia do Borgland, ażeby ciotkę zaprosić osobiście i nie odrywać służby od pracy.

Zatrzymała gniadosza przy końcu alei, w miejscu, gdzie się wjeżdża na gościniec, i zamyślona spojrzała na rozciągające się hen daleko łąki i pola. Od strony jeziora Lysne dochodziło gęganie dzikich gęsi i kwakanie kaczek, które tu wypoczywały w trakcie wędrówki do jezior w górach björndalskich. Obok gościńca w stawie porośniętym rzęsą zieloną rozlegał się wesoły, wiosenny rechot żab w mroźnej wodzie. A powierzchnia stawu była mętna od żabiego skrzeku.

Świat budził się do wiosny. Ale oczy Adelajdy były zajęte niezwykłym widokiem i zapatrzona w bezkres sklepienia niebieskiego. Skręciła na gościniec. Ze wzrokiem utkwionym w szyć wierzchowca jechała stępą w kierunku północnym. Nie było w niej nic radosnego ani w wyrazie twarzy, ani w ruchach, tylko zimne, wytworne piękno.

Z obrośniętych trawą południowych zboczy pod lasem bił niemal letni zapach skoszonego siana. Adelajda miała specjalnie wyostrzony zmysł powonienia i zapach ten obudził ją z zadumy; w tej chwili dopiero spostrzegła, że na świecie jest wiosna. Zatrzymała konia na szczycie brzoźowego wzgórza i przez dłuższy czas rozglądała się po dolinach.

Tak, wiosna wokoło, wyczuć ją można w pogwarze ptaków, w powiewie lekkiego wiatru i woni młodych traw, bijącej od rozgrzanej słońcem zieleni.

Również i małego, żółtego motyla, który jej towarzyszył przez całą drogę, zauważyła dopiero teraz, poczuła delikatny zapach brzoź i pierwszy znak budzącego się nowego życia w listowiu: ich ciemnofioletowy odcień. I przez twarz pogrążoną w zadumie przebiegł jakby dreszcz życia. Spostrzegła, że igły sosen nabrały soczystego, świeżego, zielonego koloru, tak samo mchy i krzaczki jagód w lesie, przez który jechała przed chwilą. Żmija strzeliła z drogi do rowu, wokoło dzwoniły drozdy.

Wszędzie wiosna, powrót do życia, tylko nie w niej. Na polance tuż przed Björndal zatrzymała raz jeszcze konia i spojrzała na posiadłość. Niedługo, gdy zakochała się w Dagu, marzyła o tym dworze. Miała już teraz za sobą siedem lat pobytu tutaj. Przez siedem lat posiadłość ta była jej ojczyzną. Przeżyła tu okres uniesień, nieprawdopodobnego szczęścia i ciężkiego smutku; poza tym długie, długie godziny nie będące ani jednym, ani drugim... zwykle koleje życia ludzkiego. Lata obfite w przedziwne zmiany. Nie przypuszczała, że los potrafi tak splatać dobro ze złem.

Tak, tu w Björndal miała wielu przyjaciół, począwszy od ojca Daga, a skończywszy na najprostszym robotniku. Wszyscy się jej kłaniali z największym szacunkiem i podziwem dla jej piękności, wszyscy okazywali wiele życzliwości. Poza tym miała dwóch synków, którym była potrzebna... Gdy wracała skądś, tak się gorliwie wokół niej uwijali, że aż się rozczuliła na samo wspomnienie. Tak, otacza ją dobrobyt, miłość i szacunek, a pomimo to nie czuje wewnętrznego pragnienia powrotu do domu. Wydaje jej się raczej, że mogłaby tu, w cieniu, pod osłoną drzew stać nieskończenie długo i bezmyślnie wpatrywać się w dom, który powinien być siedzibą jej szczęścia na ziemi. Mały, żółty motyl fruwał wkoło niej to w dół, to w górę, a ona jakby go wcale nie widziała.

Tej to bowiem wiosny stało się coś, co Adelajdzie usunęło grunt pod nogami i co było powodem, że wszystko wokoło stało się najzupełniej obojętne.

Stary Dag przechodził właśnie przez podwórzec björndalski; wracał z pastwisk i lasów w górach. Nie szedł już tak elastycznym, zamaszystym krokiem, jak niegdyś w młodych latach, ale jednak zachował jeszcze coś z mocnego kroku myśliwego. Widocznie miał lekką wędrówkę za sobą, bo znów wyczuwało się w chodzie dawną zręczność i szybkość ruchów. Buty były aż po kolana zabłocone i przemoczone, widocznie chodził po bezdrożach.

Czapkę trzymał w rękę, głowy nie zwieszał, jak to przeważnie bywało w ostatnich czasach. Twarz jakby odmłodziła na wiosennym powiewie, srebrne włosy falowały się wokół czoła i skroni, tak jak to bywa z grubymi, opornymi włosami, gdy je pot zwilży.

U wejścia na podwórze, w miejscu, skąd widać całą aleję, stary Dag nagle odwrócił głowę. Miał jeszcze bardzo ostry słuch: dobiegł go stukot kopyt i zobaczył Adelajdę jadącą w stronę domu z opuszczoną głową, jakby w ciężkim zamyśleniu. Ale nie zachował się tak jak dawniej, nie zatrzymał, ani nie poszedł jej naprzeciw. Wręcz przeciwnie. Poszedł szybko dalej, a wszedłszy do sieni, nie powiesił palta na wieszaku i nie usiadł, aby ściągnąć buty, jak to robił zwykle; tak się spieszył, że zapomniał zawiesić czapkę na haku. W zabłoconych butach przeszedł po czysto wyszorowanej podłodze do swojej sypialni, zasunął rygle przy drzwiach i zatrzymał się na środku jakby nasłuchując. Po szybkim marszu oddychał ciężko.

Od czasu Teresy urządzenie sypialni uległo znacznym zmianom. Wprawdzie stało tam jeszcze wielkie rzeźbione łoże o ciężkich zasłonach, stara komoda i wielki, obity żelazem kufer, w którym leżało srebro. Ale przed oknem stał stół, leżała na nim Biblia i inne książki. Przed stołem postawiono jedno z ogromnych krzeseł, które niegdyś własnoręcznie rzeźbił Jørn Mangfoldig.

Tej zimy ojciec Dag wypalił dużo światła, do późnej nocy siadywał przy tym stole nad księgami. To było powodem, że przyzwyczał się teraz późno wstawać.

Usiadł na krześle, ale nie czytał. Ściągnął buty, wstał, następnie zawiesił kurtkę na haku i bez marynarki, w szelkach tylko, stanął na środku pokoju. Spojrzał na książki leżące na stole. Już dawno nie zaglądał do nich, ale wstydził się przyznać do tego Adelajdzie... i nie oddawał ich jej. Tak więc zostały tutaj.

Adelajda poszła do swego pokoju.

Jak we śnie otworzyła szklane drzwi, prowadzące na balkon i padła tam na fotel wyczerpana wiosennym powietrzem. Tak by się wydawało, że ostatkiem sił przebyła podwórze, trzymając się prosto na koniu.

Chłopcy bawili się w kuchni na dole. Czują się zupełnie opuszczona w tej chwili, a co gorsza, pozbawiona zupełnie energii.

Widziała, jak ojciec Dag szedł przez podwórze, zauważyła, jak drgnął i przyspieszył kroku, gdy zobaczył ją. Zauważyła również, że nie zawiesił kurtki w sieni i nie zdjął tam zabłoconych butów. Unikał jej, uciekał przed nią.

Nikomu więc nie jest potrzebna na świecie.

Chłopcy mają wprawdzie dopiero po dwa lata i potrzebują jej opieki i troskliwego doglądania. Zabawne maleństwa: gdy im się coś nie udawało lub który się uderzył – przybiegali do niej ze skargą. W ogóle garnęli się do niej, obskakiwali ją, dopóki nie było ojca w pobliżu. Czują, że będzie z nimi tak samo jak z tamtymi, którzy umarli: gdy ojciec wracał z lasu, jakaś nieprzemoczna siła ciągnęła malców do jego wielkiej komory, gdzie były psy i wszelka broń, ogień pod kominem i taki jakiś tajemniczy półcień.

Rzadki gość bywa chętnie widziany.

Adelajda czuła, że się w niej rodzi skryta zazdrość o tę miłość dzieci do ojca. Ostatniej zimy trzymał się z dala od niej, odbywał coraz dalsze wędrówki po lasach, a jeśli zjawiał się w domu, nocował w oficynie jak za dawnych lat. Dawał jej wyraźnie do zrozumienia, że jest mu obojętna, i kiedy ją zastał raz przy kominku gawędzącą z ojcem Dagiem, w oczach jego zjawiał się jakby wyraz nienawiści.

Zamieniał z nią tylko najpotrzebniejsze słowa, w ogóle zwracał się do niej coraz rzadziej.

Adelajda nękana przekonaniem, że jest tu zupełnie zbędna, coraz namiętniej zagłębiała się w rozmowy z ojcem Dagiem o bycie pozagrobowym. Pociechą w tych wszystkich zmartwieniach był fakt, że wolno jej było być mu ostoją i pomocą w okresie jego wewnętrznych walk. Różne uczucia ich wiązały i towarzyszyły przy lekturze i rozmowach dotyczących słowa Bożego. Był to jakby narkotyk pozwalający zapomnieć wszystkie zmartwienia i rozczarowania.

Dlatego ciosem stał się dla niej fakt, że ojciec Dag stracił zainteresowanie do tych pogawędek. Że też teraz dopiero to zauważyła! Ślepa była chyba!

Przez pewien czas chwyciła się nadziei, że ten nastrój minie, ale z nastaniem wiosny ojciec Dag coraz mniej znajdował czasu, ażeby z nią przebywać i rozmawiać. W pierwszych dniach kwietnia (sama odczuwała niepokój wiosenny w atmosferze) udał się po raz pierwszy od owego pamiętnego dnia w jesieni do lasu. Wyszedł z samego rana, zanim wstała, a wieczór przedtem ani słowem o tym nie wspomniął. Wrócił późno, bardzo zmęczony i natychmiast po kolacji położył się do łóżka.

Powtarzało się to potem dość często, a on zupełnie o tej przemianie swej nie mówił. Zabierał nawet nieraz psa i fuzję i wracał ze zwierzyną. Wstąpiło w niego jakby nowe życie.

Dzień przedtem przyjechał major; ojciec Dag siedział z nim dłużej niż zwykle w sieni. Popijali, Dag słuchał z zajęciem jego barwnych opowieści. Potem zaproponował Adelajdzie, ażeby zaprosiła ciotkę Eleonorę na obiad na następny dzień. Dziś znów z samego rana poszedł do lasu, nie interesując się wcale swym gościem, majorem, a gdy zobaczył Adelajdę na podwórzu, pospieszył, ażeby wejść przed nią do domu i przebrać się. Pewnie znowu cały wieczór przegawędzi z majorem.

Czy przygnębienie ojca Daga wówczas spowodowane było tylko jesiennym nastrojem w przeczuciu zimowych ciemności? A obecna zmiana – czy była jakby wiosenną nadzieją na odrodzenie i nowe słońce? Czyżby w życiu ludzkim nie było nic stałego, niezmiennego, wszystko tylko wszędzie i zawsze przelotne, przemijające? Czyżby nawet ojciec Dag, najmocniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek znała, był podobny do innych? Nieraz obijało się jej o uszy, jak silnie oddziałują na starych ludzi zmiany pór roku: na jesieni i w zimie ogarnia ich apatia i zniechęcenie, na wiosnę zaś wstępuje nowa nadzieja. Czyżby i on temu podlegał? Czyżby człowiek jego typu, zrośnięty jakby z przyrodą, miał tym fluktuacjom podlegać bardziej niż ludzie w mieście?

Niewielką pociechą była myśl, że ku jesieni wszystko może znów powrócić do dawnego porządku. Nadzieja ta była nikła jak nitka pajęcza. Bo po pierwsze nie uważała ojca Daga za zdolnego do łatwych przeobrażeń, a po wtóre nie miałyby już do niego dawnego zaufania. Tego była już na zawsze pozbawiona.

Żeby jej choć słówkiem powiedział o tym, co się z nim dzieje! A może sam się w tym nie orientuje? Wyglądało to tak, jakby miał nieczyste sumienie. Unikał jej. Dziś to wyraźnie widziała.

Przeżyciem wyjątkowym, zupełnie osobliwym było zbliżenie się do niego i poznanie tajnych zakamarków duszy człowieka, który był najwybitniejszym ze znanych jej ludzi. Zapomniała przy nim o troskach i tęsknotach, straciła nawet rozsądek. Teraz czuła się niepotrzebna nikomu...

Po chatach i chałupach góralskich, w osiedlu i w dolinach szeptano sobie na ucho, że Adelajda Björndal to kobieta szczęśliwa pod każdym względem, a pomimo to w stosunku do męża jest dumna, nieprzystępna i zła! W przytulnym „pokoju panieńskim” siedzi teraz Adelajda i patrzy tępo przed siebie.

Nigdy nie rozumiała swego męża. Był jakby z innego świata niż ona i wszyscy, których znała. Dawniej była dumna i trzymała się z daleka od ludzi, ale po ślubie i wszystkich przeżyciach ogarnęła ją radość, że posiada człowieka, któremu może się oddać swobodnie i szczerze, bez żadnych hamujących ją względów.

Był to cudowny okres życia, ale trwał krótko.

Daga zaczęła znów pociągać magiczna siła borów. Przemysłowała bezustannie nad tym, że może uraziła go jakim słowem lub spojrzeniem. Przecież po tym wypadku w lesie wszystko inaczej się układało. Ale potem wydawało się, jak gdyby stale miał się na baczności wobec niej czy też wobec samego siebie. Może zadraśnięta duma nie pozwalała mu się do niej zbliżyć, duma, która nie ustąpiła nawet wtedy, kiedy dał się raz porwać uczuciu wobec niej.

Był okres, kiedy odczuwała jakieś podniecające napięcie. Tkwiło w niej jeszcze i sprawiało, że ból z powodu odsunięcia się Daga od niej był dotkliwszy.

Czyżby nigdy nie miała znaleźć klucza do jego duszy i owej mocy drzemiącej w nim skrycie?... Musi to być coś niepospolitego, wielkiego, a może to tylko jej przywidzenie? Może nic nadzwyczajnego nie kryje się za tą chłopięcą nieśmiałością? A co by w takim razie znaczyły owe nienawistne spojrzenia w ostatnich czasach?

Tak, na tym jej szczęściu, o którym ludzie tyle sobie opowiadają, kładą się takie cienie, że nic z radości nie pozostaje. Tego ludzie nie wiedzieli, bo Adelajda milczała.

Nieszczęście rzadko przychodzi samo. Adelajda była wstrząśnięta rozdźwiękiem panującym pomiędzy nią a mężem, teraz znów dołączyła się ta przykra zmiana w usposobieniu ojca Daga. Poza tym ma jeszcze inne zmartwienie.

W ostatnim półroczu ojciec jej rzadko przyjeżdżał do Björndal. Stary Dag stał się dla niego zbyt święty. Major, pełen życia i werwy, nie czuł się dobrze, jeśli nie mógł zasiąść do stołu przy pełnych kielichach. Adelajda zauważyła już podczas ostatnich jego pobytów u nich, a przede wszystkim wczoraj, że z majorem jest coraz gorzej.

Na przykład wczoraj, gdy przechodziła przez kancelarię do sieni, zauważyła, jak major odwrócony do niej plecami korzystał z nieobecności ojca Daga i nalewał koniaku do wielkiej szklanki od grogu, po czym wypił ją duszkiem. Schowała się szybko za ścianę kancelarii i stała tam dłuższy czas, drżąc ze wstydu i lęku.

Oparła dłonie o balustradę balkonu. Była jeszcze bardzo smukła, i zgrabna. Rysy zachowały dawną klasyczną, surową piękność, ale życie pozostawiło na nich ostre ślady. Czoło, które w ostatnich czasach rzadko się wypogadzało, było poorane bruzdami. Niegdyś przepiękne, równo zarysowane brwi zeszyły się nad linią nosa, tworząc bolesne fałdki.

Suchymi oczami, nie uroniwszy ani jednej łzy, zapatrzyła się w wiosenne niebo, rozpięte nad lesistymi wzgórzami.

Adelajda z daleka dostrzegła nadjeżdżający powóz z Borgland i zeszła, ażeby osobiście powitać ciotkę w drzwiach wejściowych; wiedziała, że ciotka od niej tego oczekuje. Patrząc na obie kobiety, nietrudno było się domyślić, że pannę Ramer z Adelajdą łączy bliskie pokrewieństwo. Adelajda była wyższa i o bujniejszych kształtach niż niegdyś ciotka, ale pomimo to podobieństwo było uderzające.

Panna Ramer była człowiekiem zasad. Postępowała według ściśle określonych reguł. Jeżeli na przykład ktoś ją formalnie zaprosił, jak to uczyniła Adelajda, uważała za stosowne okazać swój zachwyt z tego powodu. Zapewniała więc, że od wczoraj aż do chwili przestąpienia progu tego gościnnego domu cieszyła się jak małe dziecko.

Na jej zazwyczaj surowej twarzy gościł zalotny, miły uśmiech, ale Adelajda pomimo to czuła, że ciotka baczenie się jej przygląda. Ostatniej nocy prawie oka nie zmrużyła, tak była z mordowanymi dręczącymi myślami. Najchętniej wypłakałaby się na piersi ciotki i opowiedziała jej wszystko – wielkie i mniejsze troski i zmartwienia – ale nie darmo wyszła ze szkoły swej babki, z twardej szkoły życia. Zapanowała nad sobą i zdołała nawet powiedzieć parę miłych słów na powitanie.

Od czasu owej pierwszej wigilijnej kolacji w Björndal aż po dziś Adelajda zasiadała w najróżniejszych nastrojach do stołu w jadalni o ciężkich, rzeźbionych krzesłach, ale nigdy jeszcze nie czuła się taka niepotrzebna, odsunięta od wszystkich i wszystkiego... Usiadła na zwykłym miejscu, na końcu stołu, ojciec Dag siedział na drugim końcu na szerokim krześle, obok niego syn, a pomiędzy Adelajdą a nim ciotka Eleonora. Major ukłonił się ciotce chłodno z daleka i wyraźnie starał się zająć miejsce po przeciwnej stronie stołu.

Było coś osobliwego w tej oziębłej, sztywnej postawie pięciu osób na pierwszym tegorocznym zebraniu rodzinnym. Ojciec Dag unikał patrzenia prosto w oczy, zwłaszcza odwracał głowę, aby nie spotkać spojrzenia Adelajdy. Zwracał się co chwila do swego sąsiada lub patrzył w talerz, Adelajdy siedzącej naprzeciw zdawał się nie spostrzegać.

Ona zaś mogła patrzeć prosto w twarz tylko jednej osobie przy stole: ciotce Eleonorze. Nie miała siły, ażeby spojrzeć w oczy staremu Dagowi, a na piękną, ale zimną i obojętną twarz męża popatrzyła przelotnie tylko jeden raz. Uczuła niesłychane wzruszenie, łzy stanęły jej w oczach. Musiała głęboko zaczerpnąć powietrza, ażeby nie wybuchnąć płaczem z powodu dręczących ją wyrzutów sumienia i poczucia winy. W sercu jej oba te uczucia stopiły się w jeden głęboki ból, gdy zobaczyła jego sztywny i niemły wyraz twarzy. Przeniosła wzrok na swego ojca. Jego czerwona twarz, zwykle wyrażająca zadowolenie z życia i z siebie, obecnie nosiła ślady jakiegoś dręczącego niepokoju i upadku moralnego. Nie była w stanie patrzeć na niego.

Panna Eleonora odczuwała żywą pogardę dla majora od dwudziestu pięciu lat, to jest od czasu, gdy rozwiódł się z jej siostrą, łamiąc wiarę małżeńską, o czym bez ogródek wszystkim opowiadała.

Major nie potrafił nikogo nienawidzić. Mimo wielu braków posiadał tyle samokrytycyzmu, że zdawał sobie doskonale sprawę ze swych wad. Dlatego sąd jego o innych bywał nader łagodny. Ojciec Dag zauważył już dawno, że major, poruszając w niefrasobliwej gawędzie wszelkie tematy, nigdy o nikim nie powiedział złego słowa. Gdy zaś mówiono o panie Ramer, stawał się lakoniczny.

Niejeden kieliszek przelał się już dziś przez gardło majora, zanim się zdobył na to, by usiąść przy jednym stole z panną Ramer. Kiedy dokonał tego trudnego wyczynu, zaczął pić na nowo, w końcu zupełnie zobojętniał na jej mrozące spojrzenia... Gdy wstawali od stołu, był już przy dwunastej kolejce. Nie był w tak wyśmienitym humorze jak zazwyczaj, dowcipy jego stały się wymuszone. Było to spostrzeżenie starego Daga; może mu się tak tylko zresztą zdawało.

Z czyichś ust, może ojca Daga, a może majora, padła propozycja, ażeby kawę i likier wypić w ogrodzie przed nowym domem. Był to piękny dzień wiosenny, słońce grzało niczym w lecie.

Panna Ramer i Adelajda narzuciły płaszcze, panowie byli dość ciepło ubrani.

Z południowej strony domu zieleń pokryła już niektóre krzewy, a w ogrodzie gdzieniegdzie niebieściły się na rabatkach przylaszczki, które Adelajda wykopała w lesie i przesadziła zeszłego roku. Przed drzwiami prowadzącymi z salonu do ogrodu stał już stół i ławki, podano kawę i ciasto, następnie przyniesiono gotującą się wodę do grogu, cukier i koniak francuski dla panów, a wino dla pań.

Major, gdy sobie dobrze podpił, czuł się wielkim mówcą. Widocznie kiedyś oracja w podobnych okolicznościach musiała mu się udać. Od tego czasu nie dał sobie wyperswadować konieczności przemawiania. W danym wypadku chęćta owa pojawiła się po drugiej szklance grogu. Zastukał w szklankę, wstał, uderzył się w szeroką pierś i chrząknął. Adelajda opuściła nisko głowę. Panna Ramer odwróciła się w inną stronę. Major przemawiał mocno ochrypniętym głosem, patetycznie, ogromnymi zdaniemami, gubiąc chwilami treść i wątek; nie zwracał na to jednak uwagi, lecz brnął dalej; mówił o wiośnie i słońcu, wolności i ojczyźnie. Na zakończenie zanucił:

For Norge, Kjæmpers Fødeland

Odpędził szybkim ruchem bąka, który mu siadł na czole, i śpiewał dalej tremulującym głosem, z całą powagą:

Vi denne Skaal vil tømme

Po tych słowach panna Ramer zacięła usta, wstała sztywno z ławki, pozostawiając nie tkniętą szklankę grogu na stole, i zniknęła w drzwiach prowadzących do salonu. Po chwili wstała cichutko Adelajda i śmiertelnie blada poszła automatycznym krokiem za ciotką. Dziwna rzecz, akurat teraz, kiedy ona tu we dworze czuje się taka zbędna, ojciec jej robi z siebie wariata – pijaczyna bez ambicji i honoru.

Młody Dag odwrócił się w stronę Adelajdy, jego zazwyczaj surowe oczy miały wyraz bezradny, współczujący nawet. Gdy zniknęła mu z oczu, podniósł się także i przeszedł z opuszczoną głową wzdłuż płotu przez cały ogród. Zatrzymał się przy ścianie starego domu, gdzie zakryty krzewami stał się niewidoczny dla majora i ojca, i zapatrzył się na osiedle w ten piękny, wiosenny wieczór.

Myśliwy i człowiek lasu, jak on, nie zna się na różnych cienkich sprawach, ale nie uprawia również „gierek”. To, że Dag nie poszedł za odruchem serca, miało głębszy sens. Powinien udać się w ślad za Adelajdą i pocieszyć ją, bo czuł, że zachowanie ojca ją martwi. Powinien był ją objąć i powiedzieć parę słów. Poruszyłby tym zrozpaczoną kobietę do łez radości. Ale on skręcił w inną stronę i wszedł do starej czeladnej. Gdy już zapadał zmierzch, przeszedł z wolna, pochłonięty myślami, przez dziedziniec. Miał na sobie myśliwskie ubranie. Odetchnął pełną piersią dopiero wtedy, gdy już był za pastwiskami i daleko od dworu; ruszył żwawym krokiem, jakby się uwolnił z kowów i kajdan. Szedł swobodny w daleki świat. Uciekał od smutnych myśli i pijanych gości. Na folwarku Utheim był jego pies i fuzja. Była tam ongiś córka dzierżawcy, Borghild, którą dawniej chętnie odwiedzał, ale wyszła przed laty za mąż w inne strony. Gospodarował tam obecnie Gunder przy pomocy starej, mrukliwej gospodyni. Mógł więc Dag, idąc i wracając z lasów, z całym spokojem tam odpocząć.

Ojciec Dag bezradnym wzrokiem spoglądał za oddalającymi się paniami, a gdy i syn wyszedł, zaproponował majorowi przechadzkę po ogrodzie.

Major objął spojrzeniem flaszki i odpowiedział, że za chwilę pójdzie za nim, a gdy ojciec Dag znikł za pierwszym drzewem, nalał sobie pełną szklanekę wódki i wypił pośpiesznie dwoma łykami. Następnie wstał i ruszył za Dagiem, chwiewając się nieco na nogach. Tamten był jeszcze w pobliżu. Wyglądało, że się wrócił i spotkał z majorem pod nie rozkwitłymi jeszcze krzewami. W oczach starego widoczne było jakieś dziwne zamyślenie, gdy uprzejmie wziął majora pod rękę i poszedł z nim w ogród, odciągając go od stołu z flaszkami.

Od tego dnia zdawało się majorowi, że wydzielano mu trunki w bardzo małej ilości. Stary Dag nie pozostawiał go ani na chwilę sam na sam z flaszką. Podawano mu jednak kieliszek do każdego jedzenia, tak jak to nakazuje gościnność. Za to stary Dag zapraszał go, korzystając z pięknej, wiosennej pogody, do dalekich spacerów po lasach, na co major chętnie się godził. Odzyskał nawet jakby dawny dobry humor; opowiadał z werwą zabawne historie, pomimo że był całkiem trzeźwy. Żartował z dziewczętami, znajdował nawet miłe słówka dla tak nieprzystępnej osoby, jak panna Kruse, chwalił jej gospodarność i dobrą kuchnię. I major Barre tak jak kiedyś stał się przemiłym, czarującym człowiekiem, któremu nikt nie mógł się oprzeć. Tylko z ciotką Eleonorą nie mógł dojść do ładu. Zapowiedziała, że noga jej nie postanie w Björndal, dopóki major tam będzie.

Nie wiadomo, czy to sprawiło żywe usposobienie majora – dość, że stary Dag coraz bardziej tajał.

Gdy po okresie zimowego przygnębienia i powagi pierwszy raz Adelajda usłyszała go śmiejącego się głośno, odczuła jakby ukłucie w serce. Czy uważała to za znak, że stary oddala się coraz bardziej od wspólnych przeżyć i tym samym od niej, czy też może bolał ją ten ogromny przeskok pomiędzy ponurym nastrojem w owe zimowe wieczory, a tym świetnym humorem obecnie – sama sobie z tego sprawy nie zdawała; a może to było jedno i drugie?

Było lato i słońce świeciło nad domami, dolinami i lasami björndalskimi. Długonogi staruszek wędruje wolniutko w prażącym słońcu południa przez puszcę jałowcową koło Steinrud przy zboczach zachodnich rewiru björndalskiego.

Wszystko wokół Steinrud było świetnie utrzymane, nawet puszcza była wypielęgnowana jak ogród. Stary Espen Steinrud nie żałował rąk, szpadla i wody, uprzątał stale wszelkie nieczystości i gnój po kro i owcach. Zawsze tu było czysto, zielono; okolica ta mogła służyć za Matka Steinrud sporządzała z pędów jałowca napar leczący rozmaite choroby. Jagód zaś używała do specjalnych nalewek. Cenione – więc tu były krzaki jałowcowe. Rosły okazale, otoczone troskliwością gospodarzy. Stary obcinał je równiuteńko i stały jeden obok drugiego, smukłe niczym młode dziewczęta.

To tu, to tam stały przyzmy z kamieni; stanowiły one dowód, jak tu pracowano, ażeby oczyścić grunt i zdobyć go pod uprawę. Niebezpiecznie było siadać na tych kamieniach, bo często zamieszkiwały je żmije. Ale stary, nie bacząc na to, siadł beztrósko i rozglądał się wokoło. Przyjemnie było spojrzeć na zielone łąki i poprzez konary drzew. Ze wschodniego zbocza można było ujrzeć osiedle.

Gdyby tak ludzie tam w Steinrud za wzgórzem wiedzieli, kto tu odpoczywa w puszczy, rzuciliby wszystko i przybiegli popatrzeć. Rodzice ich bowiem, pracując we dworze, widywali go niegdyś przelotnie. Ale nikt nigdy nie odważyłby się dokładnie mu przyjrzeć, zaś młode pokolenie w ogóle go na oczy nie widziało. A każdy dałby nie wiem co za to, ażeby go móc z bliska zobaczyć.

Tutaj, w zachodnim rewirze, był jeden jedyny raz, gdy po wypadku z młodym panem wracali tą drogą do domu, a i to tylko przechodząc.

Pełno tu było chat drwali, nie sposób uniknąć spotkania z mieszkańcami. Stary Dag, siedząc na kamieniach, oczami bacznie lustrował całą okolicę. Pomimo że w ostatnich dziesiątkach lat zupełnie tutaj nie zaglądał, wiedział, gdzie który z drwali mieszka i jaki to człowiek i robotnik. Wiedział dokładnie, komu trzeba było stale pomagać, a kto nigdy żadnych zasiłków nie żądał. Powiadał go o tym Syver Bakpaa i inni, którzy mieli z tymi sprawami do czynienia.

Steinrud było jednym z większych obejść drwali; w stajni stał koń i wolno go było mieszkańcom używać poza zwożeniem drzewa również do pracy na własnym kawałku pola. Ale byli i gdzie indziej tacy drwale, którzy również korzystali z konia, a jednak wiecznie mieli jakieś niedobory i biedę, a z Steinrud zawsze był spokój.

Przeгляд „nieruchomości” czynił, skradając się za jodłami, ale pomimo to dokładnie obejrzał budynki: sam kazał tu przed paru laty podczas chudych czasów wojennych postawić stajnię i stodołę. Jeszcze teraz mogły uchodzić za nowe.

Reszta zabudowań była bardzo stara, ale zauważył, że porządnie utrzymana; widać, dbano o nie, były wysmarowane smołą, a tam, gdzie trzeba, nie poskąpiono świeżych belek. Stary Dag miał bystre oko i znał się na rzeczy. W Steinrud wszystko błyszczowało świętecznie.

Po drodze oglądał również pola i teraz, patrząc na łąki i pastwiska, doszedł do wniosku, że to nie ziemia jest podstawą tutejszego dobrobytu. W polu pełno okruchów skalnych, grunt chudy i kamienisty. Tylko dzielni ludzie mogli w tych warunkach osiągnąć taki poziom.

Stary Dag wstał i ruszył z wolna dalej. Nie miał się do czego spieszyć. Ręce założył w tył i trzymał w nich nóż myśliwski. Nie miał czapki; gęste włosy chroniły głowę przed silnymi promieniami słonecznymi. Przeważnie siedł ze spuszczoną głową, ale czasem ją podnosił ku wierzchołkom drzew i słuchał odgłosów leśnych. Cała ta wędrówka wyglądała jak wypoczynkowy spacer po ciężkiej pracy całego życia i zarazem jak jeszcze jeden przegląd swoich dóbr.

Pastwisko było ogrodzone. Do furki daleko. Dag bez namysłu postawił nogę na płocie, uchwycił się wystającej sztachety, podsunął się w górę, stanął na szczycie płotu i jednym susem znalazł się w krzaczkach czarnych jagód, rosnących po drugiej stronie. Nie był to skok młodzieńczy, ale w każdym razie i nie starczy. Ruchy Daga były jeszcze dość elastyczne.

Las był gęsty, jak brody zwisały pnącza z gałęzi, ziemia wilgotna. Po chwili Dag poczuł zapach bagna. Niedaleko stąd musi leżeć Stjernebekk, przez który tak trudno się przedostać. Ale nie przypominał sobie z dawnych lat, żeby tu miały być bagna, nikt mu też o tym nigdy nie mówił...

Dag wspiął się wysoko na zbocze i widział teraz jak na dłoni domy Stjernebekk, poniżej bagna, które minął przed chwilą. Strumień, od którego osiedle to brało nazwę, płynął z drugiej strony moczaru. Niegdyś był tu staw. Teraz zarósł cały, a woda przesiąkała wiosną i jesienią na pola i łąki, zakwaszając grunt. Teraz Dag zrozumiał, dlaczego tu tak trudno cośkolwiek wyhodować: wszystko dojrzewa później wskutek tego bagiennego fermentu, a potem wczesna zima warzy zbiory pierwszym mrozem. Wiedział już teraz, jak temu zaradzić, w jaki sposób doprowadzić tutejsze pola i łąki do pierwotnego stanu, gdy osiedle to powstało: należy wodę odprowadzić z powrotem do strumienia. Tuż przy bagnie leżał w bieżącej wodzie skalny złom, woda przez ten złom nie znajdowała ujścia. Trzeba więc będzie kazać tu znieść jak najwięcej gałęzi i szczap drzewa, zapalić je, i tak długo podsycać ogień, aż kamień stanie się kruchy i będzie można go potupać i wyrzucić z wody. Następnie trzeba będzie wykopać rowy poprzez moczar, ażeby strumień mógł się dostać do dawnego łożyska.

Gdy stary Dag zjawił się przy stawie, Simen Stjernebekk rąbał drzewo przed szopą. Zasłonił oczy ręką i patrzył uważnie, co to za obcy człowiek schodzi ze zbocza. Potem opuścił rękę i dalej patrzył, i znów przysłonił nią oczy, i jeszcze patrzył... Z wrażenia wypuścił z prawej ręki siekiere, która upadła na ziemię, i zaczął skwapliwie wycierać ręce o spodnie. W końcu pomyślał sobie, że lepiej samemu nie iść naprzeciw wielkim wydarzeniom, odsunął więc kłoc i jak błyskawica pomknął w kierunku chaty.

Gdy Dag dochodził do obejścia, Simen i jego żona, jedno tuż za drugim, ukazali się zza węgła chaty. Słyszeli dużo o starym Dag, wiedzieli, że był bardzo doświadczony, że miał w swoim życiu z wieloma ludźmi do czynienia... W ich pojęciu był to najpotężniejszy z potężnych, a moc jego i wielkość rosły z latami, podczas gdy Simen był zawsze tym najnędźniejszym z nędźnych, a żona według dawnego poglądu tylko żoną najnędźniejszego. Toteż gdy stary wchodził, odsunęli się w bok, za róg chaty i w drzwi.

Dag wszedł wolno za nimi do środka, siadł na starym trójnogu tak nadwężonym przez lata użytkowania, że zdało się, iż lada chwila się załamie. Simen wiedział o tym i ze strachu nie mógł wydobyć z siebie słowa, a żona drżąc schowała się za niego.

Żadne z nich potem nie wiedziało dokładnie, co stary Dag zauważył z ich strachu i zakłopotania, a czego nie. Powiedział tylko:

– Byłem na górze i rozejrzałem się tam. Przyślę tu ludzi, żeby zrobili porządek z wodą, pola muszą swobodnie odetchnąć. A jeśli ci czegoś potrzeba, przyjdź do Bjørndal.

Simen i jego żona długo stali w drzwiach i gapili się za nim, gdy już dawno znikł za drzewami. Nie tyle zachwyciła ich jego obietnica, ile fakt, że wielki pan przekroczył próg ich chaty i siedział na rozhuśtanym stołku.

Stary Dag tymczasem kroczył wzgórzami w kierunku domu. Znowu ręce jego bawiły się nożem myśliwskim, ale już nie szedł z opuszczoną głową. Przyglądał się roślinom i drzewom i patrzył? poprzez osiedle na swój dwór, który od czasu do czasu wyłaniał się spomiędzy drzew.

Wychodząc z lasu, zatrzymał się nagle, usłyszał bowiem głosy dziecięce, pewnie dzieci Stjernebekków bawią się na polanie. Starzy myśliwi, przyzwyczajeni do tropienia zwierzyny, gdy dobiegają ich jakieś niejasne dźwięki – ścisząją krok.

Niepostrzeżenie zbliżył się do gromadki, która zwyczajem dzieci krzyczała i hałasowała. Było tam czterech chłopców i jedna dziewczynka, z szyszek i patyczków robili sobie stado bydła. Dag przyglądał im się zza krzaka leszczyny. Najmłodsze z nich zaproponowało, ażeby zrobić niedźwiedzia, który by nastraszył całe stado i spłoszył je. Widocznie dla malca dotychczasowa zabawa była zbyt spokojna. Przyciągnął wielką szyszkę z poodchylanymi łuskami – to miał być niedźwiedź. Ale inne dzieci uważały, że jest zanadto podobny do krowy.

Podczas gdy się tak sprzeczały, stary Dag wyrwał korzeń jałowca, otrząsnął z niego ziemię i kozikiem poprzcinał. Następnie odrzucił nogą z ziemi trochę mchu i dzikich ziół i parokrotnie zagłębił korzeń w ziemi, ażeby poczernić świeżo zastrugane miejsca. Następnie przyjrzał się swemu dziełu. Miało to teraz pewną formę i w porównaniu z krowami z szyszek – odpowiednią wielkość. Wprawdzie miał ten jego niedźwiedź tylko trzy i pół nogi, ale wąsy z korzenia zwieszały się jak najprawdziwsze klaki. Teraz rzucił swe arcydzieło pomiędzy gromadkę dzieciaków leżących na trawie wokół swojej trzódki. Cała piątka spojrzała w niebo z tak zdziwionymi minami, że Dag z trudem powstrzymał wybuch śmiechu. W końcu najstarsze odważyło się podnieść niedźwiedzia i pokazało go towarzyszom; wszyscy patrzyli zdumieni na osobliwy stwór. Najstarszy był przebiegły na tyle, ażeby dojrzeć, że został umyślnie wystrugany, wstał więc, rozejrzał się i popełniła na czworakach przez krzaki, ale Daga już dawno tam nie było – zagłębił się znowu w las. Wymykał się nieraz wielkim zwierzętom, nie było więc trudną rzeczą dla niego uciec niepostrzeżenie przed dzieckiem.

Gdy dzieciaki potem w domu opowiadały o tej osobliwej przygodzie i pokazywały niedźwiedzia, rodzice spojrzeli po sobie. Simen wziął zabawkę i postawił jak świętość na najwyższej półce.

Dag doszedł do wniosku, że gdy wieść o jego wizycie rozejdzie się po Stjernebekk, mieszkańcy Steinrud uważać będą za obrażę, że przeszedł koło ich domu i nie wstąpił. Ponieważ biegł, ażeby się ukryć przed dziećmi, było mu gorąco i czuł się zmęczony, ale trudno, trzeba będzie spełnić ten obowiązek. Więc raz jeszcze wdrapał się na strome zbocza, ale przed wejściem do chaty przysiadł, ażeby odsapnąć.

Widocznie widzieli go już z daleka przez okno, bo gdy wchodził, siedzieli uroczyście, a potem podnieśli się z szacunkiem. Nie wydawali się zaskoczeni, jak Stjernebekkowie. Była w nich jakaś pewność siebie i opanowanie, które zawsze im dopomagało w życiu; dzięki niemu przybywali z uderzeniem wyznaczonej godziny do pracy w polu podczas żniw czy do wyrąbywania drzew w lesie; ono też pozwoliło im zachować zimną krew w obliczu tak nieoczekiwanego zdarzenia, jak przybycie starego Daga. Pięknie, sam stary gospodarz, pan ich, zjawia się u nich; dobrze, oni zawsze sumiennie wypełniali swoje obowiązki i nie mają się czego obawiać.

Stary Espen kilkakrotnie już potarł prawą dłoń o spodnie, tak jak to powinno się czynić przed należnym podaniem ręki, ale czekał, aż pan jego pierwszy ją wyciągnie. Po chwili Dag podał rękę jemu, żonie i córce; synów nie było, wyszli na połów pstrągów. W tym domu żona nie chowała się lękliwie za męża. Przyniosła patelnię z zimną, przysmażoną już słoniną, położyła dwie szczapki drzewa na stole czyściutko wyszorowanym i postawiła na nich naczynie, tak jak to było w tych stronach w zwyczaju. Następnie ukrajała parę kawałków chleba, a mąż jej sięgnął do szafy po wódkę.

Dag głodny był po dzisiejszej wędrowce – od wczesnego rana pozostawał w ruchu, poza tym pomimo wielkiego dostatku, jakim był otoczony od tylu lat, lubił przebywać w towarzystwie ludu. Smarował więc sobie grubo słoniny na chleb i potem wypił z Espenem dwa lub trzy kieliszki.

Wszystko w tej chacie utrzymywano w porządku; w oknach były nawet szyby. Dag się głowił, w czym można by tym ludziom przyjść z pomocą. Gdy już zamierzał się żegnać, żona szepnęła coś Espenowi do ucha.

W latach najgorszej inflacji stary Dag za wszelkie papierowe pieniądze od razu kupował żywy i martwy inwentarz i rozsyłał po chatach drwali. Do Steinrud posłał trzy krowy, osiem owiec i kosz kur. Espen przy pożegnaniu zahaczył o te zwierzęta i spytał, kiedy Dag pragnie je otrzymać z powrotem.

– Dziękuję wam za śniadanie – odpowiedział Dag, podając im rękę i poszedł.

W ten sposób odwiedzał wszystkich swoich dłużników-drwali i rozglądał się, jak gospodarują.

Do Stjernebekk przybyli robotnicy z koźmi, nazwozili mnóstwo gałęzi i drzewa; Simen, jego żona i starsze dzieci musiały na zmianę pilnować ogniska koło złomu skalnego w strumieniu, aż do jesieni. Potem najsilniejsi parobcy ciężkimi kilofami próbowali ukruszyć kamień, ale nie udawało im się jakoś. Wygladzona przepływającą wodą skała była niesłychanie twarda. Ażeby ją trochę skruszyć od zewnątrz za pomocą ognia, trzeba długotrwałego wysiłku. Usiłowali dostać się do niej od spodu, by tam rozniecić płomień, ale był to płaski gład, bez szczelin, tak że trudno było go obrócić w inną stronę. Wszyscy wiedzieli, że nie można mówić Dagowi, iż coś jest nie do zrobienia... Pozostawała tylko jedna możliwość: na przyszłe lato wziąć się do tej samej roboty.

Wiele padło przekleństw na bagno, wodę i Simena Stjernebekka, jedynie imię Daga było nietykalne.

Minął rok. Trzeba było spełnić życzenia starego. Zręczny, silny chłopak ze Steinrud wziął się latem do tej roboty, biorąc do pomocy Simena i jego najstarszego syna; kazał im bezustannie pilnować ognia, dzień i noc musi być żar, ażeby rozgrzał się grzbiet kamienia. Robotnik przyniósł z Björndal żelazną sztabę, dłuto i młot. Tak długo pracował, aż wywiercił pierwszy otwór w rozżarzonej bloku. Od tej chwili nie ustawał w pracy, tygodniami nie spał i nie jadł prawie, aż w opornym kamieniu powstała wielka szczelina. Pracowało zeszłego lata nad tym wielu ludzi, klęli i wymyślali, na czym świat stoi, ale żaden nie przystępował do tego z takim zapasem cierpliwości i wytrwałości. Ten zaś chłopak nic nie mówił, lecz rzeczywiście pracował.

Następnie z pomocą Simena i jego rodziny ułożył przez środek moczarów drogę z pni, gałęzi i igliwia, prowadzącą aż do małego jeziorka, gdzie pluskało się parę tłustych pstrągów, pozostałych z czasów, kiedy tu była świeża, bieżąca woda.

Pracował potem aż do późnej jesieni nad skierowaniem wody do dawnego łożyska. Początkowo woda zalewała mu pracę przy kopaniu rowów, pojechał więc do Björndal, porozmawiał z Syverem. Nadeszły potem całe fury pali i odpadków drzewnych, którymi ostemplował ściany rowów.

Gdy w okresie jesiennych deszczów bagno przybrało i szkodliwa woda miała wylać się na pola – Simen i ów dzielny robotnik stali w pewien deszczowy wieczór nad łożyskiem strumienia, w miejscu, gdzie torf ciasno zbijał się przy skale. Przekopali byli już rów aż dotąd i tu właśnie chcieli położyć kawałek rynny. Kopali więc i rąbali, aż woda zaczęła z wolna cieć do dawnego łożyska. Nie runęła z szumem, który byłby wspaniałym uwieńczeniem ich żmudnej pracy, początkowo było to tylko przeciekanie, wątlutkie sączenie.

Deszcz lał jak z cebra; najlepiej byłoby schronić się pod jakiś dach. Simen miał na to wielką ochotę i powiedział to towarzyszowi. Wówczas tamten wlaźł do rowu, stanął po pas w wodzie i z wściekłością odrzucał torf na obie strony. Ale Simen nie należał do typu ludzi, których by taki przykład mógł zarazić. Pozostał ze swym szpadlem na brzegu. Z nastaniem nocy odłożył go i chciał iść do domu po wieczerzę. Tamten z rowu wcale na to nie zareagował, tylko kopał i kopał, odrzucając energicznie torf na obie strony.

Simena długo nie było; gdy w końcu wrócił, tamten wykonał nieprawdopodobny kawał roboty. Coś niecoś zjadł i pracował dalej.

O świcie znów Simen zaczął coś bąkać o pójściu do domu i powrocie pod dach, lało bowiem, jakby puściły wszystkie śluzы niebieskie.

– Jeszcze tylko jeden pokład pozostał – odpowiedział tamten i kopał dalej. Więc musiał i Simen wziąć się do roboty, ale niesporo mu jakoś to szło; tamten wkopywał się coraz dalej.

W końcu deszcz przestał padać, słońce koło południa zaczęło wyglądać zza chmur, gdy dzielny robotnik przy pomocy silnego ciśnienia wody odrzucił wreszcie w górę na kamienny brzeg ostatnią łopatę torfu.

35

O świcie dwaj malcy wyszli z pokoju młodszego Daga. Pozostawili otwarte drzwi za sobą i podreptali boso w długich koszulkach w kierunku schodów. Jeden z nich wspiął się na palce, aby dosięgnąć wysokiej poręczy, drugi wziął go za rękę i w ten sposób zeszli ze schodów i znaleźli się w sieni. Stali przez chwilę nasłuchując, wszędzie było cicho, jak makiem zasiał. Podeszli do drzwi bawialni; z wielkim wysiłkiem nacisnęli ciężką klamkę. Znów nasłuchiwali, bo dobiegł ich jakiś regularny hałas, niby pomruk grzmotu, czegoś podobnego jeszcze nie słyszeli. Ale wzięli się za rączki i przeszli przez bawialnię aż do drzwi sypialni. Grzmienie pochodziło stamtąd, od dziadka. Zatrzymali się na chwilę, uśmiechając się do siebie. O, wymyślił sobie coś znowu, ażeby ich przestraszyć.

Długo stali przy drzwiach, w końcu jeden wspiął się na paluszkach i dosięgnął w ten sposób klamki. Nacisnął ją, ale wymknęła się w tej samej chwili z rączki i z hałasem odskoczyła w górę, a drzwi się raptownie otworzyły. Grzmiące chrapanie ustało w tej chwili, chłopcy przerażeni spojrzeli po sobie, przelęknięci trzaskiem klamki i nagłej ciszy. Znikły uśmiechy z twarzyczek; jeszcze bardziej zrzędy im miny, gdy usłyszeli trzeszczenie łóżka i szelest bielizny. A gdy po chwili usłyszeli kroki bosych nóg zbliżających się ku nim, byłiby się najchętniej zapadli pod ziemię.

Drzwi się otworzyły na oścież i stanął przed nimi dziadek w długiej nocnej koszuli. Zdawał się im jeszcze wyższy niż zazwyczaj. Miał grube, czerwono-niebieskie nogi, pokryte siecią nabrzmiałych żył, a łydki aż po kostki porośnięte były długim włosiem. Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widzieli. Włosy w nieładzie opadały mu na czoło, a koło uszu sterczały do góry. Oczy z początku wielkie i zagniewane, teraz stały się przyjacielskie. Naprzód machinalnie przygładził włosy, tak że ułożyły się równo do tyłu i wziął każdego z nich na rękę. Pod osłoną tych silnych ramion chłopcy od razu zapomnieli o tym, co w dziadku wydało im się przed chwilą odstręczające. Było miłe i zupełnie nowe, gdy ich zabrał następnie do swego łóżka i leżał pomiędzy nimi. Zauważyli, że tu inaczej, ostrzej pachnie niż w łóżku matki czy ojca, ale zaraz o tym zapomnieli i wpatrywali się zaciekawieni w dziadka, który się zwracał to do jednego, to do drugiego i gawędził z nimi.

Gdy malcy pytali o ojca w czasie jego nieobecności, zawsze im odpowiadano, że jest w lesie. Gdy pytali o często nieobecnego dziadka, otrzymywali niekiedy odpowiedź, że pojechał do miasta albo że jest na osiedlu, najczęściej jednak, że także jest w lesie. W lesie, do którego zabroniono im chodzić! Za każdym razem, gdy się tam wybierali, zjawiał się ktoś ze starszych i zabierał ich z powrotem do domu. Mówiono im, że mogą tam zabłądzić, wpaść w bagno lub stoczyć się ze zbocza. A poza tym są tam niedźwiedzie. Zanudzali ojca, aby ich wziął kiedyś ze sobą. – Owszem – odpowiadał im niezmiennie – jak będziecie starsi. – Męczyli więc dziadka. – Za parę lat – odmrukiwał niechętnie. Ale ubiegłego wieczoru obiecał w sposób nieco roztargniony: – Jeżeli natychmiast pójdziecie spać, abyście jutro wcześniej wstać mogli, to będzie spacer do lasu! – Chłopcy budzili się bardzo wcześnie. Adelajda posyłała ich wówczas obok do pokoju Daga, tam bowiem były ich zabawki: drewniane konie, fuzje i toporki z drzewa, wycinane przez ojca, dziadka lub któregoś z parobków. Bawili się tam rankiem, hałasowali, a matka drzemała jeszcze trochę, mając jednak na nich baczenie.

Dziś pełni oczekiwania obudzili się jeszcze wcześniej niż zazwyczaj i w koszulach przebiegli pokój ojca i schody aż na dół, aby pilnować dziadka. Obawiali się, że im sam do lasu ucieknie.

Dziadek w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, co mają na myśli, wspominając jakąś wyprawę do lasu; dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie dane im niebacznie wczoraj przyrzeczenie, aby namówić ich do łóżek. Przypuszczał, że prześpią tę sprawę, ale teraz spodobało mu się, że obietnica wycieczki tak bardzo ich zainteresowała.

Miał jeszcze ochotę na małą drzemkę i starał się ich uspić, ale kręcili się niespokojnie po łóżku i wciąż podnosili główki. Rozmyślał, jak by się wykręcić od wczorajszej obietnicy, ale po chwili dał temu spokój. Dziadek musi pozostać w ich wspomnieniach jako człowiek słowny. Wprawdzie mieli dopiero trzy i pół roku, ale świetnie biegali, mieli mocne nogi i będą mogli z nim przejść kawałek. Może Adelajda będzie temu przeciwna, ale trzeba i to przezwyciężyć.

Chłopcy wpadli jak bomby do pokoju Adelajdy i oświadczyli, że dziadek zabiera ich do lasu i pójdzie sam, jeżeli się szybko nie ubiorą. Matka starała się ich uspokoić, krzyczała, groziła różgą, jeśli w tej chwili nie pójdą do pokoju ojca i nie będą się dalej bawić. Ale z taką pewnością siebie mówili o wyprawie z dziadkiem do lasu, iż pojęła w końcu, że musi być w tym coś prawdy.

Nie chciała iść do niego, aby go o to pytać. Ubrała więc chłopców; jeśli jest inaczej, niż twierdzą, to w każdym razie będą już ubrani na cały dzień.

Ojciec Dag stawał się dla niej coraz bardziej zagadkowy. Teraz zapragnął nagle być pierwszym, który pokaże dzieciom las. Chodziła z chłopcami na pastwiska, ale nie miała odwagi zagłębiać się w łąsy. Sama teraz pojąć nie mogła, skąd w swoim czasie miała odwagę do owej dwukrotnej niebezpiecznej wędrówki. Ale było jeszcze tyle innych spraw, których również pojąć nie mogła!

Zeszłej jesieni na przykład czekała z utęsknieniem na tę szczęśliwą porę, kiedy ojciec Dag stanie się taki poważny jak przedtem, powróci do książek, rozmyślań i tym samym do rozmów z nią. Rozmowy te krzepiły ją na duchu i koily jak przebywanie w kościele. To, co opowiadał o swoim bujnym życiu, o walkach i trudach, splatało się z jego wypowiedziami o życiu i śmierci i tworzyło co wieczór nad ich głowami jakby świątynne sklepienie.

Tak, żyła nadzieją, że to powróci teraz przy zbliżającej się jesieni, pożółkłych liściach zaścielających pola. Z napięciem oczekiwała, że ojciec Dag zatęskni do tego, co było jej największym przeżyciem, a odtąd stało się myślą przewodnią.

Tej nocy szalała burza. Długo nie mogła zasnąć, wsłuchując się w jej potężne odgłosy. Odpowiadały jej wewnętrznemu nastrojowi. Zdawały się unosić ją poprzez życie i czas w wieczność.

Życie i czas nie pytały o nią – nikt jej już nie potrzebował. Może dzieci jeszcze przez pewien czas, ale i to nie potrwa długo.

Myślała o tym, ubierając chłopców, a gdy wkładała im buciczki, łzy zaczęły spływać z jej oczu.

Nie mogła pojąć decyzji Daga. Na pewno słyszał szalejącą w nocy burzę, to nie mogło ujść jego uwagi... I pomimo to z najmłodszymi latoroślami ich rodu chce udać się do lasu naprzeciw żywiołowi.

Ojciec Dag oczekiwał dzieci w drzwiach bawialni. Zazwyczaj jadały w kuchni, ale dziś tutaj nakryto dla nich.

Od chwili zjawienia się chłopców o świcie, aż do tej pory, gdy po raz wtóry zjawili się już ubrani, różne myśli przychodziły ojcu Dagowi do głowy. Gdy leżeli w łóżku, Torgeir przysunął się bliźutko do dziadka i przytulił do jego twarzy swój ciepły policzek. Ojciec Dag na twardej drodze swego życia niewiele doświadczył czułości i ta mała, ciepła buzia obudziła w nim marzenia z najdawniejszych lat.

Postanowił więc przede wszystkim, że odtąd chłopcy z nim razem będą jadać. Dotychczas dawano im jeść w kuchni, aby dziadkowi nie przeszkadzali. Ale teraz on sam chce, aby mu przeszkadzali. Chce mieć te ruchliwe, małe istotki przy sobie. Od dziś wprowadza zwyczaj: chłopcy jedzą śniadanie z nim razem.

Ojciec Dag siedział w wielkim fotelu na honorowym miejscu przy stole, chłopcy klęczeli na krzesłach, jeden z prawej, drugi z lewej strony obok niego. To był najpiękniejszy dzień ich życia. Dotychczas nigdy na śniadanie nie dostawali jajek, a teraz dziadek przekrajał jajko na połowę i każdemu rozsmarował po chlebie. Powiedział, że muszą dużo jeść, bo przechadzka po lesie jest męcząca. Nie zauważyli, że dla dziadka jaja już nie było.

Gdy już znaleźli się w przedpokoju gotowi do wyjścia, ojciec Dag zastanowił się chwilę, potem zdjął fuzję z haka i przewiesił ją sobie przez ramię. W tej chwili chłopcy jak strzały wbiegli po schodach na górę. Na pytanie dziadka, po co idą, odpowiedzieli jednogłośnie:

– Po nasze fuzje!

Gdy wrócili ze swymi drewnianymi fuzyjkami, zaczęli się martwić, że nie mogą ich sobie przewiesić przez ramię tak jak dziadek. Musiał więc pójść z nimi przez podwórze do stajni i dać każdemu z nich po kawałku rzemienia. Gdy opuszczali stajnię i szli przez podwórze w kierunku północnym, Adelajda stała w oknie bawialni. Na czele szedł ojciec Dag wyprostowany jak za najlepszych lat, z fuzją na ramieniu i z plecakiem. Tuż za nim maszerował Torgeir, drewniana strzelba wystawała mu ponad główkę, parę kroków za nim szedł mały Dag.

Adelajda domyśliła się, że malcy widocznie razem z dziadkiem zjedli śniadanie. Jak się musieli cieszyć! Każdy tu ma swój udział w radości, każdy otrzymuje swoją część życia, ją tylko wszystko omija i zostawia na boku. Jest niepotrzebna.

Na szczycie wzgórza na zachód od Utheim rozciąga się polanka. Z południowej strony grunt jest tam skalisty i pełen kamieni, ale są i miejsca porośnięte trawą, gdzie pasą się owce. Tam odpoczywał ojciec Dag z chłopcami. Posilali się. Chłopcy byli zachwyceni przysmakami, które dziadek wyjmował raz po raz z torby. Przez ostatni kawałek drogi trochę marudzili z głodu i pragnienia. Ale dziadek nie folgował im, chciał od początku przyzwyczaić ich do wytrzymałości niezbędnej do wypraw leśnych. Chciał spróbować, czy bez wypoczynku dojdą do polany, i malcy dzielnie dreptali za nim cały czas.

Ojciec Dag ubrał się ciepło, bo była jesień, a pogoda wietrzna; liczył się również z tym, że będzie musiał z malcami wolno chodzić i często odpoczywać. Rozciągnął się teraz na skalnej płycie rozgrzanej słońcem i wsłuchiwał się w poszum wiatru, który dął poprzez polankę i otwarte miejsca w dolinę, a w wysokim lesie huczał lub cichł na przemian. Chmury pędziły po niebie, wiatr je rozpędzał, rozrywał na strzępy, ale po chwili wyłaniały się inne. Z zadowoleniem patrzył na chłopców, którzy nasytzeni bawili się spokojnie koło niego. Postanowił odbywać z nimi częstsze przechadzki po lesie. Nagle zerwał się lekko, wyjął nóż i odciął kawał jedliny z drzewa rosnącego ponad skalną płytą. Zwinny jak młodzieniec, skoczył pięć kroków naprzód, położył gałąź na ziemi i przygniół ją nogą. Następnie zwrócił się do malców, gładząc sobie przy tym włosy.

– Co wy tam robicie?! – zawołał. – Chodźcie tutaj, zobaczycie coś zabawnego.

Przybiegli zaciekawieni. Dziadek bowiem całą drogę opowiadał im o różnych kamieniach i roślinach, o drzewach i ptakach, pokazywał ślady zajęcy i lisów, tchórzy i najrozmaitszych zwierzątek leśnych. Mieli nieograniczone zaufanie do jego wiedzy i umiejętności.

Wskazał im gałązkę na ziemi i spytał, czy potrafiliby ją poruszyć?

– Ale nie wolno jej dotknąć – zastrzegł się, gdy chcieli ją chwycić w ręce. – Bo to nie byłaby żadna sztuka.

Nie rozumieli, o co dziadkowi chodzi. Patrzyli na niego zaciekawieni. Stary kilkakrotnie tupnął nogą, mamrocząc coś przy tym. Gałązka poruszyła się nieco, a po chwili strzeliła po ziemi. Zatrzymała się dopiero w cieniu krzaka jałowcowego. Takiego dziwu jeszcze malcy, póki żyją, nie widzieli. Spyтали, czy dziadek potrafi raz jeszcze w ten sposób ruszyć gałązkę z miejsca.

– Może – odparł – jeszcze jeden jedyny raz.

Trzymali się mocno jego ręki, gdy podchodzili z nim do gałązki. Troszeczkę się bali, to było takie tajemnicze! Dziadek znów tupnął parę razy nogą i wydał jakiś dziwny dźwięk. Gałązka ruszyła z miejsca, pomknęła i zatrzymała się dalej, pod innym krzakiem.

– No, trzeci raz już się nie uda! – mruknął dziadek. – Zresztą czas do domu!

Posłał ich po plecaki; ledwie się odwrócili, podbiegł do gałązki i zdjął ją z grzbietu jeża, który z nią przedtem wystraszony uciekał. Potem przed chłopcami jeszcze dobiegł do naładowanej flinty.

Szli ku domowi leśną ścieżką. Trzymając się spodni dziadka, z każdej strony dreptał jeden malec. Stary niósł w rękę strzelbę i taką miał minę, jakby szykował jakąś niespodziankę. Malcy wytężyli całą uwagę, patrzyli raz po raz za siebie, to znów na dziadka; starali się przy tym trzymać swe drewniane fuzyjki w taki sam sposób jak dziadek. Ojciec Dag upominał ich, ażeby nie mówili i nie deptali po chruście. Napięcie zdawało się chłopaczkom teraz prawie nie do wytrzymania. Wracali przez większy gąszcz inną drogą. Chwilami było jasno, to znów zapadała ciemność, na przemian szumiało coś groźnie i nastawała cisza. Wszystko razem straszne i tajemnicze.

Na zakręcie przed wejściem na polankę usłyszeli jakiś dziwny, skrzypiący dźwięk jakby pocierającej się osi i nim się zorientowali, co to może być, padł nad ich główkami strzał, który długo jeszcze echo niesło. Zatrzymali się za dziadkiem przerażeni, a potem pędzeni strachem rzucili się do niego i objęli go za kolana.

– Pobiegnijcie za osikę – powiedział – znajdziecie tam na ziemi wielkiego ptaka.

Trochę się bali, ale pobiegli co sił w nóżkach. Długo musieli szukać, bo ptak nie leżał koło drzewa, ale trochę dalej; w końcu go znaleźli.

Widok tych drobnych istotek na tle polanki pokrytej pożółkłym listowiem, tonącej w jesiennych kolorach, tych malców, którzy trzymali głuszca z każdej strony za skrzydło i z trudem ciągnęli go po ziemi – tak wzruszył ojca Daga, że zamrugał oczami i wytarł nos.

Wędrując tak, weszli na jeden z grzebieni, gdzie kiedyś przed laty wybuchł wielki pożar. Tu i ówdzie na szerniałych kamieniach rosło nieco mchu, tu i tam stały jakieś zeschnięte pniaki, gdzieniegdzie widać było resztki popalonych drzew. Ojciec Dag siadł, otworzył plecak; jednym susem obaj chłopcy znaleźli się przy nim jak dwa małe pieski. Radość i zadowolenie rozgościły się na twarzy dziadka, gdy obserwował malców. Każdy otrzymał coś do zjedzenia. Spożywali swoje porcje z zapalem. Pierś mu się poszerzyła z dumy, a przy oddechu wyrwało się z najgłębszego wnętrza coś jakby „Panie Boże”. Malcy podnieśli głowy i spytali, co powiedział, ale dziadek potrząsnął tylko głową i jadł dalej.

Gdy pakował potem plecak, malcy zjeżdżali po mchu ze zbocza w dół. Taka to była wspiania zabawa, że nie mieli czasu patrzeć na to, co robi dziadek.

Zawiesił na ramieniu fuzję, zarzucił plecak i przywołał ich; schodził wolniuteńko ze – jakby się obawiał, że może upaść na śliskim mchu.

Chłopcy zaczęli nasłuchiwać. Trzymali dziadka za rękę – coś tajemniczego działo się za nimi. Obejrzeni się zaciekawieni.

– Co to? Co to? Dziadziu? – pytali starego.

Dag obejrzał się i spostrzegł, że przeraźliwe i zagadkowe trzaski pochodziły od jednego z pniaków na samym szczycie, jakby sam ze sobą coś gadał. Dymiło się stamtąd, a chwilami nawet iskry strzelały w górę. Coś wewnątrz mruczało, syczało i kotłowało się. Po chwili buchnęły płomienie i dotychczasowe szmery i głucho detonacje przeobraziły się w ogłuszający huk. W końcu zawyło coś przeraźliwie, jakby ryknęło z bezsilnej wściekłości.

Chłopcy stali długo, urzeczeni tym niezwykłym zjawiskiem. Jakoś nie całkiem dowierzała dziadkowi – krążyli wkoło niego i podnosili ku niemu zdziwione oczka. Wydawał z siebie podobne głosy, co i palący się pień. Był wyraźnie rozbawiony, widzieli, że z trudem powstrzymuje wybuch śmiechu.

Palił się pień dębowy; twarde drzewo ma długi żywot. Upłynęło sporo czasu, nim pień spopielił się doszczętnie, i ojciec Dag dopiero wtedy ruszył w dalszą drogę. Starannie zasypał i przydeptał tłące się resztki.

– Nie wolno odchodzić od palącego się ognia – przestrzegał. Ta wędrówka z dziadkiem po lasach pozostała im na zawsze w pamięci, było to jedno z najmielszych wspomnień dzieciństwa. Ojciec Dag był bożyszczem dla wszystkich ludzi w lasach i dolinach, a po tym spacerze stał się nim również i dla malców, chociaż z zupełnie innego powodu...

36

Tego wieczoru Adelajda wchodziła zmęczona na schody prowadzące do jej pokoju. Zapaliła świecę i przejrzała się w lustrze. W oczach jej świeciło jakby nowe życie, a ociężałość nie była w tej chwili apatią czy zniechęceniem, ale zdrowym zmęczeniem po ciężkiej całodzienniej pracy. Życie pociągnęło ją znowu, jej siły i umiejętności mogły być przydatne...

Panna Kruse, zazwyczaj taka odporna i wytrzymała, nagle pod koniec lata zachorowała i obecnie na jesieni musiała przez pewien czas pozostać w łóżku. Na Adelajdę zatem spadły po raz pierwszy obowiązki gospodarskie.

Praca ta sprawiała jej wielkie zadowolenie, wykonywała ją bardzo chętnie. Mogła tym dowieść, że potrafi wziąć się do pracy, gdy zachodzi taka potrzeba.

Wielkie było poruszenie i zdziwienie w kuchni i czeladnej, gdy zaczęła sama zajmować się gospodarstwem i wydawać swym cichym, delikatnym głosem polecenia. Pod jej nadzorem wszystko było wykonywane szybko, spokojnie i bez zbędnego gadania. Szacunek, z jakim się do niej odnoszono, odczuwała jak tchnienie lepszego, nowego życia. Stała w swym pokoju przed lustrem i chciała tak, jak to już czyniła nieraz, wejrzeć w głąb swej duszy, ale po chwili odwróciła się i zaczęła chodzić tam i z powrotem. Niestety, lustro nie odbijało jej stanu wewnętrznego, czy nie widziały głębi duszy... A może nie ma już w niej owego najistotniejszego wnętrza? Może ono zamarło? Jej zadowolenie z pracy domowej jest więc może tylko radością z powodu otrzymania nowej zabawki? Jest to na pewno tylko powierzchowne...

Strumień, który dotychczas przepływał koło zabudowań gospodarskich i skręcał w dolinę, został ostatniej jesieni skierowany wzdłuż domu przez ogród. Szumiał i pluskał, tworząc małe kaskady. Za podwórzem spływał w dół i dopiero w osiedlu przedostawał się do swego łożyska.

Na pewno był to pomysł ojca Daga, który chciał jej tym sprawić przyjemność. Kiedyś bowiem wspominała, że widziała gdzieś ogród, przez który przepływał górski strumień. Przypomniało mu się to zapewne, gdy rozpoczęli regulację rzeki na jednym z osiedli na Vestli.

Wiedziała, że ojciec Dag ceni czyny bardziej niż słowa, ale ona właśnie teraz tak bardzo potrzebowała słów. Chociażby jednego ciepłego słowa... Ale nikt tu nie miał do niej zaufania, nikt.

Gdy zachorowała panna Kruse, kazała wstawić łóżeczko dzieci do pokoju męża. Wolała ich nie mieć u siebie w pokoju. Budziłaby ich, wracając późnym wieczorem z dołu. Otworzyła cichutko drzwi do pokoju męża i weszła, ażeby zobaczyć, czy dzieci nie odkryły się. Torgeir spał spokojnie pod kołderką, ale mały Dag leżał z odkrytym tyłeczkiem na poduszce i przewracał się, gdy się nad nim pochyliła.

– Tata... – pisnął sennie.

To mama – odrzekła. – Chcę cię tylko przykryć.

– Nie, nie. Tatuś! – protestował.

– Ojca tu nie ma – szepnęła, przykrywając go. Mały Dag otworzył oczy i powiedział bardzo poważnie:

– On tu był!

Serce się Adelajdzie ścisnęło, gdy słyszała, że dziecko przyzywa ojca. Starła się je uspokoić.

– Na pewno ci się śniło. Ale malec upierał się:

– Był na pewno!

– Cicho – mitygowała – połóż się i śpij. Ojca tu nie było. Chłopak wyprostował się, siadł na łóżku i jeszcze raz powtórzył z całym przekonaniem:

– Na pewno był!

– Czyś ty z nim rozmawiał? – spytała.

– Nie.

– To skąd wiesz, że tu był? Chłopiec zastanowił się.

– A wiem – odpowiedział stanowczo. – Dotknął głową mojego czoła i wtedy obudziłem się, ale gdy chciałem go naprawdę zobaczyć, był już przy drzwiach i zaraz je zamknął. Ja go wołałem, ale nie chciał mi odpowiedzieć!

Adelajda zdołała go w końcu uspokoić i poszła do siebie. Już nieraz podejrzewała, że Dag bywa od czasu do czasu bez jej wiedzy w domu i nocuje w oficynie. A ten mały teraz z wielką pewnością twierdził, że ojciec na pewno tu był. Znaczy to, że przyszedł do dzieci i widział je w łóżeczkach, a potem wrócił na dół do swojej izby. Tęskno mu było za dziećmi, całował je po kryjomu podczas snu.

Adelajda wyszła na balkon i wsłuchiwała się w żalną opowieść jesiennej nocy. Prawdopodobnie dziś strumień został puszczonej już do nowego łóżyska w ogrodzie, gdyż poprzez zwyczajne nocne szумы dochodził jej uszu ten nowy pluszczący ton. Przypomniała sobie wszystkie szczęśliwe godziny, które tu pośród gorzkich przeżyła, i uświadomiła sobie, jaką radość sprawiłby jej rytmiczny plusk wody, gdyby nie była tak bardzo samotna. Daremnie szukała odpowiedzi na dręczące pytanie: dlaczego ją zaniedbują ci, których ona tak bardzo kocha?

Wróciła do pokoju, zamknęła drzwi, zaczęła się z wolna rozbierać wtem przypomniała sobie, że tuż o parę kroków od niej żyje je jedna osamotniona osoba, i do tego chora...

Bo i panna Kruse należała do ludzi samotnych, chociaż dni jej były wypełnione ciężką pracą. Rodzice jej w dalekiej dolinie umarli, rodzeństwo rozproszyło się po całym świecie. Część założyła własne ogniska domowe, część była na służbie, a o reszcie w ogóle nie umiała powiedzieć nic bliższego.

Adelajda nieraz zauważyła, że twarz panny Kruse zmienia się, gdy od czasu do czasu ma do czynienia z jej synkami lub zajęta jest ich odzieżą. Znikał wówczas z jej oblicza ów surowy, twardy wyraz, jaki miała zazwyczaj przy codziennej pracy, a w oczach pojawiały się serdeczne, ciepłe błyski... Adelajda w takich chwilach dostrzegała w niej nawet jakby ból i tęsknotę. Pomimo że życie jej było wypełnione pracą, która dawała zadowolenie, natura widocznie pragnęła jeszcze czegoś innego.

Adelajda zdecydowała, że przed snem zajrzy do niej i powie parę ciepłych słów. Jak to dziwnie się dzieje! Adelajda skarży się i ubolewa, bo najbliżsi nie interesują się nią, i nawet jej przez myśl nie przeszło, że tuż obok żyje ktoś, kto nie ma na świecie nikogo bliskiego i może również tęskni za odrobiną serca.

Akurat w chwili gdy zamknęła drzwi za sobą i znalazła się w sieni, uszu jej doszedł bolesny, cichy jęk. Jęk ten wdarł się do jej stroskanego serca i szarpnął nim boleśnie. Przejęta trwogą nie mogła się ruszyć, jakby w ziemię wrosła. Nasłuchiwała.

Po chwili znów rozległ się taki sam jęk i wtedy ciało jej przebiegł dreszcz, zamarła w bezruchu, ale serce waliło w śmiertelnym lęku, a straszne przypuszczenia falą wtargnęły do głowy.

Któregoś dnia – niedawno to było – spostrzegła w wyglądzie panny Kruse coś, co ją przelotnie naprowadziło na przypuszczenie, że dziewczyna zapomniała się z jakimś mężczyzną, ale zarzuciła zaraz tę myśl i nie powracała do niej. Panna Kruse nie zadawała się zupełnie z tutejszymi ludźmi, a od czasu śmierci matki przed dwoma laty nie opuszczała Björndal. Ale – raz jej to przyszło na myśl – po co nosiła właściwie w ostatnich czasach dawno wyszłe z mody, odziedziczone po panie Dorocie szerokie suknie o bufiastych fałdach.

Znów ogarnął ją przenikliwy lęk. Zmienione zachowanie się ojca Daga? Rzucające się w oczy unikanie jej? Przeważnie przebywał, tak jak za młodych lat, w południowych gminach albo z fuzją w lasach, dawno zauważyła jego nawrót do butnej, pewnej siebie postawy. A jej mąż? Widywała go wprawdzie rzadko, i to zawsze tylko przy stole, ale w całym zachowaniu się, pochyleniu głowy, wyrazie twarzy była jakby hamowana burza, która kiedyś może groźnie wybuchnąć.

Zauważyła też, że panna Kruse spuszczała oczy i twarz jej posepniała, gdy przypadkowo natknęła się na spojrzenie ojca lub syna. Najwyraźniej mieszała się i traciła panowanie nad sobą. Jedno spostrzeżenie wiązało się z drugim w bezwzględny i konieczny wyrok. Oczywistość rzeczy zwała się na nią i zgmiotła swym ciężarem.

Któryż to z nich zawinił?

Niby pchnięta sztyletem przenikała do jej serca świadomość, że to jeden z nich...

Zaczęły ją ogarniać rozmaite zmienne uczucia; naprzód nienawiść do panny Kruse, następnie rozpacz z powodu brutalności mężczyzn, nie liczących się z niczym i z nikim, nie mających względów ani dla niej, ani dla biednej dziewczyny, która tu lata całe przepracowała w pocie czoła i która w tej chwili tak cierpi nie tylko fizycznie, ale i moralnie, bo przecież w gruzy się rozpada i przeistacza w hańbę i wstyd cały dorobek jej pracowitego dzielnego życia.

Opuściła ją jednak cała gorycz, a pozostało tylko żywe, ludzkie współczucie dla cierpiącego człowieka, gdy stanęła przy drzwiach pokoju panny Kruse. Drzwi były od wewnątrz zamknięte, nie pomagały pukania ani prośby o otworenie. Żaden głos stamtąd nie dochodził.

Adelajda nie tylko odziedziczyła po kobietach ze strony matki dumę i godność, ale miała też w naturze siłę i przedsiębiorczość po ojcu żołnierzu. Przycisnęła mocno klamkę w dół, a potem oparła się ramieniem z całej siły o drzwi i wyważyła je...

Jeszcze nigdy nie odczuła w tym stopniu śmiertelnej ciszy jesiennej nocy jak właśnie w chwili, gdy przemykała się z zakrwawionym zawiniątkiem z pokoju panny Kruse przez schody do sieni. Przystanąła tam, dygocąc na całym ciele.

Żaden odgłos z zewnątrz nie przychodził jej z pomocą – ani wiatr, ani poszum drzew, widocznie bieg strumienia w ogrodzie został zahamowany. A tu, wewnątrz domu, gdzie właśnie potrzebowały ciszy, trzeszczały zdradzieckie belki i deski...

Przekradła się do kancelarii i starała się bezszelestnie odsunąć zardzewiały rygiel, ale zgrzytał głośno.

Przeszła przez przedpokój w nowym budynku, przez salony i wielką salę balową, oświetloną upiornym światłem, wpadającym przez olbrzymie okna i pędem wybiegła stamtąd do ogrodu. Przy nowym strumieniu znajdzie chyba łopatę pozostawioną przez jednego z robotników.

Po chwili słyhać było w głębi ogrodu wśród ciemności nocy uderzenia żelaznego szpadła o kamienistą ziemię.

Drzwi prowadzące do kancelarii zamknęły się z przeraźliwym skrzypieniem zawiasów i Adelajda była z powrotem w sieni. Zacerpnęła głęboko powietrza i nasłuchiwała w napięciu nerwów. Ale ciszy nie przerywał żaden odgłos z zewnątrz ani też w środku, między ścianami. Jedynie jej własne serce biło jak szalone.

Przysięgała pannie Kruse na wszystkie świętości, że nikt nigdy się o niczym nie dowie. Gdy zobaczyła małego trupka, wiedziała już, co należy robić. Pozostanie więc to tajemnicą między nią a panną Kruse. Ona, Adelajda Barre, niegdyś zimna, wyniosła i niedostępna dla tych spraw, całym sercem oddała się nieszczęśliwej kobiecie, przyłgnęła do niej całą duszą, pocieszała najserdeczniejszymi słowami i przyrzekła, że będzie się nią opiekować, gdy wyzdrowieje i znów zacznie pracować. Wszystko będzie tak, jak gdyby nic nie zaszło.

W tej chwili, gdy tak tu stała, zdało jej się, że to wszystko, czego dokonała, nie było dziełem jej rąk, ale jakiegoś obcego człowieka. Po chwili jak błyskawica przebiegła przez jej głowę myśl, że nie zdobyła się na to, ażeby wymusić na pannie Kruse wyznanie, kto był ojcem dziecka. A może i zapomniała w tym rozgardiaszu zadać to pytanie albo może nie chciała i tak już dosyć udręczonego człowieka męczyć pytaniami, które by go jeszcze bardziej poniżyły. Z niewielu słów wypowiedzianych przez pannę Kruse wśród płaczu wynikało, że się ona bezgranicznie wstydzi, właśnie szczególnie przed Adelajdą, która dla niej jest tak dobra.

Adelajda ugiwała się pod ciężarem własnych trosk i zmartwień. Jeszcze teraz miała w uszach odgłos uderzeń łopaty w głębi ciemnego ogrodu... Zadręczą ją te myśli, nie dadzą już chwili spokoju. Może powinna żądać teraz, w tej ciężkiej godzinie życia, dokładnych wyjaśnień od panny Kruse? Może by wykorzystać chwilę jej załamania i zażądać stanowczej odpowiedzi? Nie, pomimo oburzenia i żalu, które znów w niej wzbierały, nie miała dość sił, ażeby postępować brutalnie w stosunku do tej nieszczęśliwej istoty. Będzie ją pielęgnowała, dopóki nie wyzdrowieje. Nie dopuści tu żadnej z gadatliwych, plotkujących dziewcząt kuchennych.

Powróciwszy do swego pokoju, Adelajda stanęła w blasku palącej się świecy. Zapatrzyła się przed siebie w głębokim zamyśleniu. Twarz jej ze ściśniętymi kurczowo wargami i śladami łez wyglądała jak skamieniała. Właściwie... obojętne, czy winowajcą jest ojciec Dag czy jej mąż. To, co niegdyś było piękne i wzniosłe w jej życiu, obecnie zostało zmieszane z błotem i zdeptane na zawsze.

W tej chwili Adelajda nienawidziła z głębi serca swego męża, jego ojca i – pomimo litości – panny Kruse.

Gdy drzwi zamknęły się na górze za Adelajdą, wysunęła się cichutko z bawialnego pokoju do sieni jakaś postać w miękkich pantoflach. Nikły odblask dopalającego się żaru pod kominem wydobył jeszcze z ciemności twarz ojca Daga. Spojrzał w górę na schody i spuścił głowę, jakby nasłuchując. Następnie mocno pochylony odwrócił się do ognia, który oświetlił jego rysy. Wyglądał jak skamieniały w rozpacz. Byłże to ból, gniew czy wstyd? Zapatrzył się w dogasający ogień, jakby z nim razem na palenisku zamierał cały sens i wszystka wartość życia.

Ojciec Dag przechodził o zmierzchu przez wąwóz koło Storkollen. Były to ostatnie dni listopada, zapadała wczesna noc; na skutek przymrozku zrobiło się ślisko, szedł więc wolno i ostrożnie. Fuzja wystawała mu przez ramię, po bokach zwieszały się dwa zające i kilka czarnych głuszców. Znów bawił u nich major, ale nie dał się skłonić do wzięcia udziału w myśliwskiej wycieczce. Stary szedł więc sam, bo teraz coraz częściej ciągnęło go do lasu. O tej porze roku w borach jest także pięknie. Ileż uroku ma koloryt pastwisk i moczarów przysypanych zwiędłym liściem! A szmery lasu są jakby wołaniem z dawno minionej młodości. Ojciec Dag zaś czuł się podświadomie coraz bardziej związany z młodością, nawet ze swym wczesnym chłopięctwem. Tu przychodziły mu wspomnienia wielu chwil pogodnych i pięknych.

A zawsze tęsknił do spokoju, mimo wszystko, co mu życie w darze niosło.

Wsluchiwał się w szum wodospadu. Pęd wody został nieco zahamowany w górze trzęsawiska z powodu wczesnego mrozu, więc też spad nie był tak silny jak wczesną jesienią. Gdy przechodził mostem, wypatrywał bacznie młyna stojącego w dole. Zatrzymał się na ostatniej desce i stał ze spuszczoną głową, jakby się nad czymś zastanawiał. Czyżby coś ujrzał na dnie wody? Z ręką na poręczy cofnął się o krok, potem o jeszcze jeden.

Dziwne! W spienionej wodzie tam przy młynie pojawiało się raz po raz jakby odbicie światełka. Trzeba było mieć bystre oczy, ażeby je w ogóle dojrzeć. Stał długo i wpatrywał się w ciemność. Gdy już, już mu się zdawało, że uchwycił owo światełko, znikало natychmiast. Złudzenie? Może to była piana, która wytryskiwała w górę do ostatnich, słabych blasków zgasłego dnia, a niekiedy nie podnosiła się tak wysoko i zostawała w ciemnościach? Ależ nie, znów się pojawiło... Widocznie przez jakąś małą szparkę coś oświeśla pianę.

Zdjął fuzję z ramienia i szedł z lewą ręką na lufie, a prawą na cynglu. Stał w ciemności i nasłuchiwał pilnie. Potem zszedł z drogi i przez zarośla dobrnął do brzegu rzeki. Pod krzakami, które zwisały nad służą, podkładał się do młyna. W chwilę potem zaskrzypiały drzwi i w ciemnię padł pas jasnego światła, i rozległ się skrzeczący, starczy głos:

– Dobrej nocy, majorze, jeżeli znów kiedyś będziesz miał ochotę porządnie golnąć, przyjdź, możesz tu spokojnie posiedzieć.

Major odburknął:

– Dzięki, wypilem porządnie, po męsku: – Po tych słowach minął Daga, gramoląc się w górę ścieżki.

Dag nie wszedł do młyna. Nie ma sensu rozmawiać z pijanymi; trzeba tu będzie jednak jeszcze kiedyś powrócić. Więc to tak! Chowają po kryjomu żyto i pędzą z niego wódkę? Widocznie major dowiedział się o tym i na pewno nie był tu pierwszy raz. Tak, teraz przypomniał sobie, że major w podejrzany sposób upijał się szklanką grogu. Oczywiście wstępował tutaj, gdy Dag był w lesie, i do domu przychodził już podchmielony.

Dag przeczekał, aż major uszedł nieco drogi, i dopiero potem podążył za nim. Gdy wszedł do sieni, major dokładał drzewa pod kominkiem. Ujrzawszy Daga, wyprostował się w przymilnym uśmiechu. Oblizywał wargi, myślał, że dostanie zaraz dobrego grogu z koniakiem po ordynarnej wódce u młynarza. Zaczął się trochę niepokoić, gdy ojciec Dag nie zdradzał w tym kierunku żadnych zamiarów, nieustannie się ruszał, oczy latały mu niespokojnie, i nie sypał, jak zazwyczaj, dowcipami.

Powoli silny młynarzowy alkohol zaczął go zamraczać. Dostał gwałtownej czkawki. Głowa zwisała coraz niżej. Nagle wyprostował się i mętym wzrokiem spojrzął przed siebie.

– Dziś wieczór jeszcze muszę wyjechać. Dag spojrzął na niego zamyślonym wzrokiem.

– Mógłbyś przynajmniej u nas przenocować – powiedział, ale major podniósł się i potoczył się chwiejnie do drzwi.

– Idę po rzeczy! – rzekł.

Dag patrzył za nim, gdy się gramolił na schody. Na pewno zaśnie, zanim zdąży spakować rzeczy.

Powrócił jednak po chwili, ciągnąc za sobą walizę. Omal nie stracił równowagi na schodach i nie runął w dół. Ale wylądował jednak szczęśliwie na dole. Dag pomyślał zaniepokojony, że Adelajda na pewno wszystko to słyszy u siebie w pokoju. Taka jest w ostatnich czasach blada, zamyślona i jakby nieprzytomna, nic prawie nie jadła i bardzo zeszczupiała. Będzie musiał znaleźć czas i kiedyś wieczorem pogawędzi z nią... Tak się składa, że akurat tyle ma spraw sam ze sobą w ostatnich czasach.

Na próżno starał się zatrzymać Barrego; major upierał się, że musi niezwłocznie wyjechać.

Twierdził, że ma w mieście coś do załatwienia, coś nie cierpiącego zwłoki. Zapomniał był o tym zupełnie i teraz będzie musiał na łeb, na szyję jechać, ażeby na czas zdążyć. Ojciec Dag pomyślał: „W Korsvoll, na pierwszej stacji, na której się zmienia konie, jest dobra wódka!” Nigdy nie widział jeszcze majora w takim podnieceniu, sam trzeźwy – rozumował szybko. Nie powiedział jednak ani słowa, tylko wyszedł do czeladnej. Wróciwszy po chwili, zastał majora chrapiącego w fotelu. Na odgłos otwieranych drzwi zbudził się jednak.

Niebawem zjawił się ekonom Syver Bakpaa, meldując, że zajechał i że zabrał ze sobą futra. Major wstał, chwiejąc się na nogach, ale opadł z powrotem na fotel, podniósł się jednak i dowlókl jakoś do powozu. Syver bardzo długo majstrował koło waliz, układał derki, posadził następnie majora i otulił go troskliwie futrem. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że nie zabrał worka z owsem, i musiał pójść po niego do stajni. Zabrało mu to bardzo wiele czasu, gdy wrócił, major chrapał, aż się rozlegało. Syver siadł na koźle, ale zamiast skierować się ku bramie, zawrócił i okrążył ostrożnie trzy razy podwórze wkoło, i zajechał z powrotem przed dom. Wyszedł stary Dag i obaj zanieśli majora okutanego w pledy i derki przez sień i bawialnię do sypialni starego Daga. Tam położyli go na podłodze i przykryli jeszcze jednym pledem.

Dag zakazał Syverowi wspominać komukolwiek o tej historii. To było powodem, że Syver, który bardzo lubił szeroko i długo opowiadać o każdym wyjeździe, tym razem przed nikim się nie pochwalił swoją najkrótszą podróżą.

Major po przebudzeniu się na podłodze w sypialni Daga wcale sobie nie przypominał wydarzeń ubiegłego wieczoru. Był pewien, że grog tak go otumanił, iż nie był w stanie wejść na schody, i Dag zabrał go na noc do siebie.

Czuł się nieswojo. Był zażenowany i zakłopotany i nie miał odwagi spojrzeć Adelajdzie w twarz w obawie, czy aby ona czegoś nie zmiarkowała. Wolał zniknąć jej z oczu, dlatego zgodził się pójść ze starym do lasu. Obaj wzięli fuzje, bo major był wcale niezłym strzelcem, gdy już raz polował.

Major przypuszczał, że w nagrodę za chęć spaceru po lesie dostanie kieliszek wódki na śniadanie, ale omylił się. Jednakże Dag nie był znów tak bardzo nielitościwy, bo po pierwszym odpoczynku powyżej Utheim wyjął z plecaka flaszkę wódki, nalał Barremu spory kieliszek i sam dla przyzwoitości nieco łyknął. Ale zaraz po nalaniu zakorkował z powrotem flaszkę i schował do torby.

Major był dziś tak pokorny, że nawet to skąpstwo starego nie bardzo go gniewało. W ogóle robił dziś wrażenie człowieka skromnego, cichego, bardzo przygnębionego. Niespokojnie biegały mu oczy, bo przeczuwał, że Dag zamierza uczynić coś niezwykłego. Słyszał, jak Dag mówił, wychodząc, że może nawet przenocuje w lesie.

Gdy major z Dagiem doszli do chaty Røisla, słońce już dawno minęło południe. Jezioro parowało z powodu zimna, kałuże pokryte były lekką powłoką lodową, ale powietrze było spokojne i przejrzyste, słońce świeciło matowo.

Pomimo że pasterska chata była nie zamieszкана, wyglądała tak, jakby tu ktoś stale przebywał. Na ścianach wisiały sieci gotowe do użytku, na pryczy leżały gałazki choiny, w jednej z beczek stała resztką wody do picia, węgiel drzewny pod kominem jeszcze się nie rozpadł. Przychodził tu bowiem od czasu do czasu młody Dag, czasem jakiś wędrownik, a zimą mieszkali tu drwale.

Major i Dag zdjęli fuzje i plecaki. Dag narąbał drzewa i rozpałił ogień, a major poszedł po wodę, następnie zawiesili kociołek nad paleniskiem. Dag wyniósł sieci na ryby na dwór, ażeby się przewietrzyły, przyniósł również świeżej choiny. Po posiłku każdy z nich wyszedł, ażeby coś do wieczora upolować. W dość dużych odstępach czasu padły trzy strzały, przerywając ciszę przedwieczorną. Dag podniósł głuszca, Barre spłoszył zającą i zdołał go ustrzelić. Poza tym zdobył cietrzewia i bardzo był dumny ze swoich trofeów myśliwskich.

Przy brzegu stało małe czółno, które niedawno zostało tu wciągnięte na zimę. Pchnęli je na wodę i założyli sieci na nocny połów. Powiał lekki wieczorny wietrzyk i woda zafalowała, mieniąc się na przemian srebrnymi i ciemnoszarymi odcieniami, przechodzącymi z rzadka w granat; lasy zaczęły się ożywiać: wiatr poruszał wierzchołkami drzew.

Gdy potem z dymiącymi fajkami siedzieli przy ognisku po obu stronach komina, znikła pewność siebie, której major nabrał dzięki swym trofeom myśliwskim.

Kto spędził najlepsze lata swego życia w lesie, dla tego las pozostanie na zawsze skarbnicą wspomnień. Całodzienna wędrówka wskrzesiła w pamięci majora niejeden obraz z przeszłości: były tam wspomnienia pogodne, melancholijne, a obok nich ponure, dzikie i niezatarte, wzniosie przeżycia.

Major w młodości mieszkał w majątku na wsi, całe życie był zawołanym myśliwym i przemierzał niejeden ostęp, zanim w tych ostatnich latach w Björndal towarzyszył od czasu do czasu Dagowi w lesie. Po bezustannym upijaniu się, po owym niemiłym przebudzeniu się, w ogóle w okresie upadku moralnego, ten dzień spędzony w lesie był jakby wędrówką od jednego wspomnienia do drugiego, nawrotem do czasów, kiedy to jeszcze nie stracił szacunku dla samego siebie, kiedy posiadał jeszcze godność ludzką. Siedząc tu teraz na kiwającym się stołku przy kominie z fajką glinianą w ustach, myślami powędrował raz jeszcze przez przebytą drogę: przywoływał obrazy z najlepszych lat życia. Zapomniał nawet palić, zapomniał, gdzie się znajduje, cały był pochłonięty tą wewnętrzną podróżą w miniony okres. Jak odległe to czasy, kiedy posiadał jeszcze jakąś godność, kiedy mógł nosić wysoko głowę i patrzeć ludziom prosto w oczy. Nieosiągalne to już, dalekie krainy! A teraz oto stacza się coraz niżej i niżej...

Woda zagotowała się w kociołku i Dag włożył do niej jajka. Zajął się szykowaniem kolacji. Patelnia stała na ogniu, smażyła się słonina. W końcu major ocknął się; nie wiadomo, czy Dag zauważył jego głębokie zamyślenie wśród dymu z ogniska.

W czasie spożywania posiłku Dag od czasu do czasu rzucał jakieś słówko. Barre jadł, ale z mniejszym apetytem, niż można było oczekiwać po takim spacerze, a jego rzadkie uwagi nie stosowały się do wypowiedzi Daga.

Po kolacji zapalili fajki i major miał nadzieję, że w końcu Dag oswobodzi go od natrętnych, złych myśli i wspomnień i da środek, który dotychczas umożliwiał mu zapomnienie o wszystkich troskach. Ukradkiem zerknął na plecak Daga, gdzie mieściła się flaszka z wódką.

Dag wyciągnął nogi przed siebie. Rękę z fajką oparł na kolanie. Podsycił ogień sporą wiązką drzewa i garścią suchej kory. Ogień raz po raz żywiony korą tworzył gęsty dym, biegnący od komina do otworu w dachu; była to jakby żywa, poruszająca się kolumna pomiędzy obu mężczyznami.

Dag chrząknął, ale nie podniósł głowy.

– Wiesz chyba, co się stało z panną Kruse? – spytał spokojnie. Stołek, na którym siedział major, zatrzeszczał mocno. Zaległo milczenie.

– Nnie... A co się jej stało? wykrztusił w końcu major jakimś dziwnie obcym głosem.

– Chyba tyś powinien o tym najlepiej wiedzieć – ciągnął dalej Dag równie spokojnie jak przedtem.

– Jak to?

– Sądzę, że jako ojciec chyba wiesz, o czym mówię? Dziecko przyszło na świat martwe.

Tym razem stołek nie zatrzeszczał; ani słowo nie padło zza kolumny dymu.

Wiatr hulał śpiewająco po pobliskich lasach – to przybierał na sile, to zamierał. Wiele nastąpiło takich przyplływów i odpływów wiatru, zanim stołek majora zatrzeszczał na nowo i rozległ się znów dziwny, jakby obcy głos:

– Czy Adelajda wie coś o tym?

Ojciec Dag odrzekł głosem równie spokojnym jak przedtem:

– Pogrzebała zwłoki swojej... siostrzyczki nocą w ogrodzie, wyko pała grób własnymi rękami...

Rozległ się odgłos jakby rozpaczliwego łkania i major podniósł się, zakrywając twarz rękami. Gdy zniknął w drzwiach, Dag usłyszał wybuch głośniego płaczu.

Dag siedział bez ruchu; pochylony zapatrzył się w ogień. Nagle dobiegł go ledwo dosłyszalny metaliczny dźwięk na zewnętrznej ścianie. Podniósł głowę i rozejrzał się po chacie – jego własna strzelba wisiała na haku, ale major musiał swojej zapomnieć na dworze.

Wybiegł więc za węgiel chaty. Upłynęło parę sekund, zanim w mdłym świetle księżycy mógł cośkolwiek dojrzeć; w chwilę potem jednak skoczył parę kroków naprzód, szukając nogą w ciemnościach fuzji na ziemi. W tej samej chwili rozległ się strzał, a broń upadła z głuchym łaskotem. Major przechylił się naprzód, zgiął w kolanach i upadł na ziemię.

Strzał wzbudził nie milknące echo w lasach i długo brzmiał w uszach Daga, nawykłych przecież do odgłosów strzałów. Stał jak urzeczony i wpatrywał się w leżącego majora.

Czyżby jego wystąpienia były zbyt surowe? Uważał, że potrzeba paru ostrych słów, ażeby wyrwać majora z otępienia i beztroski. Przecież człowiek nie targa się na życie z powodu jakiegoś słowa, chociażby było i najbardziej okrutne! Widocznie lekkomyślność majora była tylko pozorna. Musiały go już dawno dręczyć jakieś i niepokoje, te słowa były już tylko ostatnią, decydującą kroplą, która spowodowała tragiczne załamanie.

„Major postąpił źle, ale niejedyn mężczyzna bywał już w podobnej sytuacji” – pomyślał Dag, klękając nad nim i starając się dosłyszeć bicie serca. Ale w poszumie drzew i szeleście zmarzniętej trawy niepodobieństwem było podchwycić owo delikatne kołatanie. Zresztą w uszach dźwięczał mu jeszcze wciąż ów strzał niespodziewany.

Podniósł głowę i wsłuchiwał się w ciszę nocy, w szmery, które przynosił wiatr z wierzchołków drzew i od strony wody. A te szmery przywiodły mu na myśl jego dotychczasowe poczucie własnej sprawiedliwości w porównaniu z postępowaniem Barrego, przypomniał sobie, jak go oburzyła bezwzględność majora w stosunku do tak nieszczęśliwej istoty jak panna Kruse, i tym samym w stosunku do Adelajdy.

W tej chwili, w obliczu śmierci, uprzytomnił sobie własną bezwzględność i obojętność w stosunku do swojej rodziny i obcych ludzi; dawniej myślał przecież tylko o wzbogaceniu się i zebraniu jak największej ilości pieniędzy i dóbr... Teraz dopiero widział, że nie był ani o włos lepszy i szlachetniejszy niż Barre; że właściwie nie miał prawa wydawać o nim sądów.

Tak, tak, ilu ludzi pchnął w nieszczęście przez swe surowe i bezwzględne postępowanie! Nad iluż rodzinami zawisły z tego powodu troski i zmartwienia! A że był bogaty, więc wolno mu było tak postępować. Ludzie mówili, że ma niezłomny charakter i każdy postępek jego jest słuszny i mądry; majora zaś każdy z łatwością potępiał. Ale w świetle zapatrywań na życie, do których Dag doszedł w ostatnich latach, widział jasno i wyraźnie, w chwili gdy klęczał nad majorem, że...

Takie myśli wstrząsały Dagiem, gdy rozpiął kurtkę, wyciągnął koszulę i oderwał z niej kawałek. Sporządził coś w rodzaju bandaża, obwiązał czoło majora, ażeby choć trochę zahamować upływ krwi, zanim go wniesie do chaty. Przypomniał sobie, że i ubiegłego wieczoru pomagał Syverowi wnosić go do domu, i uprzytomnił sobie, jaki wówczas czuł się wielki i szlachetny. A teraz musiał sam bez pomocy dać sobie radę z trudną i smutną sprawą. Trzeba odrzucić wszelką zarozumiałość.

Chociaż nie był tak silny jak dawniej, bez wysiłku dźwignął ciężkie ciało, zarzucił na ramię, przeniósł i ułożył na wznak na pryczy. Dorzucił tyle drzewa do ognia, że buchnął jasny płomień, podsunął beczkę z wodą do pryczy, zdjął bandaż i obmył ranę z krwi i resztek prochu. Kula przeszła czoło na ukos z dołu do góry, ale jak głęboko, trudno mu było w słabym świetle wybadać. Krew ciekła nieprzerwanie.

Oczy majora były zamknięte. Ciało ciepłe, a może tylko nie zdołało ostygnąć?

Podczas gdy Dag rozpinał kurtkę, ażeby wysłuchać serca, majorowi drgnęły powieki; otworzył oczy i rozejrzał się wkoło mętym wzrokiem. Dag podał mu trochę wody, ale major nie uczynił najmniejszego ruchu i zrozpaczonym wzrokiem wpatrywał się w drewniany pułap. Dag położył mu mokry okład na ranie, ażeby krew nie ściekała po policzkach. Na twarzy Barrego gościł teraz jakiś nowy wyraz, coś zdecydowanego, mocnego, zapewne tak wyglądał w chwili, gdy strzelał do siebie.

– Może byś coś rzekł – powiedział Dag.

Major poruszył wargami, ale nic nie powiedział. Poruszał nimi parokrotnie, w końcu zdołał wyszeptać:

– Szkoda, żeś chwilę później mi nie przeszkodził, byłoby już teraz po wszystkim!

W jego głosie zazwyczaj wesołym było tyle szarpiącej rozpacz, że Dag nie był w stanie nic odrzec.

– Po twoich słowach nie mam teraz nigdzie swego miejsca na świecie – ciągnął major świszczącym, ledwo dosłyszalnym głosem – przez długi czas żyłem w ciemności, po omacku, pozbawiony przyjaznych uczuć, pozbawiony rodziny, dodając sobie otuchy jakimiś oszukańczymi słowami i fanfaronadą. Ostało się tylko jedno miejsce, jeden dobry zakątek, gdzie było ciepło i jasno. – Umilkł, a potem mówił dalej cicho: – Wszystko poza tym było błagą, żartem, maskaradą, zawsze i wszędzie, dziesiątki lat. Ale to jedno jasne miejsce wżarło się w moje wnętrze głębiej, niż przypuszczałem. Tak, jedynym światłem mego życia było przebywanie z tobą i Adelajdą. Biedna ona. I gdy uprzytomniłem sobie, że sam to zdeptałem, zniszczyłem, i to tu u was, w Björndal, i gdy potem tyś mi jeszcze powiedział... Człowiek pozbawiony promyka światła żyć nie może. Ostatnia iskierka dla mnie zgasała, gdyś mi mówił o tym, co było w nocy z Adelajdą tam, w ogrodzie...

Umilkł, zamknął oczy, łzy spływały mu po policzkach.

Podczas powrotnej drogi Dag namyślał się, jak zataić przed domownikami przypadku. Może w porozumieniu z maj powieścią w domu, że się przewrócił i mocno przy tym zranił czoło? Ale zaniechał tego, doszedłszy do wniosku, że to za poważna sprawa, by wprowadzać do niej kłamstwo. Wprawdzie kłamstwem będzie także, jeśli powieścią, że major nieostrożnie sobie poczynał z bronią, lecz z uwagi na dobro Adelajdy można je popełnić, zwłaszcza że będzie ono nieco bliższe prawdy.

Dag zaproponował majorowi, że ze względu na potrzebny dla chorego spokój umieści go w jednym z pokoi w nowym budynku. Wezwał doktora, ten oczyścił ranę. Kula strzaskała kość czołową i przeszła bardzo blisko mózgu. Stan był poważny i doktor, odjeżdżając, zakomunikował Dagowi, że nie wie, jak się to skończy, Major musi zachować absolutny spokój, dopóki lekarz za parę dni znowu nie przyjedzie. Poza tym grozi niebezpieczeństwo zakażenia krwi, gdyż mogły się tam razem z prochem dostać jakieś nieczystości.

Adelajda od dzieciństwa była wprawdzie obznajmiona z bronią ojca, również i tu, w Björndal, stale miała do czynienia z fuzjami i strzelbami, poza tym posiadała dość zdrowego rozsądku i przenikliwości, a jednak w pierwszej chwili tak była przejęta tym wypadkiem i zaskoczona powagą i smutkiem ojca, że nad niczym się nie zastanawiała.

Panna Kruse już od dłuższego czasu znowu zajmowała się gospodarstwem. Adelajda powiedziała jej po wyzdrowieniu, ażeby nadal rządziła i gospodarowała jak za dawnych czasów, to bowiem, co się wydarzyło, zostało pogrzebane w niepamięci. Nigdy nikt o niczym się nie dowie.

Krzątała się więc i pracowała od świtu do późnej nocy, zarządzała całym gospodarstwem, ale nie było w jej głosie dawnej pewności siebie, czy straciły jasny blask. Ludzie myśleli, że po chorobie nie można od razu wrócić do dawnego wyglądu.

Pewnego dnia Adelajda wezwała ją do siebie do swego pokoju. Siedziała w wielkim fotelu przy drzwiach balkonowych. Był już czwarty dzień po wypadku z majorem. Przez dłuższy czas pozostała z twarzą ukrytą w dłoniach, ale gdy usłyszała kroki, podniosła głowę i szybkim ruchem otarła oczy. Od owej okropnej nocy panna Kruse za każdym razem, gdy była zmuszona rozmawiać z Adelajdą, przechodziła istne męki. Ogarniał ją strach, że postawi jej wreszcie jakieś konkretne pytanie...

Po nieszczęściu ukazała się jej Adelajda pod inną postacią. Podczas choroby panny Kruse pani na Björndal musiała wziąć zarząd domu w swe ręce i w ten sposób poznać tę niełatwą pracę. Pomimo najlepszej woli, ażeby być wyższą ponad wszelkie przesady i drobiazgi, była jednak tylko człowiekiem. Zupełnie bezwiednie obudziło się w Adelajdzie pragnienie, zresztą zupełnie ludzkie i zrozumiałe, ażeby przy nadarzającej się sposobności zadokumentować swą wyższość wobec tamtej kobiety. Przypuszczalnie grał tu rolę również głęboko utajony żal, że jeden z bliskich jej mężczyzn był ojcem tego dziecka.

Inna istota siedziała teraz naprzeciw panny Kruse: postawą, sposobem wyrażania się i tonem oddalała się coraz bardziej od tej, którą znała dotychczas.

Zatrzymała się w drzwiach. Dzieliła je cała długość pokoju. Ostatnio, gdy na specjalne wezwanie zjawiała się w pokoju Adelajdy, ta stała zawsze pośrodku zimna, obojętna, z góry bezbarwnym tonem wydawała zarządzenia. Panna Kruse bardzo dotkliwie to odczuwała, tym bardziej, że spodziewała się lada dzień tego strasznego pytania. Przeczuwała, że potem będzie koniec jej pobytu w Björndal.

Gdy tylko stanęła w drzwiach, od razu zauważyła zdenerwowanie Adelajdy: w spojrzeniu, w ruchu rąk. Również i to, że Adelajda nie stała jak zazwyczaj pośrodku, lecz siedziała w fotelu pochylona naprzód, miało dla niej swoje znaczenie... Przejął ją taki lęk przed tym, co nastąpi, że zaszumiało jej w uszach, a przed oczami zaczęły wirować czarne płatki...

W pierwszej chwili Adelajda uczyniła ruch, jakby chciała powstać, ale z powrotem opadła na fotel i tak pozostała z wzrokiem utkwionym w ziemię. Nie spojrzała ani razu w twarz panny Kruse i zdawała się coraz bardziej pograżać w sobie. Z trudem wykrztusiła słowa:

– Czy... to... był... mój ojciec?

Panna Kruse nie wydała żadnego dźwięku. Zemdlna upadła koło drzwi.

Głos ojca Daga brzmiał jakoś bardzo niepewnie, gdy oznajmił Adelajdzie, że major obszedł się nieostrożnie z bronią. Wykrętny wzrok ojca Daga i ta rana pośrodku czoła obudziły w niej nieufność. Czyżby to miało być samobójstwo? I w tej samej chwili, gdy jej to przeszło przez myśl, powiązała z tym inne wydarzenie! Przypomniała sobie teraz, w jakie zakłopotanie wprawiły pannę Kruse pochwały wypowiedane przy stole na jej cześć przez majora. Po dwóch dniach pełnych niepewności chciała otrzymać rozstrzygającą odpowiedź.

Minęły godziny od chwili, gdy weszła tu panna Kruse. Adelajda znów była sama, tak jak przed tą rozmową. W całym swym nieszczęściu musiała pannę Kruse, jak małe, bezradne dziecko, cucić, zanieść do łóżka. Ale przedtem biedaczka wyspowiadała się jej.

Od paru godzin siedzi tu i rozmyśla o tamtej nieszczęśliwej istocie i o sobie. Jakże głęboko przeżywała troski i zmartwienia... Jak bardzo uważała się za nieszczęśliwą z tego powodu, że mąż od niej stroni i że ojciec jego stracił zaufanie do niej... A przecież zaznała tyle dobrego w życiu! Jest niepomiaralnie bogata, ma dwóch rozkosznych synków. Powinna się była uzbroić w cierpliwość i pokorę, czekać...

Teraz usłyszała o losie drugiej kobiety, o rozpierającej ją tęsknocie, o udreće... O życiu, które aż do śmierci będzie tylko tęsknotą i męką. To, co dla innej w odmiennych warunkach mogło być szczęściem, jej przyniosło rozpacz, przerażenie i bezustanne wyrzuty sumienia.

Ona, Adelajda, tak bardzo potępiała ojca Daga, swego męża i pannę Kruse, a teraz dowiedziała się, że sama z ojcem popadła w hańbę.

Dotychczas dumnie przeciwstawiała się każdemu nieszczęściu, opanowana, nie uzewnętrzniała przeżyć osobistych i czerpała wewnętrzną siłę ze swej dumnej postawy. Teraz się skończyło. Ukryła twarz w dłoniach. Życie nie przestaje ciskać jej o ziemię. To już widocznie musi tak być do końca. Te Ostatnie ciosy może były przygotowaniem do śmierci.

Ktoś szedł ciężkim krokiem po schodach. Zerwała się i szybko pobiegła do lustra. Przetarła chusteczką oczy i twarz, przyglądała włosy i lekko przeciągnęła się – z dawnego przyzwyczajenia.

Szalone myśli zaczęły przebiegać jej głowę. Czego tu chce ojciec Dag? Od czasu przyścia na świat bliźniaków, to jest od trzech i pół lat, nie przestąpił progu jej komnaty. Czyżby wiedział coś o pannie Kruse i jej ojcu? Aż jej w oczach pociemniało: jak na to zareaguje? Czy będzie jej zadawał jakieś pytania? I co ma odpowiedzieć w takim razie?

Wszedł. Zatrzymał się i rozejrzał ciekawie, jak gdyby jeszcze nigdy tu nie był. Miał mocno ściągnięte brwi, na czole głębokie zmarszczki, biła od niego ponura powaga.

Adelajda cofnęła się o parę kroków w głąb pokoju, stanęła za fotelem i bawiła się nerwowo frędzlami.

– Nie usiądziesz? – wydobyła wreszcie ze ściśniętego gardła. Owszem. – Przynął sobie krzesło i usiadł. – Przez ostatnie dwa dni nie byłaś u ojca – rzekł spokojnie. – Dopytuje się o ciebie.

Odwróciła się z wolna do oszklonych drzwi i patrzyła w dal. Obserwował ją.

– Nie nam przystoi sądzić – powiedział cicho – może i my nie zawsze liczyliśmy się z naszymi bliźnimi!

Drgnęła. Co miał na myśli? Czyżby wiedział? A może tylko przypuszcza, że potępia swego ojca z powodu jego nałogu?

Widząc bezradność, która jej zabierała panowanie nad sobą, rzekł:

– Wiem o wszystkim, tak jak i ty, o pannie Kruse i o reszcie... – powiedział mocnym głosem.

Teraz się załamała na dobre. Płakała rozpaczliwie za kotarą. Wiedział o wszystkim i przyszedł ją pocieszać, właśnie w chwili, gdy się jej zdawało, że życie jej będzie beznadziejnym piekłem.

– Tak, to boli, rani dumę – wypowiedział ważne słowa – ale i tak życie raz po raz łamie dumę. I właśnie najlepiej je rozumiemy, gdy duma jest złamana. – Wstał, zrobił parę kroków w kierunku drzwi, ale raz jeszcze się odwrócił i dodał: – Mamy sobie niejedno do powiedzenia, ale dziś wieczór musisz pójść do ojca koniecznie. Nie wiadomo, czy długo jeszcze pociągnie!

Po tych słowach opuścił pokój. Schody trzeszczały pod jego ciężkimi krokami.

Więc wie o wszystkim! Tym samym zdarzenie traci cechy okropności. Łatwiej to znieść, jeśli druga osoba, i to właśnie ojciec Dag, wie wszystko. Przyszedł tu do niej, ażeby o tym mówić i pocieszyć ją, okazał jej znów trochę dawnego zaufania. Przeniknęła ją fala ciepła. A ona jak zawsze okazała się egoistką!

Przypomniała sobie ostatnie słowa: „Nie wiadomo, czy długo pociągnie”, które przesłoniły wszystko: nienawiść do ojca, hańbę i wstyd, zmartwienie, a nawet iskierkę nadziei, która przed chwilą się w niej obudziła.

Jednocześnie wyraźnie widziała ojca, jak jej w wieczór weselny mówi „dobranoc” i ze łzami w oczach prosi o wybaczenie, że jest taki, jaki jest. Ale czy mu wybaczyła rzeczywiście?

Nienawidziła go od jedenastego roku życia i aż do tej chwili nie przestała go nienawidzić i wstydzić się go. Wybaczył mu mocny człowiek, ojciec Dag, ale nie ona, córka! Nigdy nie starała się sprawić mu radości, nigdy nie zwracała się do niego z cieplejszym słowem ani przyjazną myślą.

Teraz ostrzeżenie ojca Daga zabrzmiało w jej uszach jak dzwon pogrzebowy, teraz dopiero ujrzała ojca takim, jaki był na pewno w głębi duszy przez te wszystkie lata: z cichą prośbą o przebaczenie, a może nawet o nieco ciepła i przyjaźni.

Gdyby tak w wieczór weselny leciutko go pocałowała albo serdecznie nań spojrzała? Ale była zajęta tylko sobą, swym szczęściem.

Może w ciągu tych wszystkich pełnych goryczy lat byłaby mu przyniosła ulgę serdecznym słowem. Gdyby choć raz, kiedy odjeżdżał do miasta, do życia pełnego trosk i zawodów, poprosiła, ażeby jak najprędzej przyjechał, że będzie miłym gościem. Ale gdzie tam! Przeciwnie, żegnała go konwencjonalnie, dając mu odczuć, że jest rada, iż go się pozbywa!...

Gdy szła do nowego budynku, gdzie leżał ojciec, ogarnęła ją fala miłych wspomnień z czasów dzieciństwa... Jak szczęśliwa czuła się jako mała dziewczynka, gdy ojciec wpadał do domu zawsze wesóły, pogodny, pełen najmiłszych pomysłów. Nauczył ją jeździć konno i powozić, był dla niej w owym okresie wszystkim na świecie. Uświadomiła sobie dopiero w tej chwili po raz pierwszy, że do Björndal dostała się tylko dzięki ojcu i jego przyjaźni z kapitanem Klingem, do Björndal, gdzie poznała życie wraz ze wszystkimi bólami i radościami, życie prawdziwe, pełne.

Teraz ten człowiek leżał oddalony od niej tylko o parę kroków, nieszczęśliwy, śmiertelnie chory, wpatrzony w drzwi, nasłuchujący i na próżno oczekujący zjawienia się wreszcie tej jedynej pozostałej jego latorośli, krwi z jego krwi!

Adelajda zapukała do niebieskiego pokoju cichutko i otworzyła ostrożnie drzwi. Kotara była zasunięta, ogień przyjemnie trzeszczał pod kominkiem, dwie świece paliły się u wezłowia chorego. Major z widocznym wysiłkiem odwrócił głowę w kierunku drzwi. Widok tak bardzo zmienionej jego twarzy rozwiął w niej na nowo niechęć. Leżał wyciągnięty w szerokim łożu. Wyglądał znów jak prawdziwy żołnierz z białą opaską na czole, rysy przez cierpienie wyszlachetniały, wydłużyły się.

Oczy nabrały pogodnego blasku, gdy zobaczył, że to ona wchodzi, ale zaraz je przymknął. Siadła przy łóżku, unikała jednak jego wzroku, patrząc w kotarę nad łóżkiem. W pierwszej chwili nie wiedziała, co mówić, ale starała się wykazać współczucie i serdeczność. Już w sieni na dole wywalczyła w sobie spokój i opanowanie. Lecz nie na wiele to się przydało, bo już miała taką naturę: ilekroć dawała sobie samej słowo, że się zmieni, zawsze zamiary te spalały na panewce, a gdy stała przed ową osobą, choćby najbliższą, wracały dawne żale.

Zapytała, jak się czuje. Odpowiedział, starając się słowom nadać lekki ton:

– Różnie, raz gorzej, raz lepiej.

Walczyła ze sobą, chciała koniecznie odnaleźć w sobie owe serdeczne uczucia, które w niej grały, gdy tu szła, ale nie mogła się zdobyć na żadne cieplejsze słowo. Przez dwadzieścia pięć lat czuła niechęć i wstręt do tego człowieka, a obecnie to, co zaszło, dołało oliwy do ognia. Jak się tu zdobyć na serdeczność?

Nagle podniosła głowę, jakby wsłuchując się w coś. Zadzźwięczały w jej uszach słowa ojca Daga wypowiedziane w jej pokoju. Zapomniała o nich, przejęta troską o życie ojca, ale teraz znów w niej odżyły: „Tak, to rani serce i dumę, ale i życie łamie naszą dumę. I właściwie najlepiej rozumiemy życie, gdy duma jest złamana”.

Skurczyła się w sobie. Te słowa niewątpliwie były wynikiem ciężko zdobytego doświadczenia... Na pewno nie rzucił ich tak sobie na wiatr w tej smutnej i trudnej godzinie, ale dał je z przeświadczeniem, że jej to napomnienie jest potrzebne.

Czyżby w tej chwili дума zamykała jej usta i nie pozwalała wyrazić nurtujących ją uczuć? Czyżby w ciągu tych ciężkich lat zewnętrzne siły tak całkowicie opanowały wnętrze jej istoty, że nie pozwalały teraz ujawnić się żadnemu uczuciu? Zmusiła się do przybrania jak najpokorniejszej postawy, ażeby wypróbować, czy postępując drogą tego uczucia pokory, zapanuje nad sobą. Wyciągnęła rękę poprzez łóżko. Coś ją jeszcze wstrzymywało, ale przemogła się i ostrożnie, lecz stanowczo położyła rękę na wychudzonej dłoni ojca. W tym kontakcie drgnęły jego obie ręce jednocześnie. Po raz pierwszy od dwudziestu sześciu lat odczuł jakąś serdeczność ze strony córki, którą zachował w swej pamięci jako dobre, żywe, uczuciowe dziecko.

Zamknął oczy. Ciepło bijące od jej ręki sprawiało mu niezwykłą radość. Nieraz się nią w dzieciństwie cieszył, a teraz powróciła do niego. Leżał spokojnie, obawiając się, że cofnie rękę. Wzruszony, wyrzekł cicho i nieśmiało słowa, które na pewno go dręczyły, a nigdy by może nie zostały wypowiedziane w innej sytuacji.

– Nie wolno mi się spodziewać, że mi wybaczysz... to, że ci sprawiłem... tyle zmartwienia... wstydu... ale ja cię całe życie... bardziej kochałem, niż przypuszczałaś!

Z palącym wstydem Adelajda uprzytomniła sobie w tej chwili, jak często ojciec odmawiał sobie różnych przyjemności, ażeby jej sprawić przyzwoite suknie. Uświadomiła sobie, ile ponosił dla niej poświęceń.

A ona nawet w tej chwili nie mogła mu odplacić sercem, nie mogła powiedzieć: „I ja cię kochałam”, bo to byłoby kłamstwem, nie miała nic do dania. Czuła, że łzy jej napływają do oczu, i chciała wstać, żeby tego nie okazać, ale wyrwały jej się słowa:

– Biedny, biedny ojcze!

I wybuchnęła niepowstrzymanym płaczem. Jedną ręką ściskając mocno dłoń ojca, drugą zasłaniając sobie oczy, łkała rozdzierająco nad nim i nad sobą.

Poszła. Major pozostał sam. Powiedział jej, że pomówiłby chętnie z ojcem Dagiem, jeśli jeszcze nie poszedł spać i zechce do niego przyjść. Wolno płyną godziny, gdy się na coś czeka, a major oczekiwał i pragnął przyjścia Daga... Wreszcie... Otwierały się gdzieś drzwi, trzeszczały stopnie, ale nie był to chód ojca Daga. Do komory wszedł jeden z parobków, który miał czuwać i być pomocny majorowi, gdyby ten czegoś potrzebował w nocy.

Majora ogarnęło deprymujące uczucie samotności i opuszczenia. Więc taki będzie jego koniec; bo nie wątpił ani na chwilę, że koniec się zbliża. Czuł, że rana się jątrzy, pulsuje, przejmujący ból zwiększał się, napadały go nudności.

Gdzieś zatrzasnęły się drzwi, ktoś wchodził na schody i szedł korytarzem. Major wstrzymał oddech nasłuchując, odetchnął łżej. To były kroki ojca Daga.

Dag kazał parobkowi pójść spać. Sam będzie czuwał, przespał się bowiem parę godzin i dlatego przychodzi tak późno.

Dag od samego rana już był u majora, który parę razy w ciągu tego dnia tracił przytomność. Potem prosił, żeby przyprowadzić malców Adelajdy. Zupełnie przytomnie z nimi rozmawiał, żartował, ale po ich wyjściu rozplakał się i stracił na nowo przytomność.

Dag, idąc teraz na nocny dyżur, przyniósł coś po kryjomu ze sobą w ręce i postawił ostrożnie na nocnym stoliku. Barre spojrział: był to pełny kieliszek...

Lekarz zakazał wprawdzie dawać cośkolwiek, co by rozgrzewało krew, bo to mogłoby chorego zabić, ale ojciec Dag nie przypuszczał, ażeby takiemu człowiekowi jak Barre, miał zaszkodzić kieliszek starego francuskiego koniaku z czasów nieboszczki żony jego; na pewno go pokrzepi. Barre zawsze wspominał ten koniak jako coś niedoścignętego w smaku.

Zazwyczaj major szybko się załatwiał z takim kieliszkiem, dziś jednak, żałośnie patrząc, kosztował go tylko wolniutko. Chyba to już ostatni kieliszek w jego życiu.

Dag drzemał trochę w fotelu, ale od czasu do czasu spoglądał na łóżko. Major przespał trzy pełne godziny, chrapał, aż się rozlegało. Nagle się obudził i rozejrzył. Dag go upomniał, ażeby nie poruszał głową. Usłyszał i położył się na wznak.

– Była tu Adelajda – powiedział Dag po chwili.

Twarz majora przebiegło wyraźne drżenie. Zamknął oczy i Dag ujrzał, jak Barre zaczął ciężko, urywanie oddychać i lzy kapały mu po policzkach.

Potem wzruszonym, cichym głosem powiedział jakby do siebie:

– Odwiedziny jej przypomniały mi wiele z czasów, gdy jeszcze była małą dziewczynką. To był ostatni szczęśliwy okres w moim życiu, potem już powiał mroźny, niszczący wiatr i zacząłem zjeżdżać w dół; tak było również za czasów pierwszej mojej młodości.

Umilkł. Po dłuższym czasie znów się rozległ jego głos już nieco mocniejszy:

– Nie chcę wspominać lepszych czasów. Czegokolwiek dotknąłem w życiu – niszczyłem, psułem życie ludziom, każdemu, kto się ze mną bliżej stykał, ojcu, matce, żonie, Adelajdzie i jeszcze wielu innym, a teraz, pod koniec życia, tej biednej pannie Kruse... ostatniemu człowiekowi, który we mnie uwierzył i przypuszczał, że jestem coś wart!

Objął długo milczeli. Nawet nie słyszeli, nie zdawali sobie sprawy, że na dworze huczy wiatr, a pod kominem trzeszczą polana. Myśli ich były jakby poza czasem i miejscem.

Pierwszy przerwał milczenie Dag:

Fakt, tak, niezbyt dzielnym bojownikiem byłeś!

Wtedy major drgnął i pomimo zakazu uniósł głowę; oparł się na łokciu i spojrział na Daga takim wzrokiem, jakby patrzył na jakąś zjawę z tamtego świata.

W życiu Barrego bowiem istniała pewna wartość, której nikt nie negował. Jako człowiek, jako wojskowy mógł popełniać mnóstwo błędów, ale uchodził zawsze za dzielnego, nieustraszonego żołnierza, pełnego niebywalej odwagi w obliczu niebezpieczeństwa.

– Nie byłem dzielnym bojownikiem? – wykrztusił w końcu. Ojciec Dag długo siedział milcząc, jakby nic nie słyszał i nie widział, co się wokół dzieje, i wreszcie odrzekł ze spokojem, którego gorące pytanie nadwerężyć nie zdołało:

– Miałem na myśli inne walki, walki ze sobą samym, tu, w tym wypadku, okazałeś się kiepskim bojownikiem. Ulegałeś namiętnościom, nie przeciwstawiałeś im się wcale, a to przynosi nieszczęście temu, co ulega, i jego otoczeniu. Żyłeś dziko, niepohamowanie. Nie twierdzę, że akurat ja mam prawo cię osądzać, ale przypominam ci tylko sens twoich własnych słów kiedyś wypowiedzianych: żeś nigdy nie walczył ze złem, że pozwoliłeś mu opanować się i spychać stale wstecz. Teraz leżysz tu bezsilny i patrzysz na skutki takiego życia. To tylko miałem na myśli.

Major ułożył się z powrotem na poduszkach, a Dag ciągnął dalej, naprzód cicho, a potem nieco głośniej:

– I ja również poniosłem niejedną porażkę w życiu, a mogą przyjść i inne. Ale nie wolno się poddawać, trzeba walczyć. Zmagać się ze sobą i życiem, aż nas ogarną ciemności śmierci.

Barre zapatrzył się przed siebie, jakby już miał dość tych kazań, ale Dag szeptem dodał:

– W końcu chciałeś plecami stanąć do pola walki i... uciec. Major znów zwrócił uwagę w jego stronę z dręczącym pytaniem w oczach. Jako żołnierz bowiem nie miał zwyczaju uciekać z pola walki. – Nie umiałeś prowadzić walki do końca – dodał Dag mocno.

Teraz major zrozumiał, że Dag miał na myśli ów strzał samobójczy; krew mu uderzyła do głowy, zaczęła oddychać urywanie. W końcu odparł:

– Może masz rację, że za mało się przeciwstawiałem namiętnościom i wolałem iść po linii najmniejszego oporu, ale moje życie układało się inaczej, zbyt ciężka byłaby walka, nie dałbym rady. Na pewno nie przechodziłeś niczego podobnego.

Zaczął mu opowiadać różne historie z życia żołnierzy; jak to koledzy jeden przed drugim przechwalali się pijatykami i awanturami miłosnymi, i że to właśnie zrobiło go takim, jaki jest. To samo mniej więcej, co powiedział Adelajdzie, tylko teraz w formie bardziej swobodnej.

Na twarzy Daga pojawił się surowy wyraz:

– Przypuszczasz, że inni nie przeżywali takich pokus? I ja przeszedłem przez nie w młodszych latach, na wsi lub w mieście, kiedy tylko zobaczyłem spódniczki. Ale tak z tym walczyłem, że w końcu stałem się po trosze wrogiem kobiet. Ileż niewiast nastawiało na mnie sidła ze względu na moje bogactwo! Może myślisz, że byłem ślepy i bezuczuciowy. O nie! Ale musiałem walczyć i przełamywać się. Trzeba było również prowadzić walkę z innym złem: z zacięłą chciwością, umiłowaniem pieniędzy. Bywały chwile, kiedy zdawało mi się, iż zwalczyłem w sobie wszystkie namiętności, aż oto okazało się, że zwycięstwo było mrzonką, i całe trzydzieści lat nie posuwałem się naprzód, lecz w tył. Oślepiło mnie bogactwo. Dopiero później zmądrzałem i znowu zacząłem walczyć. Trzeba mężnie przyjmować porażki i nie rezygnować, nie upadać na duchu, przeciwnie, powinny one być bodźcem do dalszych walk. To jest taka sama walka jak bój żołnierski w polu. Właśnie okresy walk wewnętrznych stają się najjaśniejszymi godzinami naszego życia, wszystko inne to ciemność...

Major milczał. Widać było jednak po oczach, że słucha uważnie.

Znów zaległa cisza, ale Dag był niespokojny, widocznie miał jeszcze coś na sercu; w końcu wyrzucił to gwałtownie, jakby spiesząc się ze słowami:

– Jak uważasz, czyby nie wezwać jutro pastora?

Major poruszył ręką, jakby odganiał coś od siebie. Wyraz jego twarzy świadczył, że jest temu przeciwny.

– Za późno; całe życie nie zwracałem się do Boga, zostawmy to i teraz. – Przy ostatnich słowach głos jego nie był tak bardzo pewny.

– Skoro zdobyłem się na to, żeby ci to zaproponować, to ty możesz się zdobyć na przyjęcie pastora. Były w twoim życiu dobre i jasne godziny, wspomniałeś o nich w chacie na górze i tu w tej chwili. Chcesz być dzielny, a masz do tego tyle siły co i wszyscy inni.

– Dobrze. Ale nie tego pastora – zdecydował się w końcu. Dag rozmyślał przez chwilę.

– Rozumiem. Ale w takich chwilach potrzebny jest sługa boży, który nie tylko daje słowa pocieszenia, ale czuje sercem. Przecież nie będzie z tobą walczyć, tylko cię do walki pokrzepi na duchu. Nie będzie się z tobą prawował, bo wie, ile cię kosztowała decyzja wezwania go tutaj. Sam się przekona, że jesteś na dobrej drodze.

Barre chciał jeszcze zaznaczyć, że i tak już za późno, ale Dag się podniósł. W drzwiach dodał jeszcze:

– Walcz ze sobą. Dopóki iskierka życia tli się w nas, powinniśmy walczyć. – Głos załamał mu się. Mocno zamknął drzwi.

Dag obudził parobka, aby czuwał przez resztę nocy, a sam po omacku udał się do swej sypialni.

39

Przyjechał pastor; nim udał się do chorego, posilił się obiadem w jadalni. Dag opowiedział mu o nocnej rozmowie z majorem i zaznaczył, że mu już dobrze za kołnierz nasypał, dalsze więc monitowanie byłoby niepotrzebną surowością.

Pastor Ramer potrafił być nie tylko karcącym duchownym, ale był również mądrym człowiekiem. Pamiętał, że w ciężkich chwilach życia Dag okazał się przyjacielem, na którym można polegać, a poza tym wiedział, że to, co Dag mówi, jest rezultatem długiego zastanowienia. Nie wątpił ani przez chwilę, że Barre musiał wysłuchać sporo gorzkich słów; chciał jednak wiedzieć, co się właściwie przydarzyło majorowi, skoro po niego posłano...

– Nieostrożny strzał – odpowiedział szybko pewnym głosem gospodarz. Był bowiem przygotowany na to pytanie.

Pastor spojrział przed siebie w zamyśleniu i chciał pytać dalej, ale Dag pochylił się nad swym talerzem z tak chłodną, nieprzystępną miną, że pastor postanowił zrezygnować z dalszej indagacji. Nietrudno było, wobec jaskrawej niechęci Daga do informowania o wypadku, domyślić się tego, co tu zaszło.

Pastor podniósł wysoko brwi i patrzył przed siebie. Po raz pierwszy w życiu stanął w obliczu historii tego rodzaju. Kto wie, czy nie powinien jednak powiedzieć, co o tym sądzi. Drażliwa i niełatwa sprawa.

Dag był bystrym obserwatorem i przeniknął wątpliwości pastora, zanim tamten się spostrzegł.

– Mówiłem z nim o całym jego życiu, od kołyski aż do tej chwili – powiedział Dag ze spokojem i dodał głośniejszym głosem: – Mówiliśmy też o tym strzale.

Pastor jeszcze nie wyglądał na uspokojonego, ale nic nie odrzekł. Wezwano go, ażeby przygotował majora na drogę wieczności, jego więc rzeczą było znaleźć odpowiednią formę.

Do łóżka Barrego nie przystąpił łagodny i wybaczący duchowny... Rozmowa zaczęła się w tonie cichym i spokojnym, lecz potem rozwinęła się z taką siłą, że Barre później dopiero zorientował się, na jaką smagającą, ale jednocześnie wyzwalającą burzę był narażony.

– Wiele w życiu majora mogło pójść inną drogą – oznajmił pastor później Dagowi – gdyby miał jakąś ostoję w życiu. – Gdy to mówił, usta jego miały surowy wyraz, ale oczy łagodne.

Długo jeszcze potem Dag zastanawiał się nad tymi słowami. Major miał przecież za żonę krewną pastora, Adelajda była jego córką, a wyglądało tak, jakby pastor obwinił ciężko obie kobiety należące do jego rodziny.

Pastor znał osobiście żonę Barrego. Dag wiedział, że miał z Adelajdą w wieczór przedślubny poważną rozmowę; czasem też jeździła na probostwo w ostatnich latach. Zna ją więc i wie, co o niej sądzić.

Gdy tak rozmyślał, przyszło mu do głowy, że właściwie dziwny był jej stosunek do ojca; niezrozumiałe zresztą było również jej stanowisko względem męża. Choć jak bohaterka walczyła wówczas w górach o jego życie, wyrwała go śmierci, a dla niego samego, starego Daga, była nieraz posłannictwem bożym na tej ziemi, w okresie kiedy go dręczyły wątpliwości. Ale pastor na pewno miał swój sąd o niej.

Nie pytał ani pastora, ani majora, o czym mówili. Gdy nieco później odwiedził Barrego, ten leżał cicho, w skupieniu i nie dał poznać po sobie, jakie wrażenie na nim zrobiła wizyta duchownego. Dag raz jeszcze przetrwał potem wypowiedź pastora. Na pewno nie było to po jego myśli, że małżonkowie Barre się rozeszli. Ale inne refleksje przyszły mu do głowy. Przecież znał już teraz Barrego od dziesięciu lat i właściwie sam powinien był pomyśleć o tym, żeby mu przyjść z pomocą moralną. Miał wiele zobowiązań w życiu, ale powinien się być więcej zainteresować człowiekiem bądź co bądź bliskim, bo dziadkiem jego wnuków. Zapomniał o żonie i córce Barrego; siebie tylko obwiniął za to przegapienie. Kto wie, może pastor jego właśnie miał na myśli...

Do tej chwili prześladowała Daga myśl, że byłoby najlepiej, gdyby major teraz umarł; jednak zmienił zapatrywanie. Pragnął odrobić to, co zaniedbał. Tak się głęboko przejął tym życzeniem, że nabrał przekonania, iż stanie się wedle jego woli, i zanim sobie zdał sprawę ze swoich uczuć, zaczął mówić:

– Wiesz, gdy już będziesz zupełnie zdrow, każemy przysłać twoje rzeczy z miasta i zamieszkaś tu u nas w nowym budynku. Będziemy chodzić na polowania do lasu i prowadzić spokojny zgodny żywot, a od czasu do czasu utniemy sobie poważną rozmowę.

Major odwrócił głowę w stronę Daga i spojrzał na niego wystraszonym wzrokiem, tak jakby wrócił z krainy śmierci; potem jednak ułożył głowę na poduszce wedle wskazań lekarza i patrzył już tylko spokojnym wzrokiem na Daga. Ten ucisnęła serdecznie jego dłoń. Chory dyszał ciężko, nie odezwał się ani słowem, ale spojrzenia jego Dag nie zapomniał do końca życia.

Major umarł tej samej nocy.

Posłano zaraz po Unn Hamararbö, żeby „trzymała straż” przy zmarłym, jak to się wedle tradycji nazywało.

Adelajda dowiedziała się o śmierci ojca dopiero nazajutrz rano, ale nim przyszła do pokoju, Unn zdjęła podpasękę z brody i ciężarkę z powiek majora. Pościel była czysto powleczone, prześcieradło gładziutko wyprostowane, z niebiesko pomalowanych ścian padał na nie błękitny odcień. Głowa majora spoczywała wysoko na poduszkach, ze śnieżnobiałą opaską na czole.

Stanąła bez ruchu. Czy naprawdę jej ojciec był tak dziarski? Wszystko, co za życia było w nim jakby niezdrowe, obrzmiałe, spuchnięte, obecnie zniknęło bez śladu. Twarz o gęstych, silnie zarysowanych brwiach miała wyraz zdecydowany, energiczny. Usta o pełnych, ale kształtnych wargach były szczelnie zamknięte, a wystający, mocny podbródek dopełniał obrazu. Oto tak wyglądał potomek długiego szeregu rycerskich pokoleń.

Widok ten poruszył widocznie niejedno wspomnienie i w sercu ojca Daga, gdyż stał bez ruchu, wpatrując się dłuższy czas w zmarłego. Potem, zacerpnąwszy głęboko powietrza, rzekł:

– Pokój twej pamięci, majorze. – Następnie podszedł do łóżka i ujął sztywną rękę. – Dzięki za wszystko dobre – dodał zachrypniętym głosem.

Adelajda zalewała się łzami, ale nie podeszła do łóżka. Może dlatego, że stał tam ojciec Dag, a może z tego powodu, że siedziała tam Unn, sztywno oparta o ścianę; najprawdopodobniej zaś z tej przyczyny, że wychowanie i życie nauczyły ją w najważniejszych chwilach nie ulegać odruchom serca.

Zaraz po pierwszej wizycie doktora posłano do miasta umyślnych posłańców, ażeby uprzedzić rodzinę i przyjaciół majora. Zjechali za późno i nie zastali go już przy życiu, ale wzięli udział w pogrzebie. Przez dwa dni dom był pełen gości.

Przy stole, przed odjazdem do kościoła na mszę, wypowiedziano o majorze Barrem więcej dobrych i przyjaznych słów niż przez całe jego długie życie.

Gdy ostatni goście opuścili Björndal, zdawało się Adelajdzie, że wraz z nimi znika stąd wszelkie życie i ruch.

Od czasu, gdy dowiedziała się od panny Kruse o owej przerażającej prawdzie, trzymała się z dala od wszelkiej pracy w domu. Cały ciężar przyjmowania gości przybyłych na pogrzeb spoczywał na barkach panny Kruse, która cicho i spokojnie weszła z powrotem w swoje obowiązki.

Adelajda starała się nie myśleć o niczym. Zajmowała się gośćmi, rozmawiała z nimi, zagłuszając tym wszystko inne, ale po ich wyjeździe znów opadły ją wyrzuty sumienia, że tak mało ostatnio poświęcała się ojcu, że go nie odwiedzała częściej, że nie była serdeczniejsza dla niego i bodaj nie pogłaskała go raz jeszcze po rękę. Nie mogła sobie tego wybaczyć.

Malcy przeważnie bawili się sami. Przybiegali na jedzenie do kuchni, poza tym wałęsali się po podwórzu, gdzie kręciła się służba. Adelajda zajmowała się nimi tylko rano, gdy trzeba ich było ubrać, i wieczorem, gdy kładła ich spać. Jadała w jadalni z ojcem Dagiem, ale i on w tych dniach był milczący i zamyślony.

Mąż jej był w dzień pogrzebu w domu, ale tak zajęty swoimi myślami, tak ponury, że serce jej się krajało, gdy patrzyła na niego. Tego samego wieczoru udał się znów z powrotem do lasu.

Adelajda położyła dzieci do łóżek. Sypiały jeszcze i teraz w pokoju Daga, tyle tylko, że drzwi na noc pozostawiała otwarte.

Stała przed lustrem w swoim pokoju, ale bała się w nie spojrzeć, nie chciała widzieć rozpaczy w swych oczach. Przyglądała się tylko włosom, czesząc je jak zwykle i upinając starannie przed zejściem na kolację.

Siedzieli we dwójkę przy stole; właściwie oboje jedli bez apetytu, milczeli też jak zwykle; bo i jak tu mówić, i o czym? Powiedziała cicho „dobranoc” i skierowała się do sieni. Na górze czekał ją rozpaczliwie samotny wieczór i bezsenna noc.

Nagle ojciec chrząknął i spytał:

– Nie mogłabyś trochę tu jeszcze pozostać?

Słowa te padły tak nieoczekiwanie, że zatrzymała się niepewnie w drzwiach, jakby pragnęła raz jeszcze je usłyszeć. Odwróciła się do niego i spojrzała zdziwiona. Wzrok pełen oczekiwania tak wymownie zdradzał jej głębokie cierpienie, że ojciec Dag stropił się. Poprzez jej oczy zaglądnął w dno zbolącej duszy.

Bez słowa podszedł do niej, objął ramieniem i poprowadził do pokoju w starym budynku.

– Posiedźmy dzisiaj tu – powiedział, zapaliwszy ogień pod kominkiem i przysunął do niego dwa krzesła.

Adelajda postawiła swoje w ten sposób, że miała przed sobą cały pokój. Stare, o zielonkawym odcieniu szyby w oknach ożyły w blasku ognia, jak ciemne oczy błyszczały metalowe okucia złotymi refleksami. Dotychczas pokój ten uważała za bardzo poważny i nieprzytulny z uwagi na broń porozwieszaną pod pułapem i na ścianach, która była jakby niemym świadkiem owej epoki, kiedy to życie jeszcze było dzikie, nieosiadłe i bardzo twarde. Ale przeżycia ostatnich lat, a głównie to, co się stało ostatnio, spowodowały, że i ona się czuła jakaś dojrzała, i pokój ten nie wydawał się jej taki obcy, daleki... Tak, przecież i teraz życie jest twarde, dzikie, nielitościwe...

Głos Daga wyrwał ją z zamyślenia. Przypuszczał pewnie, że myśli o ojcu.

– Tak – mówił – śmierć kogoś bliskiego zawsze nas porusza do głębi; odchodzi człowiek, ażeby już nigdy nie wrócić. Wydaje mi się czasem, że tylko po takiej stracie stajemy się na pewien czas takimi, jakimi powinniśmy być zawsze. Wtedy bowiem nasz wzrok łatwo przenika drobiazgi, które zazwyczaj przesłaniają lub przynajmniej zmieniają obraz najbliższego człowieka. W takiej chwili pamiętamy tylko to, co w nim było wartościowe i co dzięki naszej pomocy mogłoby się może rozwinąć, gdybyśmy tego chcieli i okazywali, że widzimy te zalety i uznajemy je. Ale niestety! Dzieje się tak, że my, ludzie, nie chcemy jeden drugiemu pomagać.

Mówiąc to, Dag miał na myśli i ją, i siebie. Nie przeczuwał jednak, jak bardzo ją to dotknie. Zdumiony ujrzał, że łka boleśnie. Ale nie rzekł nic; patrzył spokojnie w ogień. Płakała jak niegdyś przy śmierci dzieci...

Uspokoila się; ale ciałem raz po raz wstrząsały spazmatyczne dreszcze. Ogień przygasał sycząc, około dopalających się polan skakały tylko małe płomyki. Dag spoglądał w ogień, oparłszy twarz na rękę.

– Tak, tak – powiedział cicho – gdy człowiek patrzy wstecz na swe życie, napotyka tyle trosk i zmartwień, że mógłby się załamać... Ale... – Podniósł głowę, z rysów biła pewność i siła, towarzyszące mu zawsze w decydujących chwilach. – Dopóki żyjemy i oddychamy, życie stawia nam swoje wymagania. Pomimo wszystkich niepowodzeń i rozczarowań musimy stale dążyć naprzód i z każdego cierpienia wyciągnąć jakąś naukę.

Po tych słowach milczał przez dłuższy czas, nie wiadomo, czy się zamyślił, czy też pragnął dać Adelajdzie czas do zastanowienia się nad jego słowami.

– Wiesz – zaczął na nowo – nieraz miałem ochotę pogadać z tobą o tamtych naszych tematach, pamiętasz, jesienią i zimą, dwa lata temu. Wracałem stale do Biblii twego dziadka i na niej opierałem poważne rozmyślenia. Doszedłem do pewnych wniosków i starałem się według nich ułożyć swe życie. Ale jakoś dotąd nie mogłem znaleźć odpowiednich słów, ażeby i ciebie w to wtajemniczyć... Może dziś wieczór mi się to uda, spróbuję. To, co tam jest powiedziane o modlitwie i miłosierdziu pańskim, jest to po części może... słuszne w pewnej mierze, ale nie zda się na nic temu, kto opierając się na nich, sam usypiać będzie. Moje udręki i rozmyślenia na temat odpustu były słuszne. Ale nie tylko nasze dobre uczynki są oparte na dążeniu do zdobycia sobie tanim kosztem odpuszczenia win. To samo jest z modlitwą. Nasze myśli zakorzenione są w nas zbyt głęboko. Trudno je z tego gruntu wyrwać. Myślałem o tym, co ci opowiadał Dag o życiu i śmierci po tym wypadku na Górze Śmierci, o tym, jak to dusze niby owe rośliny wciąż poruszają się wraz z biegiem wody, a nie mogą z miejsca ruszyć, gdyż korzenie ich są zrosnięte z życiowym swym podłożem. Tak się dzieje zawsze podczas naszego pobytu na ziemi. Pomimo że nasze myśli prą naprzód, nie jesteśmy w stanie oderwać się od tego, co ludzkie, przyziemne. Całe życie dążymy do tego, ażeby tylko wyciągnąć ze wszystkiego największe korzyści dla siebie, czy dotyczy to życia na ziemi, czy też wieczności. Kto to rozumiał, ten musi dojść do wniosku, że przygotować nas do życia wiecznego może tylko sam Pan Bóg. Znajdziemy łaskę u Wszechmocnego, jeśli będziemy dobrze czynić, najlepiej, jak potrafimy, a możemy to robić tylko tu, na ziemi. Na nic się zda staranie, ażeby wcisnąć się do wieczności za pomocą modlitwy czy zbożnej myśli. Nic nam one nie pomogą. Jesteśmy bowiem całe życie nastawieni tylko egoistycznie, wszystkie nasze myśli są skierowane na uzyskanie odpustu bożego czy to przy modlitwie, czy też spełnianiu dobrego uczynku. Wszystkie dokonania nasze wyrastają z egoistycznego podglebia...

Dag nie był z siebie zadowolony. Nie wypowiedział tego tak jasno, jak mu się to przedtem układało w głowie. Zdawało mu się, że Adelajda go nie słucha. Przykucnął przed kominem i dołożył nową szczapę. Buchnął płomień.

Myśli jego jakby z ogniem ożyły na nowo, oparł się o poręcz fotela z miną człowieka, któremu rozjaśniło się w głowie, i podjął dalszą nic rozumowania.

– Otóż, jeżeli siły i moc nasza nie sięgają poza życie, trzeba je zużytkować tu, na ziemi. Nie wolno nam gubić się w książkach ani w czcnych słowach ani pogrążyć się w rozpacz, bo nasze możliwości są tak bardzo ograniczone. Musimy się z tym pogodzić, że jesteśmy tylko ludźmi i że na tę ostatnią podróż musimy zdać się na Pana, gdyż wszelkie nasze wysiłki w tym kierunku są daremne. Nie jestem zwolennikiem odmawiania wielu pacierzy i modlitw rankiem, gdy człowiek zaspany, czy wieczorem; należy się ograniczyć do *Ojciec nasz*; tego samego zdania był mój ojciec. W tej bowiem modlitwie jest sporo prawdziwych słów, trzeba więc ją uważnie odmawiać, ażeby zapadły na cały dzień w duszę, a potem wziąć się do pracy. Tego żąda od nas życie. Żyjemy, dopóki tu jesteśmy na ziemi. Ostatni wiersz w Biblii biskupa: *modlitwa jest jedyną drogą do Boga*, może mieć również i inne znaczenie. Ja to sobie tłumaczę w następujący sposób: dążymy do Boga nie tylko za pośrednictwem myśli i specjalnie ułożonych formułek, ale i nasze czyny są modlitwą. A czyn w życiu człowieka to wielka rzecz, przydaje się jemu i innym. A myśli i modlitwy nikomu, prócz nas, nie przynoszą korzyści. Tak mi się to jakoś ułożyło; przedtem wcale tego nie mogłem rozwiązać. Gdybym był duchownym, co niedziela prawilbym kazanie, w którym nawoływałbym, ażeby ludzie okazywali wzajemnie sobie serce i dobrą wolę i pomagali sobie, bo to jest jedyna droga do Boga, przynosząca owoce nam i bliźnim również.

– Teraz pojmujesz – ciągnął dalej – dlaczego zacząłem jeździć po osiedlach i odwiedzać drwali. Tam jest dużo do zrobienia. Podczas tych wędrówek przebywam w lesie, obcuje z naturą i odnajduję w niej, w zmianach pór roku – Pana Boga, tak samo jak w książkach i modlitwach. Gdy prowadzę malców w góry, czuję się odmłodzony, a dzieci korzystają i zachowują wspomnienie na dalsze życie. Może kiedyś słowa moje będą dla nich podporą, umocnieniem. Jesteśmy tylko słabymi istotami, Adelajdo! Pomimo że czujemy się pozornie silni duchem, każdy z nas potrzebuje ostoji w życiu. Szukamy jej w kościele, w rodzinie, u najbliższych przyjaciół. Gdybym podpory tej nie miał, istniałyby dla mnie tylko pieniądze, i to byłoby nieszczęściem dla wszystkich, tu w osiedlu, w górach i dolinach.

W ojca Daga wstąpiła na nowo dawna niezmożona siła. Blask ognia otoczył jego głowę jakby aureolą; po chwili jednak żar przygasł, a mrok starej izby zaczął spowijać ich oboje.

Gdy Dag podniósł w końcu głowę, Adelajda spuściła oczy. Brzmiały jej jeszcze w uszach jego mocne, pełne przekonania słowa. Dla niej, tak bardzo zrozpaczonej, były w tej chwili uosobieniem spokoju i opanowania.

Szła po schodach, uginając się jakby pod jakimś ciężarem... Więc ojciec Dag znalazł dla siebie drogę i przewyciężył to, co go gnębiło; bez jej pomocy stał znowu pośród życia pełen spokoju. Zapewne nigdy już z nią na ten temat mówić nie będzie. To, co mówi, jest słuszne i prawdziwe, ale niestety, nie stosuje się do niej. Jaki czyn mogłaby ona spełnić? W jaki sposób może odnaleźć w swym monotonnym, bezbarwnym życiu drogę do Boga?

Weszła do swego pokoju biedniejsza niż kiedykolwiek.

40

Stary Per Barvoll z młodym pomocnikiem z Friland zwozili pnie na brzeg rzeki poniżej Svatjern. W dzień pogoda była dość ciepła i bezwietrzna, ale nocny przymrozek uczynił drzewo diabło oślizłym. Per był jeszcze dość rześki i zazwyczaj przy pomocy chłopca łatwo sobie dawał z tym radę, ale dziś robota szła niesporo; chłopak, jeden z najmłodszych, aż sapał ze zmęczenia, gdy Per przysiadł na chwilę na pniu, by odpocząć.

Per spojrzął na blade zimowe słońce i na szary horyzont na zachodzie i pomyślał, iż wkrótce będzie można pójść do chaty nad jeziorem i zasiąść z fajką koło ogniska. Ale jeszcze było nieco za wcześnie na zakończenie pracy, trzeba jeszcze trochę się pomozolić przy wyciąganiu grubego pnia ze stosu i odrobić co nieco z jutrzejszego. Potrzęsali i poruszali ciężką kłodę, chodzili wkoło niej, przyglądali jej się ze wszystkich stron, odskrobywali nogami śnieg, drapali się w głowę i wciąż na nowo zabierali do roboty. Daremnie! Nagle usłyszeli lekkie posuwanie się nart po śniegu. Stał przed nimi młody Dag we własnej osobie.

Pod policzkiem miał bruźdę, która albo podnosiła się w górę przy dobrodusznym uśmiechu, albo z wyrazem surowości wyciągała się w dół. Nigdy jednak nie można było odgadnąć, czy stanie się to pierwsze czy drugie. Młody pan był nieobliczalny. Oczy jego najczęściej miały wyraz melancholijny i były ciemne, ale i w nich zapalały się czasem wesołe ogniki, a wtedy rozbłyskały niebiesko. Jeśli ta wesołość trwała dość długo, aby podnieść w górę opadłą fałdę policzka, wówczas na surowej zwykle twarzy zjawiał się wyraz tak serdecznego ciepła, że każdy, kto pierwszy raz widział to nagłe przeobrażenie, był nim oczarowany.

W tej chwili ani w oczach, ani w fałdzie na twarzy nie było nic miłego, nic przyjaznego, malowała się szorstka, nieprzystępna obojętność.

Per wyprostował się zawstydzony nieco, że zaprezentuje w obecności swego pana niezdatną robotę; pień w dalszym ciągu nie poruszył się ani o cal...

– Nie damy rady, przymarzył – usprawiedliwił się.

Dag podjechał bliźutko, odpiął narty i pochylił się nad pniem.

– Kto niczego nie umie, nigdy niczego nie zrobi! – powiedział. Następnie objął ramionami pień i wyrwał go potężnym szarpnięciem. Przymocował z powrotem narty i bez słowa pojechał dalej.

Stary Per Barvoll siedział zmęczony przy kominie w chacie na Svatjern i pykał fajeczkę. Była tam już resztką tytoniu. Policzki pracowały, wydymając się mocno, poruszała się również i broda. Ponieważ wiedzieli, że Dag krąży w pobliżu, mogli wypocząć dopiero po skończeniu całej pracy, wyznaczonej na ten dzień, a historia z przymarzniętym pniem leżała nad nimi jak cień. Po wieczery chłopak położył się, a Per z fajką w zębach siedział zmartwiony... Nagle zerwał się, słysząc jakiś odgłos, schował fajkę szybko do kieszeni i splunął w ogień.

Dobiegł go odgłos stawiania nart pod ścianą chaty i po chwili wszedł młody Dag. I on także usiadł przy ogniu, bo trząsał się z zimna po długiej jeździe. Per zastanawiał się, czyby go czymś nie poczęstować, ale Dag miał plecak z sobą; sam sobie na pewno coś przyrządzi.

Młody Dag zaczął palić dopiero od niedawna i właściwie czynił to rzadko; wyciągnął teraz z torby glinianą fajkę i paczkę z prowiantem. Siadł przy kominie, wziął nóż, obskrobał fajkę i pochwycił trochę żaru z ogniska.

Per siedział skulony pokornie na swym miejscu, ale bacznie śledził ruchy Daga i nie mógł się powstrzymać, żeby nie wciągnąć głośno zapachu tytoniu, gdy Dag zaczął palić.

Dag spojrział przelotnie na niego, sięgnął do kieszeni i wyciągnął zwinięte liście tytoniowe.

– Masz – powiedział, rzucając mu zwitkę.

Per nie zdążył chwycić i musiał jej potem szukać pod stołkiem. Wybełkotał:

– Serdecznie dziękuję, nie mogę przyjąć! – Czyścił pracowicie i skrobał fajkę. Następnie wstał i chciał wręczyć Dagowi zwitkę z powrotem.

Możesz sobie zatrzymać – powiedział Dag. Jak to, całą? spytał Per. Dag nie odpowiedział. Per siadł z powrotem na stołku i zaczął odwracać i oglądać na wszystkie strony sporą paczuszkę.

Dag nie był tu w tej chacie od czasu wypadku na Górze Śmierci. Po co dziś przyszedł? Może miał wyrzuty sumienia, że zbyt szorstko się obszedł ze staruszką? Może chciał to załagodzić?

Minęła wiosna i lato, nadeszła jesień.

Młody Dag szedł pewnego słonecznego dnia ze wschodu w kierunku Skarfjell. Niebo było jeszcze jesienne, jasne i przejrzyste...

W okolicy tej rosło więcej osik, jarzębiny i brzoź niż drzew iglastych i jesienna trawa zawsze pokryta była masą żółknących różnobarwnych liści. Te, które leżały w cieniu, były pokryte szronem, ale tam, gdzie padały promienie słońca, ciemne były od wilgoci.

Dag wędrował na przemian w cieniu lub słońcu, zależnie od promieni prześwitujących przez liście trzymające się jeszcze gałęzi. Oczy jego to wpatrzone były w ziemię zasłaną listowiem, to podnosiły się ku niebu. Z rozkoszą chłonał zimne, suche powietrze; widać było parę idącą z jego ust. Szedł ostrożnie, lekko, wypoczęty po nocy, rześki, z wyostrozonym słuchem.

Ostatnio prześladowało go o zmierzchu uczucie, że ktoś czy coś idzie za nim, a chwilami nawet jest tuż przy nim. Czasami był to po prostu trzask chrustu w pobliżu, czasami jednak zdawało mu się, że coś się ostrożnie prześlizguje po mchu, po kępkach dzikich ziół. Były to jakieś skradające się, ciche kroki, tak delikatne, że się rozplywały raz po raz w głuszy nocnej, i tylko jego wyostrozony słuch chwycił je dzięki niesłychanemu wysiłkowi.

Czyżby jakiś sprytny niedźwiedź tak przemyślnie się przekradał? A może człowiek? Ale gdy przy świetle dziennym szukał śladów – nigdzie ich nie było. Nie do pomyslenia, ażeby niedźwiedź miał być tak przezorny i rozważny i stawiał łapy tylko na kamieniach. A ledwo dostrzegalne jakoweś znaki na mchu i oszronionej trawie kształtem absolutnie nie przypominały pazurów niedźwiedzich. Był to raczej równie doświadczony myśliwy jak Dag, który na butach nosił pończochy ze skóry łosiowej. Czynił to i Dag, gdy chciał wytropić szczególnie płochliwą i wrażliwą na szmery zwierzynę. Pierwsze takie pończochy otrzymał w prezencie od ojca jako mały chłopiec; poza tym u nikogo podobnych nie widział.

A może jest to ów obcy przybłąda, morderca, który zamierzał się w chacie na Vestli na niego toporem. Czyżby to on śledził Daga w losiowych pończochach na nogach? Czyżby był aż tak mściwy i szukał wciąż odwetu za tamto?

Daga rozgniewało takie postępowanie. Więc to tak? Dobrze! Będzie czułwł którejś nocy przy ognisku, tylko trzeba przedtem znaleźć odpowiednie miejsce, aby mieć plecy osłonięte, i niech się ten łotr tylko zjawi, a otrzyma porządną nauczkę!

Takie gniewne myśli snuł Dag podczas porannej wędrówki, którą przedsięwziął w tym celu. Dążył do Skarfjell. Dość daleka droga, ale są tam takie miejsca, gdzie można przebywać bezpiecznie, mając ognisko przed sobą, a plecy oparte o skałę. Gdy ogień zacznie przygasać i widać będzie postać pozornie śpiącego Daga, włóczęga na pewno się zjawi.

Zalesione zbocza, po których Dag się wspinał, prowadziły na wysoki grzbiet; za nim ciągnęły się olbrzymie moczary, poprzecinane wąskimi pasami ziemi porosłej karłowatą brzezina.

Dag znalazł się na samym szczycie; nagle stanął, jakby wrósł w ziemię. Błyskawicznym ruchem zdjął strzelbę z ramienia i położył ją na kolanie, lewą ręką podtrzymując lufę, prawą kładąc na cynglu. Na jednym z pasów ziemi przecinających bagna stał samiec-łoś, silne, ogromne zwierzę, nasłuchując czujnie pośród pustych bagien. W lekkiej mgle, unoszącej się nad ziemią, kołysały się swobodnie białe strzępy wełnianki.

Dag zacisnął ręce na fuzji – przyzwyczajenie nakazywało mu strzelać na widok zwierzyny – ale nie drgnął. Naprzód w oczach jego pojawił się zimny błysk, jak zwykle w momencie powzięcia ważnej decyzji, ale po chwili jakby zmiękł, złagodniał; popatrzył zamyślony w dal.

Łoś przeciągnął się, zniżając kłęby i prostując za siebie długie tylne nogi. Prząd cielska pozostał jednak nieruchomy w tej samej groźnej pozycji. Podniósł łeb do góry, jakby miał zaryczeć. Potężne łopaty położył na grzywie karku. Czarne chrapy, wietrzące niebezpieczeństwo, drgały połyskując w świetle. Ciepły oddech zamieniał się w kłęby pary, które go spowijały całego.

Dag nigdy chyba nie widział tak potężnego okazu. Może i dlatego, że nigdy nie zadał sobie trudu obserwowania. Zwykle padał strzał równocześnie z chwilą, kiedy mu się coś takiego na oczy pokazało. To było jego zwyczajem, ale dziś czuł się w jakimś dziwnym usposobieniu. Gdyby łoś zechciał stać dłużej, byłby najchętniej podszedł do niego, chwycił za potężne łopaty, potrząsnął karkiem i poczochrął palcami w gąszczu grzywy i brody.

Olbrzym pośród moczaru czuł się widocznie całkiem pewny siebie, jak pewny siebie był on sam parę lat temu. Teraz czuł się w domu nieswojo, a i tu, w lesie, coś jakby czai się na niego. I miałbyż on nie przeczuwającemu złego zwierzęciu wpakować w serce zdradziecką kulę? Nie, zrobi to może kiedy indziej, gdy będzie w innym nastroju.

Czy aż tak zmieniły się jego zwyczaje? Nie, tylko zaczyna wczuwać się w las i jego prawa. Nigdy nie był tak mocno z nim zespolony. Spokój, który w przyrodzie obejmuje wszystko, co żyje, udzielił mu się również i dlatego ta czyjaś zawiść, tropiąca go aż tu, w dzikim ostępie, zdawała mu się przykrym ostrzeżeniem.

Zdjął rękę z kurka i uderzył nią mocno w kolbę. Łoś nagle opuścił głowę, jakby się chciał zrobić mały, jak najmniej widoczny, skoczył w bok, a potem w dzikim pędzie dopadł jodłowego lasu za moczarem.

Wysoko na zachodnim zboczu Skarfjell ukazało się małe ognisko, wyglądające z daleka jak gwiazda. Ale im bardziej zapadały ciemności w lasach, tym mocniej jaśniał ów ogień.

Dag poszedł dawną ścieżką biegnącą w kierunku zachodnim i doszedł do zakrętu, zanim wieczorny zmrok przełamał jasność jesiennego dnia. Stamtąd spoglądał w zamyśleniu to w dół na doliny ciągnące się z południa i zachodu, to w górę na północ, na wysokie szczyty, zarysowujące się ostro zimową już bielą na tle błękitu. Zapatrzył się w ten fascynujący widok i przypomniał sobie, jak z uporem przedarł się kiedyś na Górę Śmierci, podczas gdy broniły jej jeszcze zimowe burze.

Wiatr dał tu nieoczekiwanie zimny i przewiewał mu plecy. Oparty o skałę jadł wieczerzę. Ogień na wietrze syczał, rozchodziło się od niego przyjemne gorąco. W chwilach kiedy wiatr odbijał się od skalnej ściany i dał w żar – płomienie wychylały się ku niemu lub strzelały w górę, rozpraszając ciemności. Otaczał go rzadki las jodeł i świerków. Niektóre pnie były powykrzywiane, a gałęzie od strony wiatru suche. Gdzieś tam rosły brzozy i osiki. Nazbierał sporo chrustu na podściółkę, tyle nawet, że miał czym się przykryć, ale wiedział, że i tak tej nocy nie będzie spać.

Gryząc chleb, nastawiał uszu i wsłuchiwał się we wszelkie szmery; wyteżał wzrok, aby dojrzeć coś w ciemnościach. Po zaspokojeniu głodu i zamknięciu plecaka czuł się spokojniejszy. Po długiej, męczącej wędrówce w ciągu dnia i od ciepła ogniska popadł znów w zwykłą obojętność; oparł łokcie na kolanach, twarz na dłoni i zadrzemał. Słyszał tony jakby pochodzące z wieczności... W poszumie wiatru hulającego na szczycie Skar fjell dźwięczała przedziwna muzyka zaświatów. Monotonny, usypiający dźwięk dochodził tu z wielkiej przestrzeni, a jezioro u stóp północnego stoku obijało się z szumem o skaliste brzegi. Dag coraz bardziej przechylał się w stronę ognia, coraz rzadziej otwierał oczy, ażeby rozglądnąć się.

Nagle podniósł głowę i siedział bez ruchu, wpatrując się bacznie w ciemności za ogniskiem. Tak, tam, na końcu ścieżki...

W blasku ognia coś zamajaczyło jakby zjawa... Ale twarz ludzka! Postać prosta, wysoka. Trwało to sekundę i znikło.

Bo też to, co wprawiło go w takie zdumienie, było istotnie czymś niespodziewanym – zjawa ta przypominała postać ojca! Czyżby groziła mu śmierć? I czyżby przecucie tej właśnie śmierci przesładowało go w ostatnich czasach? Słyszał nieraz, że tak bywa.

Ludzie lasu potrafią niejedno opowiedzieć o przecuciach i zjawach przed śmiercią kogoś bliskiego. Ale czy naprawdę był całkiem już rozbudzony, gdy mu się to widzieć zdawało, czy też na poły spał jeszcze? Nie zdawał sobie teraz z tego sprawy.

Pochylił się sennie ku przodowi, ale wówczas uszu jego doszedł jakiś odgłos i gdy podniósł głowę – ojciec stał przed nim.

Zawirowało mu w głowie przypuszczenie. Więc ojciec go śledził – stąd owe ostrożne szmery, których nie mógł pojąć ani dociec. Więc owe niewyraźne ślady pochodziły od jego pończoch łośiowych. Ale dlaczego ojciec śledził go po kryjomu, a nie zbliżał się do niego otwarcie?

– Męczące jest wspinanie się na górę – rzekł stary sapiąc. Cały był w potach.

Koło ognia leżał wielki, porośnięty mchem kamień. Siadł, położył strzelbę i plecak obok siebie, popatrzył w ogień i w ciemną noc, i bardzo długo w niebo, jakby pragnąc odnaleźć tam wszystkie konstelacje gwiazd. Następnie znów w ogień, a syna jakby nie widział. Ojciec Dag, taki pewny siebie wobec wszystkich, w obecności syna, od czasu gdy ten dorósł, stawał się jakby onieśmielony. Nie wtrącał się do jego życia, wyjąwszy może ożenek z Adelajdą. Oczywiście on ich połączył, był tym przecież, który w imieniu syna wypowiedział decydujące słowa... Ale to była właściwie jedyna ingerencja w jego życie.

Pomiędzy ojcem a synem leżała jakaś przegroda, dystans nie do przebycia. Kiedy Dag dorastał, matka rządziła domem i miała masę spraw osiedla na głowie, a stary Dag tak był zajęty sprawami majątkowymi, że nie miał głowy do niczego, nawet dla synów.

Dlatego też Dag chował się sam; nikt właściwie nie znał jego duszy. Z natury milczący jak jego przodkowie. Las i samotność nie mogły go rozmowności nauczyć. Stary nie miał pojęcia, czy syn wie o tym, że on bywał tak twardy w sprawach pieniężnych, i co o tym wszystkim myśli. Nie wiedział także, czy mu bierze za złe, że zupełnie się nim nie zajmował i nie interesował.

Taki był stosunek ojca do syna, pomimo siły woli starego i jego charakteru. Zresztą zdarza się to i innym, że się czują jacyś onieśmieleni i niepewni właśnie w stosunku do kogoś najbliższego. I chociaż w ostatnich latach ojciec Dag uważał za swój obowiązek zbliżyć się do otoczenia i możliwie pomóc każdemu, na ostatku dopiero pomyślał o synu.

Od czasu słów pastora o majorze doszedł do wniosku, że prawdą jest, iż każdy człowiek potrzebuje jakiejś ostoji w życiu, a wyrzuty sumienia zwróciły mu uwagę w końcu, że tej podpory potrzebuje może ktoś tak bardzo mu bliski.

Młody Dag nie wiedział i nie mógł wiedzieć, jakie duchowe walki przechodził jego ojciec w ukryciu, blisko niego, i ile razy wycofywał się w ostatniej chwili z decydującej rozmowy w cztery oczy. Jedenaście lat temu stary uległ po raz ostatni pokusie zbliżenia się do syna. Było to wiosną po śmierci matki i... zabrał wówczas rotmistrza Klingego ze sobą, ażeby nie zostać sam na sam z synem. Od tego czasu stary Dag nie przypominał sobie, ażeby kiedykolwiek przez dwa dziesiątki lat rozmawiał z synem w cztery oczy – chyba przelotnie o pogodzie czy o innych nieważnych sprawach.

Młody wciąż jeszcze siedział przed ogniem skulony, z brodą opartą na dłoniach. Raz czy dwa spozjrzał na ojca, a potem na wygwieżdżone niebo, jakby chciał sprawdzić, czy ojciec widzi tam jakieś niezwykle zjawisko... Wicher uspokoił się nieco, ale pomiędzy skałami od czasu do czasu ciągnęło przejmujące zimno, a z lasów i od jezior dobiegały pomruki i szum wody.

Ojciec dorzucił trochę gałęzi do ognia i przyglądał się, jak płomień je ogarniał, a dym nił w ciemnościach.

– Czyś widział już tego roku niedźwiedzia? – spytał w końcu. Dag jakby się zastanowił.

– Nie, tego roku jeszcze nie. Napotykałem ślady na północ od Svatjern i chaty na Vestli, a także i tu, w pobliżu gór. Rybak Börre mówił, że widział jednego nad wodą.

– Łosie w tym roku zapuszczają się daleko – powiedział nagle stary.

Syn obrzucił go szybkim spojrzeniem... Czyżby ojciec znajdował się tak blisko niego dzisiaj, iż był świadkiem sceny z łosiem na moczarze?

– Bo wszędzie są świeże ślady. – Ojciec Dag poruszał rozmaite tematy, przed każdym zdaniem zastanawiał się, jakby nie wiedział, od czego zacząć. Mówiąc nie patrzył na syna, spoglądał w ogień, na ziemię lub w kierunków szczytów; przeważnie jednak patrzył w niebo, gdzie pojawiało się coraz więcej gwiazd.

Przynieśli obaj jeszcze chrustu, sporządzili posłanie i dla starego; położyli się w końcu. Syn oparł się o skałę, a ojciec o blok kamienny, na którym przedtem siedział. Patrzyli obaj w ogień, plecaki podsunęli pod głowy, strzelby gotowe do strzału leżały obok, mieli je pod ręką. Czuwali.

Długo leżeli w milczeniu, gdy wreszcie ojciec zaczął bardzo niepewnym głosem:

– Na pewno słyszałeś albo zauważyłeś, że byłem człowiekiem twardym, nieugiętym, bezwzględnym w interesach, w prawowaniu się z ludźmi, w ogóle w sprawach pieniężnych. Ale to było kiedyś. Takie postępowanie wykołaja człowieka. Bywają ludzie, którzy aż do śmierci są chciwi na pieniądze, nigdy nie mają ich dość, ale nie w tym leży sens życia... Właśnie chciwość ludzi, którzy się wybili, utrudnia tak bardzo życie drugim. Jeśli się chce zaznać spokoju i radości życia, trzeba dowieść, że się ma serce współczujące. Sobie się w ten sposób dobrze czyni i innym. Kiedyś, gdy po mnie dojdiesz do steru, spadnie na ciebie wielka odpowiedzialność. Musisz się mieć na baczności przed pochlebcami i fałszywymi ludźmi, którzy pragną żyć tylko na koszt drugich, sami próżnując. Jeżeli jednak napotkasz człowieka, który będzie pracować w miarę swych sił, ale nie będzie mu się wiodło, powinieneś mu dopomóc.

Tym podobne rzeczy mówił stary młodemu.

Z początku syn leżał nieruchomo, nie patrząc na ojca. Gdy zauważył, do czego ojciec zmierza, wykrzywił mu się z lekka policzek, połąbiła się fałda, ale utknęła jakby na pół drogi w górę w twardym, nienaturalnym grymasie, który mógł być uśmiechem. Utkwił błyszczące oczy w grze płomieni. Jego postawa świadczyła o tym, że ma w tych sprawach od dawna własne zdanie.

Całą noc zawiewał mroźny wiatr od skał i o śnie nie było mowy. O świcie przywędrował ostry, północny wiatr o mroźnych podmuchach i zaczął wyc w szczelinach skalnych, hulać i przeginać drzewa zwieszające się nad przepaściami.

Stary podniósł się dygocąc. Położył się spocony i pewno w nocy przeziębził się. Odchrząknął na wpół odwrócony plecami od syna, zarzucając sobie plecak i fuzję na ramię, i powiedział zachrypniętym głosem:

– Powinieneś się postarać... ażeby... jakoś znaleźć drogę do Adelajdy...

Dag siadł i patrzył długo za ojcem schodzącym wolno, ale pewnym krokiem z góry. Wkrótce znikł mu z oczu.

41

Od dawna już w pokojach w starym budynku nic się nie zmieniło. Ale w tym roku przybyło coś nowego do sieni: zegar. Wisiał dumnie na ścianie przy drzwiach prowadzących do kancelarii, tykał głośno i dźwięcznie wydzwaniał godziny w dzień i w nocy.

Zegar był jedynym dziedzictwem po ojcu Adelajdy i na jej życzenie został umieszczony w sieni; u niej w pokoju nie było odpowiedniego miejsca, zresztą głośne tykanie i bicie nie bardzo licowało z charakterem sypialni. Zegar ten sprowadził jej dziadek z Anglii; wyryta na nim była data sprowadzenia i nazwisko zegarmistrza, na cyferblacie zaś, na którym po wieczne czasy strzałki miały wskazywać godzinę, były wyryte słowa: *Memento mori*.

Zegar ten przypominał Adelajdzie ciężkie czasy biedy przy ojcu i nastrajał ją łagodniej, i pozwalał cierpliwie patrzeć na obecne troski. Ile razy przechodziła tamtędy, zawsze nań spoglądała, czyściła i pielęgnowała, uważając, że jest w większym stopniu jej osobistą własnością niż całe bogactwo, które ją tu otaczało.

Po owej nocy spędzonej na Skarfjell stary wrócił do domu dopiero następnego wieczoru. Był dobrze usposobiony, jak ktoś, kto spełnił ciężący na nim od dawna obowiązek, a do którego długo nie miał odwagi się zabrać. Przebrawszy się, usiadł w sieni przy kominie i wypił puchar wrzącego ponczu ziołowego. Wciąż mu się zdawało, że mróz poprzedniej nocy siedzi mu jeszcze w kościach. Przysunął się jak najbliższej ognia i dołożył parę polan brzoźowych. Nigdy jeszcze w życiu nie odczuł tak prawdziwie rozkoszy ciepła. Toż to dobrodziejstwo ten ogień pod kominkiem i ten rozgrzewający trunek, rozchodzący się warem po żyłach. Chciał zapalić, ale tytoń jakoś mu nie smakował; widocznie zaziębienie umieściło się w gardle.

Zegar przy drzwiach kancelarii zaczął wybijać godziny srebrnym, jasnym dźwiękiem. Ojciec Dag obrócił się w jego stronę razem z fotelem; wydzwoniła dziesiąta. Jaka miła rzecz taki bijący zegar! Odkąd tu jest, człowiek nigdy nie czuje się całkiem samotny. Tyka, działa niestrudzenie i dokładnie wykonuje swoje zadanie, uderzenie jego przypomina bicie dzwonu. A ten napis na cyferblacie, który mu Adelajda przetłumaczyła, powinno się jako wskazanie pamiętać w każdej godzinie życia.

Odwrócił się z powrotem do ognia i dorzucił drzewa, przysunął się jeszcze bliżej, oparł nogi o sam brzeg kominka; gorąco szło jak swędzenie w górę po nogach.

Następnego ranka dziadek tak kichał i kasłał przy jedzeniu, że chłopcy śmieli się z niego na cały głos. Śmiał się z nimi razem, ocierając chustką pot z czoła.

Potem poszedł z nimi na codzienny spacer na pastwiska. Trawa była tak pokryta szronem, że pozostawały na niej wyraźne ślady stóp. Starszy szedł tuż za dziadkiem i starał się stawiać równie duże kroki, ale miał za krótkie nóżki na to.

– Dobrze – pochwalił go Dag. – Zaczynaj za młodu chodzić śladami twego dziadka. – Potem położył rękę na główce młodszego, który milcząco dreptał koło niego: – Przyszły właściciel na Borgland! – powiedział cicho do siebie.

Chłopcy chcieli koniecznie wiedzieć, gdzie przebywał w ostatnich dniach, opowiedział więc im o Skarfjell – mieszkają tam dziwne zwierzęta, które rzucają ciężkie kamienie do jeziora; powstaje wtedy z tego taki huk, że rybak Börre dziwną siłą zostaje wyrzucony ze swego łóżka i budzi się raptem na drugim brzegu. Tak, dziadek, gdy był dobrze usposobiony, umiał opowiadać przedziwne historie o lesie i o dziwach, które się tam dzieją.

Prędko się jednak zmęczył i kazał im się bawić samym.

Znajdowali się w górnej części pastwisk, dziadek dociągnął z nimi aż do płotu odgraniczającego pastwiska od lasu. Siadł na kamieniu i oparł się o ogrodzenie.

Całą noc kaszlał i czuł się teraz dziwnie bardzo wyczerpany. Chwilami przebiegały go po krzyżu dreszcze; ogarniało go coraz większe zmęczenie. Na miejsce, gdzie siedział, padały promienie słońca, ale jesienne! Wcale nie grzały.

Ponad jego głową wiał lekki wiaterek, igrał z liśćmi ostałymi jeszcze na drzewach i leżącymi na ziemi. Obrócił głowę i spojrzał na najbliższe rosnące sosny. Wyglądały tak, jak gdyby swe gałęzie opierały na wietrze. Nigdy mu dotąd nie wpadło do głowy, że to tak właśnie wygląda, ale dziś odczuwał ten widok dlatego, że sam pragnął odpoczynku. Oparł się o płot i przymknął oczy; zazwyczaj tak bardzo rażno krążące mu po głowie myśli dziś także wypoczywały, jakby lekki podmuch rozwiewał je. Czuł w swoim wnętrzu wyzwalający śpiew lasów. Odkąd tylko zaczął rozumować, brzmiał mu on zawsze w uszach i sercu. Ach... chyba spadnie z tego kamienia... wprost na ziemię... w ziemię... zniknie, mały, drobny, rozwieje się w tym cichym falowaniu leśnym... Nagle gwałtowny atak kaszlu przywołał go do rzeczywistości. Po wyrzuceniu flegmy wstał, przytrzymując się płotu. Trzeba jednak pójść do domu, póki się jeszcze jest przytomnym.

Zawołał chłopców i wzięwszy ich za rączki, skierował się chwiejnym krokiem z powrotem przez pastwiska do domu. Malcy przyglądali się bacznie dziadkowi, który mocniej niż zwykle ścisnął ich dłonie, ale nie oponowali, bo i tak z trudem tylko mogli mu dotrzymać kroku.

Przyszedłszy do domu, padł na fotel przed kominkiem. Wydało mu się, że w pokoju jest wyjątkowo zimno, dorzucił więc drewno, po chwili buchnęły silne płomienie.

Adelajda, która szła akurat z kancelarii w kierunku schodów, zauważyła to:

- Tak mocno palisz? – zapytała zdziwiona.
- A tak... zimno tu dziś.

Popatrzyła na niego badawczo i wolno zaczęła wstępować na schody.

Ojciec Dag pozostał w łóżku! Nikt, nawet najstarsza czeladź nie mogła sobie przypomnieć, ażeby kiedykolwiek coś podobnego się zdarzyło. Wprawdzie powiedział, że jest bardzo strudzony, wypoczynek potrwa tylko jeden dzień, ale na obejściu zapanowała niezwykła cisza. Również i następnego dnia nie przyszedł do stołu i posiłek, który mu zanesiono, powrócił do kuchni nie tknięty.

Adelajda przypuszczała, że może będzie mu nieprzyjemnie, gdy odwiedzi go w sypialni, ale gdy pozostał drugi dzień w łóżku postanowiła pójść.

Gdy ojciec Dag ujrzał Adelajdę, natychmiast podniósł wysoko poduszki i na poły usiadł, wparłszy się w róg łóżka, ręce wyciągnął przed sobą, lewą oparł na brzegu łóżka, prawą na kołdrze; pragnął sobie nadać wygląd zupełnie zdrowego człowieka.

Adelajda niczego nie okazywała po sobie, usiadła przy nim i nie patrzyła mu w oczy, lecz gdzieś poza niego.

– ...Patrz no, leżę i leniuchuję... – Powiedział to tym samym tonem, jakim zwykł żartować, ale w tejże chwili chwycił go gwałtowny atak kaszlu, zasłonił się kotarą i splunął do naczynia stojącego z drugiej strony łóżka. Obtarł sobie usta chustką, ale tak jakoś niezręcznie to zrobił, że dojrzała na niej plamy krwi.

Ojciec Dag pochwycił jej przerażone spojrzenie i uśmiechnąwszy się blade, rzekł:

– Coś mi się tam, w płucach, porobiło od tego ciągłego chrząkania...

Do tej chwili Adelajda nie miała odwagi powiedzieć mu o konieczności wezwania lekarza, ale teraz, nie zważając już na nic, oznajmiła, że trzeba to koniecznie uczynić.

Ojciec Dag spojrział na nią zdumiony.

– Jak to, uważasz, że to jest konieczne? – zapytał, ocierając sobie spocone czoło; głos mu drżał nieco, ale po chwili znów się uśmiechnął, poprawił na łóżku i powiedział miłym, przyjaznym tonem:

– Chodziło się po świecie dzień w dzień przez niemal trzy ćwierci wieku, a gdy człowiek pragnie sobie poleniuchować tylko troszeczkę, zaraz grożą doktorem i tym samym zmuszają do wstania.

Adelajda starała się go przekonać, że obecność doktora jest konieczna, ale Dag sprzeciwił się z całą stanowczością:

– Chciałbym tu tylko mieć kogoś, kto by pilnował ognia pod kominem i pragnąłbym czegoś mocnego do picia. Prześpię chorobę i będę zdrow. Powiedz Syverowi, ażeby przysłał Evena Steinruda. Wiesz, to ten, który potrafi wypalić ogniem dziurę w skale, potrafi więc i tu podtrzymywać bez przerwy ogień. – Mówił to niby zwykłym, silnym głosem, ale ucho jej pochwyciło jakby jakiś obcy ton.

Podniosła się i z wymuszonym uśmiechem na twarzy powiedziała najspokojniejszym tonem, na jaki się mogła zdobyć, że cieszy się, iż jest mu dobrze.

Sporo czasu upłynęło, zanim Even Steinrud zjawił się u starego. Adelajda bowiem aż do chwili znalezienia się w swym pokoju musiała się mocno hamować, dopiero u siebie wybuchnęła długo tłumionym płaczem. Mijały godziny, a ona zanosila się łkaniem, leżąc na łóżku. W końcu jednak zdołała się opanować i przez okienko w drzwiach kuchennych podała na podwórze zlecenie ojca Daga. Potem wcale sobie tego nie przypomiwała, że była w czeladnej na dole, bo powróciwszy do siebie, przepłakała cały dzień i całą noc, z wyjątkiem tylko chwil, kiedy rozbierała chłopaczków. Dopiero o świcie zasnęła w ubraniu, kompletnie wyczerpana; spała ciężkim, niedobrym snem...

Ludzie płaczą nad sobą... Adelajda stale w swej rozpaczce powtarzała:

– Jedyne w życiu...

Syver, otrzymawszy zlecenie, nie wiedział, o co chodzi, a Even był wprost przerażony. Dotychczas nie widywał prawie swego pana i nigdy w sieni nie był, a teraz nagle Syver każe mu tam iść, zdjęć w przedpokoju buty, potem wejść do bawialni, stamtąd na lewo i zapukać do drzwi sypialni starego.

Even zrobił, co mu kazano, bez mrugnięcia. Ale raz czy dwa cofał rękę, zanim się odważył zapukać do sypialni. Z natury nie był nieśmiały, lecz to było coś innego niż wszystko dotychczasowe. „Musi być w tym jakaś pomyłka” – myślał; w końcu zapukał delikatnie.

Gdy Even wszedł, stary znów siedział oparty w rogu łóżka. Chłopak stanął z opuszczonymi oczami i czekał.

– Taki dzielny chłopak jak ty może śmiało patrzeć ludziom w oczy – powiedział Dag. – Wiem, jak pracowałeś w Stjernebekk. Dlatego też wyznaczyłem cię do pomocy Syverowi. Nie jest już młody i z czasem będzie go musiał ktoś zastąpić. Pamiętaj, miej otwarte uszy i oczy. Przy takim koniu roboczym jak Syver można się wiele nauczyć. Jeżeli okaże się, że się dobrze sprawujesz i jesteś zdolny, zostaniesz jego następcą.

Even zamknął z całą ostrożnością za sobą drzwi od sypialni i przesunął się bezszelestnie w pończochach przez bawialnię do drugiego pokoju, tak zwanej „starej komnaty”. Według zlecenia starego owinął się w skórę niedźwiedzią i położył na ławce tuż przy ścianie. Tu bowiem usłyszy natychmiast pukanie chorego i przejdzie do niego przez małe drzwiczki, a nie jak zwykle przez bawialnię, co budzi mieszkańców, bo drzwi zgrzytają paskudnie. Pewnie staremu szło o Adelajdę; nie chciał, żeby wiedziała, jak jest z nim źle i że potrzebuje pomocy.

Ojciec Dag miał w nocy wysoką gorączkę. Obudził się na pół przytomny. Wtem z trzaskiem otworzyły się drzwi i ktoś stanął w nogach łóżka. Uniósł się trochę, ażeby zobaczyć, kto to jest. Mały Dag... Stał, jakby czekając na coś.

– Czy to prawda, dziadziu, że masz umrzeć? – spytał w końcu z napięciem.

Ojciec Dag skrzywił się; ale podniósł głowę i spojrzał mocnym wzrokiem na dziecko.

- A gdzieś to słyszał? – spytał.
- W kuchni... ale dlaczego musisz umrzeć?
- Wszystko, co żyje, musi umrzeć.
- Ja też?
- Tak, ty też.
- Ale to jeszcze daleko!

Tak; wszyscy myślą, że do śmierci jest daleko... Jakaś służąca zajrzała wystraszona przez uchylone drzwi i czym prędzej zabrała malca.

Doktor orzekł, że trzeba być przygotowanym na najgorsze. Był również pastor, ale akurat Dag mający wtedy, więc musiał odjechać, nie rozmówiwszy się z nim. Powiedział, że przyjedzie później.

Adelajda prosiła Evena, żeby dał jej znać, gdy ojciec odzyska przytomność.

Dopiero późnym wieczorem zastukał do niej. W pierwszej chwili przeraziła się, że to już może koniec, ale gdy się dowiedziała, że odzyskał przytomność, krew z powrotem nabiegła jej do twarzy i z uczuciem ulgi weszła do jego pokoju. Zauważyła, że był sprzątnięty na jej przyjęcie, dlatego pewnie tak to długo trwało. W piecu palił się ogień, buchał jasny płomień, aż drzwi trzeszczały od gorąca. Polana brzozowe leżały porządnie poukładane pod ścianą, pokój był świeżo zamieciony. Zasłony przy łóżku były spuszczone, podniesione tylko od strony okna. Z tej strony stał również fotel u wezglowia, a także stolik nocny, na nim lichtarz ze świecą, dzbanek wody i szklanka. Lekarstwa zostały sprzątnięte. Pościel była świeżo powleczone, a Dag siedział w rogu łóżka ze stosem poduszek pod plecami.

Matka Adelajdy umarła na zapalenie płuc; znała więc objawy tej choroby. Dag miał klucie w piersiach i głowie i był śmiertelnie wyczerpany gorączką i kaszlem. Miał jednak na tyle siły i woli, i przytomności, ażeby kazać uporządkować pokój na jej przyjście; powinien był leżeć spokojnie, bo to było potrzebne organizmowi, ale chciał robić wrażenie człowieka zdrowego, tak jakby nie groziło mu niebezpieczeństwo. Widocznie kazał Evenowi ogolić siebie, bo był czysty i nie obrosnięty. Jedynie włosy nie były czesane grzebieniem, tylko przygładzone ręką.

Koszulę miał rozpiętą pod szyją. Policzki płonęły gorączką i na twarzy widać było ślady wyniszczenia chorobą, ale nad wszystkim górował wyraz spokoju i opanowania. Zapadnięte oczy wydawały się ciemniejsze niż zazwyczaj, ale patrzyły mocno i z wiarą.

– Musisz się postarać, żeby jak najprędzej wyzdrowieć, wstać i wyjść na świeże powietrze – powiedziała możliwie żartobliwym tonem.

Ojciec Dag oparł głowę o najwyżej leżącą poduszkę i spojrzął gdzieś daleko przed siebie:

– Już wykorzystałem chyba cały zapas świeżego powietrza, który mi był w życiu przeznaczony.

Adelajda nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, i zaległa cisza. Nagle łóżko zatrzeszczało, ojciec Dag podniósł głowę i powiedział mocnym głosem, niby poważnie, ale był w tym może i odcień humoru:

– Prawdziwy mężczyzna nie powinien umierać w łóżku, otoczony poduszkami. Powinien paść nagle w czasie pracy... – i odetchnąwszy kilka razy, prędko dodał: – Ale i taka śmierć ma swój głębszy sens. Ma się czas na rozmyślenia nad wszystkim dobrem, którego nam Pan Bóg użyczył, i o dobru, na którego wykonanie nigdy nie znajdowało się dość czasu.

Adelajda odważyła się rzucić zdanie:

– Przecież już od dawna nie byłeś twardy i bezwzględny dla ludzi...

– Zawsze znajdują się jakieś usprawiedliwienia. – Oparł głowę o poduszkę i zamknął oczy.

Patrząc na jego zagryzione wargi i ściągnięte brwi, Adelajda domyśliła się, że znowu zbliża się atak. Na czoło wystąpił pot, a plamy na policzkach zrobiły się ciemnoczerwone. Oddech stał się krótki, urywany i rozpoczął się kaszel. Adelajda mocno zacisnęła powieki, ale łzy pomimo to ciekły jej po twarzy... Kaszel zdawał się rozszarpywać płuca, niszczyć tkankę od wnętrza aż do samego gardła. Sądząc z tego, co niegdyś mówiła matka, cierpiał on w tej chwili piekielne katusze.

Wszystko się kończy, więc i ta męczarnia ustała wreszcie. Oparł głowę głęboko o poduszki. Usta miał półotwarte, dysząc łapał z trudnością powietrze. Policzki pałały, a z czoła lał się pot, ściekając strużkami na obie strony.

Z najgłębszej istoty Adelajdy wyrwało się gorące pragnienie, aby wziąć chustkę z poduszki i obetrzeć mu pot; ale przypomniała sobie, że przecież dlatego kazał Evenowi czuwać koło siebie, ażeby nie być pielęgnowanym przez kobiety.

Z zamyślenia obudził ją spokojny głos:

– Tak, tak, choroba musi się mocno wysilić, ażeby zmóc takiego człowieka jak ja.

– Oprzyj się i wypocznij – powiedziała wstrząśnięta bólem. Wzruszył ramionami.

– Wkrótce już przyjdzie czas na prawdziwy wypoczynek. Może to ostatni wieczór, ostatnia nasza rozmowa...

Fala piekącego bólu podniosła się z jej wnętrza aż do nasady nosa. Ale jakby zamrożona utknęła tam.

Śmierć zdawała się jej już tak bliska, że płacz byłby czymś bezsensownym. Była jej w inny sposób bliższa niż śmierć matki czy babki. Ogarnęło ją jakby jej tchnienie. Starego Daga znała najlepiej, był dla niej tym wszystkim, czym nie byli tamci, którzy należeli do jej najbliższej rodziny.

Znów ją wyrwał z zamyślenia głos ojca Daga:

– Jeszcze mnie tylko jedna sprawa niepokoi: Dag. Nie wiem, co się w jego duszy dzieje. Ty musisz to wydobyć. Są tam wartości, ale tkwią zbyt głęboko. Jeszcze ci coś powiem: zwracaj się do ciotki Eleonory w razie jakichś wątpliwości. To rozumny człowiek.

Wszystko wypowiedział tak jakoś naturalnie i spokojnie, że sama się zdziwiła, jak mogła myśleć o jego bliskiej śmierci. Potem myśli jej skoncentrowały się na mężu. Słowa wypowiedziane przez ojca Daga były jakby światłem wśród bezdennych ciemności, w których dusza jej była pogrążona. Więc nie będzie taka samotna na wypadek śmierci ojca Daga. Mąż jej żyje, chociaż jest z dala od niej. Życie nauczyło ją przestawać na małym. Nagle przeszła ją bolesna myśl.

– Czyś kazał zawiadomić Daga? – spytała.

– Tak – odpowiedział – ale pytanie, czy zdąży wrócić, zanim odejdę. Spotkaliśmy się niedawno któregoś wieczora w lesie. W razie... pozdrów go ode mnie i powiedz, że dużo o nim myślałem.

Adelajdę zastanowiło to. Nigdy nie słyszała nic i nie widziała ich rozmawiających ze sobą. Czyżby to spotkanie było przypadkowe, czy też ojciec Dag umyślnie go odszukał. W jakim celu? Czy się rozmówili i czyżby rozstali się w gniewie, że ojciec dopiero teraz po niego posłał, i czy ten dręczący niepokój był spowodowany przez syna? Zmartwienie z powodu choroby bardzo szybko przeobraziło się w jej myślach w troskę o własne sprawy, w niepokój o męża.

Znów ją głos starego przywołał do rzeczywistości:

– Nie stawiajcie na mym grobie żelaznej płyty. Nazwisko i imię nie ma żadnego znaczenia w drodze do wieczności. Niech mój grób porośnie trawą i kwieciami i postawcie na nim krzyż drewniany. Gdy się rozpadnie, zniknie i pamięć o mnie. Drzewo na krzyż weźcie z lasu, zza płotu ogradzającego pastwisko od północy, koło kamienia, który tam leży. Na tym szarobiałym kamieniu siedziałem po raz ostatni w życiu i czułem się po raz ostatni zespolony z lasem.

Przy tych słowach głos brzmiał nieco niepewnie, ale widziała, że oczy miał suche, błyszczące wysoką gorączką. Siedział na wpeł wyprostowany w poduszkach. Nieraz jej opowiadano, że chłopki na łożu śmierci potrafią własnoręcznie rozdawać pomiędzy córki ubranie i kosztowności – i czynić to z całym spokojem jak codzienną pracę koło gospodarstwa. Ale że ojciec Dag, o którego stosunku do śmierci wiedziała, myślał w takiej chwili o czymś podobnym, zdało jej się nie do pojęcia.

Gdy tak siedziała, daleka od tego wszystkiego myślami, usłyszała coś, co było jakby uzupełnieniem poprzednich słów, jakby echem z wielkiej oddali:

– Krzyż ma swój głębszy sens. Dla nas jest on oznaką śmierci, a jest przecież wyobrażeniem samego życia przed śmiercią, w czasie konania i po śmierci. Czyś się nad tym zastanawiała?

Musiała zaprzeczyć. Nie mogła sobie wyobrazić tego drewnianego krzyża, podczas gdy na grobie pułkownika von Galla sam kazał położyć płytę spizową z herbem i koniecznymi ozdobami. W ogóle nie rozumiała jego ostatnich słów i przypuszczała, że są to majaczenia umierającego. Pochyliła się nad stolikiem i obcięła knot, tak że świeca paliła się jasnym żywym płomieniem.

Znów przyszedł atak kaszlu, gorszy niż wszystkie dotychczasowe. Padł potem na poduszki i leżał bezwładnie, łapczywie chwytając powietrze.

Adelajda podniosła się cicho. Cierpiała z nim razem. Podjęła chustkę z poduszki i raz po raz ocierała mu pot z czoła i twarzy. I w całej swej rozpaczycy znajdowała w tym geście pewne pocieszenie.

Obojętne było w tej chwili, czy jest przytomny i wie, że to ona... Mój Boże! Mogła dotykać jego twarzy, wyświadczać mu pewną serdeczną przysługę.

Oczy chorego straciły blask. Szara mgła zaczęła mu przysłaniać piękną postać przy jego łóżku. I choć ogarniał ją spokojnym wzrokiem – cień przed oczyma gęstniał mu coraz bardziej. Już tylko niewyraźny kształt ludzki widział przed sobą.

Rzęziło mu w piersiach i oddychał nierówno; tyle tylko, ile mu pozwalały schorowane płuca. Przemówił w końcu, ale tak cicho, że poprzez szept jego słyszała całkiem wyraźnie szemranie strumyka i zazwyczaj niedosłyszalny podczas rozmów daleki poszum lasu.

– Mówiąc, że ostatnimi czasy przestałem być zły, że czyniłem dobrze, chciałaś mnie pocieszyć. Ale, niestety, podczas długiego życia zaniedbuje się wiele dobrego, a sporo wyrządza zła. Tak było i ze mną. Można we wszelkie postęпки i uczynki wkładać tyle dobrej woli i chęci, na ile tylko nas stać, ale czyni się to zawsze w granicach własnych możliwości, w ramach życia i natury ludzkiej, a wszystko w niej ma jeden podkład: egoizm, chęć wykupienia się dobrym uczynkiem z grzechów. Poza to nikt wyjść nie może. Bo wszędzie i zawsze stawiamy przede wszystkim interes własny, on powoduje przezorność w postępowaniu, wyrachowanie osobiste i koniec końców bliźni nasz niewiele otrzymuje dobrego. Gdzieś tam może w głębi duszy człowieka tkwi coś szlachetniejszego, ale jest to bardzo ukryte... Mam na myśli uczucie, współczucie – możesz to nazwać, jak chcesz. Ja uważam, że serce i uczucie jest wszystkim i jest warte więcej niż rozum i wszelka mądrość, serce właśnie powinno nas prowadzić przez życie. Bo z uczucia i serca powstają serdeczne odruchy i odwaga, i wszystko inne, co nas pobudza do czynów wiele cenniejszych niż te, które nakazuje zimny rozum i nieufność do ludzi. Niestety, jesteśmy tak stworzeni, że serce niełatwo przychodzi do głosu, wszystko, co w nas wielkie i szlachetne, drzemie głęboko w duszy, a to, co codzienne, egoistyczne, wypełnia nasze życie.

Znów opanował go zabójczy kaszel; zdawało się tym razem, że rozgrywa się tam walka na śmierć i życie. Adelajda zasłoniła twarz dłońmi, ażeby nie widzieć i nie słyszeć.

Następnie po ataku otarła go chustką i stanęła pochylona nad śmiertelnie znużonym człowiekiem; oczy miał zamknięte. Oddech jego był tak krótki i przerywany, że zdawało się, iż lada chwila w ogóle go zabraknie.

W tej chwili sztywną zazwyczaj Adelajdę opuścił rozsądek i wszelka ostrożność. Uczucie, silniejsze od niej, wzięło górę. Rękami musnęła skroń Daga, padła na jego łóżko i dotknęła ustami rozpalonego czoła. Potem, nerwowo oddychając, siadła i utkwiała zatroskany wzrok w jego twarzy... Czy był przytomny, czy... widział, kiedy się zapomniała. Czy w ogóle jeszcze będzie przytomny?

Zapadła noc, mijała godzina za godziną. Adelajda nie spuszczała oka z łóżka, chwilami wstawiała, ażeby poprawić poduszki, i siadała z powrotem. Krótki oddech z ciemnego kąta na łóżku stapał się z pluskiem strumienia w ogrodzie i z dalekim śpiewaniem lasu.

Zasnęła. Nagle zerwała się przerażona, bo coś się jakby poruszyło. Gdy otworzyła oczy, ujrzała, że prawa ręka Daga leży tuż przy jej dłoni na brzegu łóżka. Siedział mocno pochylony do przodu i patrzył jak urzeczony przed siebie. Usta jego poruszyły się parokrotnie, a w końcu wykrztusił, z trudem łapiąc powietrze:

– My, ludzie, dążymy tylko do jednego przez całe życie – do szczęścia i spokoju, do wieczności... A tam prowadzi... tylko jedna droga do wnętrza, w serce... Widzę to jasno teraz, patrząc wstecz na całe swoje życie. To są słowa Pana... A On jedyny wie, co mówi, On, który jest w nas, gdy się wszystko już kończy. Droga do zrozumienia sensu życia prowadzi ponad rozum i nasze myślenie... do Jego prostego przykazania... nie ma innej drogi... tylko sam Jezus Chrystus.

Po tych słowach Dag wyprostował się, wydało się jej, że rośnie do niebywałych rozmiarów. Upadł w tył. Z kręgu światła stoczył się w ciemność, w głąb łóżka.

Adelajda słuchała z podniesioną głową, złożywszy ręce na kolanach; zdało jej się, że ostatnie słowo nie przebrzmiało z głosem, ale unosi się w powietrzu i tkwi w tym miejscu, gdzie je głos Daga ustawił.

Słyszała to imię wypowiedane często, ot tak, obojętnym tonem – w kościele lub w domu dziadka-biskupa. Ale wtedy było ono codzienne i nie miało uroczystego dźwięku.

Uprzytomniła sobie w tej chwili, że podczas owych wieczornych pogawędek o Bogu i wierze nigdy nie padło imię: Jezus Chrystus; wydawało jej się wprost nieprawdopodobne, aby je Dag kiedykolwiek wymówił.

A teraz pozostało wielkie i święte gdzieś ponad nią, choć przebrzmiał silny głos męski, który je wypowiedział.

Nie zdawała sobie sprawy, ile czasu przesiedziała na krześle. Pomruk strumienia i szum wiatru nad lasem stawały się coraz wyraźniejsze. Poza tym panowała cisza. Wstała, pochyliła się nad łóżkiem, aby podciągnąć kołdrę i przykryć lepiej chorego, ale ręce jej nagle zesztyniały.

Ostatnie słowo starego Daga Björndala zostało wypowiedziane.

43

Dniami całymi i nocami szukano młodego Daga w lasach; gdy w końcu przybył, stary już nie żył. Dag w sypialni długo pozostał sam na sam ze zmarłym... Panna Kruse oznajmiła mu, że była tu ciotka Ramer i że o zgonie dano znać do miasta Holderowi i krewnym Adelajdy, a wszystkie przygotowania do pogrzebu są w toku. Panna Kruse dostrzegła jakby łzę w kącie oka, które twardo przed siebie patrzyło. Dag obrócił się i poszedł do starego domu. Tam przebywał całe dni aż do pogrzebu, nawet nie przychodził na posiłki. Nie ujrzano więcej łez w jego oczach, ale w całej postaci i we wzroku było coś chłopięco bezradnego. Zdawał się nic nie rozumieć. Godzinami siedział przy zwłokach ojca, ktoś nawet twierdził, że ostatnią noc spędził tam w ciemności.

Gości przybyłych z miasta witał jak nieprzytomny, ścisnął im ręce, mamrotał parę słów, ale widać, że myśli jego są gdzie indziej, bo patrzył wciąż przed siebie. Obowiązki gospodyni musiała przejąć ciotka Ramer, bo i Adelajda chodziła jak pomyłona. Bezustannie cicho płakała, a twarz jej nabierała kamiennego wyrazu, gdy się z kimś stykała. Zaledwie w przejściu wyjąkała Dagowi zlecenie i pozdrowienie ojca.

Po pogrzebie i wyjeździe gości Dag udał się z powrotem do lasu, ale wbrew przyzwyczajeniu wrócił tego samego dnia. Przeniósł się na dobre z powrotem do starej kuchni i tam spędzał prawie całe dni. Na dworze można go było zobaczyć tylko o świcie lub o zmierzchu; na ludziach, którzy go spotykali, czynił wrażenie człowieka niespełna rozumu. Zgarbił się i pochylił jak starzec; łudząco przypominał zmarłego. Również i z Adelajdą nie było lepiej: rzadko się ukazywała i stale była zapłakana i zrozpaczona.

Gospodarstwem na zewnątrz i wewnątrz zajmowali się Syver i panna Kruse; pozornie niby wszystko szło tak jak dawniej, ale rozpacz Daga i Adelajdy kładła się ciężkim kamieniem na ludziach i na ich poczynaniach, i to nie tylko w samym dworze, ale nawet w osiedlu, lesie i po dalszych dolinach, wszędzie, gdzie odczuwano dobroczynną działalność ręki ojca Daga. Z odejściem jego niechybnie stanie się coś złego, jakieś nieszczęście spadnie na nich.

Jakby dla potwierdzenia tych złowieszczych przeczuć, źle się zacząć poczęło: kolosalny spadek cen zboża, zmniejszenie się możliwości zbytu budulca. Z miast dochodziły raz po raz wieści o przerażających bankructwach i kryzysach największych domów handlowych.

W Björndal wigilia Bożego Narodzenia.

Panna Kruse wypełniała wzorowo swój obowiązek. Stół w sali nakryty jak co roku, przybyła cała czeladź, aż do najnędzniejszego wyrobnika. Stali w pokornej postawie w półcieniu wzdłuż ścian i spoglądali na duży stół, na którym przy każdym otwarciu drzwi świece migotały niespokojnie. Ich płomienie odbijały się w szybach okiennych i rzucały chwiejne cienie na bogatą zastawę.

Wszystkim jakby lżej się zrobiło, gdy weszła Adelajda, blada i sztywna. Był to teraz jej stały wygląd. Skinęła obojętnie głową, jakby we śnie, w jedną i drugą stronę pokoju i machinalnie objęła wzrokiem nakryty stół. Wszystko było tak samo jak na każde poprzednie Boże Narodzenie, nawet Biblia leżała otwarta przed świecznikiem, na cześć Trzech Króli, na miejscu ojca Daga.

Nagle ujrzała z przerażeniem, że przyniesiono tu z bawialni fotel ojca Daga i jego żony, Teresy. Nigdy tu dotychczas nie stał fotel Teresy. Dlaczego więc przyniesiono go dzisiaj?

Otworzyły się drzwi. Weszła ciotka Eleonora. Teraz zrozumiała. Ciotka była tu przed samymi świętami i coś tam szeptała z panną Kruse. Ale – aż dreszcz ją przeszedł – czy Dag przyjdzie i czy w ogóle będzie chciał usiąść w fotelu ojca? I czy zdobędzie się na to, ażeby odczytać werset z Biblii?

Podobny niepokój można było wyczuć u wszystkich obecnych na sali. Adelajda czuła, że ciotka bystro ją obserwuje, ale nie podniosła oczu.

Wiedziała, że wszyscy patrzą na nią, lecz nie miała siły się ruszyć. Czy było to tylko w jej wyobraźni, czy też naprawdę, ale niepokój zdawał się przechodzić w napięte, uporczywe milczenie. Ona sama i wszyscy obecni słyszeli, jak drzwi główne otworzyły się, potem zamknęły, słyszeli zbliżające się kroki i w końcu oczekiwane skrzypnięcie klamki w drzwiach sali. Wszedł młody Dag – wszyscy odetchnęli, jakby ciężar im spadł z serca.

Adelajda rzuciła wzrokiem na niego, gdy przechodził obok. W oczach widoczne było podniecenie, jakby przeszedł ze sobą długą walkę, ale cała twarz miała stanowczy wyraz. Równym krokiem, nie zawahawszy się, podszedł do fotela ojca.

Teraz służba i oficjaliści z widoczną ulgą powyłazili z kątów i podeszli do stołu, ale bardziej onieśmieleni niż dawniej, szurali nogami, spoglądali na siebie, w końcu usiedli. Adelajda zajęła fotel matki Daga, Teresy. Wciąż się jej zdawało, że nie jest sobą. Niezliczone razy siadywała w bawialni na tym fotelu, ale nigdy tutaj, tak oficjalnie. Był to jakby zupełnie inny mebel... Spojrzała na portret Teresy wiszący na ścianie, ale z cienia wyłaniała się tylko jasna plama. Znow objęła Daga badawczym spojrzeniem i zauważyła, że drżą mu ręce pod stołem.

Zaczął czytać werset biblijny na Boże Narodzenie... Zająknął się, zaczął na nowo, z początku nieśmiało, potem już z większą pewnością siebie i głośniej, ale nagle pomylił się... zatrzymał... znow zaczął od początku, znow pomylił i tak z wielkim trudem dobrnął do końca.

Westchnienie ulgi przebiegło salę. Adelajda przez długi czas działa z opuszczoną głową i zamkniętymi oczyma. Przeżyła teraz jedną z najbardziej przykrych chwil w życiu.

Jakiś lęk zawsze czai się wśród ludzi, a tej ciemnej zimy lęk rósł i wzmagął się wokoło chat i domów, które dotychczas przebywały pod bezpieczną opieką ojca Daga. Gdy coś zaszło, nikt nie wiedział, dokąd się udać po radę i pomoc... O młodym Dagu bowiem w obecnym nastroju nikt nawet nie pomyślał, a nieprzystępność Adelajdy była zaporą nie do przebycia.

Późną zimą Dag zaczął przychodzić do jadalni na posiłki. Malcy – jak to dzieci – przemocą wdarli się do jego izby i chodzili za nim jak małe psiaki, krok za krokiem. Trudno się im było oprzeć, więc i Dag uległ ich bezustannym naleganiom, i jak dziadek siadł w fotelu, i zjadł z nimi śniadanie. Odtąd musiał to dzień w dzień robić. Przychodzili do niego co rano i nie chcieli jeść bez niego.

Nie było takiej siły na świecie, która by im tego mogła zabronić. Dag czuł, do czego to prowadzi, bo któregoś dnia, gdy przyszli raniutko, zastali drzwi do starej kuchni zamknięte na zasuwę, a gdy zaczęli w nie walić, odpowiedział im szorstko, żeby mu dali spokój, niech jedzą z matką. Malcy dobijali się w dalszym ciągu. Wtedy podszedł do samych drzwi i zawołał głosem, którego się lękali nawet robotnicy w lesie, żeby natychmiast usłuchali, bo inaczej będą wały! Cicho się zrobiło za drzwiami. Dag wdział myśliwskie ubranie, wziął strzelbę i narty; zamierzał iść w las, ażeby nie ulec malcom i niebezpiecznym własnym pragnieniom, i przez parę dni zastanowić się nad całą sprawą.

Ale gdy otworzył drzwi, malcy siedzieli na progu przytuleni do siebie, drżąc z zimna jak bezradne szczenięta.

– Że też tak mało macie rozumu! – powiedział zakłopotany nieco i wylękniony. Musiał zdjąć z siebie strzelbę i odłożyć narty, i pójść z małymi do bawialni, ażeby ich wprowadzić pod dach.

Uporem przyzwyczaili ojca do przebywania w domu, a nawet do siadywania z nimi wieczorem przed kominem w sieni, nim poszli spać. Kiedyś tak się rozochocił, że opowiedział im jakąś bajkę o zjawach w lesie. Tym już zaprzedał im się na dobre. Parokrotnie jeszcze starał się ich pozbyć, raz karcąc surowo, drugi – za pomocą mocnych klapsów. Podreptali wtedy na górę, słyszał potem, jak tam rzewnie płakali, i tego już nie mógł znieść.

Wywalczyli więc i te wieczorne opowiadania przy kominie, ale znając ojca, wiedzieli, że nie wolno nadużywać jego cierpliwości, toteż gdy bajka była skończona – posłusznie szli spać.

To, czego nikt nigdy nie mógł osiągnąć, tego dokonały dzieci. Oto Dag punktualnie przychodził na posiłki i często wieczorami siadywał przy kominie.

Przebywając w domu, zauważył, że okoliczni ludzie przychodzili do Adelajdy, płacili dzierżawę i procenty; odbywało się to w kancelarii ojca. Gdy po raz pierwszy to zauważył, uderzyło to w niego jak piorun; następnym razem, siedząc koło ognia, potarł ręką czoło i jakby zastanawiał się nad czymś.

W pewien jasny dzień zimowy Adelajda siedziała w kancelarii nad księgami. Na stół padały promienie słoneczne; pod kominkiem palił się ogień. Otworzyły się drzwi, wszedł Dag. Przypuszczał, że tak jak zawsze, ilekroć ją tu zastał – cofnie się. Ale nie, zamknął cicho drzwi za sobą i podszedł do stołu. Zdawał się widzieć tylko książki.

– Właściwie to ja mógłbym te sprawy sam załatwiać – powiedział niezwykle chłodno.

Adelajda ostatnio żyła nieco w poczuciu, że jest potrzebna. Ani jej przez myśl nie przeszło, że mąż jej zna się na interesach. Odłożyła pióro, wstała i opuściła pokój bez słów. Znowu zauważyła na jego ustach ów dawny, zgorzkniały wyraz, gdy ją zastawał na rozmowie z ojcem.

Skończyło się więc wszystko między nimi.

Dag po chwili zatracił ów uparty wyraz twarzy, niezdecydowanie bębnił palcami po stole, siadł i długo się namyślał. Nagle wyprostował się, jakby pragnąc odrzucić precz wszelkie skrupuły. Zaczął przewracać kartki w księdze leżącej przed nim – zastanowiły go widocznie cyfry, bo wzrok się ożywił i spod ściągniętych brwi oczy błyszczały zainteresowaniem. Jakże przypominał w tej chwili człowieka, który za czasów kapitana Klingego siadywał nad księgami; swego ojca z czasów, kiedy był bezwzględny, a nawet okrutny.

Ale po chwili ów twardy wyraz ustąpił, rysy zmiękły, widocznie zapiski robione ręką Klingego wzbudziły w nim jakieś wspomnienia. Siadywał tu z nim nieraz jako młody chłopiec. Klingę pokazywał wtedy i objaśniał, jak się wnosi do ksiąg procenty, a jak i gdzie wpisuje się wpłaty i w ogóle zaznajomił go z księgowością. Wracał do tego przy każdej sposobności, wytrwale. Daga nie bardzo to wprawdzie interesowało, ale cyfry jednak pozostają cyframi i jeśli oznaczają pieniądze, dzieją się z nimi dziwne rzeczy. Wszystko przecież teraz do niego należy: i te księgi, i cały majątek.

Wstał i już z bardziej pogodną miną zebrał wszystko i wrzucił do szafy, którą następnie zamknął.

Mniej więcej w tydzień później zjawił się we dworze pewien człowiek: kuty spryciarz o minie wzbudzającej zaufanie. Przyniósł pieniądze; Dag udał się z nim do kancelarii. Szło o zapłacenie procentów. Dag przyjął należność i zaksięgował. Chłop twierdził, że ojciec Dag darował mu część długu. Dopiero po jego wyjściu przyszło Dagowi na myśl, żeby zejść do piwnicy i zbadać tam odnośny papier. Znalazł go – nic tam nie było o żadnej darowiznie, cała umowa była spisana jak najdokładniej. Dag zamyślony i zafrapowany takim podstępem pogładził się po włosach, zamykając kufer.

W ciągu wiosny i lata Dag stwierdzał ustawicznie, że nie brano go poważnie w sprawach pieniężnych. Zaczął więc na nowo chodzić do lasu, gdzie go znano i poważano. Do kancelarii wchodził wtedy tylko, gdy trzeba było coś wnieść do ksiąg.

Przez pewien czas unikał wprost tego pokoju i w ogóle wszystkiego, co miało związek z gospodarką we dworze. Potem przyszedł znów taki okres, że się wprost zakopywał w kancelarii i grzebał godzinami w papierach i dokumentach. Prowadził wtedy na podwórzu rozmowy z Syverem i innymi parobkami, mówił z nimi to szorstko i wyniośle, to znów jakimś niepewnym głosem.

Żniwa były kiepskie i przez to nędza zapanowała w mieście i po wsiach. Ludzie czuli się niepewni i wylęknieni.

W osiedlu hukwały sowy i puszczyki, nawet odgłosy leśne były jakiegoś inne niż zazwyczaj – o zmierzchu słychać było westchnienia i skargi, Ludzie przycichali, nasłuchiwali uważnie i niejedno ich uszu dochodziło.

Potem wyszło na jaw, że aż dwóch naraz jego widziało... W takim razie musi to być prawda! Pewnego wieczoru, gdy ciemne chmury zwisały nad lasami, widziano, jak szedł wśród ciemności od strony pastwisk przez podwórze i dalej szpalerem do domu. Wszedł przez zamknięte drzwi! Nikt nie wymawiał imienia zjawy, ale wiedziano, że nie ma on tam spokoju w grobie, bo po jego śmierci wszystko się we dworze przewraca do góry nogami.

Kiedyś późnym wieczorem, a kiedy indziej znowu o północy słyszano w dolinie stuk kopyt końskich, ktoś go widział nawet na własne oczy! Kary koń pędził wyciągniętym kłusem – jak zawsze – a on sam w powozie siedział pewny siebie i ważny jak podczas tych wszystkich lat.

Per Langmo stał o zmierzchu przed stajnią u siebie i patrzył na zakręt drogi. Nadciągała lekka mgła wraz z wietrzykiem wieczornym i rozścielała się na drodze i krzakach przydrożnych. Per rozmyślał i rozmyślał, gdyż już tydzień temu powinien był udać się do dworu na obrachunek. Miał zamiar prosić o darowanie części procentów z powodu lichych zbiorów i marnych cen na rynku, ale tak jakoś mijał dzień za dniem, upłynął już cały tydzień i w końcu wydał pieniądze przeznaczone na zapłacenie procentów na co innego. Ale podobno ten młody we dworze nie jest taki chciwy i można się odważyć na pozostawienie zapłaty aż do następnego terminu. Przechodziła go tylko gęsia skórka, gdy sobie przypomniał, co w okolicy pogadywano o pośmiertnych jazdach starego. Nie bardzo to przyjemnie zalegać, jeżeli on faktycznie łązi po śmierci.

Per zwrócił oczy w kierunku podwórka. I tak spać nie będzie, jeżeli to, co mówią, jest prawdą.

Drgnął – czyż to od północy nie słyhać już z oddali znanego dobrze tętentu kopyt? Zawahał się. Co lepiej? Uciekać czy pozostać tu i prosić o przebaczenie, uczciwie przyznać się do winy? Że też akurat jego musi nawiedzać coś podobnego! Tak, już teraz nie ma żadnych wątpliwości, aż dudniło pod kopytami końskimi... Per cofnął się o dwa kroki – i przez puste miejsce pomiędzy krzakami dojrzał, jak smagany biczem cwałuje kary i coraz wyraźniej z mgły się wyłania. Ojej! Co tu począć z koszmarnym przybyszem z tamtego świata! I to mając taką winę na sumieniu! Cała krew z niego uciekła, dygotał, zęby mu szczękały.

Był już zupełnie bez zmysłów, gdy koń zaczął zwalniać tempa, wjechał w podwórze i szedł wprost na niego. Prawie nieżywy ze strachu ustąpił na bok i przycisnął się do ściany. Pojazd zatrzymał się tuż przy nim. Minęło parę chwil, zanim się zorientował, że ma do czynienia z żywym koniem i z żywym człowiekiem. Długo jeszcze po odjeździe przybysza na północ stał jak wrośnięty w tym samym miejscu.

Więc to był „młody”! Aż strach, jak przypominał ojca z najgorszych okrutnych czasów. Powiedział tylko te słowa:

– Nie dotrzymałeś zobowiązania. Daję ci tydzień na uporządkowanie tej sprawy.

I już go nie było.

Do diabła! „Tydzień”! Znaczy to, że trzeba od jutra rana zacząć szukać pomocy u rodziny, kołatać, żebrać, gdzie się da! Bo już teraz nie wolno mu się we dworze pokazać z mniejszą sumą, nie wolno, ażeby grosz brakował, i trzeba się zjawić co do godziny, bo jeśli nie, to jak za najdawniejszych rządów starego: fora ze dwora!

Że też się ludzie mogli tak mylić w osądzie. Opowiadano sobie przecież, że młody od czasu wypadku na Górze Śmierci jest niespełna rozumu, że zdziczał, a tu nagle okazuje się, że jest całkiem podobny do ojca – z wyglądu i ze słów!

Adelajda wśliznęła się do swego pokoju i drzwi zostawiła nieco uchylone. Nie powinno się właściwie podsłuchiwać, ale uważała, że zmuszają ją do tego wyjątkowe okoliczności. Dzieci pojechały do ciotki Eleonory i miały u niej przenocować. Ciotka uważała, że jeśli mały Dag ma kiedyś zostać właścicielem Borgland, powinien się do tej ziemi przyzwyczaić od małego. Adelajda nie była pewna, czy mówiła to z przekonaniem, czy też zabierała dzieci do Borgland trochę dla własnej przyjemności. Gdy patrzyła na nich, tyle dobroci malowało się w jej oczach! Odnosiła się do nich z anielską cierpliwością.

Adelajda cała zamieniła się w słuch. Zjedli przedtem wspólnie kolację, nie wymawiając ani jednego słowa. Nie było już w Dagu ani krzty dawnej nieśmiałości czy niepewności. Z postawy i spojrzenia była siła i duma, którą zapewne miał w sobie i stary Dag w owych czasach, kiedy był wyniosły i bezlitosny.

Którejś nocy długo siedział w kancelarii, a następnego dnia pojechał w kierunku południowym i wrócił dopiero późnym wieczorem. Od tej pory nie przemówił do niej ani słowa; z daleka tylko słyszała, jak ostro i surowo przemawiał do czeladzi, nawet do Syvera. Do dzieci odnosił się tak srogo, że wylęknione trzymały się z dala od niego. Jeszcze jedna rzecz zwróciła poprzedniego wieczoru jej uwagę: nie słyszała jego przejścia przez sień ani zamknięcia drzwi wejściowych, co powinien uczynić, gdyby się udał na noc do oficyny. Nie zastanowiła się nad tym specjalnie, położyła się i zasnęła.

Tym razem jednak nasłuchiwała. Pozostał przy stole w jadalni, oparłszy brodę na rękę, jakby miał zamiar długo tam jeszcze siedzieć. Jak zazwyczaj drzwi pomiędzy jadalnią a sienią były otwarte, tak że z łatwością usłyszy, gdy się podniesie...

Długo stała w nie domkniętych drzwiach, zanim usłyszała odgłos odsuwanej krzesła. Kroki oddaliły się w kierunku sypialni ojca Daga. Słysząc było szarpnięcie klamką, otwarcie drzwi, zamknięcie, a potem zasunięcie rygła od wewnątrz. Co on tam robi i po co się zamyka? Adelajda z wolna otworzyła drzwi prowadzące z jej pokoju na korytarz, w końcu doszła do schodów i słuchała.

Prawda! Dojść do piwnicy, gdzie stoi kufer z papierami wartościowymi i dokumentami, można tylko przez sypialnię ojca Daga. Czyżby miał zamiar tam się udać? Czyżby nabrał tych samych cech charakteru, które według własnego jego wyznania posiadał ojciec, gdy był w sile wieku? Miałby się stać chciwy na pieniądze? Nie, nie słysząc ani szmerów z piwnicy, ani kroków na schodach tam prowadzących. Ale co to? Czy to łóżko trzeszczy? Czyżby się kładł do łóżka ojca Daga?

Pobiegła do swego pokoju i zamknęła drzwi za sobą bez hałasu. W piecu palił się ogień, zapaliła przy nim świecę i postawiła ją na komodzie. Tak jej się tu dziś wydawało dziwnie smutno i pusto. Uchylone drzwi do komory Daga były jakby furtką na drogę prowadzącą w ciemną noc, w wieczność...

Im dłużej się zastanawiała nad przeniesieniem się Daga do sypialni ojca, tym jej się to zdawało bardziej zrozumiałe. Ojciec prawie rok już nie żył, a w tym pokoju i w tym łóżku spał na pewno i dziadek Daga. Teraz zamieszkał tam wnuk. Ale wraz z ojcem Dagiem w swoim czasie sprowadziła się tam również matka Daga, Teresa...

Zdawało jej się, że ginie gdzieś całe dotychczasowe piękno jej ukochanego pokoju...

Ktokolwiek przypuszczał, że „młody” jest nieobliczalny i że nie bardzo pilnuje terminów, ten się grubo omylił, z chwilą gdy Dag zaczął jeździć po osiedlach. Po jego objeździe ruszono hurmem jak dawniej do dworu, ażeby się obliczyć i zapłacić. Wieczorem przed upływem terminu zjawił się również Per Langmo.

Adelajda, gdy ktoś przychodził, zamieniała się cała w słuch. Ale przeważnie słyszała tylko powitanie. Potem przechodzili wszyscy do kancelarii i zamykali drzwi za sobą.

Per nie zdołał zebrać całej sumy i już w sieni prosił zaraz o prolongatę.

– A, ty wszarzu! – usłyszała odpowiedź Daga. Tak się wylękała tych brzydkich słów, że aż odskoczyła od drzwi. Potem przeszli do kancelarii i nic już nie słyszała aż do chwili, gdy Per znów przechodził przez sień. Przyrzekł, że resztę pieniędzy przyniesie w przyszłym tygodniu, ale Dag mu przerwał:

– Możesz przynieść w następnym terminie, za pół roku. – Głos jego nie brzmiał już tak ostro i surowo jak przedtem, ale był stanowczy.

W jasną, słoneczną niedzielę w lutym Adelajda stała w swoim pokoju przy drzwiach balkonowych i przyglądała się osiedlu. Na poręczy balkonu ucztowały wróble i trznadłe, szperając w snopku, który dla nich kazała wynieść, a sikorki szarpały i dziobały kawałek łożu powieszony przez nią samą na sznurku. Potrzeba jej było trochę rozrywki i towarzystwa. Była dziś na dość dalekim spacerze, ale przygnał ją z powrotem mroźny wichur, nie był to zwykły przedwiosenny powiew, ale zawodzący, przenikający do kości zimowy wiatr. Pewnie w górach jest mroźna zawieja, a to są już tylko krótkie jej uderzenia, przepuszczone przez sito lasów, ale pomimo to przejmowały do szpiku kości. Przyglądała się ptaszynom dziobiącym jedzenie, a także osiedlu na dole. Wokół domów i chat wirowały lekko niebieskawe płatki śniegu, za Hamarrbø białe tumany zakręcały się w żywe ślupy, które trwały nieruchomo przez kilka sekund i rozwiewały się w ostrych podmuchach wiatru. Na północnych stronach chat nawarstwiały się całe zasy, również na drodze gładko wymiecionej kładły się gdzieniegdzie w poprzek grube smugi białego puchu.

Nagle Adelajda ożywiła się. Od strony Hamarrbø zbliżały się jakieś sanie. Ciotka była tu już dzień przedtem, więc to nie ona. Sanie minęły osiedle i jechały drogą do dworu. Chwilami koń zapadał się w zaspach śniegu, ale w miejscach, gdzie było twardo, szedł kłusem. Ujrzała woźnicę na tylnym siedzeniu. Więc to sanie z Korsvoll! Może ktoś z miasta z wizytą, ale komu by się chciało w taki mróz jechać w te strony bez specjalnej potrzeby?

Była mocno zdziwiona, gdy z okna bawialni zobaczyła, że z sań wysiada stary Holder we własnej osobie. Syn jego, trzy lata starszy od jej męża, był na pogrzebie ojca Daga. Ten zaś, rówieśnik ojca Daga, czuł się wtenczas niezdrów. A teraz przyjeżdża w taki ziąb!

Przypomniała sobie nagle, że ojciec Dag opowiadał jej kiedyś, iż sprawy pieniężne Holdera obecnie nieświeźnie wyglądają. Trudno teraz nawet wydostać od niego należności za drzewo i inne dostawy. A znów od ciotki Eleonory słyszała, że w jednym z licznych listów z miasta ktoś jej doniósł, iż kupcy w mieście kiepsko stoją, że jeden po drugim bankrutują.

Ta wizyta wydała się jej trochę podejrzana, ale z miłym uśmiechem powitała staruszka, a on był szarmancki jak zawsze. Po wyrażeniu ubolewania, że ojciec Dag przeniósł się tak wcześniej do wieczności, zapewnił ją, że jest równie piękna i młoda jak dawniej.

Przyszedł go powitać i Dag. Panna Kruse otrzymała klucze od wielkiej skrzyni w sypialni ojca Daga. Nakryto dla wuja Holdera z całą pompą: srebrne nakrycia i webowe obrusy przysły na stół. Pomimo że był to tylko kuzyn matki, Dag od dzieciństwa nazywał go wujem; często przyjeżdżał do nich i przywoził pogodny humor, dowcip i prezenty. Dag lubił go. Podczas jedzenia widać było na twarzy Holdera zmęczenie, wyczerpanie, na ustach miał wymuszony uśmiech. Był przecież w sędziwym wieku.

Gdy siedzieli po wieczerzy w sieni, Holder zerkał wciąż na drzwi kancelarii i w końcu rzekł skrzeczącym, starczym głosem:

– Chciałbym z tobą, kochany Dagu, zamienić parę słów na osobności.

Dag spojrział na niego zdziwiony, ale wstał bez słowa i poprosił go do kancelarii. Adelajda pozostała sama. Dręczył ją nieznośny niepokój. Dag powinien był wiedzieć o tym, co jej ojciec Dag w swoim czasie powiedział o kuzynie. Obowiązkiem jej było mu to powtórzyć, uprzedzić. Może zastukać? Poprosić na chwilę? Nie, to by zwróciło nazbyt uwagę gościa. Później, po skończonej rozmowie, szepnie mu to do ucha. Nie stanie się przecież od razu nieszczęście. Poszła do siebie. Przejął ją lęk, przecucie grożącego niebezpieczeństwa.

W kancelarii palił się ogień; podczas mrozów w kominie był ciąg, że aż chwilami trzeszczało coś i wyło potępieńczo.

Dzień chylił się ku końcowi. Dag siedział w bujanym fotelu z rękami opartymi na biurku, a twarzą skierowaną w stronę ognia, jak zazwyczaj wieczorem po załatwieniu rachunków. Holder siedział po jego lewej stronie w jednym z ciężkich foteli, pochodzących z pracowni Jørna Mangfoldiga... Teraz miał na poły odwróconą twarz do Daga, na poły w stronę ognia. Opowiadał o złych czasach, które nastąpiły po wojnie napoleońskiej, o nędzy i niedostatkach we wszystkich krajach dotkniętych wojną i o horrendalnym ciele, jakim od siedmiu czy ośmiu lat obłożono w Anglii przywozowe drzewo: budulec i proste deski. Interes ekspedycyjny daje właściwie tylko deficyt; w ostatnich czasach nie można wy dostać zaległych należności od klientów londyńskich.

– W takim razie będziesz zmuszony wycofać dostarczony towar? – spytał Dag.

– Jak to wycofać? – Holder spojrzał na niego zdumiony. – Towar jest już sprzedany, a tylko nie zapłacony, rozumiesz?

Tego Dag pojąć nie mógł. Niezrozumiałe: przyjąć towar, rozprzedać go dalej, a potem nie zapłacić temu, który go dostarczył.

– Czy prawo na to pozwala?

– Nie – odparł Holder – ale nędza w kraju łamie wszelkie prawa. Moi uczciwi odbiorcy na pewno nie otrzymali zapłaty za towar od swoich klientów i teraz są w matni.

Dag nadal nie mógł pojąć, jak to może być; przecież trzeba mieć pieniądze, jeśli się chce coś kupić. Widać, nie wszędzie jednak tak się dzieje, jak on sobie wyobraża. Dla Daga słowo „kredyt” nie istniało, określenie to było mu zupełnie obce. Naturalnie słyszał nieraz o bankructwach, ale przypuszczał, że się bankrutuje wtedy, gdy się straci wszystkie własne pieniądze. A najmniej rozumiały dla niego był fakt, że dzieje się to w Londynie, najbogatszym mieście świata.

Holder przyglądał mu się z coraz większym niepokojem i zdumieniem, aż w końcu pot mu wystąpił na czoło. Miał bowiem coś na sercu, a trudno mówić o zmiennych koniunkturach w handlu z kimś, kto absolutnie się w tym nie orientuje. Zaczął więc z innej beczki: opowiadał o wpływie obecnych czasów na rozwój handlu, a zwłaszcza na jego własne interesy, mówił o tym więcej, niż sobie przedtem planował. Zaznaczył niby przypadkowo, że nie jest w stanie uregulować swych corocznych obrachunków z björndalskim dworem.

Dag wiedział z ksiąg, że Holder od dawna zalegał w wypłacie wielkich sum, więc nie przywiązywał specjalnej wagi do faktu, że i tegoroczna należność ma być dopisana do tamtych zaległości.

Holder uspokoił się nieco, gdy zobaczył, że Dag obojętnie skinął głową po jego oświadczeniach: przez parę chwil wypoczywał, jakby po wielkim wysiłku. Następnie zaczerpnął parokrotnie głęboko powietrza i postawił dziwne pytanie:

– Czy ty wiesz, że twój ojciec miał w Hamburgu w banku srebro? Dag spojrział na niego z zainteresowaniem.

– Tak, to jest zaksięgowane. Czyżby i w Hamburgu było coś nie w porządku?

– Nie, nie, nie o to chodzi... a czy wiesz, ile tam było?

Dag był nieco zdziwiony – co to Holdera może obchodzić? Pamiętał jednak, jaka to była suma, i wymienił ją.

Holder odetchnął z ulgą, ale podbródek znów znikł w wysokim kołnierzu; starał się wyglądać na przybitego, siedział przez pewien czas w milczeniu, oblizując wargi końcem języka; prawa ręka kręciła nerwowo złotą pieczęcią przy łańcuchu od zegarka. Wreszcie chrząknął.

– Widzisz... chodzi o to, że my nie tylko nie możemy spłacać zobowiązań – tu głos jego stał się nagle beznadziejnie starczy – ale obawiam się, że w ogóle będzie z nami zupełnie źle, jeżeli ty nam nie podasz ręki w tych chwilowych trudnościach. Jeśli nam pożyczysz hamburskie srebro, uratujesz wielu ludzi, którzy zależą od nas i naszych wypłat. Ratując nas, umożliwisz im powrót do uczciwej egzystencji. Wielu z takich, którzy się nic na tym nie znają, w czasach koniunktury rzuciło się na handel i nadwerężyło naszą firmę, a sami leżą. Teraz właśnie są widoki na to, że przy pomocy cierpliwości i doświadczenia można z powrotem zrobić majątek. I tym sposobem – spuścił wzrok – uratowałbyś przed hańbą dom rodzinny, nazwisko panięskie swej matki i ciotki Doroty...

Mówił to z wielkim trudem; sprawiało mu to niewymowną przykrość. Ale co robić? Potrzeba – jak to mówią – łamie żelazo.

Dag po tych słowach siedział nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w ogień. Bruzdy pod policzkami wydłużyły się ku dołowi. Nie spodziewał się, że wkrótce po śmierci ojca stanie przed taką trudną do rozwiązania kwestią... Przecież jasne było, że ojciec umyślnie nie umieścił tego srebra u Holdera. Była jeszcze gotówka w skrzyni w piwnicy, ale tę trzeba zachować, a nuż... nigdy nic nie wiadomo...

Tyle jest w ciągu roku do płacenia różnych podatków i należności, a on się tak mało jeszcze na tym zna. Źle, że to już teraz ta sprawa Holdera w niego bije. Szkoda, że nie później, gdy już będzie obeznany ze wszystkim. W niczym się jeszcze chwilowo nie orientuje. Ach, żeby tak się kogoś móc spytać o radę. Pomyślał o Adelajdzie. Ojciec jej na pewno niejedno zawierzył...

Zerwał się nagle jak oparzony, wysunął szufladę biurka. Wczoraj dopiero przyniósł na górę z piwnicy wszystkie papiery, ażeby je poprzeglądać i uporządkować. Wyszukał plik papierów dotyczących Hamburga, a resztę zamknął z powrotem w szufladzie.

Dopiero na drugi dzień przed południem, po odjeździe Holdera, gdy Dag, pożegnawszy go, wrócił do pokoju, Adelajda zdecydowała się na postawienie mu pytania:

– Po co właściwie tu Holder przyjechał?

Dag drgnął i w pierwszej chwili zamierzał jakby pominąć milczeniem jej pytanie, ale rozmyślił się i odpowiedział mocnym głosem:

– Po pożyczkę.

– Czy otrzymał ją? – spytała bezbarwnie.

– Tak, dałem mu hamburskie srebro.

– Wszystko? – wyrwało jej się jak jęk. Dag skonsternował się. Miała rację. Nie przyszło mu na myśl, że Holderowi mogła wystarczyć część pieniędzy. Teraz już było, niestety, za późno.

– Tak – powiedział – wszystko.

– W takim razie kiepsko muszą wyglądać jego interesy – zauważyła.

– Owszem, wspomniał o tym.

Drgnęła. Więc Dag dał mu hamburskie pieniądze w całości! I mimo to, że wiedzieli, iż Holder jest bankrutem.

– Nie odbywa się w duży mróz tak dalekiej podróży, o ile się nie jest w wielkiej potrzebie i nie ma się noża na gardle – odparł, zrozumiawszy z tonu, co ona o tym sądzi. – Zresztą – dodał cicho, oddalając się – jest to przecież rodzina mojej matki...

Uważała, że mógł tego nie powiedzieć, brzmiało to bowiem jak skarcenie jej za to, że się mieszała do jego spraw.

Od czasu śmierci ojca Daga nieraz już czuła się tu bardzo niepewna, ale w tej chwili ogarnął ją wprost lęk. Co to będzie? Dag jest bezlitosny, nieugięty w stosunku do drobnych dłużników, a nagle bez zastanowienia pożycza wielką sumę... Czegóż się tu jeszcze można po nim spodziewać?

Podczas następnych dni Dag stał się nieprzystępny bardziej niż kiedykolwiek, jakby nawet nie widział dzieci. Gdy go o coś pytały, nie dawał odpowiedzi.

Któregoś wieczoru siedział w sieni przy kominie. Adelajda weszła i usadowiła się cicho z robotą w fotelu. Aż serce jej się ścisnęło, gdy ukradkiem patrzyła na niego. Coś wprost niesamowitego biło od jego zgarbionej postaci: włosy zwieszały mu się dziko wokół czoła, oczy błyszczały gorączkowo, niesamowicie spod na pół przymkniętych powiek, a silne, niebezpieczne ręce były splecione w tak mocnym uścisku, jakby ich właściciel musiał się z trudem wielkim sam trzymać na uwięzi. Ten człowiek naprzeciw nie tylko budził lęk, był także nieszczęśliwy.

Po raz pierwszy zdała sobie z tego jasno sprawę. Poza nierównością charakteru, nieobliczalnymi posunięciami, kryło się w ostatnich czasach jakieś dręczące go nieszczęście. Tak, był głęboko, bezgranicznie biedny.

Lzy przesłoniły jej oczy i zanim sobie zdała sprawę z tego, co robi, zapytała:

– Dlaczego nie możemy... inaczej ze sobą żyć?

Rozwarł szeroko oczy, jakby dostrzegł coś zagadkowego w ogniu, następnie podniósł z wolna głowę, starając się jakby pochwycić raz jeszcze to, co powiedziała. Po chwili wyprostował się, wreszcie wstał z fotela i odwrócił się do niej.

– Bo nie mnie kochałaś wówczas, gdyś wychodziła tu za męża... – Powiedział te słowa tak, jakby każde rozgniatął w zębach i jakby w tej chwili pękło jego wewnętrzne napięcie, odwrócił się i znikł w ciemnościach; słyszała, jak ryglował za sobą drzwi sypialni.

To, co widziała przed chwilą, owa drżąca od namiętności postać, ściągnięta bólem twarz, ciemne od nienawiści oczy, ten obraz odcinający się ostro na tle płonącego ognia – był to chyba najstraszniejszy widok, jaki oglądała w życiu.

A te słowa, straszne, druzgocące słowa, które w nią cisnęły!...

Tak, zdruzgotał ją, zniszczył – teraz już się wszystko naprawdę skończyło!

Następnego ranka Dag wziął narty i poszedł w las. Nie wracał przez wiele dni. Były one najokropniejsze w jej życiu. Miała niewyraźne uczucie, że owo ohydne oskarżenie, jakie jej rzucił w twarz, musi mieć jakąś podstawę; napędzało jej do głowy tysiączne myśli, jedna za drugą, przypuszczenia, domysły bez początku, końca, ładu i składu... Poza tym stale żyła w lęku, czy po raz drugi mąż nie popełni wariackiego czynu, jak owa wyprawa na Górę Śmierci, bo wówczas nie zobaczy go już nigdy.

Medytowała nad tym całymi godzinami, łamała sobie głowę, co go mogło urazić. Może pytanie o Holdera, może wysnuł z tego wniosek, że ona, Adelajda, ceni nade wszystko pieniądze, i to było powodem, że wyszła za niego. Ale nienawiść w jego oczach zauważyła już przedtem. Może się dowiedział, że była przedtem zaręczona z kim innym, ale chyba nie przypuszcza, że była zakochana w starym, schorowanym aptekarzu. Wpadała w coraz większą rozpacz, a poza tym dzień i noc dręczył ją lęk i obawa...

Któregoś wieczoru, gdy się już kładła do snu, usłyszała otwieranie drzwi wejściowych... Tak, to były jego kroki... Przeszedł sieni i skierował się do sypialni, ale nie był to jego zwykły, mocny, szybki chód, wyczuwało się w nim zmęczenie... Był to dwunasty wieczór od dnia, kiedy poszedł do lasu...

Sama nie wiedząc dlaczego, podeszła do lustra i – ujrzała w nim drętwe rysy swej babki. Tak. Babka wyglądała tak jak ona w tej chwili. Drżąc cała z przerażenia, odsunęła się. Tak, tak się zmieniała w ostatnich czasach, postarzała się, nie wiedząc wcale o tym.

Co to jej ojciec Dag powiedział? – Aha – jeżeli będzie miała jakies wątpliwości, niech się zwróci do ciotki Eleonory; to rozumny człowiek.

No tak, na pewno jest rozumna. Ale Adelajda nie lubiła sposobu ciotki – mówienia wszystkiego bez ogródek. Ale w tym wypadku nie ma innego wyjścia. Pojedzie więc jutro do Borgland, pozwoli się zasypać gradem zarzutów, niech to tylko pozwoli znaleźć wyjście z tej strasznej sytuacji, z tego ponurego labiryntu życiowego.

O Daga nie potrzebuje się tej nocy więcej lękać... Zasnęła od razu. Po raz pierwszy od długiego czasu.

46

Rozwarły się drzwi wejściowe w Borgland, ciotka Eleonora wyszła na próg i przyjaznym wzrokiem obserwowła Adelajdę, jak zsiadała z konia i wchodziła na schody, podczas gdy parobek zabierał wierzchowca do stajni.

Adelajda czuła się nieco lepiej: przespana noc, uspokojenie z powodu powrotu Daga i przejażdżka na świeżym powietrzu ożywiły ją. Czując na sobie badawczy wzrok ciotki, szła możliwie różnym krokiem przez niezliczony szereg pokoi do niebieskiego gabinetu. Była to południowa strona i słońce wpadało tu, przedzierając się przez lekkie zasłony w oknach.

– Wiesz, kochanie – zrobiła jej ciotka niby zarzut na wesoło – że to doprawdy nie wypada, stara kobieta, prawie czterdziestoletnia, a chodzi z takim rozmachem jak młode dziewczę... Ale nie mówmy o tym.

Nie bardzo było jej do żartów, ale z grzeczności musiała twarz wykrzywić w rodzaju uśmiechu. Ciotka, od czasu kiedy stała się panią na Borgland, lubiła umilać ludziom życie żarcikami.

– Gdy żyje się w radości od rana do nocy, nie ma się swoich kłopotów, tego by tylko brakowało, aby się dla bliskich już nic z tej radości nie zostawiło – odpowiedziała jej kiedyś ciotka, gdy Adelajda podziwiała jej dobry humor...

Usiadła na krześle, a Adelajdzie podsunęła poduszki na kanapie.

– Miałam jutro do ciebie jechać, ażeby porozmawiać o tym, co ci leży na sercu – powiedziała już całkiem poważnie. – Pójdę i przygotuję coś do zjedzenia dla ciebie, a ty się tymczasem wypłacz, wtedy nie zajmie nam to czasu podczas rozmowy. – Po tych słowach wyniosła się z pokoju, a od drzwi rzuciła jeszcze współczujące spojrzenie na zaskoczoną jej domyślnością Adelajdę.

Wróciła po pewnym czasie z tacą zastawioną herbatą, ciastem, konfiturami i przeróżnymi słodyczami. Postawiła to wszystko na stole.

– Wołałam sama podać, nie chcę, ażeby dziewczyna tu wchodziła i widziała twoje przygnębienie.

Nała herbatę, a po skosztowaniu jej usiadła wyprostowana jak świeca naprzeciwko Adelajdy.

No, jazda! Zaczynaj! Pozamykam wszystkie drzwi, nikt nam nie przeszkodzi. Więc chodzi o Daga i ciebie?

Adelajda zdumiona podniosła głowę.

– No, no – zaczęła ciotka w tonie na pół żartobliwym, na pół poważnym – wcale do tego nie potrzeba wnikliwości i spostrzegawczości, ażeby zauważyć, że wy sobie wzajemnie utrudniacie życie. A przecież dość już przeszłaś. Nie masz potrzeby upajać się tym i twierdzić, że tylko ciebie spotykają nieszczęścia, jak to niektórzy zwykli mówić, i nazywają to potem prześladowaniem losu. Jesteś za rozsądna na to. Rozumiesz wiele. Chciałabyś temu położyć jakoś koniec i na ten temat chcesz ze mną pomówić.

Ciotka umyślnie przeplatała ton żartobliwy z poważnym, aby ją nakłonić do mówienia. W istocie! Na Adelajdę bardzo mile działały te słowa, lekka pieśczoła, głądzenie po ramionach i głowie; przypomniało jej to dzieciństwo u surowej babki i wizyty ciotki, która w tę sztywną atmosferę wносиła zawsze trochę wesela, ciepła i światła.

Adelajda zaczęła wreszcie opowiadać. Początkowo okrążyła sedno sprawy ostrożnie, z daleka. Nie domawiała, nie kończyła zdań, ale ciotka tak jakoś umiała pokierować rozmową, że w końcu zwierzyła się ze wszystkiego, co ją dręczyło. Panna Ramer, zazwyczaj sztywna, przysuwała się coraz bliżej do Adelajdy. Opierając się ręką o poręcz kanapy, objęła ją ramieniem i słuchała uważnie, pochylona naprzód, jakby nie chciała uronić ani jednego słówka. W spojrzeniu jej i wyrazie twarzy tak żywo odbijały się słowa siostrzenicy, jak gdyby jej własne życie od nich zależało.

W swoim czasie panna Eleonora otrzymała od ojca Daga rejentalnie poświadczony papier, że wolno jej mieszkać aż do śmierci w Borgland; wszystko tam było dokładnie ustalone i opisane. Więc to, że ma dbać o „brata Lorenca” aż do jego śmierci, i to także, jakie prawa będzie tam miała w wypadku, gdyby mały Dag przejął Borgland jeszcze za jej życia. Stary Dag obiecał jej, że w każdym razie będzie miała byt zapewniony. Powiedział jej kiedyś, że wywdzięczy mu się całkowicie, jeśli po jego śmierci będzie miała oko na Daga i Adelajdę oraz ich synów, jeśli doczeka ich dojrzałości.

Czuła się tu więc jak na swoim; ale nie była człowiekiem lubiącym przyjmować cośkolwiek bez odpłaty. Nie zapomniała też owych słów starego. Z natury miała specjalne zdolności do kierowania i interesowania się losem innych. Czuła się bardzo zobowiązana w stosunku do Adelajdy, a w myśl ostatniego życzenia zmarłego – również i w stosunku do jej męża. Choć bardzo kochała swą siostrzenicę, nie pozwalała nigdy uczuciom górować nad trzeźwym sądem, a wiedziała na pewno, że sprawa dzisiejsza ma wyjątkową wagę.

Gdy Adelajda skończyła swą spowiedź przytoczeniem gorzkich słów męża, który jej zarzucił, że wychodząc za niego, nie kochała go, panna Eleonora kiwnęła potakująco głową i powiedziała tak cicho, jakby do siebie:

– I tak było w istocie rzeczy.

– Co? – Adelajda drgnęła jakby wyrwana ze snu i spojrzała na ciotkę przerażona.

– Było tak przecież – powtórzyła panna Ramer z całym spokojem, nie dając się wyprowadzić z równowagi reakcją siostrzenicy.

– Co masz na myśli? – Chciała się zerwać, ale ciotka położyła rękę na jej ramieniu i powstrzymała łagodnym ruchem. – Siedź, kochanie. To jest bardzo poważna sprawa, nad którą musimy się dobrze zastanowić. – Mówiła cicho, ale stanowczym tonem.

Adelajda patrzyła na nią wciąż jeszcze przerażona... bo co ciotka właściwie ma na myśli?

Słońce tymczasem przesunęło się dalej na południe i oświetlało lekko kark Adelajdy i postać ciotki. Panna Ramer pokiwała głową parę razy, zaczerpnęła głęboko powietrze, jakby tak daleko zawędrowała myślami, że zapomniała o oddychaniu...

– Tak już jest – powiedziała, patrząc w dal ponad siostrzenicę przez okno wychodzące na wschód – tak się dzieje w życiu. Zapominamy o najbliższych.

– Jak to rozumiesz? – spytała wreszcie Adelajda.

– W tej chwili zupełnie o czym innym myślałam – odparła, jakby nie wiedząc, co mówi.

– O czym innym? – Adelajda była zupełnie wyprowadzona z równowagi. Przybyła tu w śmiertelnym żalu i bólu, ażeby zasięgnąć rady i znaleźć pociechę, a zamiast tego słyszy, że to, co było według niej czymś wprost szalonym, wariackim – było prawdą! A teraz znów ciotka myśli o czym innym w ogóle!

– No tak – rzekła ciotka, nalewając sobie filiżankę zimnej herbaty – o czym innym, ale mającym związek z tym, coś mi powiedziała. Piła przy tym wolniutko herbatę, pragnąc prawdopodobnie zyskać na czasie.

– Czy doprawdy przypuszczasz, że ja Daga nie kochałam? – Głos Adelajdy załamywał się z przerażenia.

– Coś w tym rodzaju – brzmiała sucha odpowiedź.

– Czy przypuszczasz może, że wyszłam za niego tylko z miłości własnej?

– Czynimy to wszyscy właśnie wtedy, gdy przypuszczamy, że kochamy innych, ale nie to miałam na myśli.

– Więc kogóż mogłam kochać?

– Swego teścia.

Adelajda jak piorunem rażona padła na sofę, potem zerwała się, zaczęła zapewniać rozpaczliwie, że tak nie było, a w końcu tak się rozpłakała, że ciotka nie mogła jej uspokoić. Panna Ramer powiedziała na zakończenie:

– Jak się uspokoisz, zastanów się nad tym.

Po dłuższym milczeniu i cichym łkaniu w chusteczkę Adelajda spytała cicho:

– Czy przypuszczasz, że Dag to miał na myśli?

– Nic innego nie mógł mieć na myśli.

– Ale skądże by mu to przyszło do głowy?

– Właśnie to ci chciałam wytłumaczyć. To jest nawet dość proste, ale nie wiem, jak do tego podejść. – Ciotka wstała, pochodziła po pokoju, spojrzała na zaśnieżony krajobraz za oknem, na południowych zboczach śnieg już zaczynał lekko topnieć, poprawiła coś koło mebli i dołożyła drzewa pod kominek. W końcu siadła:

– Czyś ty zauważyła, jak twój mąż ostatnio upodobił się do swego ojca?

– Tak.

– Coraz bardziej będzie go przypominał. Nie tylko zewnątrz. Na pewno ma te same cechy charakteru, ale nigdy nie miał sposobności do wyładowania swych sił życiowych. Czyś ty kiedy o tym pomyślała?

– Nie.

– Gdy mieszkałam w młodości na wsi, nieraz to obserwowałam, a również i później w mieście, w sferach kupieckich. Tam, gdzie ojciec jest człowiekiem czynu, a syn jest przy nim i musiałby z nim walczyć o swoje miejsce, tam syn zostaje w cieniu. Prawdziwy mężczyzna odczuwa potrzebę odpowiedzialnej pracy, chociażby to miała być praca tylko dla rodziny, żony i dzieci. Poczucie odpowiedzialności jest najsilniejszą podporą w życiu mężczyzny, daje mu zadowolenie i odciąga od różnych nałogów, w które może popaść. Weź dla przykładu ojca Daga. Można by przypuścić, że dawniej chciwość jego była oparta tylko na pragnieniu rządzenia. Otóż nie! Podłożem tego było wrodzone poczucie odpowiedzialności rodowej za całe jego otoczenie... Oczywiście, było też w tym sporo zapału i przesady młodzieńczej. Ale i w zmaganiach późniejszych lat mogłaś zauważyć, że jego myśli wciąż krążyły koło powagi wielkich obowiązków. To był jednak błąd. W całej tej krzątaninie dla zabezpieczenia innych – zapomniał o najbliższym człowieku; zresztą wszyscy czynimy to samo. Wiesz sama, że rodzice nie lubią z dziećmi rozmawiać o swych walkach życiowych. Dlatego też każdy musi sam taką walkę rozpoczynać na nowo, i to jest przyczyną, że ludzkość tak wolno posuwa się naprzód. Ojciec Dag zapomniał albo nie zauważył, że syn dorósł i nie ma sposobności do spożytkowania swych najlepszych sił, i nie może się wykazać własnym poczuciem odpowiedzialności, które po ojcu odziedziczył. Wprawdzie zajmował się niby eksportem drzewa, pilnowaniem lasów, ale wszystko to czynił pod kierunkiem i wskazaniem ojca. Nie miał samodzielnego pola pracy. Może nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, ale czuł się nieswojo, był niepewny, nieśmiały, wiesz sama, jak nieobyty i dziki. Jego wypadek w górach spowodowany był na pewno nie tylko bólem po stracie synków, ale także i zwątpieniem w siebie samego. Czuł się już pewniejszy, miał synów – pewną odpowiedzialność w życiu – a tu los mu nagle to wydziera. Po tamtym wypadku oboje, ty i ojciec Dag, mieliście podejrzenie, że z jego głową jest coś nie w porządku. Więc tak się

ułożyło, żeście oboje byli jakby przeciwko niemu. Coraz bardziej ulegałaś pragnieniu, ażeby trzymać się ojca Daga, a zaniebdywałaś to, co było twoim obowiązkiem: zdobycie zaufania męża. W ten sposób i on stracił tę odrobinę pewności siebie i odpowiedzialności, które mu życie pozostawiło: obowiązek dbania o żonę. Spoglądasz na mnie z przerażeniem, Adelajdo, ale nie przerywaj mi, proszę, daj mi się wypowiedzieć... Zdawało ci się, że spełniasz wszystko, co do ciebie należy, umilając mu czas spędzany w domu śpiewem i grą na harfie i nie odmawiając mu siebie, swego ciała. Ale tyś go traktowała jak smarkacza, niedorostka, i to z biegiem lat coraz jawniej, coraz wyraźniej. Gdy wracał z lasu, nie przerywałaś rozmowy z jego ojcem, nie pytałaś, jak się czuje, nie okazywałaś żadnego zainteresowania jego osobą. Obserwowałam was, ale uważałam, że z twojej strony może jest to przesadny wstyd okazywania czułości w obecności ludzi. Po twej dzisiejszej spowiedzi widzę, że to jedno z drugim ma związek.

– Rozumiesz teraz, dlaczego rzucał na ciebie nienawistne spojrzenia, widząc cię wiecznie pochłoniętą rozmową z jego ojcem? Jemu właśnie więcej niż komukolwiek było potrzeba czułości i pokrzepienia, ciepłych, dobrych słów, tymczasem wciąż tylko przyczyniałaś się do tego, aby go coraz bardziej pogrążyć w nieśmiałości. Nie wyjaśniam ci tego, broń Boże, aby cię ganić, ale chcę ci tylko jasno powiedzieć, co o tym myślę. Wcale się nie dziwię zresztą, że po twoich przejściach i doświadczeniach życiowych z takim ojcem jak twój, stary Dag pociągał cię. Wybacz, że ci to mówię. Było zupełnie naturalne, że twoja umartwiona dusza zachwyciła się takim mocnym człowiekiem... Byłaś pod jego urokiem. Zaczęło się to zapewne już wówczas, podczas pierwszej wigilii spędzonej w Björndal. Gdyście się potem tak bardzo zżyli, na pewno czułaś się bardziej szczęśliwa, niż sobie sama nawet sprawę zdawałaś. Nawet wtedy, gdy ci się zdawało, że martwisz się o męża, szczerze – duszą i sercem – kochałaś starego. Taką miłością nigdy nie darzyłaś swego męża.

Adelajda zapatrzyła się w okno, nic nie widząc. Siedziała oparta o kanapę. Zdawało jej się, że całe jej istnienie zostało podważone... Wszystkie serdeczne wspomnienia o ojcu Daggu stały się jakiegoś bezbarwne, nieczyste nawet.

Ciotka po chwili ciągnęła dalej:

– Potem wrócił z lasu Dag, już po śmierci ojca. Spędzał przy zwłokach całe dnie i całą ostatnią noc. Czepiał się go, jeszcze nie rozumiał siebie ani tego, co się wokoło działo, gdyż znikł ten, który wszystkim kierował, nawet nim samym. Cierpiał tym bardziej, że nie zdążył na czas, ażeby się z nim pożegnać. Po pogrzebie był do niczego, nawet brak mu było energii, żeby wybrać się do lasu. Ale życie wciąga nas w swój nurt – tym razem pomogły w tym dzieci. Następnie widział, że interesanci zwracali się do ciebie i tobie wręczali pieniądze. Dopiero wówczas się zorientował, że był pomijany w ciągu całych lat, naprzód przez ojca, a potem przez ciebie. Widział, jak prowadziłaś książki, domyślił się, że ojciec ciebie w to wtajemniczył, a nie jego, i że w swoim zadowoleniu i egoizmie nawet nie odczuwasz, jak bardzo go to może boleć. Więc skorzystał z przysługującego mu prawa: odebrał ci to, ale nie umiał sobie z tym poradzić, szedł po omacku. Z książek widział, że dłużnicy, którzy za życia ojca płacili punktualnie, obecnie zalegają, nie biorą go na serio, tak samo jak ty i wszyscy inni we dworze. Zorientował się, jakie należy zająć wobec tej sprawy stanowisko: zaczął objeżdżać dłużników, dając im do zrozumienia, że nie pozwoli z siebie kpić. Od tego czasu stał się ostry, nieprzystępny, ażeby przed ludźmi i sobą dowieść, że nie da się lekceważyć. Twój mąż, Adelajdo, nie jest już teraz dawnym Dagiem Björndalem, który z fuzją na ramieniu beztrudno szedł w las; jest człowiekiem, który się może zgubić z powodu swej przekory, tak jak o mała nie zgubił się stary z powodu chciwości. Ta dobroć i hojność dla Holdera mogła mieć źródło w miłości Daga do matki i ciotki, ale możliwe również, że jej podłożem jest upór. Może widział w książkach, że Holder od paru lat zalega z opłatami i że ty na pewno o tym wiesz, a nikt nie pokwapił się, ażeby go poinformować. Możliwe, że mając żal do ciebie o to, w ten sposób się zemścił. To wszystko, co przecierpiał przez całe lata, a czego powiązać w przyczynach i skutkach nie potrafił, nagromadziło się może w ten wielki ładunek nienawiści do ciebie. Ma do tego niebezpieczne skłonności.

Sama chyba wiesz wszystko, co było: wariackie wspinanie się na Górę Śmierci, obecnie ta historia z Holderem, a poza tym ta odpowiedź, dana tobie wczoraj!

Zbliżyła się do Adelajdy, która była całkowicie złamana, ujęła ją za rękę. Oczy panny Ramer pełne były blasku.

– Słuchaj, dziecko, człowiek najniżej upada, gdy nad sobą płacze! Głowa do góry, Adelajdo! Prawdziwą pociechę trzeba sobie samemu wywalczyć! Idź teraz od razu do Daga i rozmów się z nim! Zapomnij o tym, że jesteś bardziej wykształcona, więcej wiesz i umiesz niż on. Może to właśnie było największą zaporą pomiędzy wami. Bo tyś się uczyła czego innego niż on, szłaś w innym kierunku. Może nie czytał w swoim życiu tyle co ty, ale zna się dobrze na tym, o czym ty znów nie masz pojęcia. W tym sedno sprawy. Jeszcze się dość namozolisz, zanim będziesz w stanie podążyć za biegiem jego myśli, gdy go bliżej poznasz. Człowiek spędzający lata całe w lesie, górach albo w kręgu ciężkiej, fizycznej pracy – musi rozmyślać o najważniejszych sprawach życia. Ja sama, chociażby, wiele się nauczyłam od tutejszych leśnych i górskich ludzi. Ugnij się i złam swoją pychę z miłości do niego, jeśli go jeszcze naprawdę kochasz. Jeżeli go nie kochasz – zbędne jest to całe gadanie. Mogę się mylić w tych przypuszczeniach, które snułam; ale wątpię, chyba nie.

„Jedwabny” koń tańczył na swych zgrabnych nogach, niosąc Adelajdę w siodle wzdłuż alei borglandzkiej, a następnie gościńcem na północ do Björndal. Przyglądała się połyskującej sierści pięknego zwierzęcia: niejasno jej gdzieś tkwiło w pamięci, że to kochane zwierzę przywitało ją dobrymi, jasnymi ślepiami, gdy schodziła ze schodów pałacu. Ale nic więcej nie pamiętała. Słowa ciotki Eleonory zabrały jej całą świadomość i uniosły bardzo daleko.

Stuk kopyt po drewnianym moście na początku alei prowadzącej do Björndal zdawał jej się echem minionego życia. Wyprostowała się; powiew chłodnego wiatru odczuła jak orzeźwiający zastrzyk. Puściła lejce i koń szedł lekko i zgrabnie pod górę ku dworowi; z wolna wracała jej świadomość tego, co ciotka mówiła. Uprzytomniła sobie słowo po słowie – ale do każdego twierdzenia ciotki dodawała własne komentarze... Tak, tak, Dag był innym człowiekiem niż wszyscy, człowiekiem, który czyni to, co chce, wbrew nakazom ojca. Rządzą bowiem żywi, a nie umarli.

Adelajda zamknęła drzwi prowadzące do pokoju Daga. Było to drugiego wieczoru po wizycie w Borgland. Ciotka przysłała w dzień po chłopców i kazała powiedzieć, że ich zatrzyma u siebie na noc. Adelajda wiedziała, że ciotka to umyślnie tak ułożyła. Jedną rzecz zataiła przed ciotką: że Dag przeniósł się po śmierci ojca do jego sypialni. Uważała to za osobistą obrazę i trudno jej się było do tego przyznać, wprost nie mogło jej to przejść przez gardło. Ciotka widocznie przypuszczała, że małżonkowie prędzej dojdą do porozumienia, gdy dzieci nie będzie.

Ale Dag po jej wyjeździe do Borgland znów poszedł do lasu i jeszcze nie wrócił; poza tym ona sama nie czuła się na razie na siłach do przeprowadzenia zasadniczej rozmowy. Ciotka wzbudziła w niej uczucia i myśli, które jeszcze nie dojrzały. Uginała się pod ciężarem winy. Starła się usunąć od siebie napomnienia ciotki, myślała o jakimś pogodzeniu się z mężem bez przykrej rozmowy. Bo gdy tylko wyobrażała sobie między nimi spotkanie – zaraz stawał jej przed oczami Dag rzucający w nią owe straszne i gorzkie słowa. Nie zniosłaby po raz drugi widoku takiego wyrazu twarzy. Od tej chwili wprost go się bała, a słowa ciotki również nie dodały jej odwagi. Niby zmora ciążyło to na niej przez całą ubiegłą noc. W ciągu dnia starła się odsunąć te myśli od siebie, ale teraz pod wieczór znów zaczęły wracać. Była obok pokoju Daga przed chwilą, popatrzyła na puste łóżeczka dziecięce i jego wielkie łoże. Mróz ją przejął, taki stamtąd wiał chłód i ciemność. Zdawało jej się, że wszystko, co tu niegdyś żyło i ruszało się, umarło po wieczne czasy.

Poczuła się lepiej, gdy wróciła do swego pokoju i zaryglowała drzwi. Widziała go przed sobą... Siadywał tu nieraz przed kominkiem. Jakie to dziwne! Po dwunastu latach małżeństwa właściwie wcale go nie zna. Dusza jego pozostała dla niej zakrytą kartą, a z tych ciemności i zagadkowego labiryntu wyłaniały się ku niej te same, dziedziczne przywary, które nieodstępnie towarzyszyły młodości ojca Daga (opowiadał o tym Adelajdzie): mściwość, upór, brak serca.

Jednak trudno było uwierzyć, ażeby Dag był pozbawiony wszelkich uczuć. Rozpacz po śmierci synków dowodziła czego innego, tak samo jak stosunek do bliźniąt i psów; przecież i do niej nieraz potrafił odnosić się serdecznie – miała czasem tego drobne dowody. Nie, ojciec Dag miał rację; mąż jej miał dobre serce, tylko że do jego duszy była tak bardzo daleka i trudna droga. Przypomniało jej się stare przysłowie, że nienawiść zamyka serca ludzkie.

Z poczucia własnej winy za pogrążenie męża w ten ponury stan obudził się w niej dławiący lęk przed tym wszystkim, co jej może grozić, co może uderzyć w nią z nieznanych głębin jego duszy, a co jest dziedzictwem po nieugiętych, dumnych, mściwych przodkach...

Nagle drgnęła. Czy to nie odgłos zdejmowania nart i ustawiania ich przy drzwiach wejściowych? Tak! Ktoś szedł ku drzwiom. To kroki Daga, ale nie zmęczone, wlokące się obojętnie jak podczas ostatniego powrotu – tylko stąpanie żywe, młodzieńcze, szybkie. Słyszała, jak zdejmował i wieszał kurtkę, szedł przez kancelarię do kuchni, po chwili wrócił, zdjął obuwie, położył kilka drewn pod kominkiem. Słyszała, jak przyszła dziewczyna z kuchni, a wreszcie brzęk szkła. Widocznie kazał sobie podać coś gorącego do picia, tak samo jak to czynił ojciec, gdy wracał zziębnięty z lasu.

We wszystkich tych odgłosach było zdecydowanie. Oto pewny siebie dziedzic wielkich włości przyszedł z lasu i rozgrzewa się przy własnym ognisku domowym.

To właśnie obudziło w niej dojmujące pragnienie uwolnienia się od owej męki i powrotu do prawdziwego życia. Posunęła się na palcach aż do samych drzwi i łowiła w napięciu najłżejszy szmer i ruch.

Dała się całkiem otumanić twierdzeniom ciotki, że kochała właściwie ojca Daga. Ależ nie! To niezupełnie jednak tak było; sprawa nie jest taka prosta, jak się ciotce zdawało. Owo narzucone jej niespodzianie mniemanie panny Ramer zamroziło jej cały aparat myślowy; ale teraz zaczęła się spod tego wyzwalać. Jak oskarżony lęka się zetknięcia z sędzią, tak ona obawiała się rozmowy z Dagiem. Teraz napadła ją dręcząca obawa, że Dag pójdzie do siebie, a ona nie zdąży zejść i rozmówić się z nim. Od pewnego czasu bardzo dbała o swoją powierzchowność. Teraz podeszła do lustra, przygładziła włosy i poprawiła stanik.

Zawahała się przez chwilę, naciskając klamkę. Musi zejść kompletnie opanowana. Nie wolno jej dać się unieść namiętności i nierozwadze. Otworzyła drzwi i zamknęła cichutko za sobą, potem z wolna zeszła w dół.

Dag siedział w kręgu ognia na dawnym miejscu ojca. Nic nie było w jego twarzy z owego przerażającego, nieszczęsnego wyrazu, gdy nienawiść wykrzywiła mu rysy. Miała przed sobą spokojną, zamyśloną twarz, ale wyraz był taki surowy, nieruchomy, taki chłód i nieugięta wola biły z niej, że aż drgnęła.

Gdy wchodziła, Dag akurat właśnie wstał. Ani jeden muskuł nie drgnął na jego twarzy. Kierował się ku sypialni.

– Czy nie mógłbyś poświęcić mi trochę czasu? Chciałam z tobą pomówić – powiedziała to cicho, zbolałym, łagodnym głosem.

Zatrzymał się, oparłszy lewą rękę o stół. Na cieniu, który padał na ścianę, zdawał się być jeszcze większy niż zazwyczaj, bardziej rozrośnięty w ramionach. Bruzda na policzku zarysowała się ostro w blasku ognia – biegła w nieznacznym zakrzywieniu w kierunku kącików ust. Był to jakby zaczątek uśmiechu.

Weszła i ona w krąg światła i zatrzymała się tuż przed nim ze złożonymi rękami, z podniesioną głową. Czuła się tu dziś – jak niegdyś tylko przelotnym gościem. Dag tu przynależał od pierwszego tchnienia. W jego żyłach płynęła ta sama krew co w ludziach, którzy ten dom przed wiekami zbudowali. A ona? Przybyła tu parę lat temu jako dorosły człowiek i korzeniami tu nie tkwiła. Ostoją jej był ojciec Dag, z chwilą gdy go zabrakło, straciła oparcie.

Ale musi się z nim pożegnać, zanim uda się do swojej izby w samotność lub przeniesie się na dobre do ciotki w Borgland. Chciała wytrwać do ostatniej chwili i być uczciwa aż do końca w stosunku do Daga i do siebie samej. A potem niech się wszystko skończy.

Ten miękki, nie znany mu ton jej głosu spowodował, że podniósł głowę i słuchał, ale gdy potem milczała, spojrzął na nią z uwagą. Twarz jego nadal pozostała nieruchoma, ale obojętność ustąpiła jakby słabemu współczuciu. Wytrzymała jego spojrzenie nie drgnąwszy powieką.

– Czyś ty przypuszczał, że ja się kochałam w twoim ojcu? – spytała, przymuszając się do spokoju.

Spojrzał na nią zaskoczony, kiwnął głową prawie niedostrzegalnie.

– Tak – ciągnęła dalej – kochałam go i kochać będę aż do śmierci, bo był człowiekiem mocnym i dobrym. Ale i ciebie kochałam, o ile pozwalałeś mi na to sam i o ile wypadki i nastroje naszego pożycia małżeńskiego dopuszczały do tego. Nieraz zlewały mi się wasze obie postacie w jedno, widziałam w was obu wszystkie zalety, które cenię... Droga mi była twoja niezwykła, inna niż wszystkie młodość, wszystko, co było we mnie młode i szczere, dążyło do ciebie, zaś siła charakteru ojca twojego była wypoczynkiem dla mych starganych nerwów i lęku przed życiem, który tkwił we mnie, wlokąc się jak ponura pozostałość z poprzedniego, bezradosnego życia.

Dag pozornie był nieporuszony, ale widziała, że słucha uważnie. W głosie jej nie było już wymuszonego spokoju, gdy mówiła:

– Złożona i skomplikowana była moja miłość, a już na pewno nie była doskonała, bo powinno się jednego, i tylko jednego człowieka nosić w głębi duszy i serca. – Aż sama się przeraziła tonu swego głosu, który brzmiał tak jakoś błagalnie. Teraz dopiero zrozumiała, że otwarte postawienie kwestii, rozmówienie się z Dagiem mogło cały ich stosunek całkowicie wyjaśnić i odpowiednio ułożyć, doprowadzić do upragnionego pojednania. Obudziłby się w nim człowiek obowiązku, któremu mogłaby zwierzać się ze wszystkiego, z którym mogłaby omawiać każdą sprawę... A przy tej dojrzałości i sile pozostałby w nim zawsze urok młodzieńczy, objawiający się pogodnym i rozbijającym dobrodusznym uśmiechem. Na pewno byłby taki, gdyby znalazł się ktoś, kto by obudził w nim wiarę we własną moc i podtrzymywał na duchu. Czyż właśnie teraz, kiedy on może na nowo zdobyć całe jej serce i spoić rozbitą istotę w mocną jedność, miałyby go stracić? Teraz, kiedy po naukach i rozmowach z jego ojcem, i po własnym gorzkim doświadczeniu dojrzała i wyrobiła się i byłaby w stanie być prawdziwą pomocą? Teraz, kiedy czuła, że w końcu mogłaby mu się oddać całą duszą i ciałem, bez zastrzeżeń?

Drgnęła... Dag wstał, podszedł do komina; pchnął wystający korzeń nogą tak gwałtownie, że aż iskry się posypały. Jego obojętność i brutalna energia były dla niej czymś tak przykrym, że odczuła je jak uderzenie sztyletem w serce. Oto miała godną odpowiedź na swe słowa, a również i na to, co myślała i czuła. Zdawało się jej, że się dławi, cały pokój zaczął z nią wirować, podłoga uciekała spod nóg. Po dłuższej chwili odetchnęła z trudnością i odzyskała przytomność. Spojrzała na Daga. Od kominka padał na niego jasny blask ognia, ciemniał i rozświeślał na nowo. Światło i ciemność zdawały się walczyć ze sobą. Adelajda miała wrażenie, że widzi oto nie walkę płomieni, ale jest świadkiem zmagania wewnętrznych jego duszy. Może i tam jasność walczy z ciemnością. Płomienie pod kominkiem nikły, malały, aż wreszcie tliły się już resztki drew, trzeszcząc cicho. Kontury postaci Daga coraz bardziej zacierały się w ciemnościach, od czasu do czasu oświeślał go jakiś jaśniejszy płomyk. Zdawało jej się, że widzi postać z opowiadań ojca Daga. Groźny, wspaniały potomek dawnych przodków żył w postaci, na którą padało czerwone, migocące światło zamierającego ognia: myśliwy o czujnym oku i uchu, wiecznie tropiący po lasach grubego zwierza. Cichy, urywany oddech zdradzał wzmagające się napięcie.

Zamarł ostatni błysk ognia, zapanowała ciemność.

Odsunęła się odruchowo, słysząc, że się do niej zbliża, ale zanim zdołała to uczynić, wziął ją mocno w ramiona.

Księżyc zaglądał do sypialni. Kotara od strony okna w wielkim łóżu była odsunięta i światło w całej pełni padało na poduszki. Adelajda odwróciła głowę w stronę księżyca i szeptała przez sen jakieś niezrozumiałe słowa. Spała dalej. Złociste jej włosy rozsypywały się po poduszce. Chyba po raz pierwszy od czasu dzieciństwa położyła się do łóżka bez czepka.

Dag siedział oparty o poduszki w kącie łóżka, tak jak to zwykł czynić setki razy w chatach leśnych na pryczy albo na chruście przy ognisku. Siedział wówczas i wpatrywał się godzinami w żar ogniska.

Tu zaś zapatrzył się w twarz Adelajdy. Jeszcze nigdy na żadnej twarzy nie widział takiego spokoju. Przyjemnie było patrzeć na to. „Dużo ostatnio rozmyślała, a pewnie mało spała” – przemknęło mu. On natomiast spał już dość. Tak, za wiele cennych godzin życia przespał – doszedł do wniosku.

Nim zjawił się księżyc, mówili jeszcze długo w ciemnościach w łóżku. Adelajda powtórzyła mu wiele trafnych uwag, które poczyniła o nim panna Ramer. Tak się mu teraz wszystko jasne i lekkie zdawało, że wcale nie mógł zasnąć. Najchętniej by wstał i sam się sobie przyjrzał w tym nowym oświetleniu.

Przysunął się do Adelajdy i przyjrzał uważnie jej twarzy. Znikł gdzieś zimny, zacięty wyraz, policzki były młode, jakby brzoskwiniowym puszkami pokryte, a usta poruszały się w oddechu lekko, delikatnie. Jakaż ona piękna! Nieprawdopodobnie piękna. Miała tak pięknie zarysowane brwi, długie, ciemne rzęsy i precudne, rozpuszczone włosy!

Tak jak podczas nocy spędzanych w lesie – patrzył w białe księżyc... Ach tak. Powiedziała, że potrzebuje człowieka, który byłby dla niej mocną ostoją. Uniósł w górę całe swe szerokie ramię, przez chwilę padało na nie światło księżyc. Potem usunęło się w ciemność, księżyc oświetlał już tylko jego twarz – czoło pełne było głębokich zmarszczek, które pojawiły się z nadmiaru trosk, myśli i wyczerpania sił fizycznych na polowaniu i stałym przebywaniu na powietrzu podczas każdej pogody i pory roku. Były to także zmarszczki wryte wiekiem i twarde rysy niewzruszonej woli. Ale oczy były czujne, otwarte, młodzieńcze. Znów spojrzął na Adelajdę takim wzrokiem, jakby trzymał tu straż nocną nad ogniskiem – nad ogniskiem płonącym w głębi jego serca.

Żadne jeszcze lato nie wydawało się Adelajdzie takie urocze, jeszcze nigdy nie czuła się tak pewna siebie, nigdy świat dla niej nie był tak piękny jak w owym okresie, kiedy ona i Dag wreszcie odnaleźli się wzajemnie. Od tej pory i ona sypiała w tradycyjnej sypialni, a w pokoju swoim przebywała tylko podczas dnia. Zaczęła spisywać stare gadki, przypowieści i legendy, które słyszała od ojca Daga i Unn Hamarrbö lub znalazła w pamiętnikach Teresy i panny Doroty. Z czasem czuła się tak, jakby istotnie należała do rodziny Daga i jego całego starego rodu – wrastała w to miejsce, zżywała się coraz bardziej z przeszłością i terażniejszością, a wobec tego, że posiadała, jak zwykle kobiety, rozwinięty zmysł praktyczny – pilnie obserwowała swe otoczenie.

I Dag również się uspokoił. Zżycie się z Adelajdą i wszystko to, czego się od niej dowiedział o ojcu, dały mu pewność siebie i równowagę ducha, wiarę we własną moc i wartość; z czasem stał się silnym, zdecydowanym człowiekiem. Namawiał ciotkę i Adelajdę, ażeby zapraszały gości z miasta, krewnych i znajomych, i raz do roku odbywał się bal w Björndal w wielkiej sali, a także w Borgland. Wieczory wigilijne były znów tak uroczyste jak dawniej, wróciły rozdzwonione jazdy nad ranem do kościoła – i Dag już się nie jękał przy czytaniu wersetu. Promieniowały z niego siła i spokój, i radość.

Wprowadził również na nowo stary obyczaj, którego zaniechano za czasów surowych rządów ojca: wzywał do dworu na jesieni, przed rozpoczęciem robót zimowych, wszystkich drwali w celu wręczenia im narzędzi i naradzenia się nad tym, co ma być danej zimy wykonane. Narady te odbywały się w starej izbie i kończyły się wielką ucztą – jedzeniem gęsto zakrapianym trunkami. Dag z nimi razem siedział i ucztował.

Były to ciężkie lata, ceny na rynku spadły, powodując wiele strat. Ale Dag jakoś znajdował na wszystko radę. Gdy ceny zboża i drzewa poczęły się zniżać, zabrał się intensywnie do hodowli bydła. Kazał naprawić stare budynki i obory letnie, a przy tym gruntownie wykorzystał łąki i pastwiska. Gdy stawki celne uniemożliwiły wywóz do Anglii budulca krótszego niż na pięć czy sześć łokci, zaczął jeździć po swych posiadłościach, zarządził regulację rzeki i w ten sposób umożliwił spław i większych pni. Gdy szło o wykonanie jakiejś pracy – pierwszy był do tego, tak jak ojciec.

Ale mimo wszystko coś w zakamarkach jego duszy pozostawało zamknięte, niezrozumiałe i budziło niepokój Adelajdy. Był, mianowicie, zbyt pobłażliwy względem Holdera i innych ludzi. Widocznie ową surowość w pierwszym roku po śmierci ojca w stosunku do biedoty spowodowała tylko przekora, a może niepewność siebie. Teraz zniknęła w zupełności.

Minęły lata, był rok 1826. Chłopcy mieli już po jedenaście lat i wszędzie było ich pełno: w lasach i na pastwiskach. Początkowo Tore był przywódcą i organizatorem tych wypraw, ale z czasem mały Dag prześcignął go. Był jeszcze wciąż kanciasty, chudy, zbyt wysoki na swój wiek, ale ludzie twierdzili, że zaczyna już z tego wyrastać.

Matka przez parę lat kierowała ich nauką, już dawno obaj umieli czytać i pisać, i rachować, starała się im dać poza tym pewne wiadomości z zakresu innych nauk... Skarżyła się nieraz Dagowi, że za dużo włóczę się po polach i lasach.

– Daj im jeszcze trochę swobody, zanim pójda do pastora na konfirmację – odpowiadał – bo już potem będą musieli zacząć inne życie.

Marzeniem Adelajdy było, ażeby jeden z nich – wszystko jedno który – ukończył szkołę w mieście i potem może został oficerem. Najlepiej, żeby to był ten, który z czasem ma objąć Borgland. Ale nie odważyłaby się zaproponować tego mężowi. Powiedzenie jego, że po konfirmacji mają rozpocząć inne życie, miało pewnie znaczyć, że potem zapręgnie ich i zaznajomi z pracą w domu i w polu. Trudno jej było z tym się pogodzić, w każdym razie nie dla obydwóch, niemniej tak wyglądało, jakby się miało na tym skończyć.

Jeden z woźniców wracających z miasta przywiózł Dagowi przykrą wiadomość: Holder potrzebuje pieniędzy. Stary Holder umarł w ostatnim roku i syn prowadził interesy. Był to człowiek również nie pierwszej młodości, miał bowiem czterdzieści siedem lat.

Woźnica powiedział Dagowi, że Holder sam przeszedł do czeladnej, ażeby mu to powiedzieć. Z tego Dag wywnioskował, że Holdera widocznie bieda porządnie przycisnęła. Uważał, że najlepiej samemu pojechać do miasta i dowiedzieć się.

Po drodze wiele rozmyślał. Uprzysięgał sobie, jak to ojciec w ostatnich latach życia o wszystkim myślał i jak rządził swym björndalskim państewkiem, że wszystkie chaty drwali były w porządku, nigdzie zgniłej belki, wszyscy byli zaopatrzeni w potrzebne do pracy narzędzia bez względu na to, gdzie kto mieszkał, chociażby najgłębiej w lasach. Zabezpieczył pannę Ramer aż do końca życia. Pomagał Holderowi w ten sposób, że wpłaty należne od niego odsuwał z roku na rok, tymczasem pożyczał mu nawet pieniądze, ażeby jakoś dopomóc w przebyciu trudnego okresu. Ale ledwo stary Holder umarł, już syn jego żąda znowu pieniędzy i stałej pomocy. Tak nie można, trzeba być stale na posterunku i pracować, nie zwracając uwagi na to, czy się jest bogatym. Tam, gdzie nie ma chęci do pracy, jak u Holdera, tam nic nie pomogą ani rada, ani pieniądze.

Nie uszło jego uwagi, że Adelajda rości jakieś ambicje co do kształcenia synów. Nie, z tego nic nie będzie. Zaprzęgnie się ich do pracy zaraz po confirmacji, a do tego czasu niech poznają dobrze las i jego życie. Dobra to szkoła życia dla młodzieży, niech przepracują pewien czas w pocie czoła... Nic bardziej godnego pogardy niż ludzie nie mający siły w rękach i niezdolni do żadnego fizycznego wyczynu.

Serce zabolalo Daga, gdy wjeżdżał od strony sklepu w podwórze domu Holdera. Rodzina Holderów od przeszło stu lat zajmowała się kupiectwem. Tutaj urodziły się jego dzielna matka i anielsko dobra ciotka Dorota. Obie tu się chowały i przebywały aż do wyjazdu do Björndal.

W dawniejszych latach panował tu wielki ruch, pełno było zawsze ludzi, pojazdów i koni – obecnie stało tylko parę szkap, a poza tym było pusto. Zdecydował, jadąc tu, że uderzy ręką w stół i powie Holderowi krótko i węzłowato, iż nie ma co liczyć na Bjørndal: ani na towar stamtąd, ani na gotówkę. Ale gdy porównywał dzisiejszy wygląd tego domu z tym, co było w dawnych latach, gdy przyjeżdżał tu z matką i ciotką i przebywał w otoczeniu dobrobytu i świetności, serce mu się krajało. Czy ojciec odmówiłby pomocy, gdyby w tej chwili był na jego miejscu? Ojciec, o tyle więcej jeszcze z tym domem związany niż on?

W drodze doszedł do wniosku, że nie wolno pozwolić żyć w ten sposób Holderowi, nie wolno tego tolerować... Zresztą ma obowiązki wobec najbliższej rodziny i tylu ludzi żyjących we dworze. I tak w tych ciężkich czasach niełatwo jest dojść ze wszystkimi do ładu. Niejeden z właścicieli posiadłości musiał w ostatnich latach sprzedać na łeb, na szyję swe mienie. Tak! To prawda! Ale – z drugiej strony – nie miałyby serca dopuścić do licytacji całego dobytku rodziny Holderów.

Dag przywiązał konia, zawiesił mu worek z owsem na szyję i rzucił badawczym okiem na stare budynki domu handlowego. Pełno tu było schodów i galeryjek. Niejeden z przodków oglądał sobie ten podwórzec, ale na pewno żaden nie był w tak przykrej sytuacji.

W kantorze powiedziano mu, ażeby poszedł na górę do mieszkania. Służąca zaprowadziła go do bawialni. Dag wiedział, że mieszkała tu jego matka, ale nie przypuszczał, że jego rodzice właśnie w tym pokoju przed półwieczem doszli do porozumienia.

Otworzyły się drzwi, wszedł zażenowany Holder. Nie bardzo mocno trzymał się na nogach i powitał żywo kuzyna, gestykulując i zasypując go gęsto słowami o nowych bankructwach w Londynie. Przy tym bezustannie się usprawiedliwiał. Służąca przyniosła wino i szklanki. Holder napełnił je i sam duszkiem wypił. Dag nie tknął swojej.

Holder nalał sobie drugą i wychylił tuż za tamtą, – Przywiozłeś pieniądze? – spytał lekko, prawie pobłaźliwie. Dag patrzył ponuro przed siebie i od czasu do czasu rzucał z boku spojrzenie na gospodarza. – Ile ci potrzeba?

Holder wymienił jako tymczasową, konieczną zaliczkę tak wysoką sumę, że Dag z miejsca otrzeźwiał i zapomniał o wszystkich uczuciowych powiązaniach. Holder ciągnął lekkim tonem, jakby od niechcenia, że nadarza się okazja zrobienia świetnego interesu, i wszystko potem będzie dobrze. Gdy następnie Dag mu jeszcze raz taką sumę pożyczy, to dom handlowy Holderów powróci do dawnej świetności. Już jego w tym głowa. Ojciec był zbyt drobiazgowy, za mało miał odwagi, dlatego tak wszystko się pokręciło. Jeśli się wielka okazja nadarza, trzeba z całą energią chwytać ją za włosy.

Dag podniósł się.

– Przyjechałem, ażeby upomnieć się u ciebie o pieniądze – po wiedział zimno. – Co ty mi na to odpowiesz?

Holder cofnął się razem z krzesłem i przez dłuższy czas siedział wytrącony z równowagi. Następnie oparł się o poręcz, opuścił bezradnie ręce wzdłuż fotela i wyciągnął nogi przed siebie.

Tu nikt o nic się nie może upominać, bo tu niczego już nie ma.

Dag był jedynym człowiekiem w ostatnich czasach, który udzielał jeszcze Holderowi kredytu, więc też on jeden miał prawo rozporządzać tym, co tu jeszcze zostało. Dał wskazówki swemu adwokatowi. Kazał sporządzić akt, według którego dwudziestoletni syn młodego Holdera będzie prowadził nadal – bardzo ostrożnie – tylko sklep, a eksportowy dom miał być zupełnie zlikwidowany. Wszystkie pokoje i pomieszczenia – poza paroma dla ojca i syna – zostaną wynajęte. Jeśli sklepu w ten sposób nie da się prowadzić, wówczas wszystko zostanie wystawione na licytację. Adwokat po spisaniu dokumentu uśmiechnął się.

– Powinno to się już było stać za życia ojca pańskiego.

Tak więc większa część bogactwa, które niegdyś przywędrowało do Björndal wraz z Teresą i jej siostrą, została Holderom zwrócona i roztrwoniona.

49

Któregoś jesiennego dnia 1830 roku Dag siedział w kancelarii. Gdy weszła Adelajda, szybkim ruchem odsunął papiery, które leżały przed nim, i przykrył je książką. Adelajda bardzo się zestarzała w ostatnich czasach. Zniknęła z latami jej druga młodość i w codziennym życiu z całej postaci biła jakaś sztywność, która nie pozwalała ludziom swobodnie zbliżyć się do niej.

Podeszła do męża, siadła w fotelu i oparła ręce o biurko.

Dużo czasu upłynęło od chwili, kiedy Dag odebrał jej prowadzenie ksiąg. Adelajda podczas jego nieobecności nieraz musiała przyjmować od ludzi rachunki za wywiezione drzewo albo spłaty i procenty od dłużników z okolicy. Załatwiała te sprawy i wносиła do księgi. Z czasem tak się ułożyło, że raz ona, a raz mąż prowadzili rachunki, jak się trafiło.

Było coś w jej sposobie prowadzenia ksiąg, w jej zapytaniach lub obliczeniach, które na luźnych kartkach zostawiała dla niego, co się Dagowi nie podobało – miało posmak drobiazgowości i chciwości na pieniądze.

Przypisywał to wieloletniej biedzie w czasach pierwszej młodości Adelajdy i pewnemu podobieństwu jej do babki, która żyjąc w bardzo trudnych warunkach materialnych, musiała każdy grosz mocno trzymać. Ale przecież to było bardzo dawno, powinna już o tej drobiazgowości zupełnie zapomnieć i żyć się z nowymi warunkami bytu. Nie pomyślał o tym, że pożyczki dawane nieopatrznie Holderowi mogły ją naprowadzić na tę drogę.

Zawracała mu też głowę różnymi drobnymi sprawami. A to, że drwale zabierają to i owo z kuchni, a to znów ci, którzy coś majstrują w spiżarniach, wyławiają stamtąd przysmaki. Właśnie teraz przyszła z taką sprawą. Odpowiedział jej na to:

– Niejedno widzimy, Adelajdo, ale nie trzeba takich spraw brać do serca. W tak wielkim gospodarstwie jak nasze dzieją się różne rzeczy, trudno wszystko brać pod uwagę.

Zazwyczaj lubiła, gdy tak stanowczo postępował, ale w ostatnich czasach zauważyła w nim wiele nie znanych dotąd cech charakteru. Nie po to wszakże przyszła do niego, ażeby mówić o tych drobiazgach. Więc też ciągnęła dalej:

– Tej jesieni nikt jeszcze nic nie zapłacił: ani procentów, ani rat, chyba wiesz o tym?

Dag przez chwilę zastanawiał się nad czymś, jakby go to pytanie nieco zaskoczyło, i potem odpowiedział równym, spokojnym głosem:

– Nie przejmuj się takimi sprawami. Sam ogłosiłem, że rezygnuję w tym roku ze wszelkich opłat. Po takich zbiorach jak tegoroczne każdy ma dość własnych kłopotów. – Po tych słowach ściągnął surowo brwi. Spojrzał w otwartą książkę przed sobą i sięgnął po leżące pod nią papiery, ale cofnął rękę. Adelajda drgnęła, gdy nagle się zerwał. Wyraz jego twarzy w tej chwili był ponury, chodził wielkimi krokami po pokoju tam i z powrotem. Doszedł do okna, wyjrzał na dwór, odwrócił się z powrotem ku pokojowi i stanął.

– Często bywałem u tych ludzi w południowych gminach i wiem, jak żyją, stale mają na karku poborcę i wójta. Uważam za niedopuszczalne, ażeby ci ludzie, żyjąc w tak ciężkich warunkach, mieli w pocie czoła uprawiać dla nas pola, których wcale nie potrzebujemy.

Adelajda zdziwiona przyglądała się mężowi i młodzieńczemu zapałowi, z jakim bronił tej sprawy.

– No dobrze, ale przecież musimy myśleć o przyszłości i o na szych synach – powiedziała w końcu.

Widocznie głębiej, niż sądziłem, tkwią w tobie wspomnienia młodości, pamięć niedostatku, w jakim żyłaś, skoro tu, w Björndal, ty przyszłości się boisz. Wiedz więc, moja kochana, że Holder już strat nam nie będzie przysparzać. Również gotówkę ulokuje się w bankach, a nie u niego. Chybaś to zauważyła z książek i wiesz, że majątek nasz stale się powiększa. Wiesz również, że możemy teraz spławić budulec długości dziesięciu łokci i że to się bardzo dobrze kalkuluje... Poza tym obserwowałem naszych chłopów przy pracy, przy każdej robocie, którą im dawałem i podczas wypraw ze mną do lasów. Są wytrzymali z natury i mają respekt dla ludzi, którzy coś potrafią, takich słuchają bez zastrzeżeń. To mnie uspokaja co do ich przyszłości, a i ty możesz być zupełnie spokojna. Gdy chłopcy nauczą się sami pracować, w przyszłości będą rozumnie rządzić i szanować ludzi. A tego tu tylko potrzeba. Jest tu gdzieniegdzie grunt kamienisty i stromy, ale jest również i dobra, żyzna ziemia, poza tym wiele lasu do wyrąbania, a Borgland przynosi sporo dochodu w latach urodzajnych.

Dag zbliżył się o parę kroków.

– Nie wolno być skąpym, bo to tylko psuje krew. Trzeba na pewne rzeczy patrzeć przez palce, nikt tu u nas nie zabierze więcej, niż potrzebuje. Niepotrzebnie się tym przejmujesz. O ile mi wiadomo, nikt tu w okolicy nie cierpiał głodu, dopóki cokolwiek było we dworze. Jeśli więc ktoś zabiera coś ze spiżarni albo kuchni, to widocznie, wzorem mojej matki, panna Kruse pozwoliła na to.

Adelajda oparła się o fotel. Po raz pierwszy słyszała Daga wypowiadającego tyle słów naraz; widocznie głęboko to przemyślał. Czowała, że właściwie wszystkie te słowa były zwrócone przeciwko niej; ostatnie zdania, skierowane bezpośrednio do niej, odczuła jako nagane.

Wiedziała bowiem – sama to spisała – jak troskliwa była matka Daga o ludzi ze dworu i osiedla, zwłaszcza o tych, którzy potrzebowali pomocy; pozornie była ostra i surowa, a w gruncie rzeczy bezgranicznie dobra.

Widocznie Adelajda dużo myślała nad tym, co jej Dag powiedział, bo wieczorem w łóżku, gdy światło było już zgaszone, zaczęła o tym mówić:

– Gdybym ja tak szła do ludzi jak twoja matka, na pewno by tego nie chcieli ode mnie.

– O tak, na pewno – odpowiedział Dag.

Długo milczała i w końcu dodała, a głos jej przy tych słowach brzmiał jakoś inaczej niż zwykle:

– Więc co mogę na to poradzić, co mam robić? Nastąpiło długie milczenie.

– Gdybyś była taka, że najbliższe otoczenie zwracałoby się śmiało do ciebie, przyszliby za nimi i inni. Mają na pewno sporo rzeczy, z którymi chcieliby się do ciebie zwrócić; jesteś przecież bardzo mądra i wykształcona. Przecież prości ludzie wciąż mają zmartwienia: a to z powodu dzieci, a to bydła, a to choroby, a to znów niedomogów życia codziennego, ale trzeba by im trochę okazać serca, ażeby mieli odwagę zwrócić się do ciebie.

Były to te same słowa, których często używał ojciec Dag. Ona je właśnie podsuwała dalej mężowi, przypuszczając, że sama jest dobra i współczująca. A teraz on jej rzuca w twarz taką surową ocenę.

– Czy uważasz, że jestem bez serca? – spytała w końcu, zachłystując się słowami.

– Masz je... ale... widzisz... jest zamrożone...

Adelajda tak długo myślała nad tymi słowami, aż poty na nią uderzyły. Tak, teraz dopiero stało się jasne, teraz w nocy, gdy kończyła czterdziesty ósmy rok życia, że dotychczas serce miała tylko dla siebie, a nie dla innych.

Jest dzielna, ale w gruncie rzeczy nie przekracza granic przeciętności. Patrzyła w swym życiu niezliczone razy na ludzi, których długi trapiły niczym zmora i którzy całe życie nie byli w stanie ich się pozbyć. Nie rozumiała, nie docierało to do jej świadomości, że można im ulżyć, zwalniając ich po prostu na cały rok od opłat. Nigdy jeszcze nie słyszała, ażeby ktoś kiedykolwiek wpadł na tak dziwaczny pomysł.

W tych ostatnich latach bardzo Daga kochała, ale nigdy nie czuła tego tak silnie jak dziś. Wciąż brzmiały jej w uszach jego słowa, że serce ma zamrożone. I gdy potem go spytała: – Co mam robić? – głos jego brzmiał miękko i czule.

Bez wahania odrzekł:

– Odtając dla najbliższego otoczenia, reszta sama przyjdzie. Wiele lat temu Adelajda postanowiła pomagać pannie Kruse w zarządzaniu domem. Bardzo się sama do tego garnęła, ale jak zwykle pozostało tylko postanowienie; w tym wypadku, jak i w wielu innych.

W dwa dni po tej rozmowie przybył do Bjørndal pewien człowiek z południa i chciał mówić z Dagiem. Dag przyjął go w sieni i Adelajda słyszała u siebie każde słowo. Przybył tu nie po to, ażeby się uskarżać, ale dlatego, że ma coś na sercu, co mu spokoju nie daje. Najbliższy sąsiad jest winien Dagowi dwa razy tyle co on, a został zwolniony w tym roku z opłaty. Znaczy więc, że tamten został zwolniony z wpłacenia sumy jeszcze raz większej niż on. Nie przychodzi się uskarżać, broń Boże, ale chce tylko zapytać, jak ta sprawa właściwie wygląda, bo on jest pokrzywdzony, dostał bowiem o połowę mniej niż sąsiad.

Dag pozwolił mu się wypowiedzieć, ale nie był w stanie usiedzieć na miejscu i wysłuchać obszernych wyjaśnień i usprawiedliwień tego człowieka. Gdy wstał, tamten też się podniósł z miejsca i kręcił się z nim w kółko, nie zwracając uwagi, iż Dag – bez słowa – coraz ciasniej go okrąża. Spotulniał więc, nie był w stanie mówić i tylko trząsł głową otumaniony.

Dagowi się zdawało, że sprawiedliwie postąpił z ludźmi, a tu naraz takie oto gęganie jako rezultat jego trosk o ludzi. Oparł trochę może za mocno swą rękę na ramieniu tamtego – musiał go jednocześnie przytrzymać, bo byłby kucnął – i spytał:

– Czy ty wiesz, coś ty wiózł całą drogę od domu aż do Björndal?

Naturalnie nie wiedział.

– Szatańskie nasienie, którego musisz się strzec: zawiść. Pamiętaj, jeżeli ona cię w swe łapy dostanie, nie będziesz już potem miał spokojnego dnia w życiu. Zawiść i zazdrość zniekształcają ludzkie charaktery, czynią z ludzi kaleki. – Tamten chciał coś rzec na swoje usprawiedliwienie, ale Dag mu przerwał: – Nie będę słuchać żadnych usprawiedliwień. Zresztą nie jesteś wyjątkiem. Wielu ludzi cierpi na tę chorobę. Idź teraz do domu i zajmuj się gospodarstwem, pilnuj żony i dzieci, myśl o bydłe, pracuj i – z Bogiem!

Tamten ulotnił się czym prędzej, ale będąc już w progu, wyrzucił, że to jego stara winna, bo go do jazdy namówiła.

– Precz! – krzyknął Dag i zatrzaskał za nim drzwi.

Trudno człowiekowi od razu zmienić swą naturę, ale przy dobrych chęciach – po pewnym czasie można sporo osiągnąć, tym bardziej, jeżeli ma się jakiś cel, do którego się dąży. Słowa ojca Daga podziały na Adelajdę jak piękna, podniosła melodia, która napawa człowieka błogością, a sercu daje ucieszenie – ale nie było w tym idei, która mogłaby ją pobudzić do czynu, bodźca, który by ją skłonił do pracy nad sobą. Łagodny ton, jakim były wypowiedziane, działał kojąco – to wszystko. Mąż zaś wygarnął bez ogródek, po prostu, co o niej myśli, i wskazał drogę postępowania – drogę prowadzącą przez jej serce, przez uczucie. Więc powoli, dzień po dniu, zaczęła to serce otwierać, a wewnątrz jego tajało w ciepłych promieniach męzowskiej dobroci.

Zaczęła od panny Kruse. Poprosiła ją, ażeby od czasu do czasu przekazała swą pracę wieczorną komu innemu i gdy Daga nie będzie, przyszła do niej z robótką na pogawędkę. Panna Kruse naprzód się przeraziła tym szalonym pomysłem, ale z czasem, dzięki taktowi i kulturze Adelajdy, stała się serdeczna i cieszyła się potem przez cały dzień na te godzinki pogwarek: były dla niej odnowieniem najpiękniejszych w jej życiu wieczorów, spędzonych w pokoju panny Doroty, kiedy sama była jeszcze małą dziewczynką.

Radość jej rozpromieniała i rozgrzewała Adelajdę, i powodowała w niej nowe serdeczne odruchy. Gdy się zbliżyły ze sobą, dowiedziała się Adelajda od niej mnóstwa szczegółów o doli i niedoli ludzi we dworze i w osiedlach drwali. Opowiadał to i owo dawniej i ojciec, ale było to bardziej powierzchowne. Panna Kruse знаła ludzi od wewnątrz. Przychodzili do niej, aby się jej zwierzyć ze wszystkich swoich kłopotów... Pod koniec zimy omawiały wspólnie, jak by zaradzić ich biedzie i niedoli. Doszło do tego, że i Adelajda zaczęła brać bezpośredni udział w życiu swego najbliższego otoczenia. W ten sposób spełniła obowiązek nałożony na nią przez ojca Daga.

Pewnego marcowego wieczoru Dag siedział w kancelarii i palił długą fajkę ojca. Na dworze był mróz i padał śnieg; pod kominem palił się ogień.

Skończyli przed chwilą kolację w jadalni; jedli razem z chłopcami, którzy już poszli do swego pokoju, a Adelajda gawędziła z panną Kruse w sieni.

O ileż przyjemniej ułożyło się życie w ostatnich czasach! Chłopcy, jak to chłopcy, dawniej nieraz tak się bili, że ojciec musiał ich siłą rozdzielać, biorąc jak młode psiaki za kark – obecnie, od czasu jak się wzięli do pracy fizycznej, spowaźnieli. Zawsze przy czymś majstrowali: to w lesie, to w swojej komorze – koło broni czy narzędzi. Kochali się, tworzyli jedno serce i jedną duszę. Dag zasięgał informacji u ludzi, z którymi pracowali, i słyszał same pochwały. Chętni do pracy, do pomocy, grzeczni, odporni i wytrzymali na ból. Małego Daga trzeba było nieraz hamować w zapale, bo zuchwały młodzik brał się do najcięższych robót, myśląc, że jego siły pozwolą mu imać się każdej pracy. Dag był o nich zupełnie spokojny. Powierzył ich ludziom zaufanym i mądrym, którzy nie będą się z tym liczyli, iż to jego synowie, i powiedzą im, co trzeba, bez ogródek. Również i Adelajda odnalazła – jak się wydaje – właściwą drogę życia. Owa drobiazgowość, która zaczęła się w niej rozwijać, teraz jakby znikła. Dag stwierdził to z żywym zadowoleniem.

Sklep w mieście prosperował jakoś nie najgorzej. Najmłodszy Holder niewiele był wart, ale zdawał się brać do serca dobre rady Daga i adwokata. Za to z jego ojcem było ustawiczne zmartwienie. Stale się uskarżał na niewygody nowego życia. W małym mieszkanku nad sklepem czuł się jak w więzieniu i najchętniej wcale nie wychodził z domu. Dag stale mu tłumaczył, że wszystko to stało się z jego własnej winy; jeśli chce, może w każdej chwili przenieść się do Borgland, gdzie miejsca jest dosyć; na to Holder odpowiedział mu, że Dag postąpił z nim wcale nie po chrześcijańsku, a teraz pod koniec życia chciałby może zrobić z niego chłopca? Dagowi bardzo się nie podobał ton, jakim powiedział słowo „chłop”, ale w gruncie rzeczy rad był, że go nie będzie miał stale na karku.

Dag siedział bez ruchu, oparłszy nogi o brzeg kominka. Puścił wodze myślom i wkrótce wszelkie zmartwienia z Holderem i inne troski uleciały z dymem do komina. Zjawiły się inne obrazy. Jak to już nieraz bywało, powędrował myślą do Góry Śmierci. Jak inaczej z takiego szczytu wyglądał świat! Jak inaczej życie – oko w oko ze śmiercią! Wprost nie do pojęcia, że ludzie tak się wzajemnie dręczą i depczą po sobie podczas tej krótkiej drogi prowadzącej przez życie do śmierci. Ale czyż on nie był taki sam, czy nie grzązł całe lata w nienawiści? On, który był tam przecież i widział Górę śmierci – zdołał jednak zapomnieć o nauce, jaką stamtąd wyniósł. Ale teraz wszystko pojmował jeszcze wyraźniej niż wtedy, bo sam dojrzał i pogłębił wiedzę o życiu. Wybrnął z labiryntu nienawiści i nabrał jasnego poglądu na świat.

Na przykład ten człowiek z południa ze swymi beczelnymi żądaniami.

Sprawę tę Dag raz jeszcze przemyślał. Dopiero teraz zrozumiał, jak wyjątkowa jest jego własna sytuacja materialna. Może właśnie ten jasny, wykrystalizowany pogląd na życie i szerokość swoich horyzontów zawdzięcza temu, że nigdy nie potrzebował walczyć o byt? Oczywiście, nieobca mu była ciężka praca, ale nigdy nie miała charakteru walki o zdobycie kawałka chleba. O to już walczyli jego przodkowie. On tylko korzystał z ich zdobyczy, z ich osiągnięć. Pierwszy z rodu, który już nie stał pod przymusem takiej walki.

Ostro osądził owego człowieka za zawiść, ale na pewno ten biedak niewiele w swym życiu przeżył beztroskich dni. Cóż to dziwnego, że taki człowiek staje się zgorzkniały i drobiazgowy?...

Dag wstał i zaczął chodzić po pokoju. Z opowiadań Adelajdy o rozmowach z ojcem mógł wywnioskować, że ojciec jego w końcu doszedł do przekonania, iż człowiek nie zmuszony przez los do walki o byt ma większe i cięższe do spełnienia obowiązki względem Boga niż ci, którzy z trudem zdobywają kawałek chleba. I że te obowiązki bogacza nie polegają na górnolotnych słowach, ale na niesieniu ulgi bliźnim tu, na ziemi... Ojcu tak ta sprawa leżała na sercu, że nie czekał, aż Adelajda mu to powtórzy, ale odszukał go sam na Skarfjell, ażeby mu to powiedzieć. Zwalczył w sobie oniesmielenie, które odczuwali nawzajem wobec siebie, ponieważ gnało go coś niepohamowanie, ażeby się z nim podzielić nowym, z trudem zdobytym poglądem na życie. Wtedy to, owej nocy, zaziębił się w mroźnym wietrze i z gór przyniósł sobie śmierć. Ostatnie to było widzenie z ojcem, a słowa człowieka, który już jest poświęcony śmierci, trzeba uważać za święte.

Dag wysunął szufladę i wyciągnął plik papierów. Były to te same, które w pewien pamiętny dzień jesienny z tą samą myślą wyjął i wsunął pod książkę, gdy weszła Adelajda. Wsadził je teraz do kieszeni, zamknął szufladę i – zamyślił się. Następnie zbliżył się do okna i wyjrzał w noc. Wczesna wiosna, ale nie było jej jakoś widać. Wprawdzie w początkach miesiąca było ciepło przez dłuższy czas, nawet lód na rzece i górskich jeziorach zaczął pękać i kra płynęła obficie. Ale potem znów się zrobiło zimno i rozpoczęła się na nowo sanna. Z daleka dochodził tu szum rzeki i trzask pękającego lodu. Wciągnął w płuca oszałamiający zapach przedwiośnia i świeżego śniegu. Czas pomyśleć o wykonaniu zamierzonego planu, trzeba pojechać do miasta, do prawnika. Jutro robi to nieodwołanie.

Dusza ludzka posiada czasem głębokie tajemnice, o których nawet najbliżsi nie mają pojęcia.

Adelajda miała wrażenie, że coś drzemie w duszy Daga głębiej niż to wszystko, co знаła. Klucz do owej tajemnicy był na jej oczach, ale ona go nie widziała. Troje ludzi zbudziło ojca Daga z duchowego uśpienia i ci sami także i na niego wywarli mocny wpływ. A stało się to jeszcze w latach młodości, gdy się kształtują poglądy, i do których się wraca chętnie przez całe życie, jak długo umysł pracować może.

Dag miał bardzo wyostrzony zmysł spostrzegawczy: więcej widział i lepiej rozumiał postępowanie ojca, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. I rozmyślał godzinami nad tym przy nocnym ognisku w lesie. Na szczytach gór widzi się tyle tylko z małostkowości ludzkiej, ile się jej we wrażeniach z dolin i z własnych przeżyć tam ze sobą przyniesie. Ale wrażenia te rozumie się i ocenia lepiej, kiedy się je rozważa z dala od ludzi.

Dag był z natury człowiekiem zamkniętym w sobie, milczącym, i nikt nie wiedział, jakie są jego zapatrywania na ludzkie sprawy. Wówczas na Skarfjell nałożył na siebie twardy, ironiczny nieledwie uśmiech, gdy ojciec powiedział: „Chciwość, nieustanna żądza gromadzenia majątku – utrudniają ludziom współzycie”.

Przez wzgląd na ojca nie chciał o tym mówić z Adelajdą, ale musi wreszcie dać wyraz swym poglądom na życie – naprzód w czynie, a potem dopiero ujmie to w słowa.

Zamknął okno i poszedł do drzwi prowadzących do sieni, ale po drodze zatrzymał się i przejrzał w lustrze: na skroniach siwiały mu już włosy i pięćdziesiątka była już za pasem, ale trzymał się prosto jak młodzieniec: dziecko lasów i przestrzeni, świeży duszą i ciałem.

51

Most zerwany! Ze wszystkich stron zbiegli się przerażeni ludzie. A najgorsze: jest tam dziecko! W chwili kiedy to się stało, gromada chłopców bawiła się na zmurszałych deskach, bo dzieciaki muszą wszędzie wleźć, zwłaszcza tam, gdzie się coś dzieje. Po tym moście od dawna już nie jeździły wozy; starsi doświadczeni ludzie ostrzegali, że pękające lody na wiosnę zniosą belki, bo przegniły w niektórych miejscach. Zapewne właśnie dlatego dzieciaki chciały się tam koniecznie bawić. Most stał, odkąd żyły, więc jeszcze i ten jeden dzień wytrzyma. I tak przyszło do nieszczęścia.

Wszyscy jednak starsi chłopcy wyratowali się, uciekając na brzeg rzeki; pozostał tylko mały Iver Tjernbraaten, który był z natury tak powolny, że nigdy nie mógł zdążyć na czas, i wpadł. Zatrzymał się, chwytając się kurczowo okrytego lodem środkowego pala, i nie mógł się teraz ruszać ani w tył, ani w przód. Pod nim pędziła wezbrana rzeka, kry lodowe uderzały z hukiem o szczątki mostu i z szumem torowały sobie drogę pomiędzy palami. Przed mostem utworzył się zator i spiętrzał wodę, lada chwila ostatnie pale i resztki mostu zostaną porwane przez krę.

Po obu brzegach rzeki zebrali się ludzie i z przerażeniem patrzyli na młode życie skazane na straszną śmierć w nurtach wody. Malec był bezwzględnie stracony. Nikt przecież nie odważył się wejść na szczątki wiszącego w powietrzu mostu albo przedostać się tam łodzią, sterując między zwałami kry. Zbierał się coraz większy tłum. Zbiegły się kobiety, mężczyźni, dzieci ze wszystkich stron, ale nikt nic nie mógł pomóc; stali bezradni, słuchali łoskotu płynącej kry i rozdzierającego serce krzyku biednego dziecka. Wzbierająca woda i kra zabierały ze sobą pal za palem.

Po ponurym, ciemnym niebie gnały ciężkie chmury. Zapadał wieczór.

Nagle od strony południa nadjechał gościńcem jakiś człowiek; widocznie ujrzał z daleka zbiegowisko przy zerwanym moście, bo zatrzymał konia.

Od razu go poznali. Paru wyrostków pobiegło ku niemu, ażeby opowiedzieć o strasznym wypadku.

Dag Björndal wracał właśnie z miasta. Wysłuchawszy chaotycznego opowiadania zasapanych chłopców, od razu skierował się w stronę mostu. Ludzie odetchnęli. Nie dlatego, ażeby przypuszczali, że coś może pomóc, ale tam, gdzie ktoś z rodu Björndalów był bezradny – z innych spadała już cała odpowiedzialność. Dag zatrzymał się w miejscu, gdzie droga spada stromo ku zatoce, i nie schodząc z sań, spojrzął w dół. Wszyscy byli pewni i czekali na to z napięciem, że potrząśnie bezradnie głową. Ale Dag spoglądał na rzekę, to w górę, to w dół i drapał się czoło.

Tonące dziecko uległo widocznie przez chwilę zamroczeniu – może z lęku – bo ucichło, ale nagle znów rozległ się przeraźliwy krzyk, że po wszystkich przebiegł dreszcz.

Dag zjechał z drogi ku brzegowi w miejsce zatoru. Widocznie chciał się lepiej rozejrzeć w sytuacji. Obraz Björndala w saniach na tamtym brzegu, odcinający się ciemną plamą na tle wieczornego nieba, zdawał się w oczach zebranych tu ludzi jakby zjawą z zaświatów i zwiastunem wydarzeń przechodzących rozum ludzki.

Ludzie z tej strony rzeki podbiegli do niego, ale trzymali się w przyzwoitej odległości. Byli jednak na tyle blisko, że widzieli jego wysuniętą ku przodowi twarz i wytężony wzrok, wpatrzony w wodę, ręce ściągające lejce w celu utrzymania uwagi konia. I tych także ogarnęło przecucie zbliżających się wielkich wydarzeń. Widzieli, że wzrok jego spoczął na czymś w górze rzeki i śledził nieustannie zbliżanie się czegoś. Przypominały im się krążące legendy i gadki o niepojętej wprost śmiałości i szaleńczej odwadze björndalskich panów... Ale nikt nie umiałby przytoczyć takiego faktu, że ktoś z tego rodu odważył się przedsięwziąć błyskawiczną jazdę pomiędzy zwałami płynącej kry. Stali tu skupieni, zgromadzeni wokół niego, nie przypuszczając, że on na podobną sposobność właśnie czeka. Przecież to szaleńczy wyczyn, wariacka odwaga, porywać się na coś podobnego w momencie, kiedy woda tak silnie wezbrała i przegniłe belki i pale są jedyną ostoją przeciwko naporowi żywiołu... Dag to wszystko doskonale wiedział, ale...

Kobieta, która dotychczas stała opodal niweczonych szczątków mostu, obecnie przepchała się przez tłum do Daga, lamentując na cały głos:

– Boże wielki! Czy nie ma już ratunku dla mego dziecka?

Dag z uwagą śledził wielki kawał kry pędzącej w kierunku mostu. Kra osiadła pomiędzy palami. Mniejsze kry przyłączyły się do niej i spiętrzyły się za nią na szczątkach mostu. Trzeszczało to i kołysało we wszystkie strony, a woda pod mostem pędziła i przynosiła ze sobą coraz więcej lodowch zwałów, jedne wpadały na drugie.

Malec zaczął przeraźliwie krzyżeć. Trudno wprost było słuchać. Matka dziecka, łkając, wciąż powtarzała te same, rozpaczliwe słowa.

Synowie Daga też byli kiedyś w tym wieku co ten nieszczęsny malec. Mój Boże! Tak bardzo ich wtedy kochał. Powziął decyzję. Jakby w odpowiedzi na lamentej matki – szepnął:

– Więć naprzód, w imię boże!

Po tych słowach puścił lejce i smagnął batem konia. Zjechał pędem w dół: śnieg leciał na wszystkie strony; wjechał na lekko zamarzniętą rzekę, koń chciał stanąć na powłoce lodowej, ale natrafił na wodę, która wysoko trysnęła spod niego; jedna noga końska tkwiła w wodzie; trzy były na wierzchu, ale pomimo to parli naprzód w piekielnej jeździe. Dag wychylił się na prawo, wyciągnął ramię jak najdalej i przyciągnął chłopca do siebie, i w tej samej chwili runęły ostatnie przęśła... Wszystko: koń, sanie, kra i przęśła, wszystko gdzieś zapadło w nieprzenikniony, piekielny wir...

Czy istotnie tak było?... Nikt potem nie umiał tego powiedzieć. Ale wszyscy patrzyli na to szeroko otwartymi oczami.

Minęło sporo czasu, zanim ktokolwiek był w stanie się ruszyć. W końcu jednak poszli, jeden za drugim – szary, beznadziejny orszak, roztapiający się z wolna w ciemnościach wieczoru – wzdłuż rzeki w dół...

Ktoś był na tyle przytomny, że zdołał zaprząć konia i pojechał na północ, ażeby dać znać w Björndal o wypadku.

Tej nocy wyruszyło stamtąd wielu ludzi na wozach z płonącymi pochodniami. Rozjechali się w obie strony rzeki; jedna grupa udała się na północ, druga w kierunku południa – w celu przeszukania całej okolicy.

Adelajda całą noc wychodziła na balkon i wyęczała zrozpaczone oczy w kierunku wzgórzystych stron Hamarrbø. Gdy chciała już powrócić do pokoju, zauważyła nagle słabe migotanie światełka od strony lasu. Co pewien czas zniknęło i znów się pojawiało; można już teraz było wyraźnie dostrzec palące się pochodnie.

Schodzili wolno, bardzo wolno ze zboczy. Adelajda przymknęła oczy; zachwiała się na nogach. Opanowała się siłą woli i znów patrzyła.

Skęcili na podwórzu Hamarrbø, blask pochodni rzucał refleksy na domy, budynki. Teraz zatrzymali się... Dlaczego?

Wydawało jej się, że słyszy dźwięk dzwonu jak echo dzwonu z pogrzebu ojca Daga, coś w jej sercu mówiło, że wstępują po Unn, ażeby czuwała przy zmarłym. Dag nie żyje!

Mały Dag znalazł ojca w jednej z bocznych, cichych zatok. Szukał go tam razem z drwalem Marcinem. Wynieśli go razem z dzieckiem, które jeszcze mocno ramieniem otaczał.

Lewą skroń miał strzaskaną prawdopodobnie krą albo padającym przesłem, uderzenie musiało spowodować śmierć. Gdyby nie to, byłby się wraz z malcem uratował – twierdził Marcin. – Nieraz bowiem jeździł przez pękający lód, który się pod nim załamywał. Wiedział dobrze, co mu grozi, ale nie mógł patrzeć na zmaganie się dziecka z żywiołem. Miękkie miał serce...

Po drodze wstąpili nie tylko po Unn; ktoś pojechał też po pannę Ramer do Borgland. Wiedzieli, że będzie potrzebna pani domu.

Adelajda leżała na podłodze bez przytomności, gdy ciotka weszła do jej pokoju. Dopiero na trzeci dzień z wielkim trudem mogła zejść do oficyny. Tam ułożono zmarłego, bo Unn wiedziała, że w tej izbie przebywał najchętniej. Może i co innego miała na myśli... Cały czas aż do przybycia Adelajdy utrzymywano ogień pod kominem. Dag leżał na swoim łóżku, prawą stroną odwrócony do komory, lewą do ściany. Blask ognia nadawał twarzy ciepły koloryt. Wydawała się w tym oświetleniu żywa, młodzieńcza. Adelajda długo stała zapatrzona w jego rysy, aż w końcu padła, szlochając, na łóżko. W nogach łóżka siedziała Unn Hamarrbö z zastygłym obliczem. Miała już ponad siedemdziesiątkę, ale pomimo to spełniała sumiennie obowiązek czuwania przy zmarłych, jak za dawnych czasów jej babka – Annę Hamarrbö.

W drzwiach stanęła panna Ramer. Miała siedemdziesiąt dwa lata, mocno się zestarzała w ostatnich czasach. Włosy jej były srebrno-białe, głos starczy, ale wyrażała się jasno i rozsądnie. Podeszła do siostrzenicy, gdy ta przestała na chwilę płakać, wzięła ją mocno pod ramiona i podniosła. Nie wolno oplakiwać śmierci takiego człowieka, jakim był Dag. Dał życie swe za kogoś – spełnił największy czyn, jaki człowiek na tej ziemi spełnić może!

Adelajda wspomniała przepowiednię Annę Hamarrbö, którą przeczytała w pamiętniku Teresy. Od drzwi rzuciła jeszcze długie spojrzenie na twarz Daga, odcinając się ostro w kręgu płomieni na tle poduszek...

Dużo czasu upłynęło, zanim Adelajda przyszła do jakiejś równowagi ducha po tym ciosie. Gdy potem, było to już pod koniec lata, opuściła swój pokój, ludzie patrzyli i nie poznawali jej. Ogromnie się zmieniła i postarzała – i na twarzy, i w postawie.

Syver Bakpaa, wciąż jeszcze – pomimo podeszłego wieku – rzeński i energiczny, kierował pracami gospodarskimi na roli i w ogrodach – i w Björndal, i w Borgland – w taki sposób, jak go w swoim czasie nauczył stary Dag. Do pomocy miał Evena Steinruda; umówione było, że gdy któregoś dnia umrze, Even będzie jego następcą. Kierownictwo nad drwałami i pracami w lesie objął Marcin. Wszystko więc szło nadal zwykłym trybem.

Chłopcy z młodzieńczym zapałem asystowali przy każdej robocie; poza tym wędrowali z psami i fuzją na ramieniu tymi samymi szlakami po lasach i bagnach, górach i dolinach, które przemierzał ich dziadek aż do późnej starości, a ojciec aż do ostatnich dni życia. Nocami sypiali na pryzkach w chatach leśnych lub przy ognisku pod gołym niebem, tak samo jak wszyscy z ich rodu.

Któregoś wieczoru Adelajda siedziała nad księgami. Była jesień, padał deszcz. Wiatr wył i gwizdał w kominie, krople deszczu rytmicznie uderzały o szyby. Adelajda zdołała nieco przyjść do siebie. Ciotka Eleonora często ją odwiedzała i przypominała jej za każdym razem słowa ojca Daga, które jej niegdyś Adelajda powtórzyła: „Cokolwiek człowieka spotyka – powinien zawsze się podnieść i dążyć naprzód, wciąż naprzód, przez całe życie”.

Powpisywała różne pozycje do ksiąg, bo zaległości było dużo. Jej silna i zdrowa natura przemogła rozpacz i na nowo zaczęła się dobrze czuć w kancelarii. Tak! Widocznie te małe, magiczne znaczki, cyfry były czymś, do czego człowiek z pokolenia na pokolenie ma upodobanie we krwi. Wobec tego, że spadł teraz na nią obowiązek czuwania nad majątkiem, postanowiła dbać z całą sumiennością i akuratnością o dobro synów.

Akurat obliczała, z jakimi sumami zalegają dzierżawcy z dolin, jakie to daje procenty i o ile się z czasem będzie mogło powiększyć konto w banku. Nagle usłyszała zajeżdżający powóz na podwórze i głos panny Kruse i jakiegoś mężczyzny. Wyszła do sieni. Był tam jakiś pan z miasta, twarz jego wydawała się jej znajoma, ale dopóki nie wymienił swego nazwiska, nie mogła sobie przypomnieć, kto to jest.

Był to rejent Daga, a w swoim czasie również i pełnomocnik starego Daga, ojciec zaś jego był rejentem przodków Björndalów. Świetnie więc orientował się w stosunkach pieniężnych rodziny. Powiedział, iż przybył, ażeby z Adelajdą niejedno omówić, ale jest zdżony, pogoda była psia; naprzód musi się przebrać. Panna Kruse zaprowadziła go do niebieskiego gabinetu w nowym budynku.

Jedli potem obiad przy pięknie nakrytym stole w jadalni; rejent był człowiekiem światowym, umiejącym ciekawie opowiadać o podróżach po obcych krajach. Chłopcy słuchali go z wielkim zainteresowaniem, a i dla Adelajdy ten powiew wielkiego świata był odświeżający. Jednocześnie zadawała sobie w duchu pytanie, co go mogło skłonić do odbycia tej dalekiej, męczącej podróży.

Adelajda i rejent przeszli potem do kancelarii. Rejent dostał tam tradycyjny kieliszek wina, fajkę i tytoń. Następnie skierował rozmowę na wydarzenia ostatnich czasów i w końcu na sprawę, z którą tu właściwie przyjechał.

Dag podczas ostatniego pobytu w mieście był u niego – miał ze sobą wszystkie weksle i listy zastawne na południowe gospodarstwa. Powiedział, że chce zrezygnować z tych należności, i żądał, ażeby rejent poświadczył to urzędowo na papierach i przysłał mu do podpisu, a następnie wręczył dłużnikom. Powiedział, że ma dość pieniędzy dla siebie i rodziny, więc nie ma powodu dręczyć i wymagać procentów i rat od biedaków.

Rejentowi podczas całej jego praktyki nic podobnego się nie zdarzyło. Przecież to nonsens, to niedorzeczność darować takie sumy! Dlatego też odpowiedział Dagowi, że wypisanie tych rezygnacji jest bardzo skomplikowane i będzie musiał mieć trochę cierpliwości – aż do następnego przyjazdu do miasta. Umyślnie to zrobił, ażeby dać Dagowi czas do namysłu: tymczasem wypadki potoczyły się innym torem. Od chwili śmierci małżonka minęło pół roku. Umyślnie się nie zjawiał, ażeby jej nie molestować po tym nieszczęściu. Ale teraz przyjechał i przypuszcza, że Adelajda będzie mu chyba wdzięczna za takie pokierowanie sprawą i da mu – w zamian za uratowanie takiego majątku jej i synom – jakiś słuszny udział.

Delikatnie dał jej do zrozumienia, że wie o owym wypadku w swoim czasie w górach, jak i o tym, że od tego czasu Dag bywał często... hm... nieobliczalny... Zaznaczył również, że dlatego tak często upadają wielkie rody, bo jeden marnuje lekkomyślnie to, co drugi zebrał w pocie czoła. Dużo dobrego powiedział o ojcu Dagui: był przezorny, doświadczony, szlachetny! Szkoda więc, ażeby dzieło jego życia poszło w ten sposób na marne.

Adelajda nie wiedziała, jak się ustosunkować do tej sprawy. Że Dag nosił się z jakimś dziwnym zamiarem, można było wywnioskować z jego osobliwego nastroju w ostatnich czasach. Wszystko, co jej rejent tłumaczył, było zrozumiałe, jasne i – słuszne. Ona również w głębi duszy nie mogła pojąć, jak można takie wielkie sumy darować ludziom. Nawet już i to było dla niej niepojęte, że Dag zeszłej jesieni sprolongował dłużnikom spłatę procentów na cały rok. Niedawno postanowiła, że zejdzie do piwnicy i zbada wszystkie papiery znajdujące się w kufrze.

W tej całej rozmowie i rozważaniach na ten temat jedno tylko było jasne i przejrzyste: cyfry. A z cyframi trzeba ostrożnie! – mawiała jej babka. Trzeba być bardzo dokładnym, nie wolno ich ani umniejszać, ani skreślać.

Gdy odprowadzała rejenta poprzez sień do nowego domu, była przekonana, że prawnik ma rację. Ale potem w ciągu bezsennej nocy wciąż miała przed oczami twarz Daga; mocną w wyrazie – jak wtedy w kancelarii, gdy jej tłumaczył niesprawiedliwość faktu, że biedni dłużnicy muszą grosz do grosza zbierać na procenty dla nich, którzy tych pieniędzy właściwie wcale nie potrzebują. Wiedziała z obrachunków w księgach, że doprawdy jej i synom te pieniądze wcale nie są bezwzględnie potrzebne... No tak. Dobrze... Ale to uspokaja, gdy się ma taką sumę w zapasie.

Spojrzenie Daga nie dawało jej spokoju. Widziała jego oczy bezustannie w sobie utkwione, na jawie i nawet podczas krótkich chwil drzemki, były jasne, zdecydowane i bardzo poważne. O świcie wstała i posłała powóz do Borgland po ciotkę.

W tej samej chwili, gdy rejent wchodził do pokoju na śniadanie, przyjechała ciotka. Cierpiała w ostatnich tygodniach na nogi i chodziła o lasce.

Jestem – powiedziała. Staram się jak najprędzej umrzeć, ale śmierć jakoś się nie spieszy. Jeszcze z roczek musisz mieć cierpliwość.

Adelajda zareagowała uśmiechem na wisielczy humor ciotki i siedli do śniadania. Adelajda następnie poprosiła reagenta, ażeby na nią poczekał w sieni, bo chce przedtem coś z ciotką omówić.

U siebie w pokoju zdała relację pannie Ramer z celu przyjazdu reagenta i spytała, jak się ciotka na to zapatruje.

– Odbierz od niego wszystkie papiery i poślij tego pokątnego doradcę jak najszybciej do diabła – odrzekła rzeczowo ciotka.

– Jak to?... Przecież...

– Nie ma tu żadnego przecież, jeśli chcesz mieć w grobie spokój – przerwała jej ostro ciotka. – Naprzód niech tamten sobie pójdzie, a potem pomówimy.

Adelajda musiała zejść, przeprosić reagenta i odesłać go z tym, że zatrzyma u siebie papiery i przemyśli całą sprawę.

Panna Eleonora poczekała dłuższą chwilę i dopiero gdy usłyszała turkot odjeżdżającego pojazdu, pokuśtykała ze schodów i weszła do kancelarii. Siadła w fotelu i czekała.

Adelajda spojrzała na nią badawczo zza biurka.

– Więc co mam robić? – zapytała.

– Zbudzić się! – odpowiedziała ciotka surowo. – Zacząć pojmować człowieka, z którym płodziłaś dzieci. Rozwiń pierwszy papier z brzegu i pisz to, co ci dyktuję: „Stosownie do woli mego męża, Daga Björndala, dług został zapłacony w sumie...”, potem wypisz cyfrę i podpisz.

Adelajda przyglądała się twarzy ciotki, tak bardzo już zmarszczonej, i jej srebrnym włosom. Czyżby umysł jej już począł szwankować? Może rozum ucierpiał pod wpływem zbliżającej się starości?

– Czy jesteś pewna, że Dag?... – zaczęła.

– Zupełnie – odpowiedziała ciotka ostro. – Nie jestem jeszcze ani ślepa, ani głucha. Wiem, do czego zdążał. Wiesz sama, że Borgland i Björndal nie są obciążone żadnymi długami. I wiesz chyba, co to znaczy w czasach, w których wszystkie posiadłości aż po uszy tkwią w długach? Te dwa dwory mają kiedyś odziedziczyć twoi synowie, jeżeli będą, jak tego oczekiwał twój mąż, pracowici i dzielni. Wystarczy im to w zupełności. A jeśli zechcą trwonić ojcowiznę – to i tamtych pieniędzy nie starczy na długo. Największą sztuką życia jest przewyciężenie chciwości. Ojciec Dag starał się przemoc swoją naturę, ale syn poszedł jeszcze dalej.

Po tych słowach podniosła się ociężałym ruchem z fotela, opierając się na lasce. Jej słowa brzmiały twardo i sucho:

– Przyjeżdża taki mądrała z miasta i chce sądzić o zdrowym rozumie Daga. Oczywiście, jeśli pieniądz jest jedyną wartością życia, to Dag nie miał dobrze w głowie; ale jeśli przykazanie życia głosi: trzeba się stać człowiekiem serca, to Dag był mądrzejszy i lepszy od wszystkich ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam w ciągu swoich długich lat.

Ciotka wyszła, a Adelajda pisała, pisała...

Jesienny wicher zerwał się z gór, ale powstrzymały go lasy. Z całą siłą grzmiał i huczał ponad domami osiedla wysoko w górze, potem pognał daleko w świat.